

Salvatore R.A.

Trylogia Doliny Lodowego Wichru  
– Księga Trzecia

Klejnot Halfinga

- Poczekaście! - dobiegło wołanie ze wzgórza.
- Wszyscy troje odwrócili się i zobaczyli Catti-brie, w pełni przygotowaną do drogi, z Taulmarilem - magicznym łukiem Anariel, który zabrała z ruin Mithrilowej Hali - przewieszonym przez ramię. Biegła w stronę powozu.
- Nie zamierzaliście tak mnie zostawić? - zapytała Bruenora.
- Bruenor nie mógł spojrzeć jej w oczy. W istocie miał zamiar ją zostawić, nawet bez pożegnania.
- Ba! - parsknął. - Próbujesz mnie tylko zatrzymać!
- Nigdy nie miałam takiego zamiaru! - warknęła Catti-brie. - Sądzę, że postępujesz prawidłowo. Lecz zrobiłbyś lepiej, gdybyś się posunął i zrobił mi miejsce!
- Bruenor potrząsnął głową.
- Mam takie samo prawo jak ty! - zaprotestowała Catti-brie.
- Ba! - parsknął znowu Bruenor. - Drizzt i Pasibrzuch samymi najprawdziwszymi przyjaciółmi!
- Moimi też!
- A Wulfgar jest dla mnie jak syn! - krzyknął Bruenor, sądząc, że zwyciężył w tej rundzie.
- A dla mnie może być kimś więcej - odparła Catti-brie - jeśli wróci z południa! - Catti-brie nie musiała nawet przypominać Bruenorowi, że to ona poznała go z Drizztem. Pokonała wszystkie argumenty krasnoluda. - Posuń się, Bruenorze Battlehamme-rze, i zrób mi miejsce! Mam do tego takie samo prawo jak ty i mam zamiar wyruszyć wraz z tobą!

Mojej siostrze Susan  
 Która nigdy nie dowie się  
 Jak wiele znaczyło dla mnie jej wsparcie  
 W ciągu kilku ostatnich lat

### Preludium

Czarodziej spojrział niepewnie na młodą kobietę. Stała tyłem do niego, widział kaskadę kasztanowych kędziorów, spadających na jej pełne i drżące ramiona. Czarodziej znał powód smulku, który malował się w jej oczach. Była tak młoda, wyszła zaledwie z wieku dziecięcego i tak cudownie niewinna.

Jednak to piękne dziecko wbiło miecz w serce jego ukochanej Sydney.

Harkle Harpell odpędził niechciane wspomnienia o swej nieżyjącej narzeczonej i zaczął schodzić z pagórka.

- Piękny dzień - powiedział radośnie, gdy dotarł do młodej kobiety.
- Sądysz, że wybudowali wieżę? - zapytała go Catti-brie, nie spuszczając wzroku z południowego horyzontu.

Harkle wzruszył ramionami.

- Jeśli jeszcze nie, to wkrótce - przyglądał się Catti-brie i nie mógł powiedzieć, że jest zły na nią za to, co zrobiła. Zabiła Sydney - to prawda, lecz Harkle tylko spojrzawszy na nią wiedział, że to konieczność, nie zaś zła wola prowadziła jej ręką miecz. Teraz mógł jej tylko współczuć.

- Kim jesteś? - wyjąkał Harkle, zdumiony odwagą, jaką wykazała w obliczu tych straszliwych wydarzeń, w których uczestniczyła wraz z przyjaciółmi.

Catti-brie pokiwała głową odwróciła się do maga. Z pewnością w jej ciemnoniebieskich oczach widniał smutek, lecz w głównej mierze płonęły one upartym postanowieniem, które odpędzało najłżejszy nawet cień słabości. Straciła Bruenora, krasnoluda, który ją adoptował i traktował jak

własną córkę od najwcześniej-  
9 7\*

R. A. SAWATORE

KLEJNOT HALFUNGA

szych dni jej dzieciństwa. Pozostali przyjaciele Catti-brie nawet teraz pochłonięci byli desperackim pościgiem przez południowe krainy za mordercą.

- Jak szybko zmieniają się rzeczy- szepnął pod nosem Har-kle, wyraźnie czując sympatię do młodej kobiety. Pamiętał czas, jakieś kilka tygodni wcześniej, gdy Bruenor Battleham-mer i jego mała kompania przechodzili przez Longsaddle w poszukiwaniu Mithrilowej Hali, utraconej ojczyzny krasnoluda. Było to pełne ciepła i serdeczności spotkanie, w czasie którego wymieniano opowieści i obiecywano przyszłą przyjaźń z klanem Harpellów. Nikt z nich wtedy nie wiedział, że druga grupa, prowadzona przez okrutnego mordercę i przez Sydney Harkle'a, trzymając Catti-brie jako zakładniczkę, zgromadziła się, aby ściagać kompanię. Bruenor znalazł Mithrilo-wąHale, by tam zginąć.

A Sydney, kobieta-mag, którą Harkle tak szczerze kochał, w pewnym stopniu przyczyniła się do śmierci krasnoluda.

Harkle wziął głęboki oddech dla uspokojenia.

- Bruenor powinien być pomszczony - powiedział krzywiąc się.

Catti-brie pocałowała go w policzek i zaczęła wspinać się na wzgórze, w kierunku Bluszczowej Posiadłości. Rozumiała szczerzy ból czarodzieja i naprawdę podziwiała jego decyzję o udzieleniu jej pomocy przy dotrzymaniu przysięgi powrotu do Mithrilowej Hali i odebraniu go dla Klanu Battlehammer.

Harkle nie miał innego wyboru: Sydney, którą tak kochał, była tylko fasadą lukrem pokrywającym nieczułego potwora o szalonej sile, a i on sam miał swój udział w tej tragedii, nieświadomie powiadamiając Sydney o grupie Bruenora.

Harkle przyglądał się jak Catti-brie idzie; ciężar kłopotów spowalniał jej kroki. Nie mógł żywić wobec niej jakichkolwiek urazów - Sydney sama była winna swojej śmierci, a Catti-brie nie miała innego wyjścia, jak tylko ją wyeliminować. Czarodziej popatrzył na południe. On też martwił się i zastanawiał nad losem elfa i olbrzymiego barbarzyńcy. Przywlekli się do Longsaddle zaledwie trzy dni temu - przepełniona smutkiem i wyczerpana gnipka, desperacko potrzebująca wypoczynku. Jednak nie zaznali

\* 8 \*

go, nie teraz, gdyż nikczemny morderca uciekł z ostatnim z ich grupy, halflingiem Regisem. W ciągu tych kilku tygodni wydarzyło się tak wiele, cały świat Harkle'a wywrócił się do góry nogami z powodu dziwnej mieszanki bohaterów z dalekiego, zapomnianego kraju zwanego DolinąLodowego Wichru i pięknej, młodej kobiety, której nie można było obwiniać.

I przez kłamstwo, które było jego najgłębszą miłością.

Harkle położył się na trawie i przyglądał się dryfującym po niebie kłębiastym obłokom późnego lata.

\* \* \*

Ponad chmurami, tam, gdzie gwiazdy świecą wiecznie, przechadzała się podniecona

Guenhwyvar - istota pantery. Upłynęło wiele dni, odkąd władca kota, drów imieniem Drizzt Do'Urden, nie wzywał jej na plan materialny. Guenhwyvar była czuła na onyksową figurkę, służącą jako łącznik z jej panem i tym innym światem; pantera czuła mrowienie dochodzące z tego tak bardzo oddalonego miejsca nawet wtedy, gdy jej pan zaledwie dotknął statuetki. Guenhwyvar już od pewnego czasu nie czuła tej więzi z Drizztem, w jakiś sposób, w swej inteligencji pochodzącej z innego świata, zdawała sobie sprawę, że drów nie posiada już figurki - i była tym teraz zdenerwowana. Guenhwyvar doskonale pamiętała czas przed Drizztem, gdy inny, zły drów był jej panem. Choć w swej istocie była zwierzęciem, Guenhwyvar posiadała swą godność, jakość, którą skradł jej pierwotny pan.

Guenhwyvar pamiętała czasy, gdy była zmuszana do okrutnych, tchórzliwych czynów dla przyjemności swego pana. Lecz to się diametralnie zmieniło od momentu, kiedy Drizzt Do'Urden wszedł w posiadanie figurki. Był on istotą współczującą i prawą między nim a Guenhwyvar narodziło się prawdziwe uczucie miłości.

Kot wskoczył na oświetlone przez gwiazdy drzewo i wydał niski pomruk, który widzowie tego astralnego spektaklu mogliby wziąć za westchnienie rezygnacji.

Westchnąłby zapewne znacznie głębiej, gdyby wiedział, że figurkę posiada teraz Artemis Entreri, morderca.

» 9 \*

## Cześć 1

W połowie drogi do wszędzie

Wieża zmierzchu

- Straciliśmy dzień, a może i więcej - mruknął jadący na koniu barbarzyńca, oglądając się przez ramię. Dolny brzeg tarczy słonecznej zniknął już pod linią horyzontu. - Morderca oddala się od nas nawet w tej chwili!

- Dobrze zrobiliśmy, słuchając rady Harkle'a - odparł Drizzt Do'Urden, mroczny elf. - Nie wyprowadził nas na manowce.

Gdy słońce zaszło, Drizzt zsunął kaptur swego czarnego płaszcza na ramiona i roztrzaskał loki białych włosów. Wulfgar wskazał na wysokie sosny.

- To musi być ten zagajnik, o którym mówił Harkle Harpell - powiedział. - Ale nie widzę wieży ani żadnych śladów jakiegokolwiek budowli w tym zapomnianym kraju.

Drizzt, usiłując znaleźć jakiś dowód, aby przekonać swego młodego przyjaciela, z olbrzymim natężeniem patrzył przed siebie swymi lawendowymi oczyma, przystosowanymi do widzenia w zapadającym zmierzchu. Z pewnością to było właśnie to miejsce, które wskazał Harkle, gdyż niedaleko znajdowało się małe jezioro, a za nim gęste żarom lasu Neverwinter.

- Nie upadaj na duchu - pocieszył Wulfgara. - Czarodziej nazywał cierpliwość największą pomocą w znalezieniu domu Malchora. Będziemy tam za godzinę.

- Droga staje się coraz dłuższa - mruknął barbarzyńca, nieświadom tego, że czułe uszy drowa nie opuszczą ani jednego słowa. To była istota narzekań Wulfgara, Drizzt wiedział o tym, gdyż opowiadania chłopów w Longsaddle - o ciemnym, owiniętym w płaszcz mężczyźnie i halflingu, jadących na koniu - umiejscawiały mordercę o dziesięć dni drogi przed nimi, a jechali szybko.

\* 13 \*

R. A. SALVATORE

Drizzt raz już spotkał Entreriego i znał ogrom wyzwania, j, kiego się podjął. Chciał uzyskać wszelką możliwą pomoc w celu uratowania Regisa z rąk tego niebezpiecznego człowieka. We dług słów chłopów Regis nadal żył, a Drizzt był pewien, że En treri przed przybyciem do Calimportu nie zrobi mu nic złego Harkle Harpell nie wysyłałby ich tutaj bez powodu.

- Przenocujemy tam? - zapytał Wulfgar. - Według mnie, po winniśmy jechać z powrotem do traktu i na południe. Koń Entre riego niesie dwóch i może być już zmęczony. Zyskamy na czas, jeśli pojedziemy nocą.

Drizzt uśmiechnął się do przyjaciela.

- Przejeżdżali przez miasto Waterdeep - wyjaśnił. - Entrer mógł tam dostać nowe konie. - I na tym zakończył dyskusję na tę sprawą, obawiając się jednak czego innego. Tego, że morderca dotarł do morza, do siebie.

- Więc czekanie jest jeszcze większą głupotą! - przekonywał Wulfgar. W międzyczasie jego koń, wychowany przez Harpellów, podchodząc do małego jeziora zaczął parskać i wyciągał nogi nad wodę tak, jakby szukając brodu. W chwilę później rzęszta słońca zanurzyła się pod zachodnim horyzontem i dzień się zgasł. W magicznym mroku zmierzchu, na niewielkiej wysypce na jeziorze ukazała się przed nimi magiczna wieża. Jej każdy ciał migotał jak gwiazdy, a w górę, w wieczorne niebo, strzelały jej poskręcane wieżyczki. Była szmaragdowo-zielona i tajemniczo nęcąca, jak gdyby do jej stworzenia przyłożyły ręk elfy i wróżki.

Nad wodą, tuż pod kopytami konia Wulfgara, rozpościerał się. Iskrzący most z zielonego światła. Drizzt zsiadł ze swego konia.

- Wieża Zmierzchu - powiedział do Wulfgara, jakby od początku widział w tym wszystkim oczywistą logikę. Wyciągnął rękę w stronę budowli, w geście zaproszenia swego przyjaciela, zupełnie jakby chciał go tam zaprowadzić. Lecz Wulfgar całkowicie był ogłuszony ukazaniem się budowli. Ścisnął wodze swego konia jeszcze mocniej, co spowodowało, że zwierzę przysiadło na zadzie i położyło uszy po sobie.

- Sądziłem, że przezwyciężyłeś już swoje uprzedzenia wobec magii - zadrwił Drizzt.

\* 14 »

## KLEJNOT HALFUNGA

Wulfgar, jak wszyscy barbarzyńcy Doliny Lodowego Wichru, został wychowany w wierze, że czarodzieje są słabowitymi sztukmistrzami i nie należy im wierzyć. Jego lud - dumni wojownicy tundry - za miarę prawdziwego mężczyzny uważał siłę ramienia, nie zaś zręczność w sztuce magicznej. W ciągu tych wielu tygodni podróży, Drizzt przekonał się jednak, że Wulfgar przezwyciężył naleciałości owego wychowania i rozbudził w sobie tolerancję, a nawet ciekawość wobec czarnoksiężskich praktyk.

Napiąwszy potężne mięśnie, Wulfgar opanował swego wierzchowca.

- Przezwyciężyłem - wydusił przez zaciśnięte zęby, po czym zsunął się z siodła. - Martwią mnie Harpellowie.

Na twarzy Drizzta pojawił się szeroki uśmiech, gdy nagle zrozumiał wahania swego przyjaciela. On sam, będąc wychowanym wśród wielu najpotężniejszych i najbardziej przerażających czarnoksiężników w całych Krainach, goszcząc u ekscentrycznej rodziny w Longsaddle wiele

razy kręcił głową z niedowierzaniem. Harpellowie posiadali nietypowe - i często nieszczęsne - spojrzenie na świat, choć nie gościło w ich sercach zło. Władali też swą magią z własnej perspektywy - najczęściej wbrew logice rozsądnie myślących ludzi.

- Malchor nie jest podobny do swojej rodziny - zapewnił Wulfgara Drizzt. - Nie mieszka w Bluszczowej Posiadłości i j est doradcą królów północnych krain.

- Jest Harpellem - stwierdził Wulfgar z przekonaniem, z którym Drizzt nie mógł dyskutować. Pokręciwszy jeszcze raz głową i odetchnawszy głęboko, aby się uspokoić, Wulfgar chwycił wodze swego konia i ruszył przez most. Drizzt, nadal uśmiechając się, poszedł za nim.

- Harpell - mruknął znowu Wulfgar, gdy przyszedli na wyspę i okrążyli budowlę. Wieża nie miała drzwi.

- Cierpliwość - po raz kolejny przypomniał mu Drizzt.

Nie czekali jednak długo, gdyż pó kilku sekundach usłyszeli, że bolec został wyjęty i otwierane drzwi szcęknęły. W chwilę później prosto przez zielone kamienie ściany, jak jakieś przezro-

## R. A. SALVATORE

czyste widmo przeszedł kilkunastoletni chłopiec i ruszył w id kierunku.

Wulfgar chrząknął i zdjął z ramienia Aegis-fang - swój potężny młot bojowy. Drizzt chwycił barbarzyńcę za ramię, obawiając się, że jego przyjaciel, powodowany czystą frustracją, może uderzyć, zanim będą mogli określić intencje chłopca.

Gdy chłopiec podszedł do nich, zobaczyli wyraźnie, że jest tak jak i oni z krwi i z kości, nie zaś jakimś widmem z innego świata. Wulfgar rozluźnił swój chwyt. Młodzieniec skłonił się niski i skinął ręką aby szli za nim.

- Malchor? - zapytał Drizzt.

Chłopiec nie odpowiedział, lecz ponownie skinął ręką i ruszył w stronę wieży.

- Myślałem, że jesteś starszy, jeżeli to ty jesteś Malchozem - powiedział Drizzt, idąc o krok za chłopcem.

- Co z końmi? - zapytał Wulfgar.

Chłopiec ciągle milcząc szedł w stronę wieży.

Drizzt spojrział na Wulfgara i wzruszył ramionami.

- Wprowadź je więc i niech nasz milczący przyjaciel się o mi martwi - powiedział mroczny elf.

Stwierdzili, że przynajmniej jeden odcinek ściany jest iluzją maskującą drzwi, którymi weszli do dużego, okrągłego pomieszczenia, będącego najniższym piętrem wieży. Przegrody pod jedną ze ścian potwierdziły słuszność ich postanowienia, aby zabrać konie ze sobą. Przywiązali je szybko i podążyli za oddalającym się chłopcem; ten nawet nie zwolnił kroku i wszedł w następne drzwi.

- Poczekaj na nas - zawołał Drizzt; przechodząc przez odrzwia, ale nie znalazł tam przewodnika. Wszedł do niezbyt jasno oświetlonego korytarza, który delikatnie się wznosił, po czym skręcał, najwidoczniej w ślad za obwodem wieży.

- Jest tylko jedna droga, którą możemy iść - powiedział do Wulfgara, który wszedł za nim. Ruszyli więc.

Drizzt sądził, że zatoczą cały okrąg, aby dostać się na drugie piętro wieży - co najmniej dziesięć stóp - gdy nagle natknęli się na chłopca, oczekującego na nich obok ciemnego, bocznego korytarza, prowadzącego w stronę środka budowli. Chłopak nie

9 16 \*

## KLEJNOT HALFUNGA

zwrócił żadnej uwagi na to przejście i ruszył w górę wieży głównym korytarzem.

Wulfgar stracił cierpliwość dla tej tajemniczej gry, jego jedy-ną troską było to, że Entreri i Regis oddalają się z każdą sekundą. Minał więc Drizzta i chwycił chłopca za ramię, odwracając go do siebie.

- Jesteś Malchorem? - zapytał wprost.

Chłopiec zbladł słysząc burkliwy ton olbrzymia, lecz nie odpowiedział.

- Zostaw go - powiedział Drizzt. - To nie Malchor. Jestem tego pewien. Wkrótce znajdziemy pana wieży - spojrzał na przestraszonego chłopca. - Prawda?

Chłopiec szybko skinął głową i ruszył znowu naprzód.

- Wkrótce - pospieszył Drizzt, aby uciszyć pomruki Wulfgara. Roztropnie ominął barbarzyńcę, stając między nim a przewodnikiem.

- Harpell - jęknął za nim Wulfgar.

Korytarz wznosił się teraz bardziej stromo, jego zakręty były coraz węższe i obaj przyjaciele zorientowali się, że zbliżają się do szczytu wieży. W końcu chłopiec zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, otworzył je i skinął ręką żeby weszli.

Drizzt, obawiając się, że gniew barbarzyńcy mógłby zrobić niekorzystne wrażenie na magu - gospodarzu, ruszył szybko, aby znaleźć się w pokoju pierwszy.

Po drugiej stronie pokoju, rozparty na biurku, najwidoczniej czekając na nich, spoczywał wysoki i mocny mężczyzna o doskonale przyszyżonych, szpakowatych włosach. Ręce miał skrzyżowane na piersi. Drizzt zaczął witać go serdecznie, lecz Wulfgar, omal nie przewróciwszy się przez niego, podszedł wprost do biurka.

Barbarzyńca z jedną ręką opartą na biodrze, drugą trzymając Aegis-fang, przyglądał się przez chwilę mężczyźnie.

Ty jesteś czarodziejem, zwanym Melchiorem Harpellem? – zapytał nabrzmiałym wściekłością głosem – Jeśli nie, to gdzie na Dziewięć Otchłani możemy go znaleźć?

Śmiech mężczyzny zabrzmiał wprost z jego brzucha.

-Oczywiście – odparł zeskoczywszy z biurka i klepnąwszy Wulfgara silnie w ramię. Wolę gości którzy nie kryją swych

## R. A. SALVATOBÉ

uczuć za miłymi słówkami! - krzyknął. Przeszedł obok osłupiałego barbarzyńcy w stronę drzwi i chłopca.

- Rozmawiałeś z nimi? - zapytał.

Chłopiec zbladł jeszcze bardziej i potrząsnął głową. -Ani słowa? - wrzasnął Malchor.

Chłopiec zadrżał w widoczny sposób i znów potrząsnął przecząco głową.

- Nie powiedziałeś ani... - zaczął Drizzt, lecz Malchor przerwał mu wyciągając rękę.

- Jeśli stwierdzę, że powiedziałaś chociaż jedną sylabę... -zagroził. Odwrócił się znów w stronę pokoju i zrobił krok. Gdy tylko stwierdził, że chłopiec mógłby się odprężyć, odwrócił się nagle znów do niego, powodując, że ten omal nie wyskoczył ze swych butów.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? - zapytał. - Znikaj!

Drzwi zatrzasnęły się, zanim czarodziej zdążył skończyć swój rozkaz. Malchor znów się roześmiał, napięcie rozluźniło jego mięśnie, gdy wracał do biurka.

Drizzt stanął obok Wulfgara; obaj popatrzyli na siebie zaskoczeni.

- Zabierajmy się stąd - powiedział Wulfgar do Drizzta.

Drów spostrzegł, że jego przyjaciel walczy z pokusą przeskoczenia przez biurko i chwycenia za gardło aroganckiego czarodzieja. W pewnym stopniu podzielał tę chęć, lecz wiedział, że sprawy dotyczące wieży i jej mieszkańców wyjaśnią się w swoim czasie.

- Witaj, Malchorze Harpelle - powiedział, a jego lawendowe oczy utkwiły w mężczyźnie. - Twoje zachowanie mimo wszystko nie pasuje do tego opisu, jaki dał nam twój kuzyn Harkle.

- Zapewniam cię, że jestem taki, jak opisał mnie Harkle - odparł chłodno Malchor. - Witam cię, Drizzcie Do'Urdenie i ciebie, Wulfgarze, synu Beomegara. Rzadko widuję tak znamienitych gości w mej skromnej wieży. - Przy tych słowach skłonił się nisko, aby uzupełnić swe łaskawe i dyplomatyczne, choć może nie najwłaściwsze, powitanie.

- Chłopiec nie zrobił nic złego - warknął do niego Wulfgar.

### KLEJNOT HALFUNGA

- Nie, postąpił w sposób godny podziwu - przyznał Malchor. Czarodziej przyjrzał się olbrzymiemu barbarzyńcy: mięśnie Wulfgara ciągle jeszcze przeżyły się z wściekłości. - Zapewniam cię, że chłopiec jest dobrze traktowany.

- Według mnie nie jest - odparł Wulfgar.

- Chce zostać czarodziejem - wyjaśnił Malchor nie zrażony zaczepką barbarzyńcy. - Jego ojciec jest potężnym posiadaczem ziemskim i poprosił mnie, abym pokierował chłopcem. Ten dzieciak posiada niezły potencjał, bystry umysł i miłość do sztuki, lecz zrozum, Wulfgarze, że czarnoksiężstwo nie różni się tak bardzo od twego zajęcia.

Uśmiech Wulfgara wskazał, że jego opinia na ten temat jest inna.

- Dyscyplina - kontynuował niezrażony Malchor - gdyż cokolwiek robimy w swym życiu, dyscyplina i kontrola nad własnymi działaniami jest ostateczną miarą poziomu naszego sukcesu. Chłopiec ma wysokie aspiracje i ślady mocy, której jeszcze nie może zrozumieć. Lecz jeśli nie może utrzymać w milczeniu swych myśli przez jeden miesiąc, to nie będę tracił na niego całych lat. Twój towarzysz to rozumie.

Wulfgar spojrział na Drizzta, stojącego obok niego w rozluźnionej pozycji.

- Rozumiem - powiedział Drizzt do Wulfgara. - Malchor postawił młodzieńca przed próbą, testem jego zdolności do słuchania rozkazów i poznania głębi swych pragnień.

- Wybaczysz mi? - zapytał czarodziej.

- To nieważne - mruknął Wulfgar. - Nie przybyliśmy tu po to, by toczyć boje o chłopca.

- Oczywiście - powiedział Malchor. - Wasz interes nagli; Harkle mi mówił. Wracajcie na dół i obmyjcie się. Chłopiec go«-tuje obiad. Przyjdzie po was, gdy nadejdzie czas posiłku.

- On ma jakieś imię? - powiedział Wulfgar z widocznym sarkazmem.

- Jeszcze sobie na nie nie zapracował - odpowiedział dwornie

Malchor.

\* \* \*

Choć spieszo im było, by znów wyruszyć w drogę, Wulfgar nie mógł odmówić wspaniałościom stołu Malchora Harpella.. Wraz



\* 18 \*

9 19 «

R. A. SALVATORE

uczuc za miłymi słówkami! - krzyknął. Przeszedł obok osłuPia~ lego barbarzyńcy w stronę drzwi i chłopca.

- Rozmawiałeś z nimi? - zapytał.

Chłopiec zbladł jeszcze bardziej i potrząsnął głową. -Ani słowa? - wrzasnął Malchor.

Chłopiec zadrżał w widoczny sposób i znów potrząsnął prze~ cząco głową.

- Nie powiedział ani... - zaczął Drizzt, lecz Malchor przerwał mu wyciągając rękę.

- Jeśli stwierdzę, że powiedziałaś chociaż jedną sylab?- ~ zagroził. Odwrócił się znów w stronę pokoju i zrobił krok- ^dy tylko stwierdził, że chłopiec mógłby się odprężyć, odwrócił się nagle znów do niego, powodując, że ten omal nie wyskoczył ze swych butów.

- Dlaczego jeszcze tu jesteś? - zapytał. - Znikaj!

Drzwi zatrzasnęły się, zanim czarodziej zdążył skończyć swój rozkaz. Malchor znów się roześmiał, napięcie rozluźniło jego mięśnie, gdy wracał do biurka.

Drizzt stanął obok Wulfgara; obaj popatrzyli na siebie zaskoczeni.

- Zabierajmy się stąd - powiedział Wulfgar do Drizzta.

Drów spostrzegł, że jego przyjaciel walczy z pokusąprzeskoczenia przez biurko i chwycenia za gardło aroganckiego czarodzieja. W pewnym stopniu podzielał tę chęć, lecz wiedział, że sprawy dotyczące wieży i jej mieszkańców wyjaśnią się w swoim czasie.

- Witaj, Malchorze Harpellu - powiedział, a jego lawen^o" we oczy utkwily w mężczyźnie.

- Twoje zachowanie mimo wszystko nie pasuje do tego opisu, jaki dał nam twój Jcuzyn Harkle.

- Zapewniam cię, że jestem taki, jak opisał mnie Harkle - o" parł chłodno Malchor. -

Witam cię, Drizzcie Do 'Urdenie i ciebie Wulfgarze, synu Beornegara. Rzadko widuję tak znamiefiitych gości w mej skromnej wieży. - Przy tych słowach skłonił się TM~ sko, aby uzupełnić swe łaskawe i dyplomatyczne, choć może nie najwłaściwsze, powitanie.

- Chłopiec nie zrobił nic złego - warknął do niego Wulfg31-

\* 18 \*

KLEJNOT HALFUNGA

-Nie, postąpił w sposób godny podziwu - przyznał Malchor-Czarodziej przyjrzał się olbrzymiemu barbarzyńcy: mięśnie Wulfgara ciągle jeszcze przeżyły się z wściekłości. - Zapewniam ci?> że chłopiec jest dobrze traktowany.

- Według mnie nie jest - odparł Wulfgar.

- Chce zostać czarodziejem - wyjaśnił Malchor nie zrażony zaczepką barbarzyńcy. - Jego ojciec jest potężnym posiadaczem ziemskim i poprosił mnie, abym pokierował chłopcem. Ten dzieciak posiada niezły potencjał, bystry umysł i miłość do sztuka lecz zrozum, Wulfgarze, że czarnoksiężstwo nie różni się tak bardzo od twego zajęcia.

Uśmiech Wulfgara wskazał, że jego opinia na ten tematjest inna.

- Dyscyplina - kontynuował niezrażony Malchor - gdyż cokolwiek robimy w swym życiu, dyscyplina i kontrola nad wła

snymi działaniami jest ostateczną miarą poziomu naszego sukcesu. Chłopiec ma wysokie aspiracje i ślady mocy, której jeszcze nie może zrozumieć. Lecz jeśli nie może utrzymać w milczeniu swych myśli przez jeden miesiąc, to nie będę tracił na niego całych lat. Twój towarzysz to rozumie.

Wulfgar spojrział na Drizzta, stojącego obok niego w rozluźnionej pozycji.

- Rozumiem - powiedział Drizzt do Wulfgara. - Malchor postawił młodzieńca przed próbą testem jego zdolności do słuchania rozkazów i poznania głębi swych pragnień.

- Wybaczysz mi? - zapytał czarodziej.

- To nieważne - mruknął Wulfgar. - Nie przybyliśmy tu po to, by toczyć boje o chłopca.

- Oczywiście - powiedział Malchor. - Wasz interes nagli", Harkle mi mówił. Wracajcie na dół i obmyjcie się. Chłopiec go\*-tuje obiad. Przyjdzie po was, gdy nadejdzie czas posiłku.

- On ma jakieś imię? - powiedział Wulfgar z widocznym sarkazmem.

- Jeszcze sobie na nie nie zapracował - odpowiedział dwornie

Malchor.

\* \* \*

Choć spieszo im było, by znów wyruszyć w drogę, Wulfgar nie mógł odmówić wspaniałościom stołu Malchora Harpella.. Wraz

\*19\*

## R. A. SALVATORE

z Drizztem pojedli sobie zdrowo, wiedząc, że prawdopodobnie jest to ich ostatnie tak dobre pożywienie w perspektywie wielu nadchodzących dni.

- Powinniście zostać tu na noc - powiedział do nich Malchor, gdy skończyli jeść. - Dobrze wam zrobi miękkie łóżko - argumentował przeciw niechętnemu spojrzeniu Wulfgara. -

Wyruszycie wcześniej, obiecuję.

- Zostaniemy, i dziękujemy - odparł Drizzt. - Z pewnością lepiej nam będzie w wieży niż na zewnątrz, na twardej ziemi.

- Doskonale - rzekł Malchor. - Pójdźcie zatem. Mam kilka rzeczy, które powinny wam pomóc w poszukiwaniach. - Wyprowadził ich z pokoju i dalej w dół, opadającym korytarzem, na niższe poziomy budowli. Gdy szli, Malchor opowiedział im o stworzeniu wieży i jej kształcie. W końcu skręcili w jeden z ciemnych bocznych korytarzy i przeszli za ciężkie drzwi.

Drizzt i Wulfgar zatrzymali się na dłuższą chwilę przy wejściu, aby oswoić się z cudownym widokiem, jaki rozpościerał się przed nimi - weszli do muzeum Malchora, kolekcji najwspanialszych przedmiotów magicznych i innych, które mag znajdował w ciągu wielu lat swych wędrówek. Były tu miecze i pełne, błyszczące zbroje, lśniące, mithrilowe tarcze i korona dawno zmarłego króla. Na ścianach wisiały prastare gobeliny, zaś w świetle pochodni znajdujących się w pomieszczeniu migotała szklana skrzynia z bezcennymi gemmami i klejnotami.

Malchor przeszedł przez pokój do gabinetu i gdy Wulfgar i Drizzt znów spojrzeli na niego, na czymś siedział, niedbale żonglując trzema podkowami. Gdy zaczęli się przyglądać dodał czwartą, bez wysiłku kontrolując je w czasie wznoszeń i spadków tańca.

- Zaczarowałem je i wasze konie pobiegą teraz szybciej niż jakiegokolwiek zwierzę w tym kraju - wyjaśnił. - Oczywiście tylko przez krótki czas, lecz wystarczający, aby dotrzeć do Waterdeep. Samo to powinno być warte opóźnienia spowodowanego przybyciem tutaj.

- Dwie podkowy na konia? - zapytał z powątpiewaniem Wulfgar.

- To by nie działało - odparł Malchor, tolerancyjny wobec słabości młodego barbarzyńcy. -  
Chyba że chcesz, aby twój koń  
\* 20 \*

### KLEJNOT HALFUNGA

wspiął się na dwie nogi i biegł jak człowiek! - roześmiał się, lecz twarz Wulfgara pozostała pochmurna.

- Nie bój się - powiedział Malchor odchrząknawszy chyba żart. - Mam drugi komplet - spojrzał na Drizzta. - Słyszałem, że niewielu jest tak zręcznych, jak drowy. Słyszałem też, od tych, którzy widzieli Drizzta Do'Urdena w walce i w grze, że lśni on nawet między swymi ciemnymi pobratymcami - nie przerywając żonglowania rzucił jedną podkowę Drizztowi.

Drizzt chwycił ją bez trudu i tym samym ruchem wyrzucił w powietrze. Potem poszła druga i trzecia, a Drizzt, nie odrywając oczu od Malchora, wprawił je w ruch. Czwarta podkowa nadleciała nisko, zmuszając Drizzta, aby pochylił się do ziemi, by ją pochwycił. Lecz Drizzt dał sobie i z tym radę, nie opuszczając przy tym pochwycenia lub rzucenia żadnej z pozostałych podków.

Wulfgar przyglądał się temu z zaciekawieniem i zastanawiał się nad motywami, które kierowały czarodziejem, aby wypróbować drowa.

Malchor sięgnął do szuflady i wyciągnął drugi komplet podków.

- Piąta - ostrzegł, rzucając ją Drizztowi. Drów pozostał beztroski, chwytając pewnie podkowę i włączając ją w szereg.

- Dyscyplina! - powiedział z emfazą Malchor, kierując swą uwagę do Wulfgara. - Pokaż mi, drowie! - zażądał błyskawicznie rzucając szóstą siódmą i ósmą do Drizzta.

Drizzt skrzywił się, gdy do niego doleciały, zdecydowany sprostać wyzwaniu. Jego ręce stały się zamazaną plamą. Szybko, ale harmonijnie podrzucał i chwycił wszystkie osiem podków, a gdy już złapał rytm, zrozumiał grę czarodzieja.

Malchor podszedł do Wulfgara i klepnął go znów po ramieniu.

- Dyscyplina - powiedział ponownie. - Spójrz na niego, młody wojowniku, gdyż twój ciemnoskóry przyjaciel jest naprawdę mistrzem swych ruchów, a tym samym mistrzem swego rzemiosła. Teraz jeszcze tego nie rozumiesz, ale obaj nie jesteście od siebie tak bardzo różni. Pochwycił wzrok Wulfgara. - My trzej wcale tak bardzo się nie różnimy. Różne metody, zgadzam się, lecz koniec ten sam!

» 21 \*

### R. A. SALVATORE

Zmęczony grą Drizzt wychwycił podkowały jedną po drugiej i zawiesił je na przedramieniu - wszystko przy aprobującym spojrzeniu Malchora. Widząc, że jego młody przyjaciel pograżył się w myślach, drów nie był pewien co było większym darem, zaczarowane podkowały, czy lekcja.

-Ale dość tego - powiedział nagle Malchor, ruszając z miejsca. Podszedł do sekcji ściany, na której wisiały tuziny mieczy i innej broni.

- Widzę, że twoja pochwa jest pusta - powiedział do Drizzta.

Wyciągnął z uchwytów przepięknie wykuty sejmitar. - Może to wypełni jące właściwy sposób.

Drizzt czuł moc broni, gdy brał ją od czarodzieja, czuł także z jaką troską została wykonana, jak doskonale była wyważona. W głowni sejmityra samotnie błyszczał gwiazdzisty niebieski szafir.

- Nazywa się Błysk - powiedział Malchor. - Wykuty przez elfów dawno temu.

- Błysk - powtórzył Drizzt. Nagle ostrze broni rozjarzyło niebieskawe światło. Drizzt poczuł, jak przepłynął przez nią prąd, po czym wyczuł w jakiś sposób, która z krawędzi jest najlepsza do cięcia. Machnął kilka razy, znacząc za każdym razem w powietrzu świetlny, niebieski ślad.

Jak łatwo kreślił łuki w powietrzu; jak łatwo położyłby przeciwnika! Drizzt włożył sejmityr z uszanowaniem do pustej pochwy.

- Został wykuty w magii mocy, która jest droga wszystkim elfom, mieszkającym na powierzchni ziemi - powiedział Malchor.

- Gwiazda i księżyc, i tajemnic ich duszy. Zasłużyłeś nań, Drizzcie Do'Urdenie, niechaj ci dobrze służy.

Drizzt nie mógł znaleźć odpowiednich słów odpowiedzi, lecz Wulfgar, poruszony honorem jaki uczynił Malchor jego często szalonemu przyjacielowi, odpowiedział za niego.

- Dziękujemy ci, Malchorze Harpellu - powiedział, zwalczający cynizm przepelniający jego ostatnie działania. Zaraz też skłonił się nisko.

-Nie upadaj na duchu, Wulfgarze, synu Beornegara - odparł Malchor. - Duma może być użytecznym narzędziem albo może

\* 22 \*

## KLEJNOT HALFLINGA

zamknąć twe oczy na prawdy żyjące wokół ciebie. Teraz idź i prześpij się. Obudzę cię wcześniej i wyprawię w drogę.

\* \* \*

Drizzt usiadł na łóżku i przyglądał się swemu przyjacielowi, gdy Wulfgar układał się do snu. Niepokoił się o Wulfgara, będącego tak daleko od tundry, która była niegdyś jego domem. W poszukiwaniu Mithrilowej Hali przewędrowali połowę północy, walcząc o każdą milę. Znalazłszy cel, ich próby dopiero się rozpoczęły, gdyż musieli wywalczyć sobie drogę przez prastary kompleks kopalniany krasnoludów. Wulfgar stracił tam swego mentora, a Drizzt swego najdroższego przyjaciela i naprawdę przywlekli się do Longsaddle w poszukiwaniu długiego wypoczynku.

Rzeczywistość nie pozwoliła im na przerwę. Entreri miał w swych szponach Regisa, a Drizzti Wulfgarbyli jedyną nadzieją dla swego przyjaciela halflinga. W Longsaddle zakończyli jedną podróż, lecz znaleźli tu początek drugiej, może nawet dłuższej.

Drizzt dawał sobie radę ze swymi słabościami, lecz Wulfgar wydawał się być pogrążony w ciemności, zawsze biegnąc po granicy niebezpieczeństwa. Był młodzieńcem po raz pierwszy w swym życiu rzuconym z dala od Doliny Lodowego Wichru -kraju, który kiedyś był jego jedyną ojczyzną. Teraz ochraniająca go tundra, gdzie wiały wieczne wichry, była daleko na północy. Calimport był jeszcze dalej, na południu.

Drizzt położył się na poduszce, przypominając sobie, że pójście z nimi było własną decyzją Wulfgara. Drizzt nie mógłby go powstrzymać, nawet gdyby próbował. Drów zamknął oczy. Najlepszą rzeczą, jaką teraz mógł zrobić dla siebie i dla Wulfgara, było zasnąć i być gotowym na to, co przyniesie następny ranek.

\* \*\*\*

Uczeń Malchora obudził ich - cicho - kilka godzin później i zaprowadził do pokoju jadalnego, gdzie czekał już czarodziej. Postawiono przed nimi doskonale śniadanie.

- Wasza droga prowadzi na południe - powiedział do nich Malchor. - Według słów mego krewniaka, ścigacie człowieka, który pochwyił waszego przyjaciela, tego halflinga, Regisa.  
9 23 «

#### R. A. SALVATORE

- Tak, nazywa się Entreri - odparł Drizzt. -1 będziemy mieli z nim twardy orzech do zgryzienia, według mojej oceny. Ucieka do Calimportu.

- Jeszcze trudniej - dodał Wulfgar - będzie go nam zlokalizować na drodze - wyjaśnił Malchorowi, choć Drizzt znał słowa, które mogłyby mu pomóc. - Teraz możemy mieć jedynie nadzieję, że nie zbojczy z obranej przez siebie trasy.

- Jego droga nie stanowi tajemnicy - przekonywał Drizzt. -Kieruje się do Waterdeep na wybrzeżu. Mógł wcześniej tędy przechodzić.

- Więc jest na morzu - stwierdził Malchor.

Wulfgar omal nie udławił się jedzeniem. Nawet nie rozważył tej możliwości.

- Tego się obawiam - powiedział Drizzt. - Myślę zrobić to samo.

- To niebezpieczny i kosztowny kurs - powiedział Malchor. -Piraci gromadzą się przy ostatnich kursach na południe, gdy lato zbliża się ku końcowi i jeśli nie poczyni się odpowiednich przygotowań... -pozwolił słowom zawisnąć złowieszczo.

- Lecz macie niewielki wybór - kontynuował czarodziej. -Konie nie mogą dorównać szybkością żeglującemu statkowi, a droga morska jest bardziej prosta niż lądowa. Radzę wam więc popłynąć morzem. Może będę mógł uczynić coś, aby przyspieszyć wasze przystosowanie. Mój uczeń już przybił zaczarowane podkowy do kopyt waszych wierzchowców i z ich pomocą w ciągu niewielu dni będziecie mogli dotrzeć do wielkiego portu.

- Jak długo powinniśmy żeglować? - zapytał przerażony Wulfgar, święcie przekonany, że Drizzt postąpi według rady czarodzieja.

- Twój młody przyjaciel nie rozumie zasięgu tej podróży -powiedział do Drizzta Malchor. Czarodziej położył swój widelec na stole i drugi o kilka cali od niego. - Tu jest Dolina Lodowego Wichru - wyjął Wulfgarowi wskazując na pierwszy widelec. - A ten drugi, to Wieża Zmierzchu, w której w tej chwili siedzicie. Dzieli je odległość prawie czterystu mil. Wręczył Drizztowi trzeci widelec, który ten położył przed sobą, w odległości około trzech stóp od widelca reprezentującego ich obecną pozycję.

#### KLEJNOT HALFUNGA

- To droga, którą musisz przebyć, pięć razy dłuższa od tej, którą już przebyłeś - powiedział Malchor Wulfgarowi. - Gdyż ostatni widelec to Calimport, dwa tysiące mil i kilka królestw na południe.

- Więc jesteśmy pokonani -jęknął Wulfgar, nawet nie próbując wyobrazić sobie takiej odległości.

- Nie - powiedział Malchor. - Popłyniesz bowiem pod żaglami wypełnionymi północnym wiatrem, pod uderzeniami pierwszych śnieżyc zimy. Znajdziesz kraj i ludzi bardziej przystosowanych do życia na ziemiach południowych.

- Zobaczmy - powiedział ciągle nie przekonany mroczny elf. Dla Drizzta ludzie zawsze oznaczali kłopoty.

-Ach - zgodził się Malchor, uzmysławiając sobie trudności, na jakie zawsze napotykał drów wśród mieszkańców świata na powierzchni. -Ale mam dla was jeszcze jeden podarek: mapę do

skarbu, który możecie odzyskać jeszcze tego dnia.

- Kolejna zwłoka - powiedział Wulfgar.

- To niewielka cena - odparł Malchor. - A ta krótka wycieczka powinna zaoszczędzić ci wielu dni na zamieszkałym południu, gdzie drów może poruszać się tylko nocą. Tego jestem pewien.

Drizzt był zaintrygowany tym, że Malchor tak doskonale rozumie jego dylemat i najwidoczniej traktuje to jako alternatywę. Drizzt nie byłby mile widziany nigdzie na południu. Miasta, które oferowały swobodne przejście łajdakowi Entreriemu, gdyby próbował do nich wejść, zakułyby go w łańcuchy, gdyż drówy już dawno temu zasłużyły sobie na swą reputację, jako krańcowo źli i niewypowiedzianie nikczemni. Tylko niewielu w Krainach rozpoznałoby w Drizzcie Do'Urdenie wyjątek od reguły.

- Na zachód stąd, ciemną dróżką przez Las Neverwinter do jaskini z drzew, mieszkania potwora, którego miejscowi chłopci nazywają Agalha - powiedział Malchor. - Kiedyś była elficą, jak sądzę i dobrym magiem, na swój sposób, jak mówi legenda, ale ta wstrętna rzecz żyje po śmierci i wzywa noc swego czasu.

Drizzt znał złowieszcze legendy o takich stworzeniach i znał ich nazwę.

\* 24 «

\* 25 \*

R. \. SALVATORE

gód, jak to często czynił w młodości, kierując się tam, gdzie chci i wędrując wbrew wszelkim przeciwnościom. Harkle ocenił prawnie zasady tej dwójki, Malchor wiedział o tym i jego krewniak miał rację, prosząc go o pomoc.

Czarodziej oparł się o drzwi. Niestety, dni jego przygód, kruchości sprawiedliwości wziętej na swe barki, były już zanim. Lec podniosły go na duchu wydarzenia ostatniego dnia. Jeśli drów i jego barbarzyński przyjaciel byli jakąś wskazówką, to pomógł tylko przekazać pochodnię w godne ręce.

CystAce onMaćb suifec

Morderca jak zahipnotyzowany przyglądał się obracającemu się rubinowi, który chwycił taniec płomieni w tysiące doskonałych, małych miniatur - zbyt wiele odbić; żaden klejnot nie ma tylu tak małych fasetek i do tego tak nieskazitelnych. Teraz widać było pochod, wir cienkich świec, wciągających go coraz głębiej w czerwień kamienia. Nie wyciął go żaden jubiler, precyzja przekraczała poziom osiągalny za pomocą narzędzi. To było dzieło magii, przemyślane dzieło przeznaczone, jak sobie ostrożnie przypomniał, do wciągania patrzącego w ten zstępujący wir, w spokój czerwieniejących głębi kamienia.

Tysiące małych świec.

Nic dziwnego, że tak łatwo nakłonił kapitana, żeby zawiózł ich do Calimportu. Sugestii płynących z głębin cudownych tajemnic tego klejnotu nie można było łatwo zbagatelizować. Sugestii spokoju i odpoczynku, słów wymawianych tylko przez przyjaciół... Na zazwyczaj

ponurej twarzy pojawił się uśmiech. Mógł wędrować głębiej w chłód.

Entreri otrząsnął się z wpływu kamienia i przetrął oczy, zaskoczony tym, że nawet ktoś tak zdyscyplinowany jak on, mógł być podatny na działanie klejnotu. Spojrzał w róg małej kabiny, gdzie siedział całkowicie nieszczęśliwy, skulony Regis.

- Teraz rozumiem, dlaczego ukradłeś ten klejnot - powiedział do halflinga.

Regis porzucił swe rozmyślenia zaskoczony tym, że Entreri odezwał się do niego - po raz pierwszy od chwili, gdy weszli na pokład w Waterdeep.

\* 28 \*

9 Z9 «

R. A. SALVATORE

- Wiem też, dlaczego Pasha Pook tak desperacko chce go odścisnąć - kontynuował Entreri, mówiąc bardziej do siebie, niż i Regisa.

Regis przechylił głowę, przyglądając się mordercy. Czyżby rubinowy wisiorek wywarł swój wpływ nawet na Artemisa Entreriego?

- To naprawdę piękny klejnot - zaopiniował z nikłą nadzieją nie będąc pewnym, jak ma traktować ten, niezwykle ze stron zimnego mordercy, objaw sympatii.

- To dużo więcej niż klejnot - powiedział zamyślony Entreri jego oczy patrzyły na tajemniczy wir w uludnych fasetkach.

Regis poznał chłodne oblicze mordercy, gdyż sam miał minę, gdy po raz pierwszy przyglądał się cudownemu wisiorkowi w Pooka. Był wtedy wziętym złodziejem i wcale nieźle sobie żył w Calimporcie. Lecz obietnice magicznego kamienia okazały się być bardziej pociągające od komfortu zażywanego w gildii złodziei.

- Może to wisiorek mnie skradł - zasugerował w nagłym impulsie.

Lecz nie docenił siły woli Entreriego. Morderca rzucił mu lodowate spojrzenie, z uśmiechem niechybnie wskazującym na to, że wie do czego zmierza Regis. Halfling, chwytając się wszelkiej nadziei, na jaką mógł się zdobyć, mimo wszystko naciskał dalej:

- Sądzę, że opanowała mnie siła wisiorka. To nie powinno być przestępstwem, nie miałem wyboru...

Przerwał mu ostry śmiech Entreriego.

- Jesteś złodziejem lub jesteś słaby - warknął. - W obu przypadkach nie znajdziesz litości w moim sercu. Tak czy owak za służyłeś na gniew Pooka! - chwycił w rękę wisiorek wiszący na końcu złotego łańcuszka i włożył go do sakiewki.

Potem wyciągnął coś innego - onyksową statuetkę wyrzeźbioną w postać pantery.

- Powiedz mi o tym - polecił Regisowi.

Regis zastanawiał się, dlaczego Entreri wykazuje takie zainteresowanie figurką. Widział jak morderca bawił się nią w Wąwozie Garumna w Mithrilowej Hali, drwiąc z Drizzta stojącego po dru-

KLEJNOT HALFUNGA

kiej stronie rozpadliny. Lecz do tej chwili Regis był ostatnim, który widział Guenhwyvar, magiczną panterę. Regis bezsilnie wzruszył ramionami.

- Po raz drugi nie zapytam - zagroził Entreri, a lodowata pewność nieuchronności losu, nieunikniona aura zagrożenia, którą doskonale znały wszystkie ofiary Artemisa Entreri, ponownie opanowała Regisa.

-Tojestdrowa-wyjąkałRegis. -Nazywasię Guen... -ugryzł się w język, gdy ręka Entreriego wyciągnęła nagle wysadzany klejnotami sztylet; gotowa do uderzenia.

- Wzywasz sojusznika? - zapytał złośliwie Entreri. Wrzucił statuetkę do sakiewki. - Znam imię tej bestii, halflingu. I zapewniam cię, w chwili, w której kot przybędzie, ty będziesz martwy.

- Obawiasz się kota? - odważył się zapytać Regis.

- Nie ryzykuję - odparł Entreri.

-Ale chciałbyś wezwać panterę? -naciskał Regis, ciągle szukając j akiegoś sposobu na zmianę układu sił. - Towarzysza swych samotnych dróg?

Śmiech Entreriego był drwiący.

- Towarzysza? Czyja potrzebuję towarzysza, mały głupcze? Co bym zyskał?

- Z liczebnością przychodzi siła - przekonywał Regis.

- Głupiec - powtórzył Entreri. - W tym się mylisz. Na ulicach towarzysze niosą ze sobą zależność i przeznaczenie! Spójrz na siebie, przyjacielu drowa. Jaką pomocą możesz być teraz dla Drizzta Do'Urdena? Goni na oślepi, aby ci pomóc, czując się odpowiedzialnym za ciebie, jako swego towarzysza-wypluł słowa z obrzydzeniem. - Do swego ostatecznego unicestwienia!

Regis zwiesił głowę i nie odpowiedział. Słowa Entreriego brzmiały prawdziwie. Jego przyjaciele stanęli w obliczu niebezpieczeństwa, którego nie mogli sobie nawet wyobrazić, z jego powodu, z powodu błędów jakie popełnił, zanim nawet ich spotkał.

Entreri włożył sztylet do pochwy i rzucił się do wyjścia.

- Ciesz się nocą mały złodzieju. Kap się w chłodnym, oceanicznym wietrze; posmakuj wszystkich wrażeń tej podróży jako

\* 30 \*

\* 31 «

R. A. SALVATOKE

człowiek stojący w obliczu śmierci, gdyż Calimport z całą pewnością stanie się twoim ostatecznym przeznaczeniem. I prze naceniem twych przyjaciół! - Wyśliznął się z kajuty zatrząsł jąc za sobą drzwi.

Nie zamknął ich na klucz, zauważył Regis. Nigdy nie zamyk drzwi na klucz! Lecz nie musiał tego robić, przyznał ze złości\* Regis. Terror był łańcuchem mordercy, tak skutecznym, jak żel zne kajdany. Nie było dokąd uciekać, nie było gdzie się ukry Regis ukrył twarz w dłoniach. Zaczął sobie uświadamiać kołys\_ nie się statku, rytmiczne, monotonne trzaski starych desek pokła du; jego ciało nieodparcie stawało się chronometrem. Poczul ja] wnętrzości ubijająsięjak w maselnicy. Halflingi nigdy nieprzei padały za morzem, a ponadto Regis był wyjątkowo strachliwy nawet według miar swej rasy. Entreri nie mógł wymyślić wiek\* szej męczarni dla Regisa niż podróż na południe statkiem, przea Morze Mieczy.

-Nigdy więcej -jęknął Regis, wlokąc się w kierunku niewielkiego portalu w kabinie. Otworzył bulaj i wystawił głowę na dzia\* łanie odświeżającego chłodu nocnego powietrza. i



\* \* \*

Entreri przechadzał się po pustym pokładzie, ściśle owinąwszy się płaszczem. W górze żagle nabrzmiwały wypełniając się wiatrem; pierwsze zimowe sztormy pchały statek na południe\* Niebo znaczyły miliardy gwiazd, migocąc w pustej ciemności, aż po horyzont zaznaczony tylko płaską linią morza.

Entreri ponownie wyciągnął rubinowy wisiorek i pozwolił, żeby jego magia pochwyciła światło gwiazd. Przyglądał się, jak się kręci i badał jego wirowanie, zamierzając doskonale je poznać jeszcze przed końcem podróży. Pasha Pook aż się trząsał z chęci odzyskania wisiorka. Dawał mu taką moc! Większą moc, jak to teraz stwierdził Entreri, niż można było sądzić. Przy pomocy wisiorka Pook robił z wrogów przyjaciół, a z przyjaciół - niewolników.

- Nawet ze mnie - zadumał się Entreri, oczarowany małymi i gwiazdami w czerwonej poświacie klejnotu. - Czy stałem się ofiarą? Czy może się nią stanę? Nie mógł uwierzyć, że on, Artemis Entreri zostanie kiedykolwiek pochwycony przez magiczny czar,

### KLEJNOT HALFUNGA

lecz wpływ rubinowego wisiorka był niezaprzeczalny. Roześmiał się głośno. Sternik, jedyna prócz niego osoba na pokładzie, rzucił mu zaciekawione spojrzenie, lecz nie zwrócił większej uwagi na niego.

- Nie - szepnął Entreri do wisiorka. - Nie oczarujesz mnie znowu. Znam twoje sztuczki, a nauczę się ich jeszcze lepiej! Pójdę za twymi żądaniami i znajdę drogę z powrotem! - śmiejąc się, zawiesił sobie złoty łańcuszek wisiorka na szyi i włożył rubin pod skórzaną kamizelkę.

Potem pomacał swą sakiewkę, chwycił figurkę pantery i spojrział na północ.

- Widzisz, Drizzcie Do'Urdenie? - zapytał w noc.

Znał odpowiedź. Gdzieś daleko, w Waterdeep lub w Longsaddle, lub gdzieś między nimi, lawendowe oczy drowa zwrócone były na południe.

Ich przeznaczeniem było spotkać się ponownie; obaj o tym wiedzieli. Już kiedyś walczyli w Milhrilowej Hali, lecz żaden z nich nie mógł wtedy ogłosić się zwycięzcą.

Tym razem będzie jeden zwycięzca.

Entreri nigdy przedtem nie spotkał nikogo z refleksem równym jego refleksowi, czy ostrzem równie śmiertelnie jak jego ostrze. Wrócił wspomnieniami do różnic dzielących go od Drizzta Do'Urdena, ścigających każdą jego myśl. Byli tak podobni, ich ruchy pochodziły z tego samego tańca, a jednak drów, współczujący i troszczący się o innych, posiadał podstawowe ludzkie uczucia, które Entreri dawno odrzucił. Uważał, że na takie uczucia, takie słabości nie powinno być miejsca w sercu wojownika. Ręce Entreriego zadrżały z niecierpliwości, gdy pomyślał o drowie. Parsknął ze złością, wydmuchując obłok pary w zimnym powietrzu.

- Choć, Drizzcie Do'Urdenie - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Przekonajmy się, kto jest silniejszy! W jego głosie czuć było śmiertelną determinację, z subtelnym, prawie niezauważalnym odcieniem obawy. To będzie najbardziej wiarygodne wyzwanie w życiu ich obu, test zasad, które kierowały każdym ich działaniem. Dla Entreriego nie istniały sympatie. Sprzedał swą duszę swej zrzeczności i jeśli Drizzt Do'Urden pokona go, a nawet

\* 32 \*

\* 33 «

R. A. SALVATORE

tylko będzie mu równy, całe życie mordercy okaże się tylko tym kłamstwem.

Lecz nie powinien tak myśleć.

Entreri żył, by zwyciężyć.

\* \* \*

Regis także patrzył w nocne niebo. Rześkie powietrze uskołysało jego żołądek, a gwiazdy wysłały jego myśli przez dłu mile do jego przyjaciół. Jak często siadywali razem w tej nocy w Dolinie Lodowego Wichru, aby dzielić się opowieściami o przygodach, lub po prostu, aby posiedzieć tylko w milczeniu w swym towarzystwie. Dolina Lodowego Wichru była nagim pasmem zamrożonej tundry, krainą brutalnej gody i brutalnych ludzi, lecz przyjaciele, których tam po skałach - Bruenor i Catti-brie, Drizzt i Wulfgar, ogrzewali najmniejsze zimowe noce i tepili żądła kłusującego, północnego wiatru.

Dolina Lodowego Wichru była dla Regisa krótkim przysłankiem w jego intensywnych podróżach, na którym spędził mniej niż dziesięć ze swych pięćdziesięciu lat. Lecz teraz, wracając południowego królestwa, w którym spędził większość swego życia, Regis stwierdził, że Dolina Lodowego Wichru tak naprawdę była jego domem. A przyjaciele, których tak często przyjmował jako coś oczywistego w jego życiu, byli jedyną rodziną, jaką naprawdę miał.

Otrząsnął się z tych smutnych myśli i zmusił się do rozważenia, co go czekało teraz. Drizzt na pewno wyruszył z nimi, Wulfgar i Catti-brie prawdopodobnie także. Ale Bruenor nie. Wszelka ulga, jakiej doznał, gdy Drizzt wrócił do nich bez szkody w trzewiach Mithrilowej Hali, uleciała nad wąwozem Golumna wraz ze śmiercią krasnoluda. Smok złapał ich w pułapkę podczas gdy tłumy szarych krasnoludów zbliżały się do nich tyłu. Bruenor, kosztem własnego życia, oczyścił drogę przed nimi runąwszy w dół na grzbiecie smoka z beczką płonącej oliwy strącając bestię - i siebie - w głęboki wąwóz. Regis nie mógł znieść wspomnienia tej straszliwej sceny. Mimo całej swej szorstkości i drwin Bruenor Battlehammer był najdroższym towarzyszem halflinga.

KLEJNOT HALFLINGA

Na nocnym niebie znaczyła swój płonący ślad spadająca gwiazda. Kołysanie się statku nie ustawało, a słony zapach oceanu na dobre rozgościł się w jego nosie, lecz tu - w oknie, wśród ostrego powietrza czystej nocy, Regis nie czuł nudności, a jedynie smutek, gdy przypominał sobie te szalone czasy spędzone z dzikim krasnoludem. Płomień Bruenora Battlehammera płonął naprawdę, jak pochodnia na wietrze, skacząc, tańcząc i walcząc do samego końca.

Pozostałym przyjaciołom Regisa udało się uciec. Halfling był tego pewien - tak pewien, jak Entreri. Podążaniem. Drizzt nadejdzie i wszystko naprawi. Regis wierzył w to.

Jeżeli chodzi o jego udział, misja wydawała się oczywista. W Calimporcie Entreri znajdzie sojuszników wśród ludzi Pooka. Morderca będzie tam na własnym terenie, gdzie zna każdą najmniejszą szadziorę i ma nad nimi ogromną przewagę. Regis musi go powstrzymać. Znalazszy się w wizji celu, Regis rozejrzał się po kabinie, szukając jakiegoś tropu. Raz po raz stwierdzał, że jego oczy przyciąga świeca.

- Płomień - mruknął do siebie, po jego twarzy powoli rozlał się uśmiech. Podeszedł do stołu i wyjął świecę z lichtarza. Mała kałuża ciekłego wosku błyszczała u podstawy knotu, obiecując ból. Lecz Regis nie wahał się. Zakasał rękaw i zlał rząd kropelek na całej długości przedramienia,

krzywiąc się od ich gorących ukąszeń.

Powstrzyma Entreriego.

\* \* \*

Następnego ranka Regis ukazał się na pokładzie, co dotychczas czynił niezmiernie rzadko. Poranek nadszedł jasny i czysty, zaś halfling chciał zakończyć swoje sprawy, zanim słońce znajdzie się zbyt wysoko na niebie i wywoła nieprzyjemną mieszankę gorąca i zimnego prysznicu. Stał przy relingu powtarzając sobie co ma czynić i zbierając odwagę do pokonania niewypowiedzianych gróźb Entreriego. Nagle obok niego znalazł się Entreri. Regis ścisnął reling, bojąc się, że morderca w jakiś sposób domyślił się jego planów. - Linia brzegowa - rzekł do niego Entreri.

\* 34 \*

9 35 \*

R. A. SALVATORE

Regis poszedł za wzrokiem Entreriego w kierunku horyzontu i odległej linii lądu.

- Znowu w zasięgu wzroku - kontynuował Entreri. - I to nie zbyt daleko - spojrzał na Regisa i wykrzywił się w nikczemnym grymasie uśmiechu.

Regis wzruszył ramionami.

- Zbyt daleko.

- Może - odparł morderca. - Lecz możesz tam dotrzeć, choć o twojej półwymiarowej rasie nie mówi się jako o dobrych pływakach. Rozważyłeś szanse?

- Nie pływam - powiedział Regis.

- Biedny - roześmiał się Entreri. - Ale gdybyś się zdecydował spróbować, to najpierw mi powiedz.

Regis cofnął się zmieszany.

- Pozwolę ci spróbować - zapewnił go Entreri. - Będę się cie szyl takim widowiskiem!

Na twarzy halflinga pojawił się wyraz wściekłości. Wiedział, że drwiono z niego, lecz nie mógł sobie wyobrazić celu mordercy.

- W tych wodach są dziwne ryby. - powiedział Entreri, spoglądając w wodę. - Szybkie ryby. Płyną za łodzią czekając, aż ktoś z niej wypadnie. Znowu spojrzał na Regisa, by zobaczyć efekt tych słów. - Nazywają je ostropłetwcami - kontynuował, widząc że przyciągnął całą uwagę halflinga. - Przecinają wodę zupełnie jak dziób statku. Jeśli będziesz patrzył wystarczająco długo, to z pewnością jakąś wypatrzysz.

- Po co miałbym to czynić?

- Nazywają je też rekinami - mówił dalej Entreri ignorując zadane mu pytanie. Wyciągnął sztylet i wbił jego koniec w swój palec wystarczająco silnie, aby ukazała się kropla krwi. - Zachwycająca ryba. Rzędy zębów długich i ostrych jak sztylet, a paszcza może przegryźć człowieka na pół - spojrzał Regisowi w oczy. - Halflinga może połknąć w całości.

- Nie pływam! - mruknął Regis, nie pochwalając makabrycznych, lecz niewątpliwie efektywnych metod Entreriego.

- Biedny - raz jeszcze roześmiał się morderca. - Ale powiedz mi, gdybyś zmienił zamiar. -

Gdy odchodził, jego czarny płaszcz powiewał za nim.

#### KLEJNOT HALFLINGA

- Skurwysyn - mruknął pod nosem Regis. Ruszył w stronę relingu, lecz zmienił zamiar, gdy tylko zobaczył przed sobą głęboką wodę; odwrócił się na pięcie i poszukał bezpieczniejszego miejsca na środku pokładu. Na jego twarz powróciła bladość, gdy olbrzymi ocean wydawał się zamykać nad nim i do tego jeszcze te wywołujące wymioty nieskończone kołysanie się statku...

- Wydaje mi się, że dojrzałeś do relingu, mały - rozległ się radosny głos. Regis odwrócił się i zobaczył niskiego żeglarza o pałakowatych nogach, tylko kilku zębach i zezowatych oczach. - Nie jesteś przyzwyczajony do morskich podróży, prawda?

Regis mimo nudności wzdrygnął się i przypomniał sobie o swej misji.

- To coś innego - odparł.

Żeglarz nie zauważył podtekstu. Nadal uśmiechając się zamierzał odejść.

- Ale dziękuję ci za twą troskę - powiedział z naciskiem Regis. - I za twoją odwagę w zabranii nas do Calimportu.

Żeglarz zatrzymał się zakłopotany.

- Często zabieramy kogoś na południe - powiedział, nie rozumiejąc do czego miałyby się odnosić słowo „odwaga”.

- Tak, ale biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo, choć jestem pewien, że nie jest wielkie! - dodał szybko Regis, sprawiając wrażenie, że próbuje zminimalizować tę nieznaną groźbę. - To nie ważne. Calimport powinien nas wyleczyć - mruknął pod nosem, ale na tyle głośno, aby żeglarz mógł to usłyszeć, po czy dodał jeszcze. - Jeśli dotrzemy tam żywi.

- Hm, co masz na myśli? - zapytał żeglarz, podchodząc do Regisa. Uśmiech znikł mu z twarzy.

Regis zapiszczał i chwycił się nagle za przedramię, jakby go zabolalo. Skrzywił się i wydawał się walczyć z bólem, w międzyczasie zdrapując ukradkiem suche placuszki wosku i strupki pod nimi. Z rękawa wypłynął cieniutki strumyczek krwi.

Żeglarz chwycił go za rękaw i podciągnął nad łokieć. Spojrzał z zaciekawieniem na rany. - Oparzenie?

- Nie dotykaj tego! - krzyknął Regis ostrym szeptem. - To zaraźliwe, jak sądzę.

936 \*

9 37 9

#### R. A. SALVATORE

Żeglarz cołhał rękę z przerażeniem, zauważając kilka dalszych strupów.

- Nie widziałem żadnego ognia! Jak się sparzyłeś? Regis wzruszył bezsilnie ramionami.

- Po prostu pojawiły się. Od środka. Tym razem żeglarz zbladł.

- Ale chcesz mnie dowieźć do Calimportu - stwierdził bez przekonania. - To potrwa kilka miesięcy, zanim mnie to poźre. A większość mych ran jest świeża - Regis spojrział w dół i pokazał swe opryszczone ramię. - Widzisz? - lecz gdy znów spojrział w górę, żeglarza już tam nie było, spieszył w kierunku kajuty kapitana.

- Jak żeś taki mądry, to poradź sobie z tym, Artemisie Entreri - wyszeptał Regis.

tHimA CoT>yBERRY

- To te gospodarstwa, o których mówił Malchor - powiedział Wulfgar, gdy wraz z Drizztem dotarli do kępy drzew na granicy wielkiego lasu.

Daleko na południu, na wschodnim skraju lasu stało zbitych w grupkę około tuzina chat.

Otoczone były z pozostałych trzech stron szerokimi, pofałdowanymi polami. Wulfgar chciał już ruszyć koniem naprzód, lecz Drizzt nagle go zatrzymał.

- To prości ludzie - wyjaśnił drów. - Chłopi żyjący w pajęczynie niezliczonych podejrzeń. Nie powitaliby z chęcią mrocznego elfa. Wejdźmy w nocy.

- Może znajdziemy drogę bez ich pomocy - zaproponował Wulfgar, nie chcąc tracić następnego dnia.

- Bardziej prawdopodobne będzie, że zgubimy się w lesie - odparł Drizzt, zsiadając z konia.

- Odpocznij, przyjacielu. Noc zapowiada przygodę.

- Noc jest jej czasem - zauważył Wulfgar, przypominając sobie słowa Malchora o banshee. Drizzt uśmiechnął się szeroko.

- Nie ta noc - szepnął.

Wulfgar zobaczył znajomy błysk w lawendowych oczach dro-wa i posłusznie zeskoczył z siodła.

Drizzt już przygotowywał się do walki; zawsze lekko napięte mięśnie drowa przeżyły się z podniecenia. Lecz nawet przekonany co do przydatności Wulfgara, jako towarzysza, nie mógł powstrzymać dreszczu, jaki przebiegł mu po plecach, gdy pomyślał o żywym potworze,

znajdującym się przed nimi.

W nocy.

\* 38 \*

\*39 ◆

R. A. SALVATORE

\*\*\* Spędzili dzień na spokojnej drzemce, ciesząc się śpiewem oraz tańcami ptaków i wiewiórek, przygotowanych już d zimy, i przyjemną atmosferą lasu. Po zapadnięciu zmierzch w Lesie Neverwinter zapanowała zupełnie inna atmosfera. Wśród grubych gałęzi drzew zapadł mrok zbyt uspokajający; nastąpiła nagła cisza, niespokojna cisza zagrażającego niebezpieczeństwa.

Drizzt obudził Wulfgara i natychmiast poprowadził go na południe, nie zatrzymując się nawet na krótki posiłek. Kilka minut później podprowadzili swe konie do najbliższej farmy. Na szczęście noc była bezksiężycowa i tylko bliższe przyglądanie się mogłoby ujawnić ciemne pochodzenie Drizzta. )

- Powiedz czego chcesz lub znikaj! - zażądał groźny głos ze szczytu dachu, zanim jeszcze zdążyli się zbliżyć na tyle wystarczająco, aby móc zapukać do drzwi.

Drizzt spodziewał się tego.

- Przybyliśmy wyrównać rachunki.

- Jakich to wrogów mogą mieć tacy, jak wy, w Conyberry? -) zapytał głos.

- W waszym pięknym mieście? - wymigał się Drizzt. - Nie, walczymy ze wspólnym wrogiem.

Z góry doleciał odgłos jakiegoś poruszenia a potem, na rogu domu ukazało się dwóch mężczyzn z łukami w rękach. Drizzt i Wulfgar wiedzieli, że z dachu - a prawdopodobnie także z boków domu -, wycelowanych jest w nich więcej par oczu i bez wątpienia więcej łuków. Jak na prostych chłopów ludzie ci byli najwidoczniej doskonale przygotowani do obrony.

- Ze wspólnym wrogiem? - zapytał Drizzt jeden z mężczyzn z rogu, prawdopodobnie ten sam, który wcześniej odezwał się z dachu. - Z pewnością wcześniej nie widzieliśmy nikogo podobnego do ciebie, elfie, ani do twego olbrzymiego przyjaciela!

Słyszając jakieś niespokojne poruszenie na dachu, Wulfgar zdjął z ramienia Aegis-fang.

- Nigdy nie przechodziliśmy przez wasze piękne miasteczko - .  
odparł z powagą nie zrażony tym, że nazwano go olbrzymem.

Drizzt wtrącił się szybko.

◆ 40 \*

### KLEJNOT HALFUNGA

- Nasz przyjaciel został zabity w pobliżu, na ciemnej ścieżce w lesie. Powiedziano nam, że możecie nas tam zaprowadzić.

Nagle otworzyły się drzwi domu i stara, pomarszczona kobieta wysadziła przez nie głowę.

- Hej, czego chcecie od leśnego ducha? - warknęła ze złością.

- Nie zawracajcie głowy tym, którzy pozostawiają w spokoju!

Drizzt i Wulfgar spojrzeli po sobie zakłopotani nieoczekiwanym zachowaniem się staruchy. Lecz mężczyzna w rogu był najwidoczniej tego samego zdania.

- Tak, zostawcie Agathę - powiedział.

- Odejdźcie! - dodał niewidoczny mężczyzna z dachu.

Wulfgar, bojąc się, że ludzi ci mogą znajdować się pod wpływem jakiegoś złego zaklęcia, ścisnął mocniej swój młot, lecz Drizzt poczuł coś innego w ich głosach.

- Powiedziano mi, że duch, Agatha, jest złym duchem - powiedział do nich chłodno Drizzt.

- Może się przesłyszałem? Może dobrzy ludzie pokonali go?

- Ba, zły! Co jest złe? - warknęła starucha przysuwając swą pomarszczoną twarz i skorupę swego ciała bliżej do Wulfgara. Barbarzyńca dumnie cofnął się o krok, lecz starucha zgięła się, sięgając prawie poziomu jego pępka.

- Duch broni jej domu - dodał mężczyzna z rogu. - I biada tym, którzy tam wejdą!

- Biada! - wrzasnęła starucha, przysuwając się bliżej i celując kościstym palcem w potężną pierś Wulfgara.

Wulfgar usłyszał wystarczająco wiele.

- Wracaj! - ryknął potężnie do kobiety. Uderzył Aegis-fangiem w wolną rękę; nagły przepływ krwi napiął jego ręce i ramiona. Kobieta wrzasnęła i znikła w domu, zatraskując ze strachu drzwi.

- Biedna - szepnął Drizzt, rozumiejąc w pełni co Wulfgar wprowadził w ruch. Drów rzucił się w bok i przetoczył po ziemi, gdy strzała z dachu uderzyła w ziemię w miejsce gdzie przed chwilą stał.

Wulfgar, także spodziewając się strzały, ruszył. Zamiast niej jednak zobaczył ciemną sylwetkę mężczyzny, zeskakującego nań z dachu. Jedną tylko ręką potężny barbarzyńca chwycił w powie-

\* 41 \*

## R. A. SALVATORE

trzu niedoszłego napastnika i zatrzymał go - buty nieznajomego; znalazły się o dobre trzy stopy nad ziemią. W tej samej chwili Drizzt stanął przed dwoma mężczyznami w rogu, z sejmityrami: wycelowanymi w ich gardła. Nie mieli nawet czasu naciągnąć cięciw swych łuków. Ku swemu większemu przerażeniu dopiero teraz rozpoznali, kim jest Drizzt, lecz nawet gdyby jego skóra była tak blada, jak skóra jego kuzynów zamieszkujących powierzchnię, ogień w jego oczach odebrałby im siłę. Minęło kilka długich sekund, w ciągu których jedynym ruchem było drżenie trzech chłopów.

- Niefortunne nieporozumienie - powiedział Drizzt do mężczyzn. Cofnął się i schował do pochew swe sejmity. - Puść go - rzekł do Wulfgara. - Delikatnie! - dodał szybko.

Wulfgar postawił mężczyznę na ziemi, lecz przerażony chłop i tak upadł w pył, patrząc na olbrzymiego barbarzyńcę z podziwem i strachem.

Wulfgar miał nadal ponury wyraz twarzy, oczywiście tylko po to, aby zastraszyć farmera.

Drzwi domu otworzyły się znowu i mała starucha ponownie się w nich ukazała, tym razem nieśmiało.

- Nie zabijecie biednej Agathy, prawda? - prosiła.

- Na pewno nie zostanie skrzywdzona za własnymi drzwiami - dodał mężczyzna w rogu drżącym głosem.

Drizzt spojrział na Wulfgara.

- Nie - powiedział barbarzyńca. - Odwiedzimy Agathę i załatwimy z nią swoją sprawę.

Bądźcie jednak pewni, że nie zrobimy jej krzywdy.

- Pokażcie nam drogę - zażądał Drizzt.

Dwaj mężczyźni w rogu popatrzyli po sobie i zawahali się.

- Natychmiast! - ryknął Wulfgar na mężczyznę na ziemi.

- Do gęstwiny brzoź! - odparł natychmiast mężczyzna. - Tam zaczyna się ścieżka, prowadząca na wschód! Kręta, lecz nie zarośnięta.

- Żegnaj, Conyberry - powiedział grzecznie Drizzt, kłaniając się nisko. - Chętnie pozostalibyśmy tutaj chwilę dłużej, aby rozproszyć wasze obawy, ale mamy wiele do zrobienia i długą jeszcze drogę przed sobą. - Wskoczyli na konie i odjechali.

9 42 \*

## KLEJNOT HALFUNGA

- Poczekajcie! - zawołała za nimi starucha. Ich konie aż przysiadły na zadach, gdy Drizzt i Wulfgar obejrżeli się przez ramię. - Powiedzcie nam, nieustraszeni lub głupi wojownicy, kim jesteście?

- Wulfgar, syn Beomegara - odkrzyknął barbarzyńca, usiłując zachować pokorną minę, choć jego pierś wypięła się z dumą. -I Drizzt Do'Urden!

- Słyszałem te imiona! - krzyknął jeden z chłopów nagle poznając ich.

-I powinieneś je usłyszeć ponownie! - obiecał Wulfgar. Przystanął na chwilę, a potem pospieszył, aby dołączyć do przyjaciela.

Drizzt nie był pewien, czy rozsądnym było ujawnienie, kim są i w konsekwencji ujawnienie położenia w sytuacji, gdy byli poszukiwani przez Artemisa Entreriego. Lecz gdy zobaczył szeroki i dumny uśmiech na twarzy Wulfgara, zachował swe troski dla siebie i pozwolił mu cieszyć się chwilą.

\* \* \*

Gdy światła Conyberry za nimi stały się już tylko małymi punkcikami, Wulfgar spoważniał.

- Nie wydawali się źli - powiedział do Drizzta. -Ale chronią banshee i nawet powiedzieli o

niej po imieniu! Może zostawiliśmy ciemność za sobą.

- Nie ciemność - odparł Drizzt. - Conyberry jest tym, co widzieliśmy: skromną wioską dobrych i uczciwych ludzi.

- Ale Agalha? - zaprotestował Wulfgar.

- W tych rejonach znajdują się setki takich wiosek - wyjaśnił Drizzt. - Wiele z nich nie posiada nawet nazw, a wszystkie poza-stajapoza zasięgiem zainteresowań władców tych krain. Jednak wszystkie wioski, a nawet, jak się domyślam, Lordowie Water-deep słyszeli o Conyberry i o duchu z Lasu Neverwinter.

- Agatha jest przyczyną tego rozgłosu - wywnioskował Wulfgar.

- I jakąś ochroną bez wątpienia - dodał Drizzt.

- Ponieważ bandyci unikają dróg do Conyberry, gdy duch na wiedza okolicę? - roześmiał się Wulfgar. - Jednak wydaje się to dziwnym mariażem.

\* 43 \*

R. A. SALVATORE

- Ale to nie nasza sprawa - powiedział Drizzt zatrzymuj konia. - A oto gęstwina o której mówił mężczyzna - wskazał zagajnik pokręconych brzoź. Za nim widniał Las Neverwintetf ciemny i tajemniczy.

Koń Wulfgara położył uszy po sobie.

- Jesteśmy blisko - powiedział barbarzyńca, ześlizgując się z siodła. Spętali konie i ruszyli w gęstwinię; Drizzt cicho jak kot, lecz Wulfgar - zbyt duży, jak na tak blisko siebie rosnące drzewa

- chrząścił przy każdym kroku.

- Masz zamiar to zabić? - zapytał Drizzta.

- Tylko wtedy, jeśli będziemy do tego zmuszeni - odparł drów.

- Jesteśmy tu tylko po maskę i na dodatek daliśmy słowo mieszkańcom Conyberry.

- Nie wierzę, aby Agatha oddała nam dobrowolnie swe skarby - przypomniał Wulfgar Drizztowi. Przedarł się przez ostatni rząd brzoź i stał obok drowa przed ciemnym wejściem pośród grubych dębów lasu.

- Teraz bądź cicho - szepnął Drizzt. Wyciągnął Błysk i pozwolił, aby jego delikatna, niebieska poświata prowadziła ich w ciemności.

Wydawało się, że drzewa zamykają się wokół nich; śmiertelna cisza lasu spowodowała, że mieli wrażenie, jakby zwielokrotniony odgłos ich kroków rozdzierał ich myśli. Nawet Drizzt, który spędził setki lat w głębinach jaskiń, czuł na swych ramionach ciężar tego najciemniejszego zakątka Neverwinter. Lęgło się tutaj zło, a gdyby on, czy Wulfgar mieli kiedyś wątpliwości co do zasadności legend o banshee, to teraz się ich pozbyli. Drizzt wyciągnął z sakiewki przy pasie cienką świecę, złamał ją na pół i wręczył jeden kawałek Wulfgarowi.

- Zatkaj sobie uszy - wyjaśnił szeptem, przypominając ostrzeżenie Malchora. - Usłyszeć jej jęk, to śmierć.

Ścieżką było łatwo wędrować, nawet w głębokiej ciemności, mimo że z każdym krokiem aura zła przytłaczała coraz mocniej ich ramiona. Po przejściu kilkuset kroków zobaczyli światło ogniska.

Obaj przykucnęli instynktownie, żeby zbadać otoczenie.

Przed nimi znajdowała się kopała z gałęzi, jaskinia z drzew, będąca legowiskiem banshee.



Jedynym wejściem był mały otwór

\* 44 \*

### KLEJNOT HALFUNGA

- na tyle duży, aby mógł się tam wczołgać człowiek. Myśl o wejściu na oświetloną przestrzeń w środku na czworakach nie przeraziła żadnego z nich. Wulfgar trzymał Aegis-fang przed sobą i pokazywał, że poszerzy otwór. Śmiało podszedł do kopuły. Drizzt skradał się za nim, nie będąc pewien słuszności postępowania Wulfgara. Drizzt miał uczucie, że stworzenie, które przeżyło tak długo, jest chronione przed tak oczywistą taktyką. Lecz drów nie miał w tej chwili lepszego pomysłu, więc tylko cofnął się o krok, gdy Wulfgar podniósł młot bojowy nad głowę.

Wulfgar rozstawił szeroko nogi dla utrzymania równowagi, uspokoił oddech i z całej siły uderzył Aegis-fangiem. Kopuła zadrżała pod uderzeniem; drewno rozprysło się na wszystkie strony i troski drowa szybko przybrały realne kształty. Gdy drewniana skorupa rozleciała się, młot Wulfgara wbił się w ukrytą sieć. Zanim barbarzyńca zdążył powstrzymać cios, jego ręce i Aegis-fang były zupełnie oplatane. Drizzt zobaczył cień poruszający się na tle światła ogniska i, zdawszy sobie sprawę z bezbronności swego towarzysza, nie wahał się ani chwili. Zanurkował między nogami Wulfgara w legowisko, wymachując i kłując dziko swymi sejmitemi. Błysk wbił się w coś na chwilę, w coś niezbyt rzeczywistego - Drizzt wiedział, że uderzył stworzenia z tego świata. Oszołomiony nagłą intensywnością światła miał trudności ze wstaniem na nogi. Zobaczył jednak jeszcze, że banshee popędziła w cienie po drugiej stronie. Przetoczył się pod ścianę, oparł się o nią plecami i wstał, zręcznie przecinając Błyskiem więzy Wulfgara. Nagle rozległ się jęk.

Przebił się przez wątpliwą ochronę wosku ze świecy z wstrząsającą wszystkimi kośćmi intensywnością, podkopując siłę Drizzta i Wulfgara, i spuszczał na nich oszałamiającą cerń. Drizzt oparł się ciężko o ścianę, zaś Wulfgar, wyrwawszy się w końcu z więzów upartej sieci, cofając się w czarną noc przewrócił się na wznak.

Drizzt, osamotniony wewnątrz, wiedział, że znalazł się w poważnych kłopotach. Walczył z kłującym bólem głowy i usiłował skupić wzrok na świetle ogniska. Mimo podjętego wysiłku zobaczył tylko dwa tuziny ogni tańczących przed jego

«45\*

### R. A. SALVATORE

oczyma, światła, których nie mógł się pozbyć. Jak sądził, po się już wpływu ostrości swego zmysłu wzroku i chwilę zabrakło mu zorientowanie się, gdzie jest.

Magicznym stworzeniem była Agatha, a magiczne ochro konfundujące iluzje lustrzanych obrazów, chroniły jej dom.

Nagle Drizzt stanął przed więcej niż dwudziestoma poskręciami obliczami od dawna martwej elficy. Jej skóra była popękana i naciągnięta na zapadłą twarz, a oczy pozbawione były najmnego śladu życia. Lecz oczy te widziały - wyraźniej jakiegokolwiek inne w tym złudnym labiryncie. Drizzt zorientował się, że Agatha doskonale wie, gdzie on się znajduje. Zataczała mionami koła i uśmiechnęła się do swej ofiary. Drizzt rozpoznał w ruchach banshee zawiązanie zaklęcia. Tkwiąc nadal w sieci iluzji drów miał tylko jedną szansę. Wezwawszy wrodzone zdolności swej ciemnej rasy - desperacko wierząc, że prawidłowo domyślił się, który ogień jest prawdziwy - otoczył ogień kulą ciemności. Wnętrze jaskini z drzew stało się smoliste czarne, a Drizzt upadł na brzuch. Niebieska błyskawica przecięła ciemność, udzając w ścianę tuż nad leżącym drowem. Powietrze wokół nie zaskwierczało, końce jego siwych włosów zatańczyły.

Wystrzeliwszy w ciemny las okrutny piorun sprawił, że Wul, fgar otrząsnął się.

- Drizzt -jęknął z trudem wstając. Jego przyjaciel prawd-podobnie już nie żył, a za wejściem była czerń zbyt głęboka dla ludzkich oczu. Zupełnie bez strachu, nie zwracając uwagi na własne bezpieczeństwo, co rusz potykając się, Wulfgar ruszył w stronę jaskini z drzew. Nagle ciemność znikła, pozostawiając go pośrodku ściany - na lewo od wejścia. Wszędzie wokół niego widoczne były lypiące oczyma obrazy Agathy, splatające właśnie nowe zakłęcie. Drizzt rozejrzał się w poszukiwaniu dogodnej drogi ucieczki, lecz stwierdził, że Agatha wcale nie patrzy na niego. Po drugiej stronie pomieszczenia, w czymś co musiało być rzeczywistym zwierciadłem, Drizzt zobaczył inny obraz: Wulfgara wpełzającego przez niższe wejście. Tym razem także nie wahał się. Zaczynał rozumieć ustawienie labiryntu iluzji i mógł się domyśleć ogólnego kierunku na banshee. Wstał na jedno kolano

\* 46 \*

### KLEJNOT HALFUNGA

zebrał garść pyłu, po czym rozrzucił go szerokim łukiem po całym pomieszczeniu. Wszystkie obrazy zareagowały w ten sam sposób, nie dając Drizztowi tropu, który z nich był jego przeciwnikiem. Lecz prawdziwa Agatha, gdziekolwiek by była, została obsypana pyłem; Drizzt złamał zakłęcie.

Wulfgar wstał i natychmiast uderzył swym młotem w ścianę po prawej stronie od wejścia, potem odwrócił zamach i rzucił Aegis-fangiem w obraz naprzeciw drzwi, prosto nad ogniskiem. Aegis-fang znów uderzył w ścianę, wybijając dziurę na ogarnięty nocąlas.

Drizzt, rzuciwszy na próżno swym sztyletem w inny obraz, pochwycił okiem migotanie w miejscu, gdzie widział odbicie Wulfgara. Gdy Aegis-fang w magiczny sposób wrócił do ręki Wulfgara, Drizzt rzucił się biegiem w tył pomieszczenia.

- Prowadź mnie! - krzyknął, mając nadzieję, że uczynił to na tyle głośno, by Wulfgar go usłyszał. Wulfgar zrozumiał. Ryknął: Tempos! - aby ostrzec drowprzed rzutem i wypuścił Aegis-fang ponownie z rak. Drizzt przetoczył się po ziemi, gdy młot świsnął mu nad plecami, uderzając w zwierciadło. Połowa obrazów w pomieszczeniu znikła, a Agatha wrzasnęła z wściekłości. Lecz Drizzt nie zwolnił. Skoczył przez roztrzaskaną ramę lustra i resztki szkła. Prosto do skarbcza Agathy.

Wrzask banshee stał się tysiącokrotnie bardziej przenikliwy, zabójcze fale dźwięku uderzyły ponownie w Drizzta i Wulfgara. Spodziewali się jednak tym razem tego uderzenia i odepchnęli łatwiej jego siłę. Drizzt podpełzł do stosu skarbów zbierając świecidełka i złoto do sakiewki. Wulfgar całkiem rozwścieczony zaczął demolować kopułę w nieopanowanym szaleństwie. Wkrótce olbrzymie przedramiona Wulfgara poznaczone były cienkimi strumyczkami krwi, a miejsce gdzie kiedyś stały ściany zasłane było drzazgami. Barbarzyńca nie czuł bólu, tylko straszliwą furję.

Gdy sakiewka była już pełna, Drizzt zamierzał odwrócić się i uciekać, ale jego wzrok przyciągnęła jeszcze jedna rzecz. Doznał prawie ulgi, że nie znalazł tego, większa część jego istoty nie chciała, aby to tu było, gdyż taka rzecz nie powinna istnieć.

Hf 47 \*

### R. A. SALVATORE

Lecz leżała tutaj, nie wyróżniająca się niczym maska o dobrotliwych rysach, z jednym sznurkiem do umocowania jej na twarzy tego, który ją nosił. Drizzt wiedział, że to musi być ta rzecz, o której mówił mu Malchor i jeśli miał jakieś myśli o zignorowaniu jej, to teraz zniknęły one

całkowicie. Regis go potrzebował, a żeby dotrzeć szybko do Regisa, Drizzt potrzebował maski. Mimo takich wniosków nie mógł powstrzymać westchnienia, gdy podno- / sił jąże stosu skarbów, czując jej mrowiącą moc. Nie namyślając się dłużej, włożył ją do sakiewki.

Agathanie zamierzała tak łatwo oddać swoich skarbówi duch, który zastąpił drogę Drizztowi, gdy ten wycofywał się przez strzaskane zwierciadło, był nazbyt rzeczywisty. Błysk lśnił złowrogo, gdy Drizzt odparowywał szalone ciosy Agathy.

Wulfgar podejrzewał, że Drizzt go potrzebuje, uspokoił się więc, wiedząc że w tych okolicznościach musi myśleć na chłodno. Rozejrzał się powoli po pomieszczeniu, gotując Aegis-fang do następnego uderzenia, lecz uzmysłowił sobie, że nie rozeznał się jak dotąd we wzorze zwodniczych zaklęć i zamieszaniu tuzinów obrazów - strach, że może uderzyć Drizzta powstrzymał go przed rzutem.

Drizzt bez wysiłku tańczył dokoła oszalałej banshee, spychając ją w kierunku skarbcza. Mógł uderzyć kilka razy, lecz dał słowo chłopom z Conyberry. Nagle znalazł się na dogodnej pozycji. Wyciągnął przed siebie Błysk i postąpił dwa kroki do przodu. Plując i przeklinając, Agatha cofnęła się, przeszła przez roztrzaskaną ramę lustra i zniknęła w ciemnościach. Drizzt rzucił się w stronę drzwi. Patrząc na prawdziwą Agathę, gdy inne obrazy znikły z pola widzenia, Wulfgar podążył za jego stęknieniem i w końcu wydostał się z kopuły. Przygotował Aegis-fang do śmiercionośnego uderzenia.

- Zostaw ją! - krzyknął do niego Drizzt, przebiegając obok i uderzając Wulfgara w plecy płazem Błysku, aby przypomnieć mu o ich obietnicy.

Wulfgar odwrócił się, żeby nań spojrzeć, lecz zręczny drów zniknął już w ciemnościach nocy.

Wulfgar odwrócił się i zobaczył Agathę, wstającą na nogi z wyszczerzonymi zębami i zaciśniętymi pięściami.

## KLEJNOT HALFLINGA

- Przepraszamy za to wtargnięcie - powiedział grzecznie, kłaniając się nisko, wystarczająco nisko, aby podążyć za przyjacielem w bezpieczne miejsce. Puścił się biegiem ciemną ścieżką chcąc dogonić niebieską poświatę Błysku.

Wtedy rozległ się trzeci wrzask banshee, ścigający ich na ścieżce. Drizzt był już poza zasięgiem sprawianego przezeń bólu, lecz jego żądło dosięgło Wulfgara i wytrąciło go z równowagi; barbarzyńca na oślep, z pełnym zadowolenia z siebie uśmiechem, potykając się ruszył przed siebie.

Drizzt odwrócił się i próbował go pochwycić, ale olbrzym przewrócił drowa i szedł dalej.

Prosto na drzewo.

Zanim Drizzt zdążył mu pomóc, Wulfgar był znowu na nogach i uciekał, zbyt pokiereszowany i otumaniony, by mógł chociażby jęknąć.

Agatha posłała za nim bezsilne wycie. \* \* \*

Gdy pierwsze zawodzenia Agathy, niesione nocnym wiatrem dotarły do Conyberry, chłopci wiedzieli, że Drizzt i Wulfgar znaleźli jej legowisko. Wszyscy, nawet dzieci, zgromadzili się przed domami i nasłuchiwali, gdy dwa następne jęki przetoczyły się w nocnym powietrzu. Teraz zaś, dobiegały bardziej kłopotliwe, nieustające krzyki banshee.

- Tyle krzyków na tych obcych - roześmiał się jeden z mężczyzn.

- Nie, mylisz się - powiedziała starucha, rozpoznając subtelną zmianę w głosie Agathy. - To są jęki po stracie. Pokonali ją! Zrobili to i odeszli!

Pozostali siedzieli w milczeniu, przysłuchując się wrzaskom Agathy i wkrótce przekonali się o

prawdziwości spostrzeżeń starej kobiety. Spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

- Jak oni się nazywali? - zapytał jeden z mężczyzn.
- Wulfgar - odparł inny. - I Drizzt Do'Urden. Słyszałem o nich wcześniej.

\* 4-8 «

\* 49 \*

<& 4 «&

(YlfASCo C^uiAŁg

Przed świtem byli znowu na głównym trakcie, wędrując na zachód, w kierunku wybrzeża i miasta Waterdeep. Po wizycie u Malchora i spotkaniu z Agathą, które nie leżały na ich szlaku, Drizzt i Wulfgar skupili znowu swe myśli na czekającej ich drodze i przypomnieli sobie o niebezpieczeństwie, na jakie narażony będzie halfling, jeśli nie zdołają go uwolnić. Ich podkute zaczarowanymi podkowami Malchora wierzchowce poruszały się ze straszną szybkością. Migający wokół nich kraj wydawał się być zamazaną plamą. Nie przerwali jazdy, gdy za nimi wstał świt, nie zrobili też przerwy na posiłek, gdy słońce wspięło się nad ich głowy.

- Odpoczniemy ile dusza zapagnie, gdy wejdziemy na pokład statku i pozeglujemy na południe - obiecał Wulfgarowi Drizzt. Barbarzyńca nie potrzebował ponagleń - najważniejsze było uratowanie Regisa.

Znów nadeszła ciemność nocy, a mimo to łoskot podków nie ustawał. Potem, gdy za ich plecami wstał następny ranek, powietrze wypełniła słona bryza i na zachodnim horyzoncie ukazały się wysokie wieże Waterdeep - Miasta Chwały. Obaj jeźdźcy zatrzymali się na szczycie wysokiego urwiska, tworzącego słymie umocnienia wschodniej granicy. Jeśli Wulfgar był oszołomiony wcześniej w tym roku, gdy pięćset mil stąd w górę wybrzeża zobaczył po raz pierwszy Luskan, to teraz po prostu oniemiał. Bowiem Waterdeep, klejnot Północy i największy port w całych Krainach, było dziesięć razy większe od Luskanu. Nawet w swych wysokich murach, rozciągał się leniwie i bez końca wzdłuż wybrzeża, jego wieże i wie-

◆ 50 «

## KLEJNOT HALFUNGA

życzki sięgały wysoko w nadmorską mgłę, do granic zasięgu wzroku towarzyszy.

- Ilu ludzi tu mieszka? - zapytał Wulfgar Drizzta.
- Sto twoich szczepów znalazłoby schronienie w tym mieście - wyjaśnił drów. Z troską zauważył malujący się na twarzy Wulfgara niepokój. Miasta i ich życie były czymś obcym w doświadczeniach młodzieńca i gdy Wulfgar zaryzykował wejście do Luskanu, zakończyło się to nieomal fatalnie. Teraz czekało ich Waterdeep, z dziesięciokrotnie większą ilością ludzi, dziesięciokrotnie większą ilością intryg - i dziesięciokrotnie większą ilością kłopotów.

Wulfgar został nieco z tyłu, Drizzt nie miał innego wyboru, jak tylko zawierzyć młodemu wojownikowi. Miał teraz swój własny problem, osobistą walkę, którą teraz rozpoczął. Z werwą wyciągnął z wiszącej u pasa sakiewki magiczną maskę.

Wulfgar rozumiał determinację kierującą pełnym wahaniem drowa i patrzył na przyjaciela ze szczerym współczuciem. Nie wiedział, czy sam zdobyłby się na coś takiego - nawet, gdyby od jego działania zależało życie Regisa.

Drizzt obracał w rękach gładką maskę, zastanawiając się nad ograniczeniami jej magii. Czuł, że nie jest to zwykła rzecz. Jej moc mrowiła jego wrażliwe palce. Czy po prostu zabierze mu jego wygląd? Czy też skradnie jego tożsamość? Słyszał o takich, spodziewanie dających korzyść magicznych przedmiotach, których po nałożeniu nie można już było zdjąć.

- Może zaakceptuję takim, jakim jesteś - powiedział z nadzieją Wulfgar.

Drizzt westchnął i uśmiechnął się, gdyż podjął już decyzję.

- Nie - odparł. - Żołnierze Waterdeep nie pozwolą wejść do miasta drowowi, ani żaden kapitan statku nie przewiezie mnie na południe. - Bez dalszej zwłoki nałożył maskę na twarz.

Przez chwilę nic się nie działo i Drizzt zaczął się zastanawiać, czy wszystkie jego troski nie były bezpodstawne, skoro maska w rzeczywistości miała okazać się oszustwem.

- Nic - zachichotał niespokojnie po kilku sekundach, w jego głosie brzmiała wyraźna ulga. - Ona nie... - Drizzt przerwał w pół zdania, gdy zauważył osłupiały wyraz twarzy Wulfgara.

\* 51 «

## R. A. SALVATORE

Wulfgar pogrzebał w swym plecaku i wyciągnął lśniącą metalową filiżankę.

- Spójrz na to - rzekł do Drizzta i wręczył mu zaimprovizowane zwierciadło.

Drizzt wziął naczynie w drżące dłonie - dłonie zadrżały jeszcze mocniej, gdy Drizzt stwierdził, że nie są już czarne - i podniósł je do twarzy. Odbicie było czyste, dla przyzwyczajonych do nocy oczu drowa nawet bardziej czyste w porannym świetle, lecz Drizzt nie mógł się mylić co do obrazu, który ujrzał. Jego rysy nie zmieniły się, lecz czarna skóra miała teraz złoty odcień skóry elfów zamieszkujących powierzchnię ziemi. Włosy, kiedyś srebrno siwe, były lśniaco żółte i błyszcząły tak, jakby pochwyciły i zatrzymały promienie słoneczne. Tylko oczy Drizzta pozostały takie, jak uprzednio: głębokie sadzawki błyszczącej lawendy. Żadna magia nie zaciemniała ich blasku i Drizzt odczuł nieznaczny ulgę z tego powodu, że przynajmniej jego wnętrze nie zostało skażone. Nie wiedział jednak, jak zareagować na rażącą go zmianę.

Zszokowany spojrzał na Wulfgara, szukając akceptacji.

Wulfgar zrobił kwaśną minę.

- Według wszelkich prawideł znanych przeze mnie, wydajesz mi się takim, jak każdy inny przystojny elfi wojownik - odparł na pytający wzrok Drizzta. - Z pewnością jakaś dziewczyną no może dwie sponarumieńcem i odwróć oczy, gdy będziesz obok przechodził.

Drizzt wbił oczy w ziemię i usiłował ukryć swój niepokój, wynikający z takiej oceny zmiany.

-Ale nie podoba mi się to - kontynuował szczerze Wulfgar. -W ogóle mi się nie podoba. - Drizzt spojrzał na niego wyraźnie zaniepokojony, prawie z bojaźnią.

- Jeszcze mniej podoba mi się wyraz twjej twarzy, niepokój twego ducha - ciągnął Wulfgar, teraz najwidoczniej trochę zakłopotany. - Jestem wojownikiem, który walczył bez strachu z olbrzymami i smokami. Lecz zbladłbym na samo wyobrażenie pokonania Drizzta Do'Urdena.

Pamiętaj kim jesteś, szlachetny pograniczniku.

Na twarzy Drizzta pojawił się uśmiech.

\*52\*

## KLEJNOT HALFUNGA

- Dziękuję ci, przyjacielu - powiedział. - Ze wszystkich wyzwania jakie podejmowałem, to jest może najtrudniejsze.

- Wolę cię bez tego - powiedział Wulfgar.
- Ja też - rozległ się za nimi inny głos. Odwrócili się i zobaczyli idącego w ich kierunku mężczyznę w średnim wieku, doskonale umięśnionego i wysokiego. Wydawał się na pierwszy rzut oka zwyczajny: odziany był w proste szaty, miał schludnie przystryżoną czarną brodę, jego włosy - także czarne - poprzetykane były pasemkami siwizny.
- Witaj, Wulfgarze i Drizzcie Do'Urdenie - powiedział gnąc się we wdzięcznym ukłonie. - Jestem Khelben, współpracownik Malchora. Ten najwspanialszy z Harpellów prosił mnie, abym oczekiwał waszego przybycia.
- Czarodziej? - zapytał Wulfgar, nie mając zamiaru wypowiedzieć tej myśli głośno. Khelben wzruszył ramionami.
- Leśniczy - odparł. - Z zamiłowaniem do malowania, choć odważę się powiedzieć, że nie jestem w tym zbyt dobry. Drizzt przyglądał się Khelbenowi, całkiem nie wierząc w jego oświadczenie: otaczała go wyróżniająca aura, posiadał dystygowane maniery i pewność siebie, charakteryzujące lorda. Według oceny Drizzta Khelben był co najmniej równy Malchorowi. A jeśli ten człowiek naprawdę lubił malować, to Drizzt nie wątpił, że jego sztuka była równie doskonała, jak wszystkich na Północy.
- Zaprowadzisz nas do Waterdeep? - zapytał Drizzt.
- Zaprowadzę was do przewodnika - odparł Khelben. - Wiem o twoich poszukiwaniach i znam twoje potrzeby. Przejazd statkiem o tak późnej porze roku nie jest rzeczą łatwą, jeśli nie wiesz gdzie się dowiadywać o szczegóły. Chodźcie więc do bramy południowej, gdzie będziemy mogli znaleźć kogoś, kto wie co trzeba. - Zabrał swego konia, który stał trochę dalej i poprowadził ich na południe. Minęli urwisko chroniące wschodnie granice miasta mające w najwyższym miejscu sto stóp wysokości. W miejscu, gdzie urwisko opadało do poziomu morza, rozciągał się mur. Khelben w tym miejscu wykręcił od miasta, choć widać było południową

9 53 «

#### R. A. SALVATORE

bramę i wskazał na trawiasty pagórek, na którego szczycie rosła samotna wierzba. Gdy weszli na pagórek, z drzewa zeskoczył mały człowieczek; jego czarne oczy niespokojnie biegały dokoła. Sądząc po stroju, nie był biedakiem, zaś niepokój, który okazywał, gdy się zbliżyli wzmógł jeszcze bardziej podejrzenia Drizzta, że Khelben jest kimś więcej niż to powiedział.

-Ach, Orłparze. Jak to dobrze, że przyszedłeś - powiedział od niechcenia Khelben. Drizzt i Wulfgar wymienili porozumiewawcze uśmiechy; pod tym względem mężczyzna nie dał im wyboru.

- Witajcie - powiedział szybko Orłpar, chcąc zakończyć sprawę tak szybko, jak to tylko było możliwe. - Przejazd jest zabezpieczony. Macie czym zapłacić?

- Kiedy? - zapytał Khelben.

- Za tydzień - odparł Orłpar. - Tancerz Wybrzeża odpływa za tydzień.

Khelben nie mógł nie zauważyć zmartwionych spojrzeń, jakie wymienili Drizzt i Wulfgar.

- To zbyt długo - powiedział do Orłpara. - Każdy żeglarz w porcie zawdzięcza ci coś. Moi przyjaciele nie mogą czekać.

- Takie przygotowania wymagają czasu! - przekonywał Orłpar podnosząc głos. Jednak potem, jakby sobie nagle przypomniał do kogo mówi, skurczył się i spuścił oczy.

- Zbyt długo - powtórzył chłodno Khelben.

Orlpar pocierał brodę, szukając jakiegoś rozwiązania.

- Deudermont - powiedział patrząc z nadzieją na Khelbena. -

Kapitan Deudermont wypływa tej nocy na Duszku Morskim.

Uczciwszego człowieka nie znajdziesz, choć nie wiem, jak daleko na południe ma zamiar żeglować. Ale cena będzie wysoka.

-Ach - uśmiechnął się Khelben. -Nie obawiaj się, mój mały przyjacielu. Dziś mam cudowny towar dla ciebie. Orlpar spojrział nań podejrzliwie.

- Mówiłeś o złocie.

- To coś lepszego niż złoto - odparł Khelben. - Moi przyjaciele jechali z Longsaddle trzy dni, a ich wierzchowce nawet się nie spociły.

- Konie? - zapytał bez ogródek Orlpar.

### KLEJNOT HALFUNGA

- Nie, nie konie - powiedział Khelben. - Ich podkowy. Magiczne podkowy niosące konia jak wiatr!

- Prowadzę interesy z żeglarzami! - zaprotestował Orlpar z takim ożywieniem, na jakie się odważył. - Jaki pożytek będę miał z końskich podków?

- Spokojnie, Orlparze - powiedział cicho Khelben, mrugając okiem. - Pamiętaj o tym, żeby nie sprawiać kłopotów twemu bratu? Z pewnością znajdziesz jakiś sposób, aby odnieść korzyści z magicznych podków, jestem o tym przekonany.

Orlpar odetchnął głęboko, żeby nie wybuchnąć gniewem -Khelben najwidoczniej zapędził go w ślepią uliczkę.

- Zabierz tych dwóch do Ramion Syreny - powiedział. - Zobaczą, co się da zrobić. Powiedziawszy to odwrócił się i podreptał w dół pagórka, w stronę południowej bramy.

- Układasz się z nim bez trudu - zauważył Drizzt.

- Posiadam nad nim niejaką przewagę - odparł Khelben. -Brat Orlpara przewodzi szlachetnemu rodowi w mieście. Czasami przynosi to Orlparowi wielkie zyski. Jednak stanowi to także przeszkodę, gdyż musi uważać na to, żeby nie sprawić kłopotów swej rodzinie. Dość jednak o tym - kontynuował Khelben. - Musicie zostawić mi konie. Jeśli o was chodzi, to idźcie teraz do południowej bramy. Tamtejsi strażnicy zaprowadzą was na ulicę Portową, a stamtąd bez trudu już znajdziecie Ramiona Syreny.

- Nie pójdziesz z nami? - zapytał Wulfgar ześlizgując się z siodła.

- Mam inne zajęcia - wyjaśnił Khelben. - Lepiej będzie, jeżeli pójdziecie sami. Będziecie bezpieczni; Orlpar nie sprzeciwi mi się w niczym, a kapitana Deudermonta znam jako uczciwego żeglarza. Obcy nie sąradkością w Waterdeep, szczególnie w dzielnicy portowej.

- Lecz obcy wędrujący w towarzystwie Khelbena „malarza” mogliby zwrócić uwagę - stwierdził Drizzt z odrobiną sarkazmu.

Khelben uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Drizzt zeskoczył z siodła.

- Konie powrócą do Longsaddle?

- Oczywiście.

## R. A. SALVATORE

- Dziękujemy ci, Khelbenie - powiedział Drizzt. - Z pewnością; bardzo nam pomogłeś. - Pomyślał przez chwilę, patrząc na swego konia. - Musisz wiedzieć, że czar Malchora rzucony na podkowy nie przetrwa. Orlparr nie będzie miał korzyści z ubitego dzisiaj interesu.

- Sprawiedliwość - roześmiał się Khelben. - Wiele razy robił nieuczciwe interesy, wierz mi. Może to doświadczenie nauczy go pokory i przekona, że jego własne sposoby są równie błędne.

- Może - powiedział Drizzt i skłoniwszy się, wraz z Wulfgarem poczęli schodzić ze wzgórza.

- Bądź ostrożny, ale bądź też spokojny - zawołał za nimi Khelben. - W porcie nie brakuje rzezimieszków, lecz policja jest wszędzie obecna. Wielu obcych spędza swą pierwszą noc w miejskich lochach!

Przyglądał się im, jak schodzili ze wzgórza. Przypominał sobie, podobnie jak Malchor, dawno minione dni, gdy to on wędrował drogami ku odległym przygodom.

- On zastraszył tego człowieka - zauważył Wulfgar, gdy Khelben nie mógł ich już usłyszeć.

- Prosty malarz?

- Bardziej prawdopodobne, że to czarodziej, więcej nawet, bo potężny czarodziej - odparł Drizzt. - Znowu musimy podziękować Malchorowi, którego wpływy ułatwiają nam tę wycieczkę. Zapamiętaj moje słowa, to nie prosty malarz może pokroić takich, jak Orlparr.

Wulfgar obejrzał się na pagórek, lecz Khelbena i koni nie było nigdzie widać. Nawet ze swą ograniczoną znajomością czarnej sztuki Wulfgar stwierdził, że tylko magia mogła usunąć stamtąd Khelbena i trzy konie w tak szybkim tempie. Uśmiechnął się i pokręcił głową, dziwiąc się po raz kolejny ekscentrycznym osobnikom, jakich pokazuje mu szeroki świat.

\* \* \*

Idąc według wskazówek udzielonych im przez strażników przy południowej bramie, Drizzt i Wulfgar znaleźli się szybko na ulicy Portowej, długiej drodze biegnącej przez całą długość Portu Waterdeep w południowej dzielnicy miasta. Ich nozdrza wypełnił zapach ryb i soli, nad głowami skarżyły się mewy. Ulicę zapełniali żeglarze i kupcy przybyli ze wszystkich zakątków Krain

## KLEJNOT HALFUNGA

- niektórzy zajęci swoimi sprawami, lecz większość stanowili ci, którzy wyszli na brzeg na ostatni odpoczynek przed długą podróżą do południowych portów.

Ulica Portowa była doskonale przystosowana do takich zabaw, na każdym rogu znajdowała się tawerna. Lecz w przeciwieństwie do dzielnicy portowej w Łuskanie, oddanej przez radnych miejskich szumowinom już dawno temu, ulica Portowa w Waterdeep nie była złym miejscem. Waterdeep było miastem prawa, a członkowie słynnej straży miejskiej Waterdeep, zawsze byli w zasięgu wzroku.

Było wielu twardych poszukiwaczy przygód, zahartowanych w bitwach wojowników, noszących swoją broń z chłodną znajomością rzeczy. Drizzt i Wulfgar czuli na sobie wiele par oczu, a gdy przechodzili prawie każda głowa odwracała się w ich stronę. Drizzt macał swoją maskę, najpierw bojąc się, że w jakiś sposób się ześlizgnęła i ukazała jego pochodzenie zdumionym widzom. Szybkie zbadanie rozwiało jego obawy, gdyż jego ręce nadal pokryte były złotą skórą elfów powierzchni.

Drizzt omal nie roześmiał się w głos, gdy zwrócił się do Wulfgara o potwierdzenie faktu, że maska nadal zmienia jego rysy, gdyż stwierdził, że to nie on jest obiektem zainteresowania gapiów. Przez ostatnie kilka lat był tak blisko młodego barbarzyńcy, że przyzwyczaił się do fizycznej postawy Wulfgara. Mający prawie siedem stóp wzrostu Wulfgar cały zbudowany z masywnych mięśni, które grubiały z każdym rokiem, pewny siebie kroczył dumnie ulicą



Portową, niosąc na ramieniu Aegis-fang. Ten młodzieniec wytrzymałby porównanie z największymi wojownikami w Krainach.

- Na razie wydaje się, że to nie ja jestem celem tych spojrzeń - powiedział Drizzt.

- Zdejm maskę, drowie - odparł Wulfgar, jego twarz zaczerwieniła się od napływu krwi. -1 zabierz te oczy ze mnie!

- Chciałbym, ale Regis - odparł Drizzt mrugnawszy okiem.

Ramiona Syreny nie różniły się niczym od wielu tawern znajdujących się w tej dzielnicy Waterdeep. Dobiegały z niej krzyki i śmiechy, dolatywał ciężki zapach taniego piwa i wina. Przed

\* 56 \*

\* 57 «

R. A. SALVATORE

drzwiami zgromadziła się grupa awanturników, popychając się i przeklinając tych, których nazywali przyjaciółmi.

Drizzt spojrział na Wulfgara zatroskany. Jedyne raz, gdy młodzieniec był w takim miejscu - w Cutlass w Łuskanie - zakończyło się rozniesieniem na strzępy tawerny i większości jej bywalców w czasie bójki. Trzymający się ideałów honoru i odwagi Wulfgar nie pasował do pozbawionego zasad świata miejskich tawern. Nagle z Ramion Syreny wyszedł Orłpar i z łatwością przedarł się przez tłum łobuzów.

- Deudermont jest przy barze - szepnął kątem ust. Przeszedł obok Wulfgara i Drizzta, wydając się nie zauważyć ich. - Wysoki, niebieska kurtka i żółta broda - dodał.

Wulfgar chciał mu coś odpowiedzieć, lecz Drizzt popchnął go do przodu, rozumiejąc, że Orłpar woli zachować ich znajomość w tajemnicy.

Tłum rozstał się, gdy Drizzt i Wulfgar przebijali się przez niego, wszystkie spojrzenia skupił na sobie Wulfgar.

- Bungo chciałby go dostać - szepnął jeden z nich, gdy dwaj towarzysze skierowali się w stronę baru.

- Warto byłoby popatrzeć - roześmiał się inny.

Ostry słuch drowa pochwyił tę rozmowę i Drizzt spojrział znowu na swego olbrzymiego przyjaciela, zauważając jak same rozmiary Wulfgara wydają się zaważać na uczestnictwie barbarzyńcy w tego typu kłopotach.

Wystrój wnętrza Ramion Syreny nie stanowił zaskoczenia. Powietrze było gęste od dymu z egzotycznych cygar i smrodu skwaśniałego piwa. Kilku pijanych żeglarzy leżało z twarzami wtulonymi w stoły lub siedziało wspartych o ściany, podczas gdy inni włóczyli się dokoła, rozlewając swe napoje - często na bardziej jeszcze pijanych gości, którzy odpowiadali odepchnięciem obrażających ich na podłogę. Wulfgar zastanawiał się, ilu z tych ludzi spóźniło się na swoje statki. Będą zataczać się tutaj, dopóki nie skończą się im pieniądze, po to, by zostać wyrzuconymi na ulicę, na nędzę nadchodzącej zimy, bez żadnego schronienia?

- Dwukrotnie widziałem trzewia miasta - szepnął Wulfgar do Drizzta. -1 w obu przypadkach przypominałem sobie przyjemność, jaką daje otwarta droga!

### KLEJNOT HALFUNGA

- Gobliny i smoki? - odparł niefrasobliwie Drizzt, prowadząc Wulfgara do pustego stołu nieopodal baru.

- To dużo lepsze niż to - zauważył Wulfgar.

Kelnerka znalazła się przy nich, zanim nawet zdążyli usiąść.

- Czego sobie życzycie? - zapytała odruchowo, dawno już straciwszy zainteresowanie klientami, których obsługiwała.

- Wody - odparł ochryple Wulfgar.

- I wina - dodał szybko Drizzt wyciągając sztukę złota, aby rozjaśnić nagłe zachmurzenie się kobiety.

- To musi być Deudermont - powiedział Wulfgar, chcąc uniknąć nadciągającej bury za sposób potraktowania dziewczyny. Wskazał na wysokiego mężczyznę opierającego się o barierkę baru.

Drizzt natychmiast wstał, sądząc, że najlepiej będzie, gdy bez zwłoki załatwi swój interes i wyniosą się z tawerny tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Pilnuj stołu - powiedział do Wulfgara.

Kapitan Deudermont nie był zwyczajnym bywalcem Ramion Syreny. Wysoki i wysmukły, był subtelnym mężczyzną, mogącym jadać z lordami i damami. Lecz jak wszyscy kapitanowie statków zawijających do portu Waterdeep, szczególnie w dniu ich odpłynięcia, Deudermont spędzał większość swego czasu na łodzi, nie spuszczać uważnych oczu ze swej cennej załogi i przeszkadzając jej skończyć w przepelnionych więzieniach Waterdeep. Drizzt precyzyjnie się obok kapitana, wytrzymując pytający wzrok barmana.

- Mamy wspólnego przyjaciela - powiedział cicho do Deudermonta.

- Z trudem zaliczyłbym Orlpara do mych przyjaciół - odparł niedbale kapitan. - Ale widzę, że nie przesadził, jeśli chodzi o wielkość i siłę twego młodego przyjaciela.

\* \* \*

Deudermont nie był jedynym, który zauważył Wulfgara. Jak każda inna tawerna w tej dzielnicy Waterdeep - i większość barów w całych Krainach - Ramiona Syreny miały swego szermierza. Trochę dalej przy barierce baru, potężny, ciężki osiłek

\* 59 \*

### R. A. SALVATORE

imieniem Bungo bacznie przyglądał się Wulfgarowi od chwili, gdy tylko młody barbarzyńca przeszedł przez drzwi. Bungowi nie podobał się jego wygląd, ale nie tylko. Bardziej jeszcze nie podobały mu się muskularne ramiona, pełen wdzięku krok Wulfgara i łatwość, z jaką niósł swój potężny młot bojowy, wskazujące na doświadczenie daleko większe, niż świadczyłyby o tym jego wiek. Koledzy Bungo zgromadzili się wokół niego w oczekiwaniu zbliżającej się bójki, krzywe uśmiechy i śmierzące piwem oddechy pobudzały ich przywódcę do działania. Normalnie pewny siebie Bungo starał się utrzymać swój strach pod kontrolą. Otrzymał wiele uderzeń w ciągu swego siedmioletniego panowania w tawernie, teraz jego postać była zgięta, miał połamany co najmniej tuzin kości i drugie tyle naderwanych mięśni. Patrząc na zdumiewającą postać

Wulfgara, Bungo naprawdę zastanawiał się czy dotrzymałby mu pola nawet wtedy, gdy był zdrowszy i młodszy. Lecz bywalcy Ramion Syreny patrzyli na niego. To był ich teren, a on był ich przywódcą. Zapewniali mu darmowy wikt i piwo - Bungo nie mógł ich opuścić.

Wulfgar widział zbliżającą się grupę, zanim nawet się ruszyli. Ta scena była zbyt znajoma dla młodego barbarzyńcy; w pełni spodziewał się, że ponownie - tak jak to było w Cutlass w Łuskanie - został wybrany ze względu na swoje rozmiary.

- Czego tu chcesz? - powiedział Bungo z rękami na biodrach i z sykiem, gdy górował nad siedzącym mężczyzną. Pozostali łotrzykowie otoczyli stół, zamykając dokładnie Wulfgara w swym kręgu.

Instynkt wypowiedział Wulfgarowi, aby wstał i powalił na miejscu pretensjonalnego osiłka. Nie bał się ośmiu przyjaciół Bungo. Uważał, że są to tchórze, którzy potrzebują przywódcy, żeby dodał im ostróg. Jeśli jeden cios powali Bungo - a Wulfgar nie wątpił, że tak będzie - pozostali zawahają się, zanim uderzą, a zwłoka ta może ich drogo kosztować. Lecz w ciągu tych ostatnich kilku miesięcy Wulfgar nauczył się także panować nad swoim gniewem, nauczył się też szerszej definicji honoru. Wzruszył ramionami, nie robiąc żadnego ruchu, który mógłby się wydać groźbą.

9 60 «

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Miejsca, aby usiąść i coś wypić - odparł chłodno. - A kim ty jesteś?

- Nazywam się Bungo - powiedział osilek, plując kropelkami śliny przy każdym słowie. Wypiął dumnie pierś, jakby jego imię miało coś oznaczać dla Wulfgara.

Wulfgar, ocierając z twarzy ślinę, którą opluł go Bungo, ponownie oparł się podszeptom instynktu walki. Wraz z Drizztem mieli ważniejszą sprawę, przypomniał sobie.

- Kto powiedział, że możesz wejść do mego baru? - warknął Bungo, sądząc - a właściwie mając nadzieję - że zepchnie Wulfgara do defensywy. Spojrzał na swych przyjaciół, którzy pochylili się bliżej nad Wulfgarem, wzmagając pozory zastraszenia.

Z pewnością Drizzt zrozumie konieczność powalenia tego durnia, stwierdził Wulfgar, zaciskając pięści.

- Jedno uderzenie - mruknął cicho, patrząc na grupę łajdaków. Grupę, która lepiej by wyglądała rozciągnięta bez przytomności po rogach na podłodze.

Wulfgar przywołał obraz Regisa, żeby odsunąć swą wrzącą wściekłość, lecz nie mógł zignorować faktu, że jego ręce zaciśnięte były na krawędzi stołu z taką siłą, że aż pobieleły kostki palców.

\* \* \*

- Umowa? - zapytał Drizzt.

- Stoi - odparł Deudermont. - Mam dla ciebie kajutę na Duszku Morskim i mile witam dodatkowe ręce i ostrza, szczególnie takich weteranów przygód. Lecz podejrzewam, że możesz nie zdążyć na wypłynięcie. Po tych słowach chwycił Drizzta za ramię i odwrócił w stronę kłopotów narastających przy stole Wulfgara.

- Tawerniany osilek i jego przyjaciele - wyjaśnił Deudermont. - Choć stawiam na twego przyjaciela.

- Dobrze ulokowane pieniądze - odparł Drizzt - lecznie mamy

czasu...

Deudermont skierował wzrok Drizzta w ciemny róg tawerny, w którym siedziało czterech mężczyzn, chłodno przyglądających się narastającemu tumultowi.

- Straż - powiedział Deudermont. - Walka będzie kosztowała twego przyjaciela noc w lochach. Nie mogę zostać w porcie.

\* 61 \*

R. A. SALVATORE

Drizzt rozejrzał się po tawernie szukając jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Wszystkie oczy wydawały się być zwrócone na Wulfgara i łotrzyków, z niecierpliwością oczekujących bójki. Drów stwierdził, że gdyby podszedł teraz do stołu, to właśnie wtedy zaczęłaby się cała zabawa.

\* \* \*

Bungo wypiął brzuch o cale od twarzy Wulfgara, aby pokazać szeroki pas naznaczony w stu miejscach.

- Za każdego, którego pokonałem - pochwalił się. - Daje mi to coś do roboty przez noc w więzieniu - wskazał na duże na cięcie na brzegu klamry. - To oznacza zabicie kogoś. Roztrza skałem jego głowę naprawdę pięknie. Kosztowało mnie to pięć nocy.

Wulfgar rozluźnił swój chwyt - przechwałki nie zrobiły na nim wrażenia, ale uświadomiły teraz konsekwencje działań, których miałby się teraz podjąć. Musiał zdążyć na statek.

- Może przyszedłem zobaczyć Bungo - powiedział krzyżując ramiona na piersi i rozpierając się na krześle.

- Walnij go! - mruknął jeden z łotrzyków. Bungo spojrzał złośliwie na Wulfgara.

- Przyszedłeś szukać zaczepki?

- Nie, nie sądzę - odparł Wulfgar. - Walka? Nie, jestem tylko chłopcem, który wyruszył, aby zobaczyć szeroki świat.

Bungo nie mógł ukryć swego zdziwienia. Spojrzał na swych przyjaciół, którzy w odpowiedzi wzruszyli tylko ramionami.

- Usiądź - zaproponował Wulfgar. Bungo się nie ruszył.

Łotrzyk stojący za Wulfgarem szturchnął go mocno w ramię i warknął.

- Po co tu przyszedłeś?

Wulfgar świadomie przytrzymał swoją rękę, żeby ta nie wystrzeliła i nie zmiażdżyła brudnych palców łotrzyka - teraz się kontrolował. Nachylił się bliżej do potężnego lidera.

- Nie po to, aby walczyć, lecz po to, by się przyjrzeć - powiedział cicho. - Może pewnego dnia uznam, że mogę dotrzymać pola takim jak Bungo i tego dnia wrócę, gdyż nie wątpię, że nadal będziesz przywódcą w tej tawernie. Lecz obawiam się, że ten dzień nastąpi za wiele lat. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

KLEJNOT HALFUNGA

- Więc po co przyszedłeś? - zapytał Bungo przepełniony pewnością siebie. Pochylił się nad Wulfgarem niebezpiecznie blisko.

- Przyszedłem, aby się nauczyć - odparł Wulfgar. - Uczyć, przyglądając się najsilniejszemu wojownikowi w Waterdeep. Zobaczyć jak postępuje Bungo i jak załatwia swoje sprawy.

Bungo wyprostował się i spojrzał na swych przerażonych towarzyszy, którzy pochylili się tak, że

omal nie poprzewracali się na stół. Bungo błysnął swym bezzębnym uśmiechem, jak to zawsze czynił, gdy miał przetrzepać komuś skórę, a łotrzykowie stężeli. Lecz nagle przywódca zaskoczył ich, przyjaźnie klepiąc Wulfgara mocno po ramieniu.

W tawernie rozległ się wyraźnie jęk zawodu, gdy Bungo przyciągnął krzesło, aby wypić z obcym.

- Zabierajcie się stąd! - ryknął do swych towarzyszy. Ich twarze wykrzywiły rozczarowanie i niezadowolenie, lecz nie odważyli się nie posłuchać. Ten za Wulfgarem szturchnął go znowu, tym razem po przyjacielu, a potem podążył za innymi do baru.

\* \* \*

- Mądre posunięcie - zauważył Deudermont.

- Dla nich obu - odparł drów opierając się o barierkę.

- Masz jeszcze jakieś sprawy w mieście? - zapytał kapitan. Drizzt pokręcił głową.

- Nie. Zabierz nas na statek - odpowiedział. - Obawiam się, że Waterdeep może sprawić tylko kłopoty.

\* \* \*

Miliony gwiazd wypełniały niebo tej bezchmurnej nocy. Sięgały w dół z aksamitnego baldachimu, aby połączyć się z odległymi światłami Waterdeep, rozświetlając północny horyzont. Wulfgar znalazł Drizzta na pokładzie, siedzącego cicho w rozkołysanym spokoju oferowanym przez morze.

- Powinienem wrócić - powiedział Wulfgar, podążając za wzrokiem przyjaciela ku odległemu teraz miastu.

- Aby wyrównać rachunki z pijanym łotrzykiem i jego łajdackimi przyjaciółmi - wywnioskował Drizzt.

Wulfgar roześmiał się, lecz przerwał nagle, gdy Drizzt odwrócił się do niego.

\* 62 \*

\* 63 \*

R. A. SALVATORE

- A jaki będzie koniec? - zapytał Drizzt. - Chcesz go zastąpić jako zabijaka w Ramionach Syreny?

- Takiego życia nie zazdroszczę - odparł Wulfgar, śmiejąc się znowu, choć tym razem z lekkim niepokojem.

- A więc zostaw tego Bungo - powiedział Drizzt, odwracając się znowu w stronę światła miasta. Uśmiech Wulfgara ponownie znikł z jego twarzy.

Minęły sekundy, może minuty, a jedynym dźwiękiem były uderzenia fal o dziób Morskiego Duszka. Pod działaniem impulsu Drizzt wyciągnął z pochwy Błysk. Piękny sejmitar wrócił do życia w ręku drowa, ostrze błyszczało w świetle gwiazd - od tego wzięło się imię Błysku.

- Ta broń doskonale do ciebie pasuje - zauważył Wulfgar.

- Doskonały towarzysz - przyznał Drizzt, badając skomplikowany wzór wyryty wzdłuż ostrza. Przypomniał sobie inny magiczny sejmitar, który kiedyś był w jego posiadaniu, ostrze, które znalazł w legowisku smoka zabitego przez niego i Wulfgara. Tamto ostrze także było

doskonałym towarzyszem. Wykonane w magii lodu, wykute zostało jako zguba stworzeń ognia, nieprzenikliwe, wraz z tym, który nim władał, dla ich płomieni. Dobrze służyło Drizztowi, uchroniło go nawet przed pewną i bolesną śmiercią od ognia demona.

Drizzt spojrział znów na Wulfgara.

- Myślałem o naszym pierwszym smoku - odpowiedział na pytające spojrzenie barbarzyńcy. - Ty i ja, sami w lodowej jaskini przeciwko Lodowej Śmierci, doskonałemu przeciwnikowi.

- Mógłby nas zabić - dodał Wulfgar. - Gdyby nie ten olbrzymi sople lodu, który na szczęście wisiał nad grzbietem smoka.

- Na szczęście? - odparł Drizzt. - Może. Lecz częściej, odważę się to powiedzieć, szczęście jest po prostu przewagą, jaką zyskuje prawdziwy wojownik, postępując rozsądnie i z głową.

Wulfgar przyjął ten komplement z dumą, to on stracił sople, zabijając smoka.

- Szkoda, że nie mam sejmity, który zabrałem z legowiska Lodowej Śmierci, który mógłby być towarzyszem Błysku - zauważył Drizzt.

### KLEJNOT HALFUNGA

\_ To prawda - odparł Wulfgar, uśmiechając się na wspomnienie swych wczesnych przygód u boku drowa. - Lecz, niestety, przepadł w Wąwozie Garumna wraz z Bruenorem.

Drizzt zamrugał oczyma, jakby zimna woda chlusnęła mu w twarz. Przed oczami stanął mu nagle obraz, a to co zawierał w sobie było zarówno pełne nadziei, jak i przerażające. Obraz Bruenora Battlehammera dryfującego powoli w dół, w głębiny wąwozu na grzbiecie płonącego smoka.

Płonący smok!

Po raz pierwszy Wulfgar zauważył drżenie w głosie swego zazwyczaj opanowanego przyjaciela, gdy Drizzt wychrypiał:

- Bruenor miał moje ostrze?

\* 64 «

9 65 \*

### 35» 5 «£ PopfoŁg

Pokój był pusty, płonął w nim tylko niewielki ogień. Wiedzi że w sąsiednim pokoju, za uchylonymi drzwiami są szare krasnoludy - duergarowie, lecz musiał zaryzykować. Ta sekcja kompletu była zbyt pełna szumowin, aby mógł iść dalej tunelami bez zamaskowania się.

Prześliznął się z głównego korytarza i przeszedł obok bocznych drzwi, aby dotrzeć do paleniska.

Przyklęknął przed nim i położył obok siebie swój doskonały mithrilowy topór. Żarzące się węgle spowodowały, że wzdrygnął się, choć nie poczuł bólu,; gdy włożył palec w popiół. Kilka sekund później usłyszał, że boczne drzwi otworzyły się, roztańczył więc ostatnią garść popiołu na twarzy, mając nadzieję, że wystarczająco pokrył swą słynną rudą brodę i bladą skórę swego długiego nosa, aż po jego czubek.

- Co robisz? - dobiegło krakanie z tyłu.

Pokryty popiołem krasnolud dmuchnął w węgle. Pojawił się mały płomyk.

- Trochę za zimno - odparł. - Muszę odpocząć. - Wstał i odwrócił się, podnosząc mithrilowy topór.

Dwa szare krasnoludy przeszły przez pokój i stanęły przed nim. Ich broń spoczywała bezpiecznie w pochwach.

- Kim jesteś? - zapytał jeden z nich. - Nie jesteś z Klanu McU- i duck i nie należysz do tych tuneli!

- Jestem Tooktook z Klanu Trilk - skłamał krasnolud, używając imienia szarego, którego zabił poprzedniego ranka. - Patrolowałem i zgubiłem się! Jestem szczęśliwy, że znalazłem pokój z kominkiem!

Szare krasnoludy spojrzały po sobie, a potem podejrzliwie na obcego. Słyszeli raporty z kilku ostatnich tygodni - odkąd Shim-

◆ 66 9

### KLEJNOT HALFUNGA

mergloom, smok cienia, będący dla nich bogiem został zabity -o wymordowanych duergarach, często pozbawionych głów, znaj-dowanychw zewnętrznych tunelach. Dlaczego ten jest sam? Gdzie jest reszta patrolu? Z pewnością Klan Trilk jest na tyle mądry, aby trzymać się z daleka od tuneli Klanu McUduck. I dlaczego, zauważył jeden z nich, w brodzie tego krasnoluda jest rude pasmo?

Krasnolud zdał sobie natychmiast sprawę z ich podejrzeń i wiedział, że nie może już dłużej podtrzymywać tej zabawy w ciuciubabkę.

- Straciłem dwóch z mego klanu - powiedział. - Przez drowa - uśmiechnął się, zobaczywszy rozszerzone oczy duergarów. Sama wzmianka o drowie zawsze powodowała to, że szare krasnoludy chwiałały się na obcasach i dała przysmolonemu krasnoludowi kilka dodatkowych sekund. - Ale to było warte tego! - oznajmił podnosząc mithrilowy topór obok głowy. - Dało mi to złośliwe ostrze! Widzisz?

Gdy jeden z duergarów pochylił się, zachwycony lśniącąbro-nią, rudobrody krasnolud dał mu bliższy wgląd na nią, wbijając okrutne ostrze głęboko w twarz. Drugi duergar ledwie zdążył sięgnąć do rękojeści swego miecza, gdy został trafiony ciosem na odlew, który pograżył koniec rękojeści topora w jego oku. Zatoczył się do tyłu, lecz wiedział, w mgle bólu, że to jego koniec, na sekundę przedtem, zanim mithrilowy topór przeciął mu szyję.

Z przedpokoju wpadło dwóch następnych duergarów z wyciągniętąbronią. - Idziemy z pomocą! - wrzasnął jeden z nich, rzucając się do walki. Drugi runął do drzwi.

Szczęście znów było po stronie rudobrodego. Kopnął jakiś przedmiot, leżący na podłodze, odrzucając go w kierunku uciekającego duergara i w międzyczasie parując swą złotą tarczą pierwszy cios najnowszego przeciwnika. Uciekający duergar był tylko o kilka kroków od korytarza, gdy coś potoczyło się między jego stopami, podcinając go i sprawiając, że rozciągnął się jak długi na podłodze. Uklęknął szybko, lecz zawahał się, walcząc z wzbierającąw jego gardle żółcią gdy zobaczył o co się potknął.

1\*67 «

### R. A. SALVATORE

O głowę swego pobratymca.

Rudobrody krasnolud uchylił się przed następnym cios po czym rzucił się przez pokój, aby uderzyć tarczą w klęcząc teraz duergara i roztrzaskać nieszczęsne stworzenie o kamie ścianę. Krasnoluda wytrącił jednak z równowagi własny sk przykłęknął więc na jedno kolano, podczas gdy dopadł go j

zostały przy życiu duergar. Intruz podniósł nad głowę swą tarczę, aby zablokować cios miecza duergara i odpowiedział niskim zamachem topora, celując w jego kolana. Duergar odskoczył na czas, otrzymując cięcie tylko w jedną z nóg, ale zaniżył się do siebie i odpowiedzieć ciosem, rudobrody wsłuchując się i był gotowy.

- Twój e kości rzucę na pożarcie padlinożercom - warknął Iksnolud.

- Kim jesteś? - zapytał duergar. - Na pewno nie z naszej rasy. Na pokrytej popiołem twarzy rozlał się uśmiech. I

- Nazywam się Battlehammer - warknął, pokazując herb na swej tarczy, kufel pieniącego się piwa Klanu Battlehammer. - Bruenor Battlehammer, prawowity król Mithrilowej Hali!

Bruenor zachichotał cicho, widząc jak twarz szarego krasno\* luda zbieleła. Duergar cofnął się w stronę drzwi prowadzących do przedpokoju, wiedząc teraz, że nie zdoła przeciwstawić się tak potężnemu przeciwnikowi. W desperacji odwrócił się i rzucił się do ucieczki, usiłując zatrzasnąć za sobą drzwi. Lecz Bruenor domyślił się, co zamierza duergar i włożył swój ciężki but między drzwi a próg, zanim zdążyły się zamknąć. Potężny krasnolud uderzył ramieniem w twarde drzewo, co sprawiło, że duergar wpadł do małego pokoju, roztrącając stół i krzesło.

Bruenor wkroczył do pokoju pewnie, nie obawiając się żadnego zaskoczenia. Nie widząc drogi ucieczki, szary krasnolud rzucił się dziko na niego, z wysuniętą do przodu tarczą i mieczem wzniesionym nad głową. Bruenor bez trudu zablokował cios skierowany w dół, a potem uderzył toporem w tarczę duergara. Ona także była z mithrilu i topór nie mógł się w nią wbić, lecz uderzenie Bruenora było tak potężne, że skórzane rzemienie rozerwały się, a ramię duergara zdrętwiało i opadło bezsilnie. Duergar wrzasnął przerażony i wystawił swój krótki miecz, żeby ochronić od-

\* 68\*

## KLEJNOT HALFUNGA

słoniętą flankę. Bruenor uderzył w ramię duergara swą tarczą, celując w łokieć, czym sprawił, że jego przeciwnik stracił równowagę. W błyskawicznej kombinacji z toporem, Bruenor ciałem odsłonięte ramię duergara.

Druga głowa spadła na podłogę.

Bruenor chrząknął, uznając robotę za dobrze wykonaną i powrócił do większego pomieszczenia. Duergar, leżący obok drzwi, dopiero co odzyskał przytomność, gdy wtem Bruenor uderzył go tarczą - szary wpadł na ścianę.

- Dwudziesty drugi - mruknął do siebie, licząc szare krasnoludy, które zabił w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wyjrzał na ciemny korytarz. Nie było nikogo. Zamknął cicho drzwi i wrócił do ognia, aby poprawić swój makijaż.

W czasie szalonego spadku na dno Wąwozu Garumna, na grzbiecie płonącego smoka, Bruenor stracił przytomność. Był naprawdę zaskoczony, gdy udało mu się otworzyć oczy. Gdy tylko się rozejrzał zobaczył, że smok nie żyje, lecz ciągle nie mógł zrozumieć jak się to stało, że on, leżąc na grzbiecie płonącego smoka, nie spłonął. Wokół niego wąwóz był cichy i ciemny; nie mógł domyślić się, jak długo pozostawał bez przytomności. Wiedział jednak, że jego przyjaciele, jeśli udało się im uciec, pójdą prawdopodobnie drogą powrotną przez tylne drzwi, kierując się na bezpieczną powierzchnię.

A Drizzt żył! Obraz lawendowych oczu drowa, patrzących na niego ze ściany wąwozu, gdy smok



ześlizgiwał się obok niego, pozostał wryty w pamięci Bruenora. Nawet teraz, tygodnie później, o ile mógł się zorientować, używał obrazu niepokornego Drizzta Do'Urdena, jak litanii przeciwko beznadziei swej sytuacji. Nie mógł bowiem wspiąć się z dna wąwozu, gdzie ściany wyrastały pionowo i prostopadle w górę. Musiał wśliznąć się w samotny tunel, biegnący do podstawy wzniesienia, i wędrować przez niższe poziomy kopalni.

Przez armię szarych krasnoludów - duergarów, najbardziej zaniepokojonych, gdyż smok, którego zabił Bruenor, Shimmer-gloom, był ich wodzem.

Zaszedł daleko, a każdy krok zbliżał go do swobody i powierzchni. Lecz zbliżał go także do głównej czeredy duerga-

9 69 \*

## R. A. SALVATORE

rów. Nawet teraz słyszał szum ogni kuźni wielkiego, podzi niego miasta, rojącego się niewątpliwie od szarych szumo Bruenor wiedział, że musi przejść tamtędy, żeby dotrzeć do neli łączących się z wyższymi poziomami. Lecz nawet tu w ciemnościach kopalń, jego maskowanie nie mogło spro; bliższemu badaniu. Jak mu się powiedzie w ciemnością podziemnego miasta, z tysiącami rojących się wokół szar krasnoludów?

Bruenor otrząsnął się z tych myśli i roztarł na twarzy wi-popiołu. Teraz nie trzeba się martwić, znajdzie jakiś sposób, że przejść. Wziął topór i tarczę, po czym skierował się ku drzwio Pokręcił głową uśmiechnął się, gdyż uparty krasnolud obok dn znów odzyskał przytomność i usiłował stanąć na nogach. Br nor uderzył nim o ścianę po raz trzeci i od niechcienia, gdy ten j" osuwał się, ciał toporem w głowę, aby tym razem już nigdy ni odzyskał przytomności.

- Dwudziesty drugi -podsumował ponuro, wychodząc na k~ rytarz.

Odgłos zatraskiwanych drzwi poniósł się echem w ciem\* ności, a gdy ucichł, Bruenor usłyszał znowu szum kuźni ognisk? - podziemne miasto, jego jedyna szansa. Wziął głębszy od-; dech, żeby się uspokoić, a potem uderzył zdecydowanie toporem o tarczę i ruszył korytarzem w stronę wabiącego go dźwięku.

Nadszedł czas, aby załatwić sprawy do końca.

Korytarz wił się i skręcał, aż wreszcie zakończył się niskim łukiem, otwierającym się na jasno oświetloną jaskinię. Po raz pierwszy od prawie dwustu lat, Bruenor Battlehammer spojrzął na wielką, podziemną Mithrilową Halę, ulokowane w olbrzymiej rozpadlinie, ze ścianami pociętymi stopniami i szeregami ozdobnych drzwi. Jego potężne pomieszczenia stanowiły domostwo dla całego Klanu Battlehammer, ale wiele jeszcze pokoi pozostawało pustych. Miejsce to było dokładnie takie samo, jakim je krasnolud pamiętał z dawnych czasów i teraz, jak w odległych dniach jego młodości wiele kuźni jaśniało od ognia, a podłoga roiła się od zgarbionych postaci krasnoludz-kich rzemieślników.

## KLEJNOT HALFUNGA

Jak wiele razy młody Bruenor i jego przyjaciele patrzyli na spaniałość tego miejsca i słuchali uderzeń kowalskich młotów i ciężkie sapanie olbrzymich miechów? Zapadł we wspo->■ ■■ mnienia.

Bruenor odpędził przyjemne obrazy, gdy przypomniał sobie, że ci zgarbieni rzemieślnicy to zli duergarowie, nie zaś jego pobratymcy. Wrócił w myślach do terażniejszości i czekającego go zadania. Jakoś musiał przebyć otwartąprzestrzeń podłogi i stopnie po drugiej stronie, aby dostać się do tunelu, który zaprowadzi go w wyższe partie kompleksu. Ścisnął mocniej topór nie śmiejąc odetchnąć i zastanawiając się, czy oto nie nadszedł czas jego ostatniej chwały.

Patrol ciężko uzbrojonych duergarów podszedł do łuku i poszedł dalej, od niechcienia tylko

rzuciwszy okiem w głąb tunelu. Bruenor odetchnął głęboko i zganiał się za chwilę słabości. Nie mógł pozwolić sobie na oczekiwanie; każda chwila jaką tu spędzał niebezpiecznie podnosiła ryzyko. Szybko rozważył możliwości: był mniej więcej w połowie wysokości ściany, pięć stopni nad podłogą, most na wyższym poziomie spinał oba brzegi rozpadliny, lecz nie ulegało wątpliwości, że jest dobrze strzeżony, a samotne przejście po nim, z dala od krzątający na podłodze, mogło wydać się zbyt podejrzane. Przejście przez podłogę wydawało się być najlepszym rozwiązaniem. Tunele w połowie przeciwległej ściany, prawie dokładnie naprzeciw miejsca, w którym stał obecnie, powinny zaprowadzić go w zachodni koniec kompleksu, do pomieszczenia, do którego wkroczył najpierw po swym powrocie do Mithrilowej Hali i dalej - w otwartą kotlinę Doliny Strażnika. To była jedyna szansa - według jego oceny - jeśli oczywiście udałoby mu się przejść przez otwartą przestrzeń podłogi.

Wyjrzał spod łuku, szukając oznak powracającego patrolu. Zadowolony, że nie zauważył niczego takiego, przypomniał sobie, że jest królem, prawowitym królem kompleksu i dumnie wyszedł na półkę. Najbliższe schody w dół znajdowały się na lewo, lecz patrol skierował się w tamtą właśnie stronę i Bruenor pomyślał, że lepiej będzie trzymać się od nich z daleka. Jego pewność siebie wzrastała z każdym krokiem. Minał grupę szarych

\* 70 \*

\* 71 \*

R. A. SALVATORE

krasnoludów odpowiadając na ich zdawkowe pozdrowienia kim skinieniem głowy i nie zwalniając kroku.

Zszedł na niższy stopień, potem na jeszcze niższy i 2 miał czas zastanowić się nad swym postępowaniem, na ostatnim s niu został skapany w jasnym świetle olbrzymich palenisk ledwie piętnaście stóp nad podłogą. Skulił się instynktów lecz stwierdził, że jasność jest teraz jego sprzymierzeńcem. Duergarowie byli stworzeniami ciemności, nie przystosowanymi do światła, ani też go nie lubiącymi. Ci, którzy znajdowali się na podłodze, mieli kaptury nisko naciągnięte na twarze, aby chronić oczy - Bruenor uczynił tak samo, wzmacniając tylko swoje maskowanie. Widząc niezorganizowane runa na podłodze zaczął wierzyć, że przejście jej powinno być łatwe.

Ruszył najpierw wolno, by powoli zwiększać szybkość, zostając pochylonym, z kapturem ściśle przylegającym do policzków, w swym poobijanym, jednorogim hełmie nisko naciągniętym na brwi. Usiłując wydawać się niefrasobliwym, trzymał swe lewe ramię przy boku, lecz jego druga ręka spoczywała na rękojeści zatkniętego za pasem topora. Gdyby doszło do wymiany ciosów, Bruenor postanowił, że będzie gotów. Minał trzy centralne kuźnie i grono zajętych w nich duergarów bez żadnego problemu, potem poczekał cierpliwie, aż prze

jedzie karawana taczek z rudą. Usiłując zachować bez trosk\* kordialną atmosferę skinął głową przechodzącej grupie, lecz żółć podeszła mu do gardła, gdy zobaczył ładunek mithrilu w taczkach - sama myśl, że szare szumowiny wybierają szła-; chętne metale ze ścian jego świętej ojczyzny podnosiła mu poziom adrenaliny.

- Zapłacicie za to wszystko - mruzczał pod nosem. Otarł rękawem brwi. Zapomniał, jak gorące staje się dno podziemnego miasta, gdy płoną ognie w kuźniach. I podobnie jak u wszystkich tutaj, strumyczki potu poczęły ściekać mu po twarzy.

\* 72\*

Bruenor początkowo nie czuł niepokoju, lecz ostatni z przechodzących górników nagle spojrzał na niego przeciągle. Bruenor pochylił się jeszcze niżej i szybko poszedł dalej, uzmysłowiwszy sobie jaki wpływ może mieć pocenie się na jego bardzo

### KLEJNOT HALFUNGA

dyskusyjne maskowanie. Gdy dotarł do pierwszego podestu po jdrugiej stronie rozpadliny, cała jego twarz była naznaczona jasnymi bruzdami, a część bokobrodów ukazała swój prawdziwy kolor.

Nadal jednak, pomyślał, może mi się to udać. Lecz w połowie schodów zdarzyło się nieszczęście. Zajęty bardziej ukrywaniem swej twarzy, niż patrzeniem pod nogi Bruenor potknął się i wpadł na żołnierza stojącego o dwa stopnie wyżej. Odruchowo spojrzał w górę, a jego oczy napotkały oczy duergara. Oślepiały wzrok szarego krasnoluda powiedział Bruenorowi bez najmniejszych wątpliwości, że gra się skończyła. Szary sięgnął po miecz, lecz Bruenor nie miał czasu na walkę. Wsadził głowę między kolana duergara, zdzierając jtdennakolannik pozostałym rogiem swego hełmu i podniósł duergara nad siebie, po czym z całej siły zrzucił go ze schodów.

Bruenor rozejrzał się. Kilku zauważyło to, ale bójki w szeregach duergarów-były tutaj na porządku dziennym. Spokojnie ruszył znów w górę po schodach, lecz żołnierz nie stracił przytomności po upadku i był na tyle pozbierany w sobie, że wyciągnął palec w stronę podestu i krzyknął:

- Zatrzymajcie go!

Bruenor stracił wszelką nadzieję zachowania swej tożsamości. Wyciągnął mithrilowy topór i rzucił się podestem w stronę następnych schodów. W rozpadlinie rozległy się alarmowe krzyki. Wokół Bruenora zacieśniło się, porozsypywano ładunek taczek, rozległ się szcęk wyciąganej broni i tupot obutych stóp. W chwili, gdy już miał wbiec na następne schody, dwóch strażników zeskoczyło z góry.

- O co chodzi? - krzyknął jeden z nich, całkiem zdezorientowany, nie wiedząc, że przyczyną całego poruszenia jest krasnolud, który stał przed nimi. Obaj strażnicy w pewnym momencie z przerażeniem rozpoznali Bruenora - w chwili, gdy topór rozdarł twarz jednego, a pchnięcie ramieniem zrzuciło drugiego z półki.

Bruenor wbiegł po schodach po to tylko, aby natychmiast wrócić swymi śladami, gdy aich szczytu ukazał się patrol. Po całym podziemnym mieście biegały setki szarych krasnoludów, ich uwa-

◆ 73 \*

ga zaczęła się koncentrować na Bruenorze. Musiał więc zn~" inne schody - pobiegł na drugi poziom. Jednak zatrzymał się w pułapce. Z dwóch stron zbliżał się do niego z wyciągniętą" nią tuzin żołnierzy duergarów.

Bruenor desperacko rozejrzał się. Zamieszanie ściągi więcej niż stu szarych krasnoludów na podłogę, biegli przez nią i wspinali się na te schody, na które i on pierwemu wszedł. Na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech, gdy rozmyślał desperacki plan. Spojrzał znów na atakujących żołnierzy i wiedział, że nie ma wyboru. Zsalutował im, poprawił hełm i zeskoczył nagle z półki, uderzając w tłum, który zgroma się na stopniu poniżej. Nie tracąc rozpędu toczył się po półkach strącając po drodze kilku nieszczęsnych szarych krasnoludów w inną grupę na podłodze.

Błyskawicznie wstał i pociągnął przez nich przebijając. Zaskoczeni duergarowie w tłumie zaczęli się wspinać jeden na drugiego, aby tylko zejść z drogi szalnego krasnoludowi i jego śmiertelnie niebezpiecznemu towarzyszowi. W ciągu kilku sekund Bruenor przebiegł nie zauważony przez nikogo przez całą podłogę.

Zatrzymał się na chwilę i rozejrzał się dokoła. Dokąd tei\*, powinien iść? Między nim a każdym z wyjść z podziemnego miasta, stały dziesiątki duergarów, którzy z każdą sekundą stawali się coraz lepiej zorganizowani.

Jeden z żołnierzy zaatakował go, lecz został ścięty jednym uderzeniem.

- Dalej! - krzyknął Bruenor, wyobrażając sobie uczciwy udział i następnych duergarów ginących wraz z nim. - Dalej, ilu was tam jest! Poznacie gniew prawdziwego króla Mithrilowej Hali!

W jego tarczę uderzyła strzała z kuszy, hamując trochę jego ; przechwałki. Bardziej instynktownie niż świadomie, rzucił się ; nagle w jedynym nie strzeżonym kierunku - ryczących palenisk. Nie zwalniając biegu włożył swój mithrilowy topór w pętlę przy pasie. Nie doznał szkód od płomieni na grzbiecie spadającego smoka, a żar popiołu, który roztał na swej twarzy wcale nie dotknął jego skóry. Ponownie, stojąc w środku otwartego paleniska, stwierdził, że jest odporny na płomienie. Nie miał czasu zastanawiać się nad tajemnicą mógł tylko domyślać się, że ochro-

◆ 74\*

## KLEJNOT HALFUNGA

przed ogniem jest właściwością magicznej zbroi, którą włożył, gdy pierwszy raz wszedł do Mithrilowej Hali.

Naprawdę jednak była to zasługa sejmityra, utraconego przez Drizzta schludnie przywiązanego pod plecakiem Bruenora i prawie zapomnianego przez krasnoluda, który już raz został dzięki niemu uratowany. Ogień zasyczał w proteście i w obecności magicznego ostrza zaczął przygasać, lecz wybuchł znowu, gdy Bruenor zaczął wspinać się do komina. Krasnolud słyszał za sobą krzyki zdumionych duergarów, wraz z wołaniem, żeby zgasić ogień. Nagle jakiś głos wybił się nad inne rozkazującym tonem:

- Uduś go dymem!

Namoczone szmaty wrzucono w ogień i Bruenora otoczył wielki kłęb szarego dymu. Sadza wypełniła jego oczy, nie mógł złapać powietrza, lecz nie miał innego wyjścia, jak tylko kontynuować wspinaczkę. Na oślep szukał szczelin, w które mógłby wsadzić swe pieńkowate palce, aby podciągnąć się w górę z całych sił. Wiedział, że gdy weźmie oddech, to prawdopodobnie umrze, lecz nie mógł przestać oddychać; jego płuca krzyczały z bólu.

Niespodziewanie znalazł otwór w ścianie i prawie do niego wpadł.

Boczny tunel? - zastanowił się zdumiony. Przypomniał sobie nagle, że wszystkie kominy

podziemnego miasta były ze sobą połączone, żeby łatwiej było je czyścić. Bruenor odsunął się od strugi dymu i wtoczył się do nowego tunelu. Próbował wytrzeć sadzę z oczu, jego płuca z ulgą zaczerpnęły powietrza, lecz pogorszył tylko sprawę wycierając oczy pokrytym sadzą kawałkiem. Nie widział krwi płynącej z jego rąk, lecz mógł domyślić się stopnia poranienia z osłabego bólu paznokci u rąk. Mimo wyczerpania wiedział, że nie może pozwolić sobie na zwłokę. Pełzał wzdłuż małego tunelu mając nadzieję, że palenisko pod następnym kominem, do którego zdążył, nie jest w użyciu. Podłoga przed nim opadła nagle i Bruenor omal nie stoczył się w inny szyb. Nie ma dymu, zauważył, a ściany są tak popękane i łatwe do wspinania się, jak w pierwszym kominie. Przycisnął ekwipunek, ponownie poprawił hełm i ruszył w górę, na oślep szukając uchwytu dla rąk i ignorując ból w ramionach i palcach. Wkrótce znowu poruszał się pewnie.

◆ 75 \*

### R. A. SALVATORE

Lecz dla wyczerpanego krasnoluda, sekundy wydawał minutami, zaś minuty godzinami. W końcu zorientował i odpoczywał tyle samo czasu, ile się wspinał, a jego oddech szedł w ciężkie sapanie. Podczas jednego z takich odpoczynków Bruenorowi wydało się, że usłyszał nad sobą jakieś szuranie, ruchomy, aby bardziej wsłuchać się w dźwięk.

Szyby te nie powinny się łączyć z żadnymi bocznymi i wyższych poziomów ani z przestrzeniami miasta, pomyślał. Wszedł się przecież prosto w otwartą przestrzeń nad powierzchnię. Wyciągnął się, aby popatrzeć w górę swymi zasypianymi oczyma. Był pewien, że usłyszał jakiś dźwięk. Zagadka wyjła się nagle, gdy potworna postać zsunęła się w dół szybu, cwałując grzędą Bruenora, a wielkie, owłosione nogi pobiły w niego jak cepy. Krasnolud natychmiast rozpoznał niebezpieczeństwo. Olbrzymi pająk.

Ociekające jadem szczypce wydarły kawał ciała z przemieszczenia Bruenora. Krasnolud zignorował ból i możliwe następstwa rany i zareagował z równą furią. Podciągnął się w górę, swą głowę w cebulaste ciało tej obrzydliwej rzeczy i odepchnął się od ściany z całej siły. Pająk zacisnął swe śmiercionośne klauzury na ciężkim buciu i walił tyłoma nogami, ile tylko mógł: ten cel przeznaczył, utrzymując się przy tym w swej pozycji. Zdesperowanemu krasnoludowi wydawał się prawdopodobny tylko jeden sposób ataku: wyparcie pająka. Chwycił za owłosione nogi i wykręcił się tak, by je oderwać, a przynajmniej odciąć gwałtownie od punktów uchwytu na ścianie. Jego ramię płonęło od trucizny, a stopa, mimo że but oparł się szczęką pająka, była wykręcona i prawdopodobnie złamana. Nie miał jednak czasu myśleć o bólu. Z warknięciem chwycił następną nogę i oderwał ją. Nagle spadł.

Pająk - głupie stworzenie - zwinął się w kulę i puścił krasnoluda. Bruenor spadając poczuł pęd powietrza i bliskość ścian. Mógł tylko mieć nadzieję, że szyb jest wystarczająco prosty, aby uchronić go przed jakimiś ostrymi krawędziami. Wspiął się na pająka jak tylko mógł, ustawiając jego cebulaste ciało między sobą a zbliżającym się miejscem lądowania.

### KLEJNOT HALFUNGA

Wylądowali na wielkiej półce. Bruenora aż zatkało, lecz dzięki krej eksplozji pająka pod sobą nie odniósł poważniejszych obrażeń. Nadal nie widział gdzie jest, lecz stwierdził, że musiał znowu wylądować na poziomie podłogi podziemnego miasta, lub -4>czym mogły świadczyć na szczęście nie słyszane krzyki zaniepokojenia - w mniej zaludnionej sekcji. Oszołomiony, lecz flie zniechęcony, uparty krasnolud wstał i wytarł z rąk płyn z pająka.

- Z pewnością jutro będzie burza - mruknął, przypominając sobie stare zabobony, dotyczące

zabicia pająka. Ruszył znów w górę szybu zupełnie nie zważając na ból rąk, żeber i stopy, a także palące jadem przedramię.

I nie myśląc o innych pająkach czających się w górze.

Wspinał się godzinami, uparcie wysuwając jedną rękę przed drugą podciągając się. Zdradziecki jad pająka przepływał przez niego falami mdłości i odbierał siłę jego ramionom. Lecz Bruenor był twardszy niż górski kamień. Mógł umrzeć z ran, lecz postanowił, że nastąpi to na zewnątrz, na wolnym powietrzu, pod gwiazdami lub pod słońcem.

Ucieknie z Mithrilowej Hali.

Chłodne uderzenie wiatru usunęło wyczerpanie. Spojrzał z nadzieją w górę, lecz nadal nic nie widział - może na zewnątrz była noc. Przez chwilę badał podmuch wiatru i wiedział, że znajduje się tylko o jardy od celu. Ostatkiem sił zmusił się do rzutu w kierunku wylotu komina - i blokującej go żelaznej kraty.

- Niech młot Moradina jąrobije! - splunął Bruenor. Odskoczył od ściany i chwycił pręty kraty okrwawionymi palcami. Pręty ugięły się pod jego ciężarem, lecz nadal trzymały mocno.

- Wulfgar mógłby je wyłamać - powiedział Bruenor, na wpół oszołomiony z wyczerpania. - Daj mi swoją siłę, mój wielki przyjacielu - zawołał w ciemność, gdy zaczął napierać i skręcać. Setki mil stąd, pogrążony w koszmarnych wspomnieniach swego utraconego mentora, Bruenora, Wulfgar rzucał się niespokojnie po swej koi na Duszku Morskim. Może duch młodego barbarzyńcy mógł przyjść na pomoc Bruenorowi w tej desperackiej chwili, lecz bardziej prawdopodobne było, że to nieustępliwy upór krasnoluda okazał się silniejszy niż żelazo. Pręt kraty wygiął się

9 76 «

977 \*

R. A. SALVATORE

w dół na tyle, aby wyslizgnąć się z gniazda w kamiennej; i zostać Bruenorowi w rękę.

Wisząc na jednej ręce, Bruenor rzucił pręt w pustkę pod Ze złośliwym uśmiechem miał nadzieję, że jakiś duergar mo' w tej chwili na dnie komina, oglądając martwego p i spoglądając w górę, zastanawia się nad przyczynajego śmi

Bruenor wychylił się do połowy z małej dziury, którą do co otworzył, lecz nie miał sił przeciągnąć ud i brzucha. Z wyczerpany wsparł się na krawędzi, podczas gdy jego nogi dały swobodnie nad tysiącstopowąprzepaścią.

Oparł głowę na żelaznych prętach i stracił przytomność.

UIROCA BAU)URA

- Do burty! Do burty! -krzyknął jakiś głos.

- Wyrzucić ich! - zgodził się inny. Tłum żeglarzy następował coraz bliżej, wymachując zakrzywionymi mieczami i pałkami.

Entreri stał chłodno pośrodku całej burzy, zdenerwowany Re-gis obok niego. Morderca nie mógł zrozumieć nagłego wybuchu gniewu wśród załogi, lecz domyślał się, że w jakiś sposób stoi za tym ten nędzny halfling. Nie wyciągnął broni, wiedział, że zawsze zdąży przygotować swą szablę

i sztylet, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba, a żaden z żeglarzy, mimo wszystkich przechwałek i gróźb, nie podejrze do niego bliżej niż na dziesięć stóp.

Kapitan statku, krępy, chodzący kołyszącym się krokiem, ze sterczącymi, siwymi bokobrodami, perłowo białymi zębami i oczyma zmrużonymi w stałym zezie, wyszedł z kabiny, aby zbadać przyczyny awantury.

- Do mnie, Czerwonooki - skinął na ponurego żeglarza, który pierwszy przyniósł mu wiadomość o tym, że pasażerowie są zażeni jakąś straszliwą chorobą, oczywiście dzieląc się wiadomością resztą załogi. Czerwonooki posłuchał natychmiast, idąc za kapitanem przez rozstępujący się tłum, aby stanąć przed Entrerim i Regisem.

Kapitan powoli wyjął fajkę i wytrząsnął popiół, nie spuszczać badawczego wzroku z Entreriego.

- Wyrzucić ich za burtę - rozlegał się od czasu do czasu okrzyk, lecz kapitan uciszał mówiącego za każdym razem machnięciem ręki. Chciał dokładnie ocenić obcych, zanim podejmie jakieś działanie, cierpliwie więc pozwalał płynąć chwilom, gdy zapalał fajkę i zaciągał się dymem

\* 78\*

9 79\*

R. A. SALVATORE

Entreri nie mrugnął okiem ani nie odwrócił wzroku od kapitana. Odsunął płaszcz poza pochwę u pasa i skrzyżował ramiona było to chłodne i pewne siebie działanie, wygodnie umiejscawiające każdą z jego rąk o cal od rękojeści broni.

- Powinieneś mi powiedzieć, panie - rzekł w końcu kapitan.

- Twoje słowa są tak samo nieoczekiwane, jak działania twe' załogi - odparł chłodno Entreri.

- Istotnie - rzekł kapitan, pykając znów fajeczką.

Niektórzy członkowie załogi nie byli tak cierpliwi jak ich sztyper. Jeden z nich, mężczyzna o klatce piersiowej jak beczka i potężnie umięśnionych i wytatuowanych ramionach uznał, że) męczy go już to przedstawienie. Śmiało podszedł za mordercę, zamierzając wyrzucić go za burtę i skończyć z nim. W chwili, gdy żeglarz chciał chwycić mordercę za szczupłe ramiona, Entreri rzucił się do ataku, odwracając się i wracając do swej pozycji ze skrzyżowanymi rękoma tak szybko, że żeglarze przyglądający się mu mrugali oczyma w słońcu, chcąc uświadomić sobie, czy w ogóle się poruszył.

Mężczyzna o torsie jak beczka osunął się na kolana i upadł twarzą na pokład - w mgnieniu oka obcas roztrzaskał jego rzep- ) kę, a wysadzany klejnotami sztylet opuścił pochwę i podstępnie ! wbił się w jego serce, po czym niezauważony powrócił, by spocząć ponownie na udzie mordercy.

- Twoja reputacja wyprzedza cię - powiedział kapitan, nie mrugnawszy okiem.

- Uważam, że postąpiłem sprawiedliwie - odparł Entreri z drwiącym ukłonem.
  - W istocie - powiedział kapitan. Wskazał na leżącego mężczyznę. - Jego przyjaciele mogą zobaczyć, czy można mu pomóc?
  - On już nie żyje - zapewnił kapitana Entreri. - Jeśli któryś z jego przyjaciół naprawdę chce podejść do niego, to niech wystąpi.
  - Są przestraszeni - wyjaśnił kapitan. - Byli świadkami wielu straszliwych chorób w portach Wybrzeża Mieczy.
  - Choroba? - powtórzył Entreri.
  - Twój towarzysz zachorował - powiedział kapitan.
- 9 80 «

### KLEJNOT HALFUNGA

Uśmiech rozlał się po twarzy Entreriego, gdy wszystko stało się dla niego jasne. Błyskawicznie zdarł płaszcz z Regisa, chwycił go za nadgarstki, podniósł w górę i spojrzał w przerażone oczy halflinga wzrokiem obiecującym powolną i bolesną śmierć. Entreri natychmiast zauważył strupy na przedramieniu Regisa.

- Oparzenia? - zdziwił się.
- Tak, mały powiedział, że to właśnie się zdarzyło - krzyknął Czerwonooki, chowając się za kapitana, gdy Entreri utkwiał w nim wzrok. - To znaczy oparzenia od środka!
- Bardziej prawdopodobne, że to oparzenia od świecy - odparł Entreri. - Sam zbadaj te rany - powiedział do kapitana. - Tu nie ma żadnej choroby, tylko desperackie sztuczki zapędzonego w ślepą uliczkę złodzieja - rzucił Regisa z łoskotem na pokład.

Regis leżał nieruchomo, nie śmiać nawet odetchnąć. Sytuacja jednak nie uległa tak szybko rozwiązaniu, jak miał nadzieję.

- Wyrzucić ich za burtę! - krzyknął jakiś anonimowy głos.
- Nie dać im szans! - wrzasnął inny.
- Ilu potrzebujesz do żeglowania swym statkiem? - zapytał kapitana Entreri. - Na stratę ilu możesz sobie pozwolić?

Kapitan, widząc mordercę w działaniu i znając reputację tego człowieka, nie potraktował prostych pytań jak czczych pogroźek. Co więcej, wzrok Entreriego utkwiony teraz w nim, mówił bez żadnych wątpliwości, że będzie pierwszą ofiarą, jeśli załoga wystąpi przeciwko zabójcy.

- Wierzę twoim słowom - powiedział rozkazująco, uciszając pomruki swej nerwowej załogi. - Nie ma potrzeby badać ran. Jednak czy choroba, czy nie, nasza umowa już nie istnieje - spojrzał znacząco na martwego marynarza.
- Nie mam zamiaru płynąć wplaw do Calimportu - syknął Entreri.

- Istotnie - odparł kapitan. - Za dwa dni zawiniemy do Wrót Baldura. Powinieneś tam znaleźć innego przewoźnika.

- A ty powinieneś mi oddać każdą sztukę złota - powiedział chłodno Entreri.

Kapitan znów pociągnął z fajki. To nie była potyczka, w której mógłby zwyciężyć.

\*81\*

### R. A. SALVATORE

- Istotnie - powiedział z równym chłodem. Ruszył w stronę swej kabiny, rozkazując załodze



wrócić na swoje stanowiska.

\* \* \*

Przypomniał sobie te leniwe, letnie dni na brzegach Maer Du-aldon w Dolinie Lodowego Wichru. Ile godzin tam spędził, łowiąc nieuchwytne pstrągi lub tylko kąpiąc się w nieczystym cieple letniego słońca Doliny Lodowego Wichru. Spoglądając wstecz na te wszystkie lata w Dekapolis, Regis z trudem mógł uwierzyć, że los tak się od niego odwrócił.

Myślał, że znalazł swoje miejsce, wygodną egzystencję - bardziej jeszcze wygodną pomocąskradzionego rubinowego wisiora - dzięki lukratywnej karierze rzeźbiarza pamiątek z kości, wycinającego z rybiej kości, podobnej do kości słoniowej, cudowne, małe błyskotki. Lecz nadszedł ten nieszczęsny dzień, w którym w Bryn Shander zjawił się Artemis Entreri - w mieście, które Regis przywykł już nazywać swoim domem - i spowodował, że halfling wyruszył w drogę przygody wraz ze swymi przyjaciółmi.

Nawet Drizzt, Bruenor, Catti-brie i Wulfgar nie byli w stanie obronić go przed Entrerim.

Wspomnienia nie dały mu ukojenia. W ciągu tych kilku godzin spędzonych w samotności, w zamkniętej kabynie, Regis chciałby się ukryć w przyjemnych wspomnieniach swej przeszłości, lecz jego myśli niezmiennie wracały do straszliwej teraźniejszości i stwierdził, że zastanawia się, jak zostanie ukarany za swój # nieudany podstęp. Entreri, prowadząc Regisa w dół do kabiny był spokojny, a nawet rozbawiony po incydencie na pokładzie, potem zniknął bez słowa. Zbyt spokojny, pomyślał Regis.

To była część maski tajemniczości mordercy. Nikt nie znał Artemisa Entreriego na tyle, aby nazwać go przyjacielem i żaden z wrogów nie znał go na tyle dobrze, aby nawet dotrzymać mu pola.

Regis skulił się pod ścianą gdy Entreri w końcu przyszedł zamasyście otwierając drzwi i podchodząc do stołu, uprzednio zerknąwszy tylko na halflinga. Morderca usiadł, odgarniając do tyłu swe atramentowo czarne włosy i przyglądając się samotnej świecy płonącej na stole.

\* 82 \*

## KLEJNOT HALFLINGA

- Świeca - mruknął, najwidoczniej rozbawiony. Spojrzał na Regisa. -v Zrobiłeś sztuczkę lub dwie, halflingu - roześmiał się. Regisowi nie było do śmiechu. Wiedział, że serce Entreriego nie wypełniło się nagłym ciepłem i byłby przeklęty, gdyby pozwolił ja\yjalnej masce mordercy osłabić swoją czujność.

- Wartościowa praca - kontynuował Entreri. - Efektywna. Może zająć nam tydzień, zanim znajdziemy przejazd na południe z Wrót B&ldura. Dodatkowy tydzień dla twych przyjaciół, aby mogli zmniejszyć dystans. Nie spodziewałem się, że odważysz się na to.

Uśmiech znikł nagle z jego twarzy, a ton głosu zauważalnie stał się bardziej ponury, gdy dodał:

- Nie sądzę, abyś z taką samą ochotą był gotów ponieść tego konsekwencje.

Regis przechylił głowę, żeby widzieć każdy jego ruch.

- Uwaga! \_ szepnął pod nosem.

- Oczywiście będą konsekwencje, mały głupcze. Pochwalam twojąpróbe, mam nawet nadzieję, że zapewnisz mi bardziej ekscytujące chwile podczas tej nudnej podróży! Lecz nie mogę zwlekać z karą Gdybym tak uczynił, odebrałbym śmiałość, a tym samym i smąCzek twoim sztuczkom.

Wstał z krzesła i ruszył wokół stołu. Regis wrzasnął i zamknął oczy, wiedział, że nie ma

ucieczki. Ostatnią rzeczą jaką widział, był wysadzany klejnotami sztylet obracający się powoli w ręce mordercy.

\* \* \*

Następnego popołudnia dotarli do rzeki Chionthar i pokonali prądy przy pomocy silnej bryzy, wypełniającej ich żagle. Wraz z zapadnięciem nocy na wschodnim horyzoncie ukazały się wyższe dzielnice Wrót Baldura, a gdy zniknęły ostatnie promienie słońca, ich cel zaczęły wyznaczać światła wielkiego portu. Jednak miasto nie zezwalało wpływać do portu po zachodzie słońca i statek stanął na kotwicy na redzie o pół mili od brzegu.

Regis, nic mogąc spać tej nocy, ruch Entreriego usłyszał znacznie później. Halfling zacisnął powieki i zmusił się do spokojnego, równego oddychania. Nie miał pojęcia jakie zamiary ma Entreri, lecz jakiegokolwiek by one nie były, Regis nie chciał, żeby

◆ 83 \*

## R. A. SALVATORE

choćby podejrzewał, że nie śpi. Entreri nie dał mu czasu do namysłu. Cicho jakkot- i jak śmierć -morderca wysliznął się za drzwi. Dwudziestu pięciu członków załogi zaludniało statek, lecz po długich dniach żeglugi i z Wrotami Baldura czekającymi ich o pierwszym brzasku dnia tylko czterech z nich nie spało.

Morderca prześliznął się przez kubryk, podążając w kierunku samotnej świecy na rufie. W kuchni kucharz zajęty był przygotowywaniem śniadania, gęstej zupy w wielkim kotle.

Podśpiewując sobie, jak to zawsze czynił przy pracy, kucharz nie zwracał uwagi na otoczenie. Lecz nawet gdyby milczał i uważał, nie usłyszałby cichych kroków za sobą.

Zginał z twarzą w swej zupie.

Entreri wrócił przez kubryk, gdzie zginęło dalszych dwudziestu, nie wydawszy nawet dźwięku. Potem wrócił na pokład.

Tej nocy księżyc wisiał wysoko na niebie, lecz nawet płat cienia był wystarczający dla zręcznego mordercy, a Entreri znał doskonale zachowanie się wachty. Spędził wiele nocy na studiowaniu ruchów wachtowych, przygotowując się, jak zawsze, na najgorszy z możliwych scenariuszy. Wyliczywszy kroki dwóch wachtowych na pokładzie, prześliznął się pod grotmaszt, trzymając w zębach swój wysadzany klejnotami sztylet. Kilka wyrzutów wyćwiczonych mięśni zaniósło go na bocianie gniazdo.

Potem pozostało już tylko dwóch.

Zszedłszy na pokład, Entreri podszedł spokojnie i otwarcie do relingu.

- Statek! - zawołał, wskazując w ciemność. - Zbliża się do nas!

Dwaj pozostali wachtowi pospieszyli instynktownie do mordercy i wyteżylioczy, żeby dostrzec niebezpieczeństwo w mroku; błysk sztyletu zdradził podstęp.

Pozostał tylko kapitan,

Entreri mógł bez trudu otworzyć zamek w drzwiach kabiny i zabić go we śnie, lecz morderca chciał bardziej dramatycznego zakończenia swego dzieła; chciał, aby kapitan w pełni zrozumiał los, jaki spotkał jego statek tej nocy. Entreri podszedł do drzwi, otwierających się na pokład i wyciągnął ze swych narzędzi długi, cienki drut.

## KLEJNOT HALFUNGA

Kilka minut później wrócił do swej kabiny i obudził Regisa.

- Jeden dźwięk, a obetnę ci język - ostrzegł halflinga.

Regis teraz zrozumiał, co się stało. Gdyby załoga zeszła na ląd

w porcie Wrót Baldura, bez wątpienia rozprzestrzeniłaby pogłoski o śmiertelnie niebezpiecznym

mordercy i jego „zarażonym” przyjacieli, uniemożliwiając Entreriemu poszukiwania transportu na południe. Morderca pod żadnym pozorem nie mógł na to pozwolić, a Regis nie mógł powstrzymać się od uczucia odpowiedzialności za nocnąjatkę. Szedł przez kubryk obok Entreriego bezsilnie i cicho, zauważając brak chrapania i ciszę panującą w kuchni za pomieszczeniem. Z pewnością zbliżał się świt, z pewnością kucharz powinien być zajęty przygotowaniem śniadania. Lecz spoza na wół przymkniętych drzwi kuchni, nie dochodził żaden dźwięk. Na statek załadowano w Waterdeep dużą ilość oliwy, gdyż była to ostatnia podróż do Calimportu i beczki z nią stały nadal w swych uchwytach. Entreri otworzył luk do ładowni i wyniósł dwie ciężkie baryłki. Wybił szpunt w jednej z nich i kopnął ją tak, aby potoczyła się przez kubryk, rozlewając po drodze oliwę. Potem przyniósł drugą i - na wół niosąc Regisa, który sflaczał ze strachu i obrzydzenia - wyszedł na pokład, rozlewając w ciszy oliwę półkołem przed drzwiami kapitana.

- Weź ją - powiedział do Regisa, wskazując na łódź wiosłową, wiszącą na stojaku przy sterburcie. -1 weź to - wręczył halflingowi mały woreczek.

Żółć podeszła Regisowi do gardła, gdy pomyślał o tym, co było w woreczku, lecz wziął go i trzymał bezpiecznie, wiedząc, że gdyby go stracił, Entreri zdobyłby drugi.

Morderca przebiegł lekko przez pokład, przygotowując w biegu pochodnię. Regis przyglądał mu się z przerażeniem, wzdrygnąwszy się na widok jego zacienionej twarzy, gdy wrzucił pochodnię przez luk do zalanego oliwą kubryku. Gdy tylko płomień ryknął, Entreri z ponurą satysfakcją wrócił przez pokład do drzwi kapitana.

- Żegnaj! - było jego jedynym wyjaśnieniem, gdy uderzył w drzwi. Dwa kroki zaniósł go do łodzi.

Kapitan wyskoczył z łóżka, usiłując rozeznąć się w sytuacji. Statek był dziwnie spokojny, z wyjątkiem wielomównego trze-

9 84t

9 85 \*

R. A. SALVATORE

KLEJNOT HALFLBMGA

szczenią i smuzki dymu, która sączyła się przez szpary między deskami pokładu. Z mieczem w ręku wyjął zatyczkę i otworzył drzwi. Rozejrzał się desperacko i krzyknął na załogę. Płomień nie dotarł jeszcze na pokład, lecz było dlań oczywiste - i powinno być jasne dla wachtowych - że statek płonie. Zaczynając podejrzewać strasliwąprawdę kapitan wybiegł z kabiny, odziany tylko w nocnąkoszulę. Poczul szarpnięcie drutu-pułapki i skrzywił się rozumiejąc więcej, gdy pętla z drutu wcięła się głęboko w jego nagą kostkę. Rozciągnął się jak długi, miecz wypadł mu z ręki. Zapach wypełnił jego nozdrza i w pełni zrozumiał śmiertelne skutki, jakie niósł ze sobą śliski płyn, który zmoczył jego koszulę. Wyciągnął się w kierunku rękojeści miecza i, na próżno, gramolił się po drewnianym pokładzie, aż zakrwawił sobie palce.

Spomiędzy desek pokładu wyskoczył jęczyczek ognia.

Dźwięki niosą się niesamowicie nad otwartymi przestrzeniami wód, szczególnie w ciemnej pustce nocy. Jeden dźwięk wypełnił uszy Entreriego i Regisa, gdy morderca pchał małą łódź wiosło-waprzeciw prądom rzeki Chionthar. Przebił się nawet przez gwar tawern w porcie Wrót Baldura, o pół mili dalej.

Jakby wzmocniony przez niewypowiedziane krzyki protestu martwej załogi - i przez sam ginący statek - samotny, umęczony głos wrzeszczał za nich wszystkich. Potem był tylko trzask płomieni.  
\* \* \*

Entreri i Regis dotarli na piechotę do Wrót Baldura wkrótce po wschodzie słońca. Zostawili łódkę w zatoczce kilkaset jardów w dół rzeki i zatopili ją. Entreri nie chciał zostawiać żadnych dowodów łączących go z nieszczęściem minionej nocy.

- Dobrze jest wracać do domu - dokuczał Regisowi morderca, gdy szli rozległymi nabrzeżami przedmieść. Zwrócił uwagę Regisa na duży statek kupiecki przycumowany przy jednym z zewnętrznych pirsów. - Przypominasz sobie flagę?

Regis spojrzał na flagę na maszcie statku, złote pole przecięte ukośnymi, niebieskimi liniami, sztandar Calimportu.

- Kupcy z Calimportu nigdy nie zabierają na pokład pasażerów - przypomniał mordercy, mając nadzieję rozwiać zarozumiałe nastawienie Entreriego.

- Zrobią wyjątek - odparł Entreri. Wyciągnął spod swej skórzonej kurtki rubinowy wisior i pokazał go ze złośliwym uśmiechem.

Regis znowu umilkł. Doskonale znał moc rubinu i nie mógł się spierać ze stwierdzeniem mordercy.

Pewnymi krokami, wskazującymi na to, że nieraz już wcześniej był w Wrotach Baldura, Entreri zaprowadził Regisa do biura kapitanatu portu, małej chatki tuż obok doków. Regis szedł za nim posłusznie, jego myśli koncentrowały się bez reszty na minionych wydarzeniach. Nadal nie mógł się pozbyć koszmaru tragedii poprzedniej nocy, usiłując przeanalizować swój udział w śmierci dwudziestu sześciu ludzi. Z trudem zauważył obecność kapitana portu i nawet nie zapamiętał jego imienia.

Już po kilku sekundach rozmowy Regis zdał sobie sprawę z tego, że Entreri w pełni pochwycił tego człowieka w czar rubinowego wisiora. Halfling nie pamiętał w ogóle tego spotkania, zdegustowany tym, jak doskonale Entreri opanował moce klejnotu. Jego myśli poszybowały znowu ku przyjaciołom i domowi, choć teraz patrzył na te obrazy z żalem, nie nadzieją. Czy Drizzt i Wulfgar umknęli z horroru Mthrilowej Hali i teraz gonią za nim? Widząc Entreriego w działaniu i wiedząc, że wkrótce znajdzie się znowu w granicach królestwa Pooka Regis miał prawie nadzieję, że nie podążą za nim. Ile jeszcze krwi splami jego małe ręce?

Regis stopniowo zaczął zwracać uwagę na to, co się wokół niego dzieje, na wpełn słuchając słów rozmowy i wmawiając sobie, że może się z niej dowiedzieć czegoś ważnego.

- Kiedy odpływają? - zapytał Entreri.

Regis nastawił uszu. Czas był ważny. Może jego przyjaciele dotrą w międzyczasie tutaj, nadal o tysiąc mil od włości Pashy Pooka.

- Za tydzień - odparł kapitan portu, nie mrugnawszy nawet okiem i nie odrywając wzroku od wirującego klejnotu.

- To zbyt długo - mruknął pod nosem Entreri. Potem zwrócił się do kapitana portu. -

Chciałbym się spotkać z ich kapitanem.

- To jest możliwe do zrobienia.

-Tej nocy... tutaj.

Kapitan portu wzruszył ramionami zgadzając się.

\* 86 \*

\* 87 «

R. A. SALVATORE

- I jeszcze jedna prośba, przyjacielu - powiedział Entreri z drwiącym uśmiechem. - Odnotowujesz każdy statek zawijający do portu?

- To moja praca - powiedział oszołomiony mężczyzna.

- I z pewnością masz baczenie także na bramy? - zapytał mrugnawszy okiem Entreri.

- Mam wielu przyjaciół - odparł kapitan portu. - We Wrotach

Baldura nie może się nic wydarzyć, o czym bym nie wiedział.

Entreri spojrział na Regisa.

- Daj mu to - polecił.

Regis, nie rozumiejąc czego się od niego żąda odpowiedział na polecenie pustym wzrokiem.

- Woreczek - wyjaśnił morderca, używając tego samego ser

decznego tonu, który pobrzmiwał w niedbalej wymianie zdań

z okpionym kapitanem portu.

Oczy Regisa zwięzły się - nie poruszył się ani na jotę w akcie oporu przeciwko swemu prześladowcy, na jaki nigdy dotąd się nie odważył.

- Woreczek - powtórzył Entreri, tym razem tonem śmiertelnie poważnym. - To nasz podarunek dla przyjaciół. - Regis zawahał się tylko przez chwilę, a potem rzucił mały woreczek kapitanowi portu.

- Dowiaduj się o każdy statek i każdego wędrowca, który przybędzie do Wrót Baldura - wyjaśnił Entreri kapitanowi portu. - Odszukaj grupę wędrowców, co najmniej dwóch: jeden z nich to elf, prawdopodobnie opatulony w płaszcz dla zachowania tajemnicy, zaś drugi, to olbrzym, barbarzyńca o blond włosach. Tak więc odszukaj ich, mój przyjacielu. Znajdź poszukiwacza przygód, który nazywa się DrizztDo'Urden. Ten podarunek jest przeznaczony wyłącznie dla jego oczu. Powiedz mu, że oczekuję jego przybycia do Calimportu - spojrział złośliwie na Regisa. -Z dalszymi podarunkami.

Kapitan portu włożył woreczek do kieszeni i zapewnił Entre-riego, że go nie zawiedzie.

- Muszę iść - powiedział Entreri, stawiając Regisa na nogi. -

Spotkamy się w nocy - przypomniał kapitanowi portu. - Godzi  
nę po zachodzie słońca.

KLEJNOT HALFUNGA

\* \* \*

Regis wiedział, że Pasha Pook ma powiązania z Wrotami Baldura, lecz był zdumiony stopniem, w jakim morderca czuł się tutaj jak u siebie w domu. W ciągu niecałej godziny Entreri znalazł dla nich pokój i na czas oddalenia się w jakichś sprawach zapewnił nad Regisem straż dwóch bandytów.

- Czas na twoją drugą sztuczkę? - zapytał Regisa chytrze tuż przed odejściem. Spojrzał na dwóch rzezimieszków opartych o dalszą ścianę pokoju, pograżonych w mniej niż intelektualnej debacie, poświęconej szeroko znanym umiejętnościom miejscowej „damy”.

- Możesz iść z nimi - szepnął Entreri.

Regis odwrócił się, nie rozśmieszony bynajmniej makabrycznym żartem mordercy.

-Ale pamiętaj, mój mały złodzieju, na zewnątrz znajdziesz się na ulicach, w cieniach alejek, gdzie nie znajdziesz przyjaciół i gdzie ja będę czekał - odwrócił się ze złośliwym chichotem i wysliznął się za drzwi.

Regis spojrział na dwóch bandytów, pograżonych teraz w gorącej dyskusji. Mógłby wyjść za drzwi w tej chwili.

Rzucił się z powrotem na łóżko z pełnym rezygnacji westchnieniem niezręcznie założywszy rękę za głowę, ból w jednej z nich

dobitnie przypominał mu o cenie brawury.

\* \* \*

Wrota Baldura dzieliły się na dwa okręgi: niższe miasto - portowe i wyższe miasto, otoczone murami, w którym zamieszkiwali ważniejsi mieszkańcy. Miasto dosłownie wrzało w szalonych powiązaniach handlowych na Wybrzeżu Mieczy. Jego stare mury stanowiły wygodne połączenie między zmieniającymi się stale żeglarzami i poszukiwaczami przygód, którzy niezmiennie napływali do miasta, a osiadłymi rodzinami tej krainy. „W połowie drogi do wszędzie” - było tu niezwykle popularnym powiedzeniem, odzwierciedlającym w przybliżeniu równą odległość od Waterdeep na północy i Calimportu na południu, dwóch największych miast Wybrzeża Mieczy. W nieustannej krzątaninie i bieganinie, odpowiadającej tej nazwie, Entreri nie zwracał na siebie uwagi, przemykając zaułka-

\* 88 \*

9 89 «

R. A. SALVATORE

mi w stronę centrum miasta. Miał tu sojusznika, potężnego czarnoksiężnika imieniem Oberon, który był też powiązany z Pasha Pookiem. Oberon naprawdę był wierny Pookowi, Entreri wiedział o tym, a czarnoksiężnik bez wątpienia powiadomi natychmiast mistrza gildii w Calimporcie o odzyskaniu wisiora i o niedalekim powrocie Entreriego.

Lecz Entreri nie troszczył się o to, czy Pook dowie się o jego powrocie, czynie. Jego cel był zaim, jako Drizzt Do'Urden, nie zaś przed nim, jako Pook, a czarnoksiężnik mógł okazać się dlań bardzo wartościowy, przekazując mu więcej informacji o miejscu pobytu ścigającej go grupy.

Po spotkaniu, które trwało resztę dnia, Entreri opuścił wieżę Oberona i wrócił do kapitanatu portu na zaaranżowane spotkanie z kapitanem statku kupieckiego z Calimportu. Wygląd Entreriego odzyskał swoją zwykłą pewność siebie, miał już za sobą ten nieszczęsny incydent ubiegłej nocy i wszystko znów szło gładko. Obracał w palcach rubinowy wisior, zbliżając się do chaty.

Tydzień był zbyt dużą zwłoką.

\* \* \*

Regis był naprawdę zaskoczony, gdy Entreri wrócił późno w nocy do pokoju i oznajmił, że

„przekonał” kapitana statku z Calimportu do zmiany rozkładu jazdy.  
Wyłyną za trzy dni.

epfLoq

Wulfgar napiął się i wyciągnął na linach, usiłując ustawić główny żagiel na wiatr; załoga Duszka Morskiego patrzyła zdumiona. Prąd Chiontharu odpychał statek, zaś każdy kapitan rzuciłby kotwicę, aby poczekać na bardziej sprzyjający wiatr, który zepchnąłby ich do portu. Lecz Wulfgar pod opieką starego wilka morskiego imieniem Mirky zamienił ten problem w majstersztyk swych umiejętności. Poszczególne doki Wrót Baldura były już w zasięgu wzroku i Duszek Morski, ku uciechu kilkudziesięciu żeglarzy przyglądających się monumentalnemu pociągnięciu, wkrótce zawinął do portu.

- Mógłbym użyć dziesięciu takich jak on za całąmojązałogę  
- powiedział kapitan Deudermont do Drizzta.

Drów uśmiechnął się, równie zdumiony siłą swego młodego przyjaciela.

- Wydaje się, że sprawia mu to przyjemność. Nigdy nie pozwoliłbym, aby został żeglarzem.

- Ani ja - odparł Deudermont. - Miałem tylko nadzieję skorzystać z jego siły, gdyby napadli nas piraci. Lecz Wulfgar okrzyknął już na morzu.

- I cieszy go to wyzwanie - dodał Drizzt. - Otwarty ocean, zew wody i wiatru, wypróbowały go w sposób różny od tego, jaki znał dotychczas.

- Sprawuje się lepiej niż wielu innych - odparł Deudermont. Doświadczony kapitan spojrzał w dół rzeki, gdzie czekał otwarty ocean. - Ty i twój młody przyjaciel odbyliście tylko krótką podróż wzdłuż brzegu. Nie doświadczyliście ogromu i potęgi otwartego morza.

• 90 \*

\* 91 \*

R. A. SALVATORE

Drizzt spojrzał na Deudermonta z prawdziwym podziwem, a nawet z zazdrością. Kapitan był dumnym człowiekiem, lecz powściągał swą dumę logicznym tłumaczeniem. Deudermont miał poważanie dla morza i akceptował je jako władcę. Akceptacja, a może bardziej głębokie zrozumienie swego miejsca w świecie dawało kapitanowi taką samą przewagę, jaką ktokolwiek mógł osiągnąć nad nieokiełznanym oceanem. Drizzt podążył za tęsknym spojrzeniem kapitana i zastanowił się nad tajemniczym, nęcącym wpływem otwartych wód, który jak się wydawało odczuwał każdy.

Rozważył ostatnie słowa Deudermonta.

- Może pewnego dnia - powiedział cicho.

Byli teraz już wystarczająco blisko i Wulfgar rozluźnił swój uchwyt i osunął się mocno wyczerpany na pokład. Załoga pracowała jak szalona, aby zakończyć cumowanie, lecz każdy z niej przystanął przynajmniej na chwilę, aby poklepać olbrzymiego barbarzyńcę po ramieniu. Wulfgar był zbyt zmęczony, żeby móc im odpowiedzieć.

- Będziemy tu stać przez dwa dni - powiedział Deudermont do Drizzta. - Powinniśmy tu spędzić co najmniej tydzień, ale wiem, że się spieszysz. Rozmawiałem ostatniej nocy z załogą i zgodzili się co do jednego - aby wyłynąć znowu jak najszybciej.

- Dziękujemy im i tobie - odparł szczerze Drizzt.  
W pewnym momencie muskularny, doskonale ubrany nieźczy-żna zeskokczył na molo.  
-Ahoj, Duszek Morski? - zawołał. - Jest przy relingu Deudermont?  
- Pellman, kapitan portu - wyjaśnił Drizztowi kapitan. - Jest! - zawołał do mężczyzny. -  
Miło mi cię znowu widzieć.  
- Witaj, kapitanie - zawołał Pellman. -Najlepsze cumowanie jakie widziałem! Jak długo będziecie w porcie?  
- Dwa dni - odparł Deudermont. - Potem znów na morze, na południe.  
Kapitan portu przerwał na chwilę, jakby usiłował sobie coś przypomnieć. Potem zapytał, j ak pytał każdy statek, który w ciągu ostatnich kilku dni zawijał do portu. Zadał pytanie, które Entreri zaszczerpił w jego umyśle.

### KLEJNOT HALFUNGA

- Szukam dwóch poszukiwaczy przygód - zawołał do Deudermonta. - Może ich widziałeś?  
Deudermont spojrział na Drizzta, domyślając się, podobnie jak i drów, że to pytanie nie jest przypadkowe.  
- Nazywają się Drizzt Do'Urden i Wulfgar - wyjaśnił Pellman. - Choć mogą używać innych imion. Jeden jest niewysoki i tajemniczy - podobny do elfa - drugi jest olbrzymi i silny jak mała kto!  
- Jakież kłopoty? - zawołał Deudermont.  
- Nie - odparł Pellman. - Przesłanie.  
Wulfgar podszedł do Drizzta i usłyszał ostatnią część rozmowy. Deudermont spojrział na Drizzta oczekując instrukcji.  
-Decyduj.  
Drizzt nie sądził, aby Entreri zastawił na nich jakąś poważną pułapkę, wiedział, że morderca ma zamiar walczyć z nimi, a przynajmniej z nim osobiście.  
- Porozmawiamy z nim - odparł.  
- Są ze mną- zawołał Deudermont do Pellmana. - To jest Wulfgar- spojrział na barbarzyńcę i mrugnął okiem, a potem powtórzył opis Pellmana: - Silny jak mała kto, przycumował do nabrzeża!  
Deudermont podprowadził ich do relingu.  
- Jeśli będziecie mieli jakieś kłopoty, zrobię wszystko, co tylko będę mógł, żeby was z nich wydostać - powiedział cicho. -Możemy też czekać w porcie co najmniej dwa tygodnie, j eśli zaśłaby taka potrzeba.  
- Ponownie dziękujemy - odparł Drizzt. - Naprawdę Orlpar z Waterdeep znalazł nam dobry statek.  
- Nie wymawiaj imienia tego psa - odparł Deudermont. - Rzadko miewam tak szezęśliwe zakończenie w prowadzonych z nim interesach! A więc żegnaj. Możecie spać na statku, jeśli chcecie.  
Drizzt i Wulfgar podeszli ostrożnie do kapitana portu, Wulfgar na przedzie, Drizzt z tyłu - szukając oznak zasadzki.  
- Jesteśmy tymi, których szukasz - powiedział z powagą Wulfgar, górując nad kapitanem.  
- Witajcie - powiedział Pellman z rozbrajającym uśmiechem. Pogrzebał w swojej torbie. - Spotkałem waszego towarzysza -wyjaśnił. - Ponurego mężczyznę z lokajem halflingiem.



\* 92 «

\*93 «

R. A. SALVATORE

Drizzt podszedł do Wulfgara i obaj wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Zostawił to - kontynuował Pellman wyciągając do Wulfgara niewielki woreczek. - Prosił mnie też, abym wam przekazał, że będzie oczekiwał waszego przybycia w Calimporcie.

Wulfgar z wahaniem wziął woreczek, jakby podejrzewał, że wybuchnie mu w twarz.

- Dziękujemy - powiedział Drizzt do Pellmana. - Powiemy naszemu koledze, że doskonale wypełniłeś swoje zadanie.

Pellman skinął głową i uklonił się. Odwrócił się, aby odejść do swych obowiązków, lecz najpierw - stwierdził nagle - musiał wypełnić jeszcze jedną misję, podświadomy rozkaz, któremu nie mógł się oprzeć. Postępując według rozkazu Entreriego, kapitan portu wyszedł z doków i skierował się w stronę górnej części miasta.

Do domu Oberona.

Drizzt odprowadził Wulfgara na bok, z dala od ciekawych spojrzeń. Widząc zaniepokojony wzrok przyjaciela, wziął woreczek i z werwą rozwiązał zamykającego tasiemkę, trzymając na wszelki wypadek z dala od siebie. Wzruszywszy ramionami cofnął się ostrożnie o krok, opuścił woreczek do poziomu pasa i zajrzał do wnętrza.

Wulfgar podszedł bliżej, ciekawy, ale i zatroskany tym, że ramiona Drizzta opadły. Drów spojrział na niego z bezsilną rezygnacją i odwrócił woreczek, pokazując jego zawartość.

Palec halflinga.

« Część 2 «•

Sprzymierzeńcy

\* 94 \*

UlrRuszertfA

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był zupełny brak wiatru. Leżał długie godziny na swej półce u szczytu komina i przez cały czas, nawet w swym półprzytomnym stanie, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nieustannie wieje wiatr. Wrócił w myślach do Doliny Lodowego Wichru, swego domu od prawie dwóch stuleci.

Bruenor nie znalazł ukojenia w beznadziejnym jęku nawałnicy, nieustannym przypomnieniu swego kłopotliwego położenia i ostatniego dźwięku, jak myślał, że usłyszy. Lecz teraz już go nie było. Ciszę zakłócało jedynie trzaskanie pobliskiego ognia. Bruenor podniósł ciężką powiekę i patrzył pusto w płomienie, usiłując ocenić swój stan i dostrzec otoczenie. Było mu ciepło i wygodnie, ramiona miał otulone grubą kołdrą. Był w jakimś pomieszczeniu, bo ogień płonął w piecu - nie było to ognisko obozowe.

Oczy Bruenora powędrowały obok pieca i skupiły się na ułożonym w stos ekwipunku.

Jego ekwipunku!

Jednorożni hełm, sejmitar Drizzta, mithrilowa zbroja i jego nowy topór bojowy, a także lśniąca

tarcza. Leżał wyciągnięty pod kołdrą odziany tylko w jedwabną nocną koszulę. Poczuvszy się nagle bardzo bezbronnym, Bruenor oparł się na łokciach. Przetoczyły się nad nim fale ciemności, posyłając myśli w wir, zachciało mu się wymiotować. Opadł ciężko na plecy. Odzyskał wzrok na chwilę wystarczająco długą aby zauważyć postać wysokiej i pięknej kobiety, klęczącej obok niego. Jej długie, błyszczące srebrem w świetle ognia włosy opadały na twarz.

- Jad pająka - powiedziała cicho. - Powinien zabić wszystko, z wyjątkiem krasnoluda.

9 97 \*

R. A. SALVATORE

Potem była tylko ciemność.

\* \* \*

Odzyskał przytomność kilka godzin później, mocniejszy, ale i bardziej zaniepokojony. Usiłując nie poruszyć się i nie zwrócić na siebie uwagi, na wpół otworzył jedno oko i rozejrzał się - najpierw odszukał stosik. Zadowolony, że cały jego ekwipunek jest na miejscu, powoli odwrócił głowę. Był w małym pomieszczeniu, najwidoczniej jakiejś jednoizbowej budowli, gdyż na zewnątrz wydawały się prowadzić jedyne drzwi. Kobieta, którą widział wcześniej - choć nie był pewien, aż do teraz, czy nie był to tylko sen - stała obok drzwi, wyglądając na nocne niebo przez jedyne okno pomieszczenia. Jej włosy były naprawdę srebrne. Bruenor wiedział, że ich kolor nie był iluzją wywołaną przez grę światła płomieni, lecz nie była to też srebrość spowodowana wiekiem - lśniąca grzywa jaśniała drgającym życiem.

- Przepraszam cię, o piękna pani - zacharzał krasnolud, głos łamał mu się przy każdej sylabie.

Kobieta odwróciła się i spojrzała nań z ciekawością.

- Mógłbym dostać coś do jedzenia? - zapytał Bruenor, nigdy nie mieszając priorytetów swego jestestwa.

Kobieta pospiesznie przeszła przez pokój i pomogła Brueno-rowi usiąść. Krasnoluda znów ogarnęła fala ciemności, lecz udało mu się ją odpędzić.

- Tylko krasnolud! - mruknęła kobieta, zdumiona tym, że Bruenor przeszedł próbę,

Bruenor podniósł głowę.

- Znam cię, pani, lecz nie mogę w myślach odszukać twego imienia.

- To nieważne - odparła kobieta. - Wiele przeszedłeś, Brue-norze Battlehammerze. -

Bruenor pochylił głowę na dźwięk swego imienia, lecz kobieta uspokoiła go i mówiła dalej. -

Opatrzyłam twoje rany najlepiej jak mogłam, choć bałam się, że dotarłam do ciebie zbyt późno, by móc zniweczyć działanie trucizny pająka.

Bruenor spojrzał na zabandażowane przedramię, przeżywając ponownie te straszliwe chwile, gdy spotkał olbrzymiego pająka.

- Jak długo?

KLEJNOT HALFUNGA -

- Nie wiem jak długo leżałeś na wyłamanej kracie - odparła kobieta. - Lecz tutaj odpoczywasz ponad trzy dni... Chyba zbyt długo, aby podobało się to twemu żołądkowi! Przygotuję coś do jedzenia.

- Gdzie jestem? Uśmiech kobiety uspokoił go.

- Na polanie, niedaleko od kraty. Bałam się ciebie ruszać. Bruenor nie zrozumiał.

- W twoim domu?

- Och, nie - roześmiała się kobieta wstając od jego leżyska. -

To taka kreacja i to tymczasowa. Zniknie o świcie, jeśli poczujesz się na tyle silny, aby móc wędrować.

Aluzj a dotycząca magii pobudziła wspomnienie.

- Jesteś Panią Silverymoon! - rzekł nagle Bruenor.

- Clearmoon Alustriel - powiedziała kobieta z grzecznym ukłonem. - Witaj, szlachetny Królu.

- Król?! - powtórzył z obrzydzeniem Bruenor. - Przecież me włości opanowane zostały przez szumowiny.

- Zobaczmy - powiedziała Alustriel.

Lecz Bruenor nie słuchał jej. Nie myślał o Mithrilowej Hali, lecz o Drizzcie, Wulfgarze i Regisie, a szczególnie o Catti-brie, radości swego życia.

- Moi przyjaciele -jęknął błagalnie do kobiety. - Wiesz coś o moich przyjaciółach?

- Odpoczywaj - odparła Alustriel. - Uciekli z kopalń, wszyscy.

- Nawet drów?

Alustriel skinęła głową.

- Drizztowi Do'Urdenowi nie jest sądzone umrzeć w domu swego najdroższego przyjaciela.

Znajomość Alustriel z Drizztem wyzwoliła u krasnoluda inne wspomnienia.

- Spotkałeś się z nim wcześniej - powiedział. - Gdy wędrowaliśmy do Mithrilowej Hali. Wskazałaś nam drogę. Stąd znasz moje imię.

- I wiedziałam, gdzie cię szukać - dodała Alustriel. - Twoi przyjaciele myślą, że nie żyjesz, ku swemu nieutulonemu żalowi. Lecz ja jestem pewnego rodzaju wrózką i mogę rozmawiać ze światami, które często przynoszą zaskakujące rewelacje. Gdy widmo Mor-

\* 98 «

\* 99 \*

R. A. SALVATORE

kai'a, dawnego towarzysza, który zszedł z tego świata przed kilku laty, pokazało mi obraz nieprzytomnego krasnoluda, tkwiącego do połowy w dziurze na zboczach góry, poznałam prawdę o losie Brue-nora Battlehammera. Miałam tylko nadzieję, że nie będzie za późno.

- Ba! Gotowy jak zawsze! - obraził się Bruenor, uderzając się pięścią w pierś. Gdy przesunął ciężar swego ciała, poczuł kłujący ból w siedzeniu i skrzywił się.

- Strzała z kuszy - wyjaśniła Alustriel.

Bruenor pomyślał przez chwilę. Nie przypominał sobie, aby został trafiony, choć wspomnienia ucieczki z podziemnego miasta miał zupełnie wyraźne. Wzruszył ramionami i przypisał to zaślepieniu szalem bitewnym.

- Więc jedna z tych szarych szumowin trafiła mnie... - zaczął mówić, lecz nagle zaczerwienił się i spuścił oczy na myśl, że ta kobieta wyjmowała mu strzałę z zadka. Alustriel była na tyle delikatna, że od razu zmieniła temat.

- Zjedz i odpocznij - poleciła. - Twoi przyjaciele są bezpieczni... jak dotąd.

- Gdzie...

Alustriel przerwała mu wyciągnawszy dłoń.'

- Moja wiedza w tym względzie nie jest wystarczająca - wyjaśniła. - Wkrótce powinienś znaleźć odpowiedzi na swe pytania.

Rankiem zabiorę cię do Longsaddle i Catti-brie. Będzie mogła ci powiedzieć więcej niż ja.

Bruenor chciał udać się natychmiast do dziewczyny, którą znalazł w ruinach wioski zniszczonej w czasie najazdu goblinów i wychował jak swojocórkę, móc wziąć ją w ramiona i powiedzieć jej, że wszystko jest w porządku. Przypomniawszy sobie jednak, że w istocie wcześniej spodziewał się już nigdy nie zobaczyć Catti-brie i mógł cierpieć jeszcze przez jedną noc.

Wszystkie obawy odpłynęły w spokoju snu, który nadszedł w ciągu niewielu minut po posiłku. Alustriel czuwała nad nim, dopóki pełne zadowolenia chrapanie nie wypełniło magicznego schronienia.

Zadowolona z tego, że tylko zdrowy sen może wywoływać tak głośne odgłosy, Pani Silverymoon oparła się o ścianę i zamknęła oczy. To były trzy długie dni.

\* 100 «

## KLEJNOT HALFUNGA

\* \* \*

Bruenor przyglądał się zdumiony, jak z pierwszymi promieniami świtu budowla wokół niego znika, jakby ciemność nocy użyczyła swej materii do jej konstrukcji. Odwrócił się do Alustriel, aby coś powiedzieć, lecz zobaczył ją rzucającą właśnie zaklęcie, zwróconą twarzą do różowiejącego nieba i wyciągającą rękę tak, jakby chciała pochwycić promienie słońca.

Zacisnęła dłonie i podniosła je do ust, szepcząc do nich zaklęcie. Potem wyrzuciła pochwyczone światło przed siebie, wykrzykując końcowe słowa zaklęcia:

- Konie, zapłońcie!

Błyszcząca kula czerwieni uderzyła w kamień i wybuchła fajerwerkiem płomieni, tworząc prawie natychmiast płonący wóz i dwa konie. Ich obrazy tańczyły wraz z ogniem, który dał im postać, lecz nie paliły ziemi.

- Pozbieraj swoje rzeczy - poleciła Pani Bruenorowi. - Czas odjeżdżać.

Bruenor stał bez ruchu jeszcze przez chwilę. Nigdy nie nauczył się aprobować magii, z wyjątkiem tej, która wzmacniała broń lub zbroję, lecz nigdy też nie zaprzeczał jej użyteczności. Pozbierał swój ekwipunek, nie troszcząc się o nałożenie zbroi czy tarczy i dołączył do Alustriel za wozem. Wszedł za nią, jakoś niechętnie, lecz wóz nie parzył i był równie twardy jak drewniany. Alustriel wzięła ogniste lejce w swe szczupłe dłonie i cmoknęła na konie. Jedno odbicie podniosło ich w poranne niebo, omijając masyw góry konie pogalopowały na zachód, a potem na południe.

Oślupiały krasnolud złożył skromny ekwipunek u swych stóp, przycisnął podbródek do piersi i zacisnął dłonie na burcie wozu. Góry przetaczały się pod nim; zauważył ruiny Settlestone, prastarego miasta karłów - teraz, daleko w dole i tylko w sekundę później, daleko za nim. Wóz gnał nad otwartymi stepami i skręcił na zachód wzdłuż północnej granicy Trollmoors. Bruenor odprężył się na tyle, aby splunąć przekleństwem, gdy unosili się nad miastem Nesme, przypomniawszy sobie niezbyt gościnne przyjęcie, jakiego doznał wraz z przyjacielami ze strony tamtejszego patrolu. Przelecieli nad dorzeczem Dessarin, lśniącego węża wi-

\* 101 \*

R. A. SALVATORE

jącego się wśród pól. Bruenor dostrzegł na północy duże obozowisko barbarzyńców. Alustriel skręciła swym ognistym wozem znów na południe i po kilku minutach pojawiła się słynna Bluszczowa Posiadłość na Wzgórzu Harpellów, w pobliżu Longsaddle. Na szczycie wzgórza zgromadził się tłum zaciekawionych czarodziejów, przyglądając się zbliżającemu się pojazdowi, ciesząc się przy tym smętnie - w próbie zachowania pozorów godności, jak zawsze, gdy Pani Alustriel zaszczycała ich swoją obecnością. Jedna twarz w tłumie zblęśniała, gdy ukazała się ruda broda, długi nos i jednorogi hełm Bruenora Battlehammera.

-Ale... ty... hmm... spadłeś... na śmierć - wyjąkał Harkle Harpell, gdy Bruenor zeskoczył z wozu.

- Mnie także miło cię widzieć - odparł Bruenor, odziany tylko w nocną koszulę i hełm. Zebrał swój ekwipunek z wozu i rzucił go na stos u stóp Harkle'a. - Gdzie moja córka?

-Tak, tak... dziewczyna... Catti-brie... och, gdzie ona jest? Och, tu - mamrotał, nerwowo bębniąc palcami jednej ręki po dolnej wardze. - Chodź, tak chodź! - chwycił Bruenora za rękę i pomknął wraz z krasnoludem do Bluszczowej Posiadłości.

Zastali Catti-brie, która dopiero co wstała z łóżka, odzianą w puszystą szatę, idącą długim korytarzem. Oczy młodej kobiety otworzyły się szeroko, gdy zobaczyła biegnącego do niej Bruenora, upuściła ręcznik, który trzymała w dłoniach; ramiona opa-dły jej bezsilnie wzdłuż boków. Bruenor zanurzył swą brodę w jej twarz, obejmując ją w pasie tak mocno, że pozbawił ją tchu. Gdy tylko przysła do siebie po początkowym szoku, oddała uścisk dziesięciokrotnie.

- Moje modlitwy - wyjąkała, w jej głosie drżało łkanie. - Na bogów, myślałam, że zginąłeś! Bruenor nie odpowiedział, usiłując pozostać opanowanym. Jego łzy wsiąkały w szatę Catti-brie, czuł na plecach oczy tłumy Harpellów. Otworzył drzwi obok siebie, zaskakując tym na wpół ubranego Harpella.

- Przepraa... - zaczął czarodziej, lecz Bruenor chwycił go za ramię i wyciągnął na korytarz, wprowadzając jednocześnie Catti-brie do pokoju. Drzwi zatrzasnęły się przed nosem czarodzieja.  
\*102 \*

KLEJNOT HALFUNGA

ja, gdy ten odwrócił się z powrotem w stronę swego pokoju. Popatrzył bezsilnie na zgromadzoną rodzinę, lecz ich szerokie uśmiechy i radość, która nagle znalazła swe ujście powiedziały mu, że u nich nie znajdzie wsparcia. Wzruszywszy więc ramionami ruszył do swych porannych zajęć, jakby nic niezwykłego się nie stało.

Po raz pierwszy Catti-brie widziała krasnoluda naprawdę płaczącego. Bruenor nie troszczył się o to i nie uczynił niczego, aby zapobiec tej scenie.

- Moje modlitwy także - szepnął swej ukochanej córce, ludzkiemu dziecku, które przycisnął jak swe własne więcej niż piętnaście lat temu.

- Gdybyśmy wiedzieli - zaczęła Catti-brie, lecz Bruenor położył delikatnie palec na jej ustach, aby ją uciszyć. To nie było ważne; wiedział, że Catti-brie i pozostali nigdy by go nie opuścili, gdyby mieli chociażby cień nadziei na to, że żyje.

- Sam nie wiedziałem, jak przeżyłem - odparł krasnolud. -Ogień nie dotknął mojej skóry - wzdrygnął się na wspomnienie tego tygodnia spędzonego samotnie w kopalniach Milhrilowej Hali. -Nie mówmy już o tym miejscu-błagał. -To już jest poza mną. I niech za mną zostanie! Catti-brie, wiedząc o zbliżaniu się armii mających na celu odzyskanie ojczyzny krasnoludów, chciała potrząsnąć głową, ale Bruenor nie zauważył tego ruchu.

- Co z moimi przyjaciółmi? - zapytał młodą kobietę. - Widziałem oczy drowa, gdy spadałem.

- Drizzt żyje - odparła Catti-brie - podobnie jak i morderca, który porwał Regisa. Wspiął się na półkę w chwili, gdy spadłeś i wprowadził małego.

- Pasibrzucha? - sapnął Bruenor.

- Tak, jak również kota drowa.

-Nie zginął...

- Sądzę, że nie - szybko odparła Catti-brie. - Jeszcze nie. Drizzt i Wulfgar podążają za tym szatanem na południe, wiedząc, że zmierza do Calimportu.

- Długa droga - mruknął Bruenor. Spojrzał na Catti-brie zmieszany. - Myślałem, że będziesz z nimi.

9 103 \*

## R. A. SALVATORE

- Mam swoją drogę - odparła Catti-brie, jej twarz nagle spoważniała. - Dług do spłacenia.

Bruenor natychmiast zrozumiał.

- Mithrilowa Hala? - wykrztusił. - Zamierzasz tam powrócić, pomścić mnie?

Catti-brie skinęła głową nie mrugnawszy okiem.

- Jesteś szalona, dziewczyno! - powiedział Bruenor. - Drów pozwolił ci iść tam samej?

- Samej? - powtórzyła Catti-brie. Nadszedł czas, żeby prawowity król dowiedział się wszystkiego. -Nie, ani nie chcę tak głupio zakończyć mego życia. Setki twoich ludzi maszerują tam z północy i z zachodu. A z nimi znaczna liczba ludzi ze szczepu Wulfgara.

- To nie wystarczy - odparł Bruenor. - Kopalnie trzyma armia tych szumowin, duergarów.

- Dalsze osiem tysięcy z Cytadeli Adbar na północ i na wschód - kontynuowała z powagą Catti-brie. - Król krasnoludów z Adbaru, Harbromm, powiedział, że chce widzieć kopalnie znowu wolne! Nawet Harpellowie obiecali swą pomoc.

Bruenor zobaczył w myślach zbliżające się armie: czarodziejów, barbarzyńców i toczącą się lawinę krasnoludów - z Catti-brie na czele. Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. Spojrzał na swoją córkę z czymś więcej niż zauważalnym respektem, jaki zawsze jej okazywał, jego oczy znów były wilgotne od łez.

- Nie pokonają mnie - warknęła Catti-brie. - Chcę zobaczyć twą twarz wyrzeźbioną Hali Królów i zamierzam umieścić twe imię na właściwym miejscu, w miejscu chwały!

Bruenor przyciągnął ją bliżej i uściśnął z całej siły. Ze wszystkich płaszczy i wawrzynów, które znalazł w minionych latach i jakie będzie mógł znaleźć w latach, które dopiero nadejdą, żaden nie pasowałby tak doskonale i nie błogosławiłby go tak, jak „Ojciec”.

\* \* \*

Bruenor stał tego wieczoru samotnie na południowym stoku Wzgórza Harpellów, przyglądając się jak znikają ostatnie barwy na zachodnim niebie i pustce rozległych równin na południu. Jego myśli były przy przyjaciółach, szczególnie przy Regisie - Pasi-

## KLEJNOT HALFUNGA

brzuchu, kłopotliwym halflingu, który niezaprzeczalnie znalazł miękki kącik w twardym jak kamień sercu krasnoluda. Drizzt był doskonały - Drizzt był zawsze doskonały - a wraz z potężnym Wulfgarem u boku mógłby pokonać całą armię. Ale Regis...

Bruenor nigdy nie wątpił, że beztrudny sposób życia halflinga, nie zważającego na innych, z na wpół usprawiedliwiającym, na wpół zdumionym wzruszeniem ramion, ostatecznie pograży go w

bloto zbyt głębokie dla jego krótkich nóżek, aby mógł się z niego wydobyć. Pasibrzuch był głupcem, kradnąc rubinowy wisiołek swemu mistrzowi gildii. Lecz „same zasługi” nie mogły rozproszyć żalu krasnoluda za przyjacielem halflingiem, ani złości Bru-enora spowodowanej tym, że nie mógł mu przyjść z pomocą. W jego położeniu jego miejsce było tutaj - powinien poprowadzić gromadzące się armie do zwycięstwa i chwały, miażdżąc duergarów i przynosząc ponownie czas prosperity dla Mithrilo-wej Hali. Jego nowe królestwo powinno być przedmiotem zazdrości całej Północy, wyroby, rywalizujące z dziełami dawnych dni powinny wypływać na szlaki handlowe całych Krain.

To było jego marzeniem, celem jego życia od tego straszliwego dnia, prawie dwa stulecia temu, gdy Klan Battlehammer został nieomal starty z powierzchni ziemi, a ci nieliczni, którzy przeżyli - w większości dzieci - zostali wygnani ze swej ojczyzny do skromnych kopalń Doliny Lodowego Wichru. Marzenie życia Bruenora powróciło, lecz jakże puste wydawało mu się teraz, gdy jego przyjaciele zaangażowani byli w desperacką pogoń przez całe Południe.

Ostatnie światło zgasło na niebie, gwiazdy obudziły się do życia.

Noc, pomyślał Bruenor lekko uspokojony.

Czas drowa.

Pierwsze załamki uśmiechu znikły jednak tak szybko, jak się pojawiły, gdy Bruenor zaczął widzieć zapadającą ciemność z innej perspektywy.

- Noc - szepnął głośno.

Czas mordercy.

\* 104 \*

9 105 \*

## PROSCA, BRAZOUOA S2ACA

Wysmukła, drewniana budowla na końcu Kręgu Łajdaków wydawała się wyjątkowo skromna, nawet jak na chylącą się ku upadkowi dzielnicę rozległego miasta Calimport. Budynek miał kilka okien, wszystkie zamykane okiennicami lub zakratowane, nie posiadał też żadnych tarasów, czy balkonów. Podobnie nie identyfikował budynku żaden szyld ani nawet numer na drzwiach, lecz wszyscy w mieście znali ten dom i wyróżniali go doskonale, gdyż za okutymi żelazem drzwiami sceneria dramatycznie się zmieniała. Podczas gdy strona zewnętrzna prezentowała tylko zniszczony przez pogodę brąz starego drewna, wewnątrz ukazywało miriady jasnych barw i tapet, grubo tkanych dywanów i posągów ze szczerego złota. Była to gildia złodziei, rywalizująca pięknem i bogactwem z samym władcą Calimshanu.

Nad poziomem ulicy wznosiły się trzy piętra, poniżej kryły się jeszcze dwa piętra piwnic.

Najwyższe piętro było najwspanialsze, z pięcioma pomieszczeniami - ośmiokątnym centralnym hallem i czterema przedpokojami - wszystkie przeznaczone były dla wygody jednego tylko człowieka: Pashy Pooka. Był mistrzem gildii, architektem powikłanej sieci złodziei. Był też pierwszym, który cieszył się łupami pracowników jego gildii.

Pook przechadzał się po centralnym pomieszczeniu najwyższego piętra, przystając za każdym nawrotem, aby pogłaskać lśniące futro lamparta leżącego obok jego wielkiego krzesła. Na okrągłej twarzy mistrza gildii malował się obcy jej zazwyczaj niepokój. Pasha, w przerwach między pieszczotami swego egzotycznego ulubieńca, kręcił nerwowo palcami młynka. Szaty, w

które był ubrany, zrobione były z najdelikatniejszego je-  
\* 106 «

#### KLEJNOT HALFUNGA

dwabiu, lecz prócz broszki spinającej ich fałdy Pook nie nosił żadnych klejnotów, tak zwykłych wśród innych o jego pozycji - i tylko jego zęby błyszcząły czystym złotem. Prawdę mówiąc, wydawał się być zmniejszoną o połowę wersją jego czterech eunuchów, olbrzymów ze wzgórz, trzymających straż pod ścianami pomieszczenia; niepozorna postać, jak na elokwentnego mistrza gildii, który rzucał na kolana sułtanów i sprawiał, że najsilniejsi z łotrzyków grasujących na ulicach kryli się w najciemniejszych dziurach.

Pook omal nie podskoczył, gdy u głównych drzwi komnaty rozległo się głośnie pukanie. Wahał się przez długą chwilę, zastanawiając się, czy doprowadził już czekającego do stanu śmierci klinicznej ze strachu - w istocie jednak potrzebował czasu, aby samemu się opanować. Potem skinął na jednego ze swych eunuchów i podszedł do bogatego tronu, stojącego na podniesionej platformie naprzeciw drzwi i znów położył rękę na swym rozpieszczonym kocie.

Wszedł chudy wojownik, jego cienki rapier tańczył buńczucznie w takt pewnych kroków.

Odziany był w zebraną przy szyi czarną pelerynę, swobodnie powiewającą mu za plecami. Miał gęste i kręcone brązowe włosy, jego szaty były ciemne i gładkie, poprzecinane pasami i rzemieniami, na których wisiały sakiewki lub sztylety w pochwach, czy też jakaś inna niezwykła broń. Jego wysokie skórzane buty, znoszone ponad wszelkie wyobrażenie, nie wydawały żadnego dźwięku, gdy szedł.

- Witaj, Pook - powiedział poufale.

Na jego widok oczy Pooka zwięzły się natychmiast.

- Rassiter - odparł szczurołakowi.

Rassiter podszedł do tronu i skłonił się bez entuzjazmu, rzuciwszy leżącemu lampartowi złowrogie spojrzenie. Błysnąwszy uśmiechem zepsutych zębów, wskazującym na jego urocze pochodzenie, postawił jedną stopę na krześle i pochylił się nisko, aby mistrz gildii mógł poczuć jego gorący oddech.

Pook, z uśmiechem, który nawet nieokrzesany Rassiter uznał za zbyt rozbijający, spojrzał na zakurzony but postawiony na jego pięknym krześle, a potem z powrotem na mężczyznę.

Stwierdziwszy, że mógł posunąć się z poufałościami w stosunku do part-

◆ 107 «

#### R. A. SALVATORE

nera zbyt daleko, Rassiter zdjął stopę z krzesła i comął się o kroki? Uśmiech Pooka zniknął, lecz było widać, że jest zadowolony.

- Zrobione? - zapytał go.

Rassiter zatoczył koło i omal nie roześmiał się w głos.

- Oczywiście - odparł i wyciągnął z sakiewki naszyjnik z pereł.

Pook zachmurzył się na ten widok, choć chytry wojownik spodziewał się tego wyrazu.

- Musisz zabijać ich wszystkich? - syknął mistrz gildii. Rassiter wzruszył ramionami i położył naszyjnik.

- Powiedziałeś, że chcesz, aby ją usunąć. Została usunięta. Pook zacisnął ręce na poręczach tronu.

- Powiedziałem, żeby usunąć jąz ulic do czasu, gdy praca zostanie ukończona.



- Wiedziała za dużo - odparł Rassiter, oglądając swe paznokcie.
- Była wartościową dziewczuchą - powiedział Pook, znów się kontrolując. Niewielu ludzi było w stanie rozzłościć Pooka, a jeszcze mniej mogło opuścić ten pokój żywymi.
- Jedna z tysięcy - roześmiał się chudy wojownik.

Otworzyły się inne drzwi i wszedł starszy mężczyzna, jego purpurowe szaty oblamowane były złotymi gwiazdami i księżycami, a ogromny diament zdobił jego wysoki turban.

- Muszę się widzieć... Pook spojrział nań z ukosa.
- Nie teraz, LaValle. -Ależ Mistrzu... Oczy Pooka znów zwięzły się niebezpiecznie, idąc w ślad za

złym grymasem zaciśniętych warg. Starzec uklonił się usprawiedliwiająco i zniknął za drzwiami, zamknawszyje za sobą ostrożnie i cicho. Rassiter roześmiał się na ten widok.

- Dobra robota!

9 108 «

- Powinieneś się nauczyć manier od LaValle'a - powiedział Pook.
- Daj spokój, Pook, jesteśmy partnerami - odparł Rassiter. Podskoczył do jednego z dwu okien pokoju, tego, które patrzyło na południe, na port i szeroki ocean. - Tej nocy księżyc będzie w pełni - powiedział podniecony, odwracając się do

#### KLEJNOT HALFUNGA

Pooka. - Powinieneś dołączyć do nas, Pasho! Będzie wielkie święto!

Pook wzdrygnął się na samą myśl o makabrycznym stole, jaki zamierzali zastawić Rassiter i jego kumple szczurołaki. Może dziewczucha jeszcze nie jest martwa...

Otrząsnął się z tych myśli.

- Obawiam się, że muszę ci odmówić - powiedział cicho.

Rassiter rozumiał obrzydzenie Pooka, ale mimo to celowo go kusił. Tańcząc podbiegł z powrotem i postawił stopę na tronie znów prezentując Pookowi swój śmierzący oddech.

- Nie wiesz, co tracisz - powiedział. - Ale wybór należy do ciebie, taki był nasz układ - odwrócił się i uklonił nisko. - Ty jesteś panem.

-Układ, który dobrze służy tobiei nam-przypomniałmuPook. Rassiter rozłożył szeroko dłonie, a potem klasnął w nie.

- Nie przeczę, że moja gildia ma się znacznie lepiej od czasu, gdy nas dopuściłeś do interesu - znów się uklonił. - Wybacz mi zuchwalstwo, mój drogi przyjacielu, lecz z trudem mogę powstrzymać się od radości. A tej nocy księżyc będzie w pełni.

- Więc idź na swoje święto, Rassiterze.

Chudy mężczyzna znowu się skłonił, raz jeszcze obrzuciwszy nieprzyjemnym wzrokiem lamparta, i wyskoczył z pokoju. Gdy drzwi się zamknęły, Pook przeciągnął palcami po swych brwiach i po stylowo uczesanych resztkach tego, co kiedyś było gęstymi splotami czarnych włosów. Potem położył podbródek na pulchnej dłoni i roześmiał się z powodu przykrości, jaką odczuwał mając do czynienia z Rassiterem, szczurołakiem.

Spojrzął na drzwi do haremu, zastanawiając się, czy nie byłoby dobrze oderwać myśli od swego towarzysza, lecz przypomniał sobie LaValle'a. Czarnoksiężnik nie niepokoiłby go ot tak -z pewnością wtedy, gdy Rassiter był w komnacie - gdyby jego nowiny nie były wystarczająco ważne. Podrapał po brodzie swego ulubieńca i ruszył przez pokój w stronę południowo-wschodnich drzwi, do słabo oświetlonych kwater czarnoksiężnika.

LaValle, uważnie patrząc w swą kryształową kulę, nie zauważył jego wejścia. Nie chcąc przeszkadzać czarnoksiężnikowi, Pook cicho usiadł na krześle po przeciwnej stronie małego stołu i czekał,

\* 109 \*

R. A. SALVATORE

bawiąc się przyglądaniem dziwnym zniekształceniom w kryształowej kuli rzadkiej, szarej brody LaValle'a, gdy czarnoksiężnik poruszał głowę. W końcu LaValle spojrzał w górę. Widział wyraźnie linie napięcia na twarzy Pooka, co nie było niczym niezwykłym po wizycie szczurołaka. - A więc, zabili ją? - zapytał, z góry znając odpowiedź.

- Gardzę nim - powiedział Pook. LaValle pokiwał głową zgadzając się.

- Lecz nie możesz wyrzec się siły, jaką dał ci Rassiter. Czarnoksiężnik mówił prawdę. W ciągu tych dwóch lat, odkąd

Pook sprzymierzył się ze szczurołakami, jego gildia stała się wiodącą i najpotężniejszą organizacją w mieście. Mógł żyć doskonale tylko z dziesięciny, jaką kupcy portowi płacili mu za ochronę - ze swej własnej gildii. Nawet kapitanowie wielu odwiedzających port statków kupieckich byli na tyle rozsądni, że nie odwracali się od poborców Pooka, gdy spotykali ich w dokach.

Ci zaś, którzy nie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, dowiadywali się szybko.

Nie, Pook nie mógł nie doceniać korzyści płynących z działań Rassitera i jego towarzyszy, lecz mistrz gildii nie lubił tych wstrętnych likantropów, ludzi w dzień, a czegoś bestialskiego - pół-szczurów i półludzi - w nocy. Nie podobały mu się też sposoby, w jakie załatwiali swe interesy.

- Dość już o nim - powiedział Pook, kładąc ręce na pluszowym, czarnym obrusie. - Jestem przekonany, że powinienem spędzić kilka godzin w haremie, aby przyjść do siebie po tym spotkaniu - uśmiech wskazywał, że myśl ta nie sprawiała mu przykrości. - Czego chciałeś? Na twarzy czarnoksiężnika pojawił się szeroki uśmiech. - Rozmawiałem dzisiaj z Oberonem we Wrotach Baldura - powiedział z pewną dumą w głosie. - Dowiedziałem się czegoś, co może pomóc ci zapomnieć o całej rozmowie z Rassiterem.

Pook czekał z zaciekawieniem, pozwalając czarnoksiężnikowi odegrać swe przedstawienie. LaValle był doskonałym i wiernym pomocnikiem, najbliższym tego, kogo mistrz gildii mógłby nazwać swym przyjacielem.

- Wraca twój morderca! - oznajmił nagle LaValle.

\* 110 «

KLEJNOT HALFUNGA

Przemyslenie znaczenia słów czarnoksiężnika, a zwłaszcza tego, co za sobą pociągały, zabrało Pookowi kilka chwil. A gdy wreszcie dotarły do niego w swej pełni - aż podskoczył na krześle.

- Entreri? - sapnął.

LaValle pokiwał głową omal nie roześmiał się na głos.

Pook przeciągnął ręką po twarzy. Trzy lata. Entreri, najbardziej śmiertelny ze śmiertelnych, wraca do niego po trzech długich latach. Spojrzał z ciekawością na czarnoksiężnika.

- Ma halflinga - odparł LaValle na nie zadane pytanie.

Twarz Pooka rozjaśniła się szerokim uśmiechem. Pochylił się do przodu z niecierpliwością, złote zęby zaślniły w świetle świecy. LaValle naprawdę był szczęśliwy, mogąc zadowolić swego mistrza gildii przyniesieniem mu nowin, na które czekał tak długo. - 1 rubinowy wisiołek! - oznajmił czarnoksiężnik, uderzając

pięściaw stół.

- Tak! - warknął Pook, wybuchając śmiechem. Jego klejnot, najcenniejsza rzecz, jaką posiadał. Z tymi niesamowitymi hipnotyzującymi mocami mógł osiągnąć jeszcze wyższy poziom prosperity i potęgi. Nie tylko mógłby dominować nad wszystkimi, z którymi się spotykał, lecz mógłby uczynić ich szczęśliwymi, że mogą tego doświadczać.

- Ach, Rassiterze - mruknął Pook, pomyślawszy nagle o przewadze, jaką osiągnie nad swym sprzymierzeńcem. - Nasze stosunki zmieniają się, mój gryzoniowaty przyjacielu.

- W jakim stopniu naprawdę go potrzebujesz? - zapytał LaValle.

Pook wzdrygnął się i spojrział w kąt pokoju, ku małej zasłonie.

Krąg Tarosa.

LaValle zbladł na myśl o tej rzeczy. Krąg Tarosa był potężną rzeczą, mogącą przemieścić swego właściciela przez plany istnienia. Lecz moc tego urządzenia nie była darmowa. Było z gruntu złe i za każdym, nieczęstym razem, gdy LaValle go używał, czuł, że jakaś część jego istoty zostaje wysysana, jakby Krąg Tarosa żywił się kradzioną mu siłą życiową. LaValle nienawidził Rassitera, lecz miał nadzieję, że mistrz gildii znajdzie lepsze rozwią-

9 111 «

. R. A. SALVATORE

zanie niż Krąg Tarosa. Czarnoksiężnik spojrział na Pooka i stwierdził, że i ten patrzy na niego. I

- Powiedz mi więcej! - zażądał Pook niecierpliwie. I LaValle wzruszył bezsilnie ramionami i położył rękę na kryształowej kuli. I

- Nie byłem w stanie zobaczyć ich osobiście - powiedział. - I Artemis Entreri zawsze potrafi umknąć mej śledzącej kuli, lecz i według słów Oberona nie są zbyt daleko. Żeglują po wodach na północ od Calimshanu, jeśli już nie w jego granicach. I lecą na i szybkim wietrze, Mistrzu. Tydzień lub dwa, nie więcej. I

- Regis jest z nim? - zapytał Pook. I

- Jest. i - Żywy? I

- Ma się doskonale - powiedział czarnoksiężnik. i

- Dobrze! - warknął Pook. Jak bardzo chciał zobaczyć znowu i zdradzieckiego halflinga! Zacisnąć swe pulchne dłonie wokół jego szyi! Gildia podupadała, odkąd Regis uciekł z magicznym wiśniakiem. Prawdę mówiąc, problem leżał w niepewności Pooka - i wynikającej z braku klejnotu, którego używał tak długo - ; w stosunkach z ludźmi i w obsesyjnej - acz kosztownej - pogoni mistrza gildii za halflingiem. Lecz według Pooka, wina leżała wyłącznie po stronie Regisa. Obwiniął halflinga nawet za przyzwanie z gildią szczurołaków, gdyby miał wisiołek, z pewnością nie potrzebowałby Rassitera.

Teraz wszystko z pewnością pójdzie ku lepszemu, Pook wiedział o tym. Posiadając wisiołek i panując nad szczurołakami, I może będzie mógł pomyśleć o rozszerzeniu swego panowania P poza Calimport, z zaczarowanymi towarzyszami i sprzymierzeńcami likantropami przewodzącymi gildiom na całym południu. ; Gdy Pook znów spojrział na niego, LaValle wydawał się być bardziej poważny.

- Jak sądzisz, co Entreri poczuje do naszych nowych sprzymierzeńców? - zapytał ponuro.

- Och, nie dowie się - powiedział Pook, zdając sobie sprawę z następstw. - Nie było go zbyt długo. Pomyślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami. - Mimo wszystko robią to samo. j Entreri powinien go zaakceptować. '

9112 ♦

## KLEJNOT HALFUNGA

- Rassiter niepokoi każdego z kim się spotka - przypomniał mu czarnoksiężnik. - Spodziewasz się, że przeciwstawi się Entreriemu?

Pook roześmiał się na tę myśl.

- Zapewniam cię, że Rassiter może sprzeciwić się Entreriemu tylko raz, przyjacielu.

-A potem zawrzesz układ z nowym przywódcą szczurołaków -parsknął LaValle. Pook klepnął go w ramię i skierował się ku drzwiom.

- Dowiedz się wszystkiego, czego będziesz mógł -poleciał czar noksiężnikowi. - Jeśli ich znajdziesz w swej kryształowej kuli, zwołaj mnie. Nie chcę czekać na możliwość rzucenia okiem na twarz Regisa, halflinga. Zawdzięczam mu tak wiele.

-A gdzie będziesz?

- W haremie - odparł Pook mrugnawszy okiem. - Napięcie i stresy, wiesz.

LaValle opadł znów na krzesło, gdy Pook wyszedł i ponownie rozważył skutki powrotu swego głównego rywala. Wiele zyskał od czasu, gdy Entreri odszedł, nawet przeniesienie się do tego pokoju na trzecim piętrze - jako główny asystent Pooka.

Ten pokój, pokój Entreriego.

Lecz czarnoksiężnik nigdy nie miał żadnych problemów z mordercą. Byli wygodnymi sprzymierzeńcami, jeśli nie przyjaciółmi, i w przeszłości wiele razy pomagali sobie wzajemnie. LaValle nie mógłby zliczyć, ile razy pokazał Entreriemu najkrótszą drogę do celu.

Powstała nieprzyjemna sytuacja z Mancasem Tiverosem, także magiem.

Mancas Potężny, jak nazywali go inni czarnoksiężnicy w Calimporcie, wyszydził go w czasie dyskusji dotyczącej źródeł pewnego zaklęcia. Obaj przypisywali sobie jego odkrycie i wszyscy oczekiwali, że wybuchnie nieoczekiwana wojna magów. Lecz Mancas nagle zniknął bez wyjaśnienia, pozostawiając notatkę stwierdzającą, że nie miał żadnego udziału w stworzeniu tego zaklęcia i całą zasługę przypisującą LaValle'owi. Mancasa • już od tej pory nie widziano - w Calimporcie, czy gdziekolwiek indziej.

9 113 \*

## R. A. SALVATORE

-Ach, dobrze - westchnął LaValle wracając do kryształowej kuli. Artemis Entreri był użyteczny. Drzwi do pokoju otworzyły się i Pook wsadził głowę.

- Wyślij przesłanie do gildii stolarzy - powiedział. - Powiedz im, że potrzebujemy natychmiast kilku zręcznych ludzi.

LaValle z niedowierzaniem przechylił głowę.

- Harem i skarbcę zostają - powiedział Pook, walcząc z frustracją spowodowaną niezdolnością czarnoksiężnika do dostrzeżenia logiki w jego poleceniu. - Z pewnością nie oddam też

mego pokoju!

LaValle nachmurzył się, powoli zaczął rozumieć.

-Nie mam też zamiaru powiedzieć Artemisowi Entreri, że nie może wrócić do swego pokoju - powiedział Pook. - Nie teraz, gdy tak doskonale spisał się ze swoją misją!

- Rozumiem - powiedział ponuro czarnoksiężnik, myśląc, że znów zostanie wyrzucony na niższe piętro.

- Należy więc wybudować szósty pokój - roześmiał się Pook, ciesząc się swą małą grą. - Między pokojem Entreriego a haremem - mrugnął znowu do swego wartościowego pomocnika. - Możesz go sam zaprojektować, mój drogi LaValle. I nie oszczędzaj na niczym! - trzasnął drzwiami i zniknął.

Czarnoksiężnik otarł wilgoć z oczu. Pook zawsze go zaskakiwał, lecz nigdy go nie rozczarował.

- Jesteś szczodrym mistrzem, mój Pasha Pooku - szepnął do pustego pokoju.

Pasha Pook był naprawdę doskonałym przywódcą, gdyż La-Valle wrócił do swej kryształowej kuli, z zaciśniętymi w determinacji zębami; znajdzie Entreriego i halflinga. Za nic nie rozczaruje swego hojnego mistrza.

\* 9 \*

Pędzony teraz prądami Chiontharu i wiatrem z północy, Duszek Morski z ogromną szybkością oddalał się od Wrót Baldura, rozsiewając biały prysznic bijącej w przeciwnym kierunku wody.

- Późnym popołudniem opuścimy Wybrzeże Mieczy - rzekł Deudermont do Drizzta i Wulfgara. - I dalej, bez lądu w zasięgu wzroku, aż dotrzemy do Kanału Asavira. Potem podróż na pół dnia wokół krawędzi świata i z powrotem na wschód, do Calimportu.

- Calimport - powtórzył, wskazując na nową flagę powiewającą na maszcie Duszka Morskiego: złote pole przecięte ukośnymi, niebieskimi liniami.

Drizzt spojrział podejrzliwie na Deudermonta, wiedząc, że nie jest to powszechna praktyka na żaglowcach.

- Płynęliśmy pod flagą Waterdeep na północ od Wrót Baldura - wyjaśnił kapitan. - Pod flagą Calimportu na południe.

- To przyjęta praktyka? - zapytał Drizzt.

- Dla tych, którzy znają cenę - roześmiał się Deudermont. - Waterdeep i Calimport rywalizują ze sobą, trwając upartej nienawiści. Chciałyby ze sobą handlować - mogłyby tylko zyskać na tym - ale nie zawsze pozwalają statkom noszącym banderę przeciwnika wpływać do swego portu.

- Głupia duma - zauważył Wulfgar, boleśnie przypominając sobie podobne praktyki swego klanu, jakie jeszcze miały miejsce kilka lat temu.

- Polityka - rzekł Deudermont wzruszając ramionami. - Ale lordowie obu miast w tajemnicy chcą utrzymywać stosunki handlowe i kilkadziesiąt statków utrzymuje takie połączenia. Duszek

R. A. SALVATORE

Morski ma dwa porty macierzyste i wszyscy czerpią wszelkie korzyści z takiego stanu rzeczy. - Dwa rynki dla kapitana Deudermonta - zauważył chytrze Drizzt. - Praktyczne. -I nadaje sens dobremu żeglowaniu - kontynuował uśmiech- \* nięty Deudermont. - Piraci grasujący na wodach na północ od f Wrót Baldurarespektująflagę Waterdeep ponad wszystkie inne, j a ci na południe stąd uważają, aby nie wzbudzić gniewu Calim- 4 portu i jego potężnej floty. Piraci wzdłuż Kanału Asavira pory- \. wająwiele statków kupieckich, a preferująnapady na takie, które ; noszą flagę mniej poważaną. i

-A ciebie nigdy nie atakowano? -Wulfgar nie mógł powstrzymać się od pytania, w jego głosie pobrzmiwał sarkazm, jakby nie mógł sobie wyobrazić, jak on mógłby zaaprobować takąprak- tykę.

- Nigdy? - powtórzył Deudermont. -Nie „nigdy”, lecz rzad ko. I w tych przypadkach, gdy piraci zbliżają się do nas, stawia my żagle i uciekamy. Niewiele statków może dogonić Duszka Morskiego, gdy ma żagle pełne wiatru.

-A jeśli cię pochwyca?

- To dlatego zapracowaliście sobie na przejazd - roześmiał się Deudermont. - Domyślam się, że broń, którą nosisz przy so bie mogłaby ostudzić zapał wielu piratów i wybić im z głowy ewentualnapogoń.

Wulfgar wyciągnął przed siebie Aegis-fang.

- Modłę się, żebym wystarczająco pojął ruchy statku przy takiej bitwie - powiedział. - Błędne machnięcie mogłoby wyrzucić mnie za burtę!

- Więc wal w burtę pirackiego statku - roześmiał się Drizzt -i skończ z nim!

\* \* \*

Z zaciemnionego pokoju w swej wieży we Wrotach Baldura, czarnoksiężnik Oberon przyglądał się żegludze Duszka Morskiego. Zajrzał głębiej w magiczną kryształową kulę, aby odszukać elfa i potężnego barbarzyńcę, stojących obok kapitana statku na pokładzie. Nie byli z tych stron, czarnoksiężnik wiedział o tym. Sądząc po ubraniu i kolorze skóry, barbarzyńca pochodził

\* 116 \*

KLEJNOT HALFUNGA

z jednego z tych oddalonych szczepów, zamieszkujących daleką północ, aż za Luskanem i górami Grzbietu Świata, w tym opustoszałym kraju, znanym jako Dolina Lodowego Wichru. Jakże daleko był od domu i jakie to było niezwykle widzieć kogoś z jego ludu żeglującego po otwartym morzu!

- Jaką rolę odgrywający dwaj w powrocie klejnotu Pashy Pooka? - zastanawiał się głośno Oberon, naprawdę zaintrygowany. Czy Entreri dotarł aż do tego odległego skrawka tundry w poszukiwaniu halflinga? Czy ci dwaj ścigają go na południe?

Lecz nie było to zmartwieniem czarnoksiężnika. Oberon był tylko szczęśliwy, że Entreri zażądał spłaty długu w tak nieskomplikowany sposób. Morderca zabijał dla Oberona - niejednym raz - kilka lat temu i choć nigdy nie wspomniał o rewanżu w czasie swych licznych wizyt w wieży

Oberona, czarnoksiężnik czuł się tak, jakby morderca zaciskał ciężki łańcuch na jego szyi. Lecz tej nocy, dawny dług zostanie spłacony przez wysłanie prostego sygnału. Ciekawość Oberona zatrzymała go dostrojonym do oddalającego się Duszka Morskiego meco dłużej. Skupił się na elfie - Drizzcie Do'Urdenie, jak nazwał go Pell-man, kapitan portu. Doświadczonemu oku czarnoksiężnika wydawało się, że czegoś brakuje temu elfowi. Nie był na nie swoim miejscu, jak barbarzyńca, to było raczej coś nie tak w sposobie, w jaki nosił się Drizzt, a może to, jak patrzył tymi unikalnymi, lawendowymi oczami.

To oczy wydawały się nie pasować do osoby Drizzta Do'Urdena.

Może czar, domyślił się Oberon. Ciekawy czarnoksiężnik chciał mieć więcej informacji dla Pashy Pooka. Rozważał możliwość wślizgnięcia się na pokład statku celem bliższego zbadania sytuacji, lecz nie miał przygotowanych odpowiednich zakłęb do takiego przedsięwzięcia. Prócz tego, przypomniał sobie ponownie, to nie było jego zmartwienie.

Nie chciał też wchodzić w drogę Artemisowi Entreriemu. \* \* \*

Tej samej nocy Oberon wyleciał ze swej wieży i, z różdżką w rękę, wzbił się w nocne niebo. Setki stóp nad miastem wypuścił właściwą sekwencję ognistych kul.

9 117 «

## R. A. SALVATORE

\* \* \* Chodząc po pokładzie statku z Calimportu, noszącego nazwę Diabelski Tancerz, dwieście mil na południe, Artemis Entreri przyglądał się pokazowi.

- Morzem - mruknął zapamiętując kolejność wybuchów. Zwrócił się do stojącego obok niego halflinga: - Twoi przyjaciele ścigają nas morzem - powiedział. - Są za nami o mniej niż tydzień! Dobrze się spisali!

Regis, mimo że ta nowina pobudziła w nim dawno już zgasłą nadzieję, nie mrugnął nawet okiem. Zmiana klimatu była teraz coraz bardziej widoczna, z upływem każdej nocy i każdego dnia. Zostawili zimę daleko za sobą gorące wiatry południowych Krain uderzały niespokojnie w ducha halflinga. Podróż do Calimportu nie zostanie przerwana już żadnym postojem i żaden statek - nawet ten o mniej niż tydzień za nimi - nie mógł mieć nadziei dogonienia szybkiego Diabelskiego Tancerza.

Regis znów zmagał się z wewnętrznym dylematem, usiłując wyobrazić sobie jakieś warunki nieuchronnego spotkania ze swym dawnym mistrzem gildii. Pasha Pook nie był wielkodusznym człowiekiem. Regis był osobiście świadkiem tego, jak Pook postępował względem niektórych złodziei, którzy ośmielili się skraść coś innym członkom gildii. Regis posunął się jeszcze dalej niż oni: okradł samego mistrza gildii. Zaś rzecz, którą ukradł - magiczny, rubinowy wisiołek - była najcenniejszym przedmiotem, jaki Pasha Pook posiadał. Pokonany i zrozpaczony halfling zwiesił głowę i powoli wrócił do swej kabiny.

Ponury nastrój halflinga w najmniejszym nawet stopniu nie wzruszył Entreriego. Pook dostanie swój klejnot i halflinga, a Entreri zostanie doskonale wynagrodzony za swą usługę. Lecz w wyobrazeniach mordercy złoto Pooka nie było prawdziwym wynagrodzeniem za jego wysiłki. Entreri chciał Drizzta Do'Urdena. \* \* \*

Drizzt i Wulfgar także przyglądali się tej nocy fajerwerkom nad Wrotami Baldura. Na otwartym morzu, lecz nadal jeszcze około stu pięćdziesięciu mil na północ od Diabelskiego Tancerza, mogli się tylko domyślać znaczenia tego przedstawienia.

## KLEJNOT HALFLINGA

- Czarnoksiężnik - zauważył Deudermont, podchodząc do nich.
- Może walczy z jakąś wielką bestią latającą? - zaproponował

kapitan, usiłując wysnuć stądjakąś zabawną historię. - Smok lub jakiś inny potwór na niebie!

Drizzt zmrzył oczy, aby lepiej przyjrzeć się ognistym wybuchom. Nie widział żadnego ciemnego kształtu latającego w pobliżu ognia ani żadnego śladu mogącego świadczyć o tym, że to oni są celem. Lecz możliwe, że Duszek Morski był po prostu zbyt daleko, aby można było dostrzec takie szczegóły.

- To nie bitwa, to sygnał - powiedział Wulfgar, rozpoznając wzór eksplozji. - Trzy i jedna. Trzy i jedna. Po chwili dodał. - Wydaje się to trochę zbyt kłopotliwe, jak na prosty sygnał, czy jeździec przewożący notatkę nie byłby lepszy?

- Jeśli nie oznacza to sygnału dla statku - zaproponował Deudermont.

Drizzt już wcześniej pomyślał o tym samym i teraz więcej niż podejrzewał, jakie jest źródło tego przedstawienia, a także jaki jest jego cel. Deudermont przyglądał się nieco dłużej przedstawieniu.

- Może to i jest sygnał - zgodził się, rozpoznając prawidłowo ści wzoru dostrzeżone przez Wulfgara. - Każdego dnia do Wrót Baldura wpływa i wypływa wiele statków. Czarnoksiężnik wita niektórych przyjaciół lub żegna w wielkim stylu.

- Albo przekazuje informacje - dodał Drizzt spoglądając na Wulfgara. Wulfgar nie zawiódł drowa, z chmurnej miny barbarzyńcy, Drizzt mógł wywnioskować, że Wulfgar powziął podobne do jego podejrzenia.

- Lecz dla nas to tylko widowisko i nic więcej - powiedział Deudermont, życząc im dobrej nocy i klepiąc ich po ramieniu. - Widowisko dla uciechy.

Drizzt i Wulfgar spojrzeli po sobie, poważnie wąpiąc w oszacowanie fajerwerków przez Deudermonta.

\* \* \*

- W co gra Artemis Entreri? - zapytał retorycznie Pook, mówiąc głośno co myśli. Oberon, czarnoksiężnik w kryształowej kuli wzruszył ramionami.

9 118 \*

\* 119 \*

R. A. SALVATORE

- Nie miałem nigdy zamiaru rozumieć motywów Artemisa Entreriego.

Pook pokiwał głową, zgadzając się z tym i nadal przechadzał się za krzesłem LaValle'a.

- Jednak domyślam się, że ci dwaj niewiele mają wspólnego z twoim wisiorkiem - powiedział Oberon.

- Jakaś osobista wendeta, jakiej dopracował się Entreri w czasie swych wędrówek - zgodził się Pook.

- Przyjaciele halflinga? - zdziwił się Oberon. - Więc dlaczego Entreri prowadzi ich w prawidłowym kierunku?

- Kimkolwiek są mogą sprowadzić na nas tylko kłopoty - powiedział LaValle, siedzący między mistrzem gildii a urzędzeniem śledzącym.

- Może Entreri zamierza zastawić na nich pułapkę - zasugerował Pook Oberonowi. - To by



wyjaśniało jego żądanie, żebyś wysłał sygnał.

- Entreteri polecił kapitanowi portu, aby im powiedział, że chce się spotkać z nimi w Calimporcie - przypomniał Pookowi Oberon.

-Aby się ich pozbyć - powiedział LaValle. - Sprawić, żeby wierzyli, że droga jest czysta, aż do przybycia do południowego portu.

- To nie jest sposób Artemisa Entreriego - powiedział Oberon, a Pook pomyślał to samo. - Nigdy nie znałem mordercy używającego tak oczywistych sztuczek, aby zyskać przewagę we współzawodnictwie. Największą radością dla Entreriego jest spotkanie z wyzwaniem twarzą w twarz.

Dwaj czarnoksiężnicy i mistrz gildii, którzy przeżywali i prosperowali dzięki prawidłowym reakcjom na takie zagadki, zamyślił się przez chwilę, aby na spokojnie rozważyć wszelkie możliwości. Pook troszczył się tylko o to, aby odzyskać swój cenny wisiołek - mając go mógł powiększyć swą potęgę dziesięciokrotnie, może nawet zyskać przewagę nad rządzącym aktualnie Pa-shą Calimshanu.

- Nie podoba mi się to - powiedział w końcu Pook. - Nie chcę żadnych komplikacji, aż do powrotu halflinga, albo mojego wisiołka - przerwał znowu ważąc konsekwencje postępowania, na

9 120 \*

#### KLEJNOT HALFLINGA

jakie się zdecydował. Pochylił się nad plecami LaValle'a, żeby być bliżej obrazu wywołanego przez Oberona.

-Nadal masz kontakt z Pinochetem? - zapytał chytrze czarnoksiężnika.

Oberon domyślił się, o czym myśli mistrz gildii.

- Piraci nie zapominają o swych przyjaciółkach - odparł tym samym tonem. - Pinochet kontaktuje się ze mną ilekroć zawija do Wrót Baldura. Pyta także o ciebie, mając nadzieję, że z jego starym przyjacielem jest wszystko w porządku.

- Jest teraz na wyspach?

- Zimowy handel przeniósł się w dół od Waterdeep - odparł Oberon ze śmiechem. - Gdzie indziej mógłby być pirat, aby odnieść jakieś sukcesy?

- Dobrze - mruknął Pook.

- Mam zaaranżować powitanie ścigających Entreriego? - zapytał pośpiesznie Oberon, ciesząc się z intrygi i okazji do przysłużenia się mistrzowi gildii.

- Trzy statki i żadnych szans - powiedział Pook. - Nic nie powinno przeszkodzić w powrocie halflinga. Mam z nim tak wiele do przedyskutowania!

Oberon przez chwilę rozważał zadanie.

- Szkoda - zauważył. - Duszek Morski był doskonałym statkiem.

Pook powtórzył jedno słowo z naciskiem, czyniąc absolutnie jasnym fakt, że nie będzie tolerował pomyłek. -Był.

\* 121 \*

#### KLEJNOT HALFUNGA

OżAR KRÓLeuiSKfeęo

## PŁASZCZA

Halfling wisiał głową w dół, powieszony za kostki, na łańcuchu nad kotłem wrzącego płynu. I nie była to woda, lecz coś ciemniejszego, może nawet czerwona farba.

A może krew.

Zatrzeszczała korba i halfling opadł o cal niżej. Jego twarz była wykrzywiona; usta miał szeroko otwarte, jakby w niemym krzyku.

Nie było słyhać żadnego krzyku, tylko jęk korby i złowieszczy śmiech niewidocznego kata.

Mglista scena przesunęła się, ukazała się korba poruszana powoli jedną ręką, która wydawała się być zawieszona w powietrzu - nie połączona z niczym. Nastąpiła przerwa w opadaniu.

Nagle zły głos roześmiał się po raz ostatni. Ręka szarpnęła, odwracając wysięgnik.

Rozległ się wrzask, przesywający i tnący, krzyk męki - krzyk śmierci.

\* \* \*

Pot zalewał oczy Bruenora, jeszcze zanim je w pełni otworzył. Otarł wilgoć z twarzy i odwrócił głowę, usiłując odpędzić straszliwe obrazy i dostosować swe myśli do otoczenia. Był w Bluszczowej Posiadłości, w wygodnym łóżku, w wygodnym pokoju. Nowa świeca, którą zapalił, wypaliła się już prawie całkowicie. Zupełnie nie mógł sobie poradzić, ta noc podobna była do innych, następny koszmar. Przewrócił się na bok i usiadł na brzegu łóżka. Wszystko było tak, jak powinno być. Mithrilowa zbroja i złota tarcza leżały na krześle obok jedyne w pokoju kreden-

\* 122 \*

su, topór, którego użył do wyrąbania sobie drogi z legowiska duergarów, spoczywał oparty o ścianę obok sejmityra Drizzta i dwóch hełmów leżących na kredensie - poobijanego, jednorogiego hełmu, który krasnolud nosił w czasie przygód przez dwa ostatnie stulecia i korony króla Mithrilowej Hali, wysadzonej tysiącem błyszczących klejnotów.

Jednak dla oczu Bruenora wszystko było nie tak, jak powinno być. Spojrzał w okno i w ciemność nocy zanim. Niestety, wszystkim, co mógł zobaczyć było odbicie oświetlonego świecą pokoju, korony i zbroi króla Mithrilowej Hali.

To był trudny tydzień dla Bruenora. Dni wypełnione były podnieceniem, rozmowami o armiach nadciągających z Cytadeli Ad-bar i Doliny Lodowego Wichru, aby odzyskać Mithrilową Halę. Krasnoluda bolały ramiona od poklepywania go przez Harpel-lów i innych odwiedzających posiadłość, wszystkich chcących gratulować mu zbliżającego się powrotu na tron. Lecz Bruenor chodził przez te ostatnie dni jakby nieobecny, grając rolę narzuconą mu, zanim naprawdę gotów był na jej przyjęcie. Najwyższy czas, żeby przygotować się do przygody, o której marzył od dnia swego wygnania, blisko dwa stulecia temu. Ojciec jego ojca był królem Mithrilowej Hali, jego ojciec przed nim i tak wstecz, aż do początków Klanu Battlehammer. Prawo urodzenia Bruenora wymagało, aby poprowadził armie mające odzyskać Mithrilową Halę, aby zasiadł na tronie, który należał mu się z prawa dziedzictwa. Lecz w najgłębszych pomieszczeniach prastarej ojczyzny krasnoludów Bruenor Battlehammer przekonał się o tym, co jest naprawdę dla niego ważne. W czasie ostatnich dziesięciu lat, w jego życiu pojawiło się czterech wyjątkowych towarzyszy, a żaden z nich nie był krasnoludem. Przyjaźń, którą zbudowali w pięciu, była większa niż królestwo krasnoludów i cenniejsza dla Bruenora niż wszystkie mithril świata. Realizacja marzenia o podboju wydawała mu się pusta.

Te noce pochłaniały teraz serce i umysł Bruenora. Sny, nigdy takie same, lecz zawsze z tym samym, straszliwym zakończeniem, nie znikwały wraz z nastaniem dnia.

- Jeszcze jeden? - dobiegł cichy głos od drzwi. Bruenor obejrzał się przez ramię i zobaczył Catti-brie zerkającą na niego.

» 123 \*

R. A. SALVATORE

Bruenor nie miał odpowiedzi. Oparł głowę na rękę i potarł oc

- Znów o Regisie? - zapytała Catti-brie podchodząc bli Bruenor usłyszał jak cicho zamknęły się drzwi.

- O Pasibrzuchu -poprawił cicho Bruenor, używając psei nimu, nadanego przez niego halflingowi, który był jego najbh" szym przyj acielem od prawie dziesięciu lat.

Bruenor położył nogi na łóżko.

- Powinienem być z nim - powiedział burkliwie. -A przyna; mniej z drowem i Wulfgarem, szukając go!

- Twoje królestwo czeka - przypomniała mu Catti-brie, bar4f dziej po to, aby rozproszyć jego poczucie winy, niż żeby złagodzić to, w co naprawdę wierzył - wyobrażenie tego, co młoda\* kobieta całym sercem podzielała. - Twój szczep z Doliny Lodo-1 wego Wichru będzie tu w ciągu miesiąca, armia z Adbaru w ciągu dwóch miesięcy.

- Tak, ale nie możemy wyruszyć do kopalń, zanim zima się nie skończy.

Catti-brie rozejrzała się, szukając jakiegoś sposobu podtrzymania zamierającej rozmowy.

- Będzie pasowała do ciebie - powiedziała radośnie, wskazując na wysadzaną klejnotami koronę.

- Co? - odparł Bruenor trochę ostro.

Catti-brie spojrzała na powyginany hełm, tak żaloszny obok tego pełnego chwały i omal nie parsknęła w głos, lecz odwróciła się do Bruenora, zanim skomentowała tę sprawę, a ponury wyraz twarzy, z jakim krasnolud badał stary hełm, powiedział jej, że Bruenor nie jest w nastroju do zadawania pytań. W tej chwili, stwierdziła Catti-brie, Bruenor uważał jednorogi hełm za nieskończenie cenniejszy niż korona, do której noszenia był stworzony.

- Są w połowie drogi do Calimportu - zauważyła Catti-brie, sympatyzując z pragnieniami krasnoluda. - Może dalej.

- Tak, kilka statków opuści Waterdeep przed nadejściem zimy - mruknął ponuro Bruenor, powtarzając te same argumenty, jakich użyła Catti-brie drugiego poranka w Bluszczowej Posiadłości, gdy po raz pierwszy wspomniał o swym pragnieniu podążenia za swymi przyjaciółmi.

\* 124 \*

KLEJNOT HALFUNGA

\_ Musimy przygotować milion rzeczy - powiedziała Catti-brie, uparcie utrzymując radosny ton. - Z pewnościązima minie szybko i odbijemy kopalnie, gdy akurat powrócą Drizzt, Wulfgar i Regis.

Wzrok Bruenora nie zmiękł. Oczy miał utkwione w pogiętym hełmie, lecz j ego umysł błędził poza tym, co widział w Wąwozie Garumna w czasie rozstrzygających wydarzeń. Przynajmniej pogodził się z Regisem, zanim się rozstali... Wspomnienia Bruenora opuściły go nagle. Rzucił krzywym spojrzeniem na Catti-brie.

- Sądzisz, że mogą wrócić na czas, aby walczyć?

Catti-brie wzruszyła ramionami.

- Jeśli wrócą prosto stamtąd - odparła, zaciekawiona tym pytaniem, gdyż wiedziała, że Bruenor myśli o czymś więcej, niż o walce u boku Drizzta i Wulfgara w bitwie o MilhrilowąHalę.

- Mogą przewędrować wiele mil na południu, nawet w zimie.

Bruenor wyskoczył z łóżka i rzucił się do drzwi, porywając po drodze hełm z jednym rogiem i wkładając go na głowę.

- W środku nocy? - zawołała za nim Catti-brie. Podskoczyła i wybiegła za nim na korytarz.

Bruenor nie zwolnił. Poszedł prosto do drzwi Harkle'a Har-pella i zapukał w nie wystarczająco głośno, aby obudzić każdego w tym skrzydle domu.

- Harkle! - ryknął.

Catti-brie wiedziała, że nie ma co go uspokajać. Wzruszała tylko usprawiedliwiająco ramionami do każdej głowy, która wзираła zza drzwi, aby rzucić okiem na korytarz.

W końcu Harkle, odziany tylko w nocną koszulę i szlafmycę z pomponem, ze świecąw rękę, otworzył drzwi.

Bruenor wepchnął się do pokoju, z Catti-brie następującą mu napięty.

- Możesz mi zrobić powóz? - zapytał krasnolud.

- Co? - ziewnął Harkle, na próżno usiłując odpędzić sen. -

Powóz?

- Powóz! - warknął Bruenor. - Z ognia. Taki jak ten, którym Pani Alustriel przywiozła mnie tutaj! Powóz z ognia!

- Hmm - zająknął się Harkle. - Nigdy nie...

- Możesz czy nie?! - ryknął Bruenor, nie mając cierpliwości na wysłuchiwanie niespójnego bełkotu.

\* 125 \*

R. A. SALVATORE

- Tak... hmm, może - oznajmił Harkle z takim przekonaniemj na jakie mógł się zdobyć. - W istocie, to zakłęcie jest specjalno\*! ścią Alustriel. Nikt tutaj nawet nigdy... - przerwał, czując prze\*' wiercające go spojrzenie Bruenora. Krasnolud stał na wyprostowanych nogach, jedną nagą piętę wbił w podłogę, sękate ramio\*' na skrzyżował na piersi, wystukując nerwowo pieńkowatymi palcami jednej ręki niecierpliwy rytm na węzlastym bicepsie.

- Porozmawiam z Panią rano - zapewnił go Harkle. - Jestem •  
pewien...

-Alustriel jest tutaj jeszcze? - przerwał mu Bruenor.

- Co? Tak - odparł Harkle. - Została na kilka dodatkowych...

- Gdzie ona jest? - zapytał Bruenor.

- Dalej, korytarzem.

-Który pokój?

- Zaprowadzę cię do niej rank... - zaczął Harkle.

Bruenor chwycił za przód nocnej koszuli czarodzieja i pociągnął go w dół, do poziomu swoich oczu. Bruenor okazał się silniejszy nawet w nosie, gdyż jego długi, ostro zakończony nos rozpląszczył nos Harkle'a na jego policzku. Bruenor nie mrugnął okiem, wypowiadając każde słowo wolno i wyraźnie, właśnie w taki sposób, w jaki chciał uzyskać odpowiedź.

- Który pokój?

- Zielone drzwi, obok poręczy - wykrztusił Harkle.

Bruenor dobroduszenie mrugnął do czarodzieja okiem i puścił

go. Minał Catti-brie, obdarzając ją zachwycającym uśmiechem, zdecydowanie potrząsnął głową i wypadł na korytarz.

- Och, nie powinieneś niepokoić Pani Alustriel o tak późnej

porze! - zaprotestował Harkle.

Catti-brie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- No to zatrzymaj go!

Harkle przysłuchiwał się ciężkim krokom krasnoluda, rozlegającym się echem w korytarzu; gołe stopy Bruenora dudniły na drewnianej podłodze, jak spadające z gór kamienie.

- Nie - odparł Harkle, jego uśmiech dorównał jej uśmiechowi.

- Nie zamierzam.

◆ 126 «

Obudzona nagle w nocy Pani Alustriel wydawała się nie mniej piękną niż za dnia, jej srebrna grzywa jakoś tajemniczo pasowała

### KLEJNOT HALFUNGA

do miękkiej ciemności wieczoru. Bruenor uspokoił się zobaczywszy kobietę, przypominając sobie jej pozycję i maniery.

- Hmm, proszę o wybaczenie, pani - wyjąkał, nagle bardzo zawstydzony swym postępowaniem.

- Jest późno, dobry królu Bruenorze - powiedziała grzecznie Alustriel z uśmiechem na twarzy, gdy przyjrzała się krasnoludowi, ubranemu tylko w nocną koszulę i pognieciony hełm. - Co mogło cię sprowadzić do moich drzwi o tej porze?

- Przy tym wszystkim, co się tu dzieje, nie wiem nawet, czy nadal jesteśmy w Longsaddle - wyjaśnił Bruenor.

- Zobaczymy się przed moim odjazdem - odparła Alustriel w tym samym, serdecznym tonie. - Nie ma potrzeby, abyś zakłócał i swój, i mój sen.

- Nie myślę o pożegnaniu - powiedział Bruenor. - Potrzebuję przysługi.

- Tak nagle?

Bruenor z zapalem pokiwał głową.

-Przysługi, o którą powinienem poprosić, zanim przybyliśmy tutaj. Alustriel wprowadziła go do pokoju i zamknęła drzwi, zdając sobie sprawę z powagi prośby krasnoluda.

- Potrzebuję następnego powozu - powiedział Bruenor. - Aby zawiózł mnie na Południe.

- Masz zamiar dogonić swych przyjaciół i pomóc im szukać halflinga - stwierdziła Alustriel.

- Tak, znam swoje miejsce.

- Ale ja nie mogę ci towarzyszyć - powiedziała Alustriel. - Muszę rządzić królestwem; moja pozycja nie pozwala mi podróżować do innych królestw bez zapowiedzi.

- Nie żądam, żebyś wyruszyła ze mną - odparł Bruenor.

- Kto będzie powoził? Nie masz doświadczenia z taką magią. Bruenor pomyślał przez chwilę.

- Harkle mnie zabierze! - powiedział.

Alustriel nie mogła ukryć uśmiechu na samą myśl o takim nieszczęściu. Harkle, tak jak większość z jego rodziny, zazwyczaj sam robił sobie krzywdę rzucając zaklęcia. Wiedziała, że nie może wpłynąć na decyzję krasnoluda, lecz czuła się w obowiązku naświetlić mu wszystkie słabości tego pomysłu.

\*127\*

R. A. SALVATORE

## KLEJNOT HALFLINGA

- Do Calimportu jest naprawdę daleko - powiedziała. - Jaz tam powozem będzie szybka, lecz powrót może zabrać ci miesiąc. Czy prawdziwy król Mithrilowej Hali nie chce poprowadzić gromadzących się armii do walki o swój tron?

- Chce - odparł Bruenor - gdyby to było możliwe. Ale mo' miejsce jest przy moich przyjaciółach. Jestem im to winien!

- Wiele ryzykujesz.

- Nie więcej niż oni ryzykowali dla mnie i to wiele razy.

Alustriel otworzyła drzwi.

- Dobrze - powiedziała. - Szanuję twoją decyzję. Będziesz szlachetnym królem, Bruenorze Battlehammerze.

Krasnolud zaczerwienił się jak nigdy dotąd.

- Teraz idź i odpocznij - powiedziała Alustriel. - Zobaczą czego będę mogła się dowiedzieć tej nocy. Spotkamy się na południowym stoku Wzgórza Harpellów przed świtem.

Bruenor pokiwał z entuzjazmem głową i wrócił do swego pokoju. Po raz pierwszy od swego przybycia do Longsaddle spał spokojnie.

\* \* \* Pod rozjaśniającym się niebem przedświt Bruenor i Harkle spotkali się z Alustriel na wyznaczonym miejscu. Harkle z entuzjazmem zgodził się na tę podróż; zawsze chciał spróbować powożenia jednym ze słynnych powozów Pani Alustriel. Ubrany w swe szaty czarodzieja, wetknięte w sięgające ud skórzane buty i w hełmie o dziwnym kształcie, z puszystymi, białymi, futrzanymi skrzydłami i wizjerem stale opadającym mu na oczy, wydawał się zupełnie nie na miejscu obok przygotowanego do bitwy krasnoluda.

Alustriel nie spała przez resztę nocy. Była zajęta patrzeniem w kryształową kulę, którą dostarczyli jej Harpellowie, badając odległe plany w poszukiwaniu śladów przyjaciół Bruenora.

W ciągu tego krótkiego czasu wiele się dowiedziała uzyskała nawet połączenie z niezującym magiem Morkai'em w świecie duchów, aby uzyskać dalsze informacje. To zaś, czego się dowiedziała zaniepokoiło ją bardziej niż tylko trochę. Teraz stała ze składnikami zaklęcia w rękę i czekała świtu, spokojnie patrząc na wschód. Gdy pierwsze promienie słońca wyjrzały ponad ho-

\* 128\*

ryzont, chwyciła je w dłoń i wypowiedziała słowa zaklęcia. Sff chwilę później na stoku wzgórza pojawił się płomienisty powóz i dwa ogniste konie, magicznie zawieszony o cal nad powierzchnią ziemi. Języki ich płomieni wysyłały cienkie strugi dymu z osmalanej przez nie trawy.

-Do Calimportu! - ogłosił Harkle, rzucając się do zaczarowanego powozu.

- Nie - poprawiła Alustriel. Bruenor spojrzał na nią całkiem zaskoczony.

- Twoi przyjaciele nie dotarli jeszcze do Imperium Piasków - wyjaśniła. - Sana morzu i tego dnia spotkają się z poważnym niebezpieczeństwem. Jedźcie na południowy zachód, ku morzu, a potem na południe, mając wybrzeże w zasięgu wzroku - wręczyła Bruenorowi medalionik w kształcie serduszka. Krasnolud otworzył go i znalazł w środku miniaturę Drizzta Do'Urdena.

- Medalion stanie się gorący, gdy zbliżysz się do statku wiozącego twych przyjaciół - powiedziała Alustriel. - Stworzyłam to wiele tygodni temu, sądziłam bowiem, że wasza grupa

pokaże się w Silverymoon w drodze powrotnej z Mithrilowej Hali.

Uniknęła pytającego wzroku Bruenora, wiedząc, że przez umysł krasnoluda muszą przepływać miliardy pytań. Cicho, jakby zakłopotana, dodała: - Chciałabym, aby to do mnie wróciło.

Bruenor zachował swe uwagi dla siebie. Wiedział o nasilających się powiązaniach między Panią Alustriel a Drizztem. Z każdym dniem stawały się coraz wyraźniejsze.

- Wróci - zapewnił ją. Zamknął medalion w dłoni i poszedł w ślad za Harklem.

- Nie zwlekajcie ani chwili - powiedziała do nich Alustriel. - Tego dnia będą was bardzo potrzebować!

- Poczekajcie! - dobiegło wołanie ze wzgórza.

Wszyscy troje odwrócili się i zobaczyli Catti-brie, w pełni przygotowaną do drogi, z Taulmarilem-magicznym łukiem Anariel, który zabrała z ruin Mithrilowej Hali - przewieszonym przez ramię. Biegła w stronę powozu.

- Nie zamierzaliście tak mnie zostawić? - zapytała Bruenora.

Bruenor nie mógł spojrzeć jej w oczy. W istocie miał zamiar ją zostawić, nawet bez pożegnania.

\* 129 \*

R. A. SALVATORE

- Ba! - parsknął. - Próbujesz mnie tylko zatrzymać!

- Nigdy nie miałam takiego zamiaru! - warknęła Catti-brie/ Sądzę, że postępujesz prawidłowo. Lecz zrobiłbyś lepiej, gdy się posunął i zrobił mi miejsce!

Bruenor potrząsnął głową.

- Mam takie samo prawo jak ty! - zaprotestowała Catti-brie./

- Ba! - parsknął znowu Bruenor. - Drizzt i Pasibrzuch są najprawdziwszymi przyjaciółmi!

- Moimi też!

-A Wulfgar jest dla mnie jak syn! - krzyknął Bruenor, sądząc że zwyciężył w tej rundzie.

-A dla mnie może być kimś więcej - odparła Catti-brie -jeśli' wróci z południa! - Catti-brie nie musiała nawet przypominać Bruenorowi, że to ona poznała go z Drizztem. Pokonała wszystkie argumenty krasnoluda. - Posuń się, Bruenorze Battlehamme- rze, i zrób mi miejsce! Mam do tego takie samo prawo jak ty: i mam zamiar wyruszyć wraz z tobą! -A kto zajmie się armiami? - zapytał Bruenor. - Harpellowie założą dla nich obozowisko. Nie wyruszą do kopalń do naszego powrotu, a przynajmniej do wiosny.

-Ale jeśli oboje wyruszyacie i nie powrócicie? - przerwał Harkle, pozwalając pytaniu zawisnąć nad nimi przez chwilę. - Jesteście jedynymi, którzy znają drogę.

Bruenor złapał zakłopotany wzrok Catti-brie i uzmysłowił sobie, jak głębokie jest jej pragnienie dołączenia w tym poszukiwaniu. Wiedział też, że ma do tego prawo, gdyż tak samo jak on zainteresowana była pogonią przez krainy południa. Pomyślał przez chwilę, biorąc nagle w dyskusji stronę Catti-brie.

- Pani zna drogę - powiedział wskazując na Panią Alustriel.

Alustriel skinęła potakująco głową.

- Znam - odparła. - I chętnie zaprowadziłabym armie do kopalń, ale powóz może zabrać tylko dwie osoby.

Westchnienie Bruenora było równie głośne jak Catti-brie. Wzruszył bezsilnie ramionami.

- Zostań lepiej - powiedział cicho. - Przywiode ich z powrotem dla ciebie.

\*130«

Catti-brie wcale nie chciała się tak łatwo poddać.

KLEJNOT HALFUNGA

- Gdy walka się rozpocznie - powiedziała - a rozpocznie się na pewno, będziesz chciał mieć obok siebie Harkle'a i jego za klęcia, czy mnie i mój łuk?

Bruenor spojrział niedbale na Harkle'a i natychmiast dostrzegł logikę w słowach młodej kobiety. Czarodziej stał trzymając lejce i usiłując znaleźć jakiś sposób utrzymania wizjera swego hełmu nad linią brwi. W końcu Harkle poddał się i odchylił głowę tak daleko do tyłu, aby móc widzieć pod wizjerem.

- Hej, zgubiłeś kawałek - powiedział do niego Bruenor. - To dlatego nie chce utrzymać się w górze!

Harkle odwrócił się i zobaczył Bruenora wskazującego na ziemię za powozem. Przecisnął się obok Bruenora i pochylił się, usiłując zobaczyć na co pokazuje krasnolud. Gdy Harkle nachylił się, aby spojrzeć, ciężar jego srebrnego hełmu, który w istocie należał do znacznie rosiej szego kuzyna, przeważał i czarodziej rozciągnął się jak długi na trawie, twarzą do ziemi. W tej samej chwili Bruenor wciągnął do powozu Catti-brie.

- O cholera! - jęknął Harkle. - Tak chciałem jechać!

- Pani zrobi dla ciebie inny - powiedział Bruenor, aby go pocieszyć. Harkle spojrział na Alustriel.

- Jutro rano - zgodziła się Alustriel, naprawdę rozbawiona całą sceną. Potem zapytała Bruenora. - Potrafisz powozić powozem?

- Tak dobrze jak on, jak się domyślam! - oznajmił krasnolud, biorąc w dłonie ogniste lejce.

- Trzymaj się, dziewczyno. Musimy przebyć pół świata! - szarpnął lejcami i powóz wzbił się w poranne niebo, przecinając ognistymi liniami błękitno-szarą mgłę świtu.

Wiatr gwizdał wokół nich, gdy wystrzelili na zachód. Powóz zataczał się dziko z boku na bok, w górę i w dół, Bruenor walczył jak szalony, aby utrzymać kurs; Catti-brie walczyła tylko o to, żeby nie spaść. Burty się trzęsły, tył opadał i wznosił się, raz nawet zrobili pełną beczkę, choć stało się to zbyt szybko - na szczęście - i żadne z nich nie zdążyło wypaść.

Kilka minut później pojawiła się przed nimi pojedyncza burzowa chmura. Bruenor zobaczył ją, a Catti-brie krzyknęła ostrzegawczo, lecz krasnolud nie opanował na tyle wszystkich subtelnosci powożenia pojazdem, aby móc uczynić cokolwiek w celu

\* 131 «

R. A. SALVATORE

KLEJNOT HALFUNGA

zmiany kursu. Przebili się przez ciemność, pozostawiając syczący ogon pary na swym kilwaterze i wlecieli pionowo nad chmury. Fotem Bruenor, z twarzą błyszczącą od potu, opanował wreszcie lejce. Wyrównał do poziomu kurs powozu i utrzymywał go tak aby niec wschodzące słońce za swym prawym ramieniem Catti-brie także znalazła już pewne oparcie dla stóp, choć nadal\*

SSuda rCką baiierkę P°W0ZU' d™gą \*\*\* dęŻki P\*35202

\* \* \* Srebrny smok, unoszony porannymi wiatrami, przetoczył się leniwie na grzbiet, wszystkie



cztery nogi skrzyżowawszy na W chu, i na wpół zamknął swe zaspane oczy. Dobry smok uwielbiał tetae poranne ślizganie się, pozostawiając zgiełk świata daleko w dole i chwytając niczym nie skażone promienie słoneczne ponad chmurami. Lecz zachwycające oczy smoka otworzyły się

nagleszerokogdyzobaczyłognistąsmugęzbliżającąsięLnie: mu ze wschodu. Myśląc, że płomienie te sąprzednimi ogniami którymi zionął zły czerwony smok, srebrny wzbił się w górę i w wysokiej chmurze chciał założyć zasadzkę. Lecz wściekłość opuściła oczy smoka, gdy rozpoznał dziwny statek powietrzny ognisty powóz, z którego wystawał hełm woźnicy.jakiśjednoros, W^Za^°b°k St3ła młoda kobieta> & ^ztanowe loki powiewały nad jej ramionami.

Otworzywszy ze zdumienia swą po-

teżnapaszczę srebrny smok przyglądał sięjakpowózprzelataje obok mego. Kilka rzeczy naraz zwróciło uwagę prastarego stwJ! Kerna, które żyło tak wiele lat, a mimo to z całapowagąrozważał następstwa tej nieprawdopodobnej sceny.

Powiał nagle chłodny wiatr i wywiał wszystkie inne myśli

z umysłu srebrnego smoka. y

dn"" „Ludzie: mruknał, przewracając się znowu na plecy i kręcąc głową z niedowierzaniem.

\* \* \*

Catti-brie i Bruenor nawet nie zauważyli smoka. Oczy mieli utJewione w jednym punkcie, gdzieś na wprost przed sobą, gdzie własme na zachodnim horyzoncie ukazało się szerokie morze w^rewfetV7Tąmgłą- PÓł g0dziny pÓŹnieJ ^baczyli wysokie wieże Waterdeep na północy i wylecieli nad wodę, prze-

\* 132 ♦

-•aczając linię Wybrzeża Mieczy. Bruenor, lepiej już wyczuwane lejce, skierował powóz na południe i opuścił go niżej. J Zbyt nisko.

Zanurzony w szary welon mgły usłyszeli szum fal w dole . ?yk pary, gdy kropelki wody zetknęły się z ich ognistym pojazdem.

- Podnieś go! - wrzasnęła Catti-brie. - Jesteśmy zbyt nisko!

- Musimy być nisko! - sapnął Bruenor, walcząc z lejcami, jsiłował zamaskować swoje braki w sztuce powożenia, lecz

j pełni zdawał sobie sprawę z tego, że w istocie są zbyt blisko jody. Szarpiąc z całej wiły, udało mu się podnieść powóz o kilka łóp i wyrównać go.

- No i co? - pochwalił się. - Trzymaj prosto i nisko - spojrzał

rzez ramię na Catti-brie. - Musimy być nisko - powtórzył wi

dzając jej powątpiewanie. - Musimy zobaczyć ten cholerny statek,

^eby go znaleźć!

Catti-brie potrząsnęła tylko głową.

Nagle zobaczyli statek. Nie ten statek, lecz bez wątpienia sta-^k, górujący we mgle zaledwie o trzydzieści stóp przed nimi.

Catti-brie wrzasnęła; Bruenor także. Krasnolud upadł do tyłu / lejcami, zmuszając tym samym powóz do wzbicia się w górę ,od niemożliwym kątem. Pokład statku przetoczył się pod nimi.

jednak maszt nadal sterczał nad nimi!

Gdyby duchy wszystkich żeglarzy, którzy kiedykolwiek zginęli na morzu wstały ze swych wodnych grobów w poszukiwaniu zemsty na tym właśnie statku, twarz marynarza w bocianim gnieździe nie miałyby bardziej prawdziwego wyrazu przerażenia. Prawdopodobnie zeskoczył ze swej grzędy - bardziej prawdopodobne, że wypadł ze strachu - lecz jak by nie było, nie trafił w pokład . spadł bezpiecznie w wodę, w ostatniej chwili przed uderzeniem /ognistego pojazdu w

top grotmasztu.

Catti-brie i Bruenor pozbierali się i obejrzeni za siebie. Zobaczyli wierzchołek masztu płonący, jak samotna świeca w szarej

- Byliśmy zbyt nisko - powtórzyła Catti-brie.

\* 133 \*

CJoRAce uifcimy

i

Duszek Morski żeglował pod czystym, błękitnym niebem, w rozleniwiającym ciepłe południowych Krain. Silny wiatr wy\*pełniał żagle i już po sześciu dniach od wypłynięcia z Wrót Bal-dura pojawił się w zasięgu wzroku zachodni koniec półwyspu, Tethyr - podróż taka zazwyczaj trwała więcej niż tydzień.

Lecz wezwanie czarnoksiężnika wędrowało jeszcze szybciej.

Kapitan Deudermont skierował Duszka Morskiego na środek Kanału Asavira, usiłując zachować bezpieczną odległość od zatok półwyspu - zatok, które często chroniły piratów, czyhających na przepływające statki kupieckie - a także chcąc mieć bezpieczną przestrzeń wodną między swoim statkiem a wyspami na zachodzie: Nelanther, cieszącymi się złą sławą Wyspami Piratów.

Kapitan czuł się bezpiecznie na uczęszczanym szlaku morskim, z flagą Calimportu powiewającą na maszcie i żaglami kil- ; ku innych statków kupieckich, widniejącymi na horyzoncie przed „ i za Duszką Morską. Używając znanego sposobu kupców, Deudermont zbliżył się do jakiegoś statku i płynął jego kursem, \ utrzymując Duszka Morskiego na jego kilwaterze. Mniej zwrotny i wolniej szy od Duszka Morskiego, płynący pod flagą Muran-nu, małego miasta na Wybrzeżu Mieczy, statek ten był łatwiejszym celem dla każdego pirata w tym rejonie. Osiemdziesiąt stóp nad wodą trzymając wachnię w bocianim gnieździe Wulfgar miał niczym nie przesłonięty widok na pokład płynącego przed nimi statku. Przy swej sile i zwinności barbarzyńca szybko stał się prawdziwym żeglarzem, z zapalem biorącym udział w każdej pracy obok reszty załogi.

Obowiązkiem, który lubił najbardziej były wachty w bocianim gnieździe, choć trudno mu było wcisnąć się

KLEJNOT HALFUNGA

weń z powodu swych rozmiarów. Zażywał spokoju w ciepłym wietrze i samotności. Opierał się o maszt i osłaniając jedną ręką oczy przed blaskiem słońca, przyglądał się działaniom załogi na statku płynącym przed nimi.

Usłyszał, że marynarz z bocianiego gniazda tamtego statku zawołał coś w dół, jednak nie mógł rozróżnić słów, potem zobaczył, że załoga poczęła pospiesznie biegać, kierując się w znacznej liczbie na dziób i patrząc na horyzont. Wulfgar wyprostował się i wychylił z bocianiego gniazda, wytyczając oczy na południe.

\* \* \*

- Jak oni się czują holując nas? - zapytał Deudermonta Drizzt, stojąc obok niego na mostku. Podczas gdy Wulfgar budował swe stosunki z załogą pracując wraz z nią Drizzt zawarł zbudowaną na mocnych podstawach przyjaźń z kapitanem. Ceniąc wartość opinii elfa, Deudermont dzielił jego wiedzę o ich położeniu i o morzu. - Wiedzą o swej roli przynęty?

- Znaj ańasz cel krycia się w ich cieniu, a ich kapitan, jeśli jest oczywiście doświadczonym żeglarzem, uczyniłby to samo, gdyby nasze pozycje się odwróciły - odparł Deudermont. - Jednak i my zapewniamy im także dodatkowe bezpieczeństwo. Sama obecność statku z Calimportu może odstraszyć wielu piratów.

- Z pewnością czują, że przyjdziemy im z pomocą w razie takiego ataku? - zapytał Drizzt.

Deudermont wiedział, że Drizzt chce się dowiedzieć, czy Duszek Morski rzeczywiście ruszyłby na pomoc innemu statkowi. Drizzt miał silne poczucie honoru i Deudermont to rozumiał, a posiadając równie wysokie morale podziwiał go za to. Lecz odpowiedzialność Deudermonta, jako kapitana statku, byłaby zbyt zaangażowana w tak hipotetyczną sytuację.

- Może - odparł.

Drizzt zakończył wypytywanie zadowolony z tego, że Deudermont utrzymuje w równowadze szale obowiązku i moralności.

- Żagle na południu - dobiegło wołanie Wulfgara z góry, powodując, że wielu członków załogi Duszka Morskiego rzuciło się do przedniego relingu.

Wzrok Deudermonta powędrował ku horyzontowi; kapitan krzyknął do Wulfgara:

\* 134 «

\*135\*

R. A. SALVATORE

KLEJNOT HALHJNGA

-Ile?

- Dwa statki! - odkrzyknął Wulfgar. - Płyną na północ w dużej odległości od siebie!

- Jaki port i kierunek? - zapytał Deudermont.

Wulfgar wymierzył w myślach ich kurs i potwierdził podejrzenia kapitana.

- Przejdziemy między nimi!

- Piraci? - zapytał Drizzt, znając odpowiedź.

- Tak się wydaje - odparł kapitan. Odległe żagle stały się już widoczne dla ludzi na pokładzie.

- Nie widzę flagi - zawołał do kapitana jeden z żeglarzy, stojący w pobliżu mostka.

Drizzt wskazał na statek kupiecki, płynący przed nimi.

-Oni są celem?

Deudermont ponuro pokiwał głową.

- Tak się wydaje - powtórzył.

- Więc podpłynemy bliżej nich - powiedział drów. - Dwóch przeciwko dwóm wydaje się uczciwszą walką.

Deudermont spojrział w lawendowe oczy Drizzta i prawie osłupiał na widok ich nagłego błysku.

Jak kapitan mógł mieć nadzieję, że ten honorowy wojownik zrozumie ich miejsce w tym scenariuszu? Duszek Morski nosił flagę Calimporu, ten drugi statek flagę Murranu. Oba miasta nie odnosiły się przyjaźnie do siebie.

- Spotkanie może nie doprowadzić do walki - powiedział Drizz-

towi. - Statek murrański zrobiłby mądrze poddając się.

Drizzt zaczął rozumieć wszystkie motywy tej układanki. -A więc pływanie pod flagą Calimportu zwalnia od odpowiedzialności, przynosząc jednak korzyści? Deudermont wzruszył bezsilnie ramionami.

- Pomyśl o gildiach złodziei w miastach, które znasz - wyjaśnił. - Piraci nie różnią się od nich, oznaczają unieuniknione przykrości. Jeśli włączylibyśmy się do walki, zniszczylibyśmy powściągliwość piratów i sprowadzilibyśmy większe kłopoty niż to konieczne.

-I narazilibyśmy na niebezpieczeństwo każdy statek, żeglujący kanałem pod flagą Calimportu - dodał Drizzt, nie patrząc już

na kapitana, lecz przyglądając się spektaklowi rozgrywającemu się przed jego oczyma. Światło w jego oczach zgasło.

Deudermont, pod wpływem zasad Drizzta-nie pozwalających na akceptację jakiegokolwiek łajdactwa - położył rękę na ramieniu elfa.

- Jeśli spotkanie przerodzi się w walkę - powiedział kapitan, ściągając znów na siebie wzrok Drizzta - Duszek Morski włączy się do niej.

Drizzt odwrócił się ku horyzontowi i poklepał rękę Deudermonta. Entuzjastyczny ogień powrócił do jego oczu, gdy Deudermont ogłosił alarm dla załogi. Kapitan w istocie nie spodziewał się walki. Widział niejedną taką sytuację i gdy piraci przewyższali liczebnością ofiarę złupienie statku dokonywało się bez rozlewu krwi. Lecz Deudermont, mając za sobą tak wiele lat doświadczeń na morzu stwierdził wkrótce, że tym razem jest coś dziwnego w zachowaniu się piratów. Ich statki szły nadal w dużej odległości od siebie, przechodząc zbyt daleko od statku z Murranu, aby dokonać abordażu. W pierwszej chwili Deudermont pomyślał, że piraci zamierzają zaatakować z daleka -jeden z ich statków miał zamontowaną katapultę na tylnym pokładzie - aby zmiażdżyć ofiarę, choć nie wydawało się to konieczne.

Nagle kapitan pojął całą prawdę. Piraci nie interesowali się statkiem z Murranu. Ich celem był Duszek Morski.

Ze swej grzedy Wulfgar także stwierdził, że piraci omijają sta-tek prowadzący.

- Weźcie broń! - krzyknął do załogi. - My jesteśmy ich celem!

- Rzeczywiście, będziesz miał swoją walkę - powiedział do Drizzta Deudermont. - Wydaje się, że tym razem flaga Calimportu nas nie ochroni.

Dla przyzwyczajonych do nocy oczu Drizzta odległe statki były tylko niewielkimi, czarnymi plamkami w blasku lśniącej wody, lecz drów doskonale mógł sobie wyobrazić co się stało. Nie rozumiał logiki wyboru piratów i miał dziwne uczucie, że to on i Wulfgar są jakoś powiązani z rozwijającymi się wydarzeniami.

- Dlaczego my? - zapytał Deudermonta.

Kapitan wzruszył ramionami.

◆ 136 \*

9 137 \*

R. A. SALVATORE

- Może słyszeli plotki, że jeden ze statków z Calimportu wie \*  
zie wartościowe towary?

Obraz ognistych kul, wybuchających na nocnym niebie n Wrotami Baldura błysnął w umyśle Drizzta. Sygnał? Zastanowił się ponownie. Nie był jeszcze w stanie poskładać wszystkich ka\*  
wałków układanki, lecz jego podejrzenia prowadziły niezmiennie do tej samej konkluzji, że to on  
i Wulfgar sąw jakiś sposób1 wplątani w taki, a nie inny wybór celu przez piratów.

- Będziemy walczyć? - chciał zapytać Deudermonta, lecz zo-baczył, że kapitan działa już  
zgodnie ze swoim planem.

- Ster w prawo na burtę! - rzekł Deudermont do sternika. - >, Płyńmy na zachód, do Wysp  
Piratów. Zobaczmy, czyte psymają brzuchy odporne na rafy! - Wysłał innego człowieka z załogi  
na bocianie gniazdo, chcąc siły Wulfgara do ważniejszych obowiązków na pokładzie.

Duszek Morski wbił się w fale i pochylił nisko w ostrym skręcie w prawo. Statek piracki ze  
wschodu, teraz najbardziej oddalony, poszedł na przecięcie ich kursu, aby ścigać ich  
bezpośrednio, podczas gdy drugi, większy, utrzymywał nadal swój kurs, zbliżając się z każdą  
chwilą do Duszka Morskiego, aby móc oddać strzał ze swej katapulty.

Deudermont wskazał nanajwiększą kilku wysp widniejących na zachodzie.

- Podpłyn do niej - powiedział do sternika. - Lecz uważaj na  
pojedyncze rafy. Woda jest niska, więc powinny być widoczne.  
Wulfgar zeskoczył na pokład obok kapitana.

- Złap tę linę - rozkazał mu Deudermont. - Obsługuj grot-  
maszt. Jeśli każę ci ciągnąć, to pociągnij z całej siły! Możemy  
nie mieć drugiej szansy.

Wulfgar chwycił ciężką linę z determinacją owijając ją ściśle wokół nadgarstków i dłoni.

- Ogień na niebie! - krzyknął jeden z marynarzy, wskazując na południe, w kierunku  
większego z pirackich statków. Kula płonącej smoły przeleciała w powietrzu i spadła bezsilnie w  
ocean z sykiem protestu, o zbyt wiele j ardów przed Duszkiem Morskim.

- Strzał smugowy - wyjaśnił Deudermont - pomagający im ustalić naszą odległość.

\* 138\*

KLEJNOT HALFUNGA

Deudermont ocenił odległość i wyobraził sobie, jak bardzo zbliżą się piraci, zanim Duszek  
Morski osiągnie wyspę między  
nimi.

- Wyślizgniemy się im, jeśli popłyniemy kanałem między rafą  
a wyspą - powiedział do Drizzta, kiwnąwszy głową, żeby potwierdzić, że wybrał najbardziej  
pomyślne perspektywy. Lecz zanim drów i kapitan zaczęli się uspokajać myślą o ucieczce,  
wyrosły przed nimi maszty trzeciego statku na zachodzie, wypływającego właśnie z tego kanału,  
do którego miał nadzieję dotrzeć Deudermont. Miał zwinięte żagle i był przygotowany do  
abordażu. Deudermonta wbiło w pokład.

- Czatowali na nas - powiedział do Drizzta. Zwrócił się do elfa w geście zupełnej  
bezsilności. - Czatowali na nas.

- Ale nie wieziemy żadnego cennego ładunku - kontynuował kapitan, usiłując zrozumieć  
ten niezwykły dla niego obrót wypadków. - Dlaczego piraci wypłynęli trzema statkami, żeby  
zaatakować pojedynczy statek?

Drizzt znał odpowiedź.

\* \* \*

Dla Bruenora i Catti-brie jazda była teraz łatwiejsza. Krasnolud siedział wygodnie przy lejcach ognistego powozu, poranna mgła podniosła się. Płynęli wzdłuż Wybrzeża Mieczy, wywołując zdumienie na mijanych statkach i pełne ogłupienie u każdego żeglarza, który spojrzał w niebo. Wkrótce minęli ujście rzeki Chionthar, bramę do Wrót Baldura. Tutaj Bruenor przystanął na chwilę, aby rozważyć nagły pomysł, a potem skierował powóz od wybrzeża, w stronę otwartego morza.

- Pani prosiła nas, abyśmy trzymali się wybrzeża - powiedziała Catti-brie, gdy tylko stwierdziła zmianę kursu.

Bruenor chwycił ręką magiczny medalion Alustriel, który miał zawieszony na szyi i wzruszył ramionami.

- To mówi mi co innego - odparł.

\* \* \*

Drugi ładunek płonącej smoły uderzył w wodę, tym razem niebezpiecznie blisko Duszka Morskiego.

\* 139 \*

- Możemy mu uciec - powiedział Drizzt do Deudermonta, gdyż trzeci statek nadal nie podnosił swych żagli.

R. A. SALVATORE

Doświadczony kapitan wiedział, dlaczego statek ma zwinięte żagle. Zasadniczym zadaniem statku nadpływającego od stron: wysp, było zablokowanie wejścia do kanału. Duszek Morski isto' nie mógł przepłynąć obok statku, lecz Deudermont wolał trzy\* mać swój statek z dala od niebezpiecznej rafy i wrócić na otwarte, te morze. Jednak wtedy znaleźliby się w zasięgu katapult. Deu\* dermont obejrzał się przez ramię. Statek piracki najdalej wysiK' nięty na wschód miał żagle pełne wiatru i ciął wodę tak samo szybko, jak Duszek Morski. Jeśli kula płonącej smoły trafi w cel i Duszek Morski dozna uszkodzeń żagli, to zostanie szybko opanowany. Nagle uwagę kapitana zwrócił drugi problem. Przez pokład Duszka Morskiego strzeliła błyskawica, zrywając niektóre liny i odszczepiając drzazgi z grotmasztu, który pochylił się i jęknął pod ciężarem pełnych żagli. Wulfgar zaparł się nogami i szarpnął liną z całej siły.

- Trzymaj go! - krzyknął Deudermont. - Trzymaj nas prosto i mocno!

- Mają czarnoksiężnika - zauważył Drizzt, stwierdziwszy, że strzał nadszedł ze statku będącego przed nimi.

- Też się tego obawiałem - odparł ponuro Deudermont.

Ogień, błyszczący w oczach Drizzta, powiedział Deudermontowi, że elf już wcześniej zaplanował pierwsze posunięcie w walce. Nawet w ich oczywistym niekorzystnym położeniu kapitan poczuł współczucie dla czarnoksiężnika. Widząc, jak bardzo desperacki plan ma w zamyśle Drizzt, Deudermont przybrał chytry wyraz twarzy.

- Kieruj nas prosto na jego lewą burtę - powiedział do sternika.

- Wystarczająco blisko, żeby w nich uderzyć!

- Ależ kapitanie - zaprotestował żeglarz. - Toż to zaprowadzi nas na rafy!

- Tak jak spodziewają się tego te psy - odparł Deudermont. -

Niech myślą że nie znamy tych wód, niech myślą że skały zała twią za nich sprawę!

Drizzt czuł się spokojniejszy, słysząc pewność w głosie kapitana. Chytry, stary żeglarz myślał o czymś szczególnym.

- Gotów? - zawołał Deudermont do Wulfgara.

Barbarzyńca skinął głową.

9 140 \*

#### KLEJNOT HALFLINGA

- Gdy zawołam: ciągnij, to człowieku ciągnij, jakby od tego zależało całe twoje życie! - powiedział mu Deudermont.

Stojący obok kapitana Drizzt zauważył cicho:

- Będzie ciągnął.

\* \* \*

Z mostka swego statku flagowego, szybko płynącego ze wschodu, pirat Pinochet przyglądał się z z troskaniem manewrom Duszka Morskiego. Znał reputację Deudermonta na tyle dobrze, aby wiedzieć, że kapitan nie byłby aż tak głupi, żeby wpakować statek na rafy w samo południe podczas odpływu. Deudermont miał zamiar walczyć.

Pinochet spojrział na pękaty statek i wymierzył kąę do Duszka Morskiego. Katapulta powinna oddać dwa strzały, może trzy, zanim cel przepłynie obok blokującego statku w kanale. Statek Pinocheta miał nadal jeszcze wiele minut, zanim będzie mógł włączyć się do akcji i piracki kapitan zastanawiał się, jakie straty poniesie Deudermont, zanim on będzie mógł dołączyć do swych sprzymierzeńców. Lecz Pinochet szybko wygonił ze swych kalkulacji wszelkie myśli o kosztach tej misji. Robi osobistą przysługę mistrzowi gildii największego gangu złodziei w całym Ca-limporcie. Jakakolwiek byłaby cena, zapłata Pashy Pooka z pewnością przeważą!

\* \* \*

Catti-brie przyglądała się z niecierpliwością każdemu nowemu statkowi, jaki pojawiał się w zasięgu wzroku, lecz Bruenor -pewien, że magiczny medalion zaprowadzi go do drowa - nie zwracał na nie uwagi. Krasnolud szarpał za lejce, usiłując przyspieszyć bieg ognistych koni. W jakiś sposób - może była to jeszcze jedna właściwość medalionu - Bruenor czuł, że Drizzt ma kłopoty i pośpiech jest konieczny. Nagle wyciągnął przed siebie swój sękaty palec.

- Tam! - krzyknął, gdy tylko Duszek Morski ukazał się w zasięgu wzroku.

Catti-brie nie oponowała. Szybko zorientowała się w rozgrywającym się poniżej dramacie.

W powietrzu przeleciała następna kula płonącej smoły, uderzając w rufę Duszka Morskiego na linii wodnej, lecz nie czyniąc

\* 141 \*

#### R. A. SALVATORE

większych szkód. Catti-brie i Bruenor zobaczyli, że kati została naciągnięta ponownie, aby oddać następny strzał; j gładali się załodze statku w kanale - z mieczami w rękach cz jącej na zbliżenie się Duszka Morskiego - i zobaczyli trzeci; tek piracki, nadpływający z tyłu, aby zamknąć pułapkę.

Bruenor skierował powóz na południe, w stronę największe statku.

-Najpierw za katapultę! -krzyknął z wściekłością krasnol \* \* \*

Pinochet, podobnie jak większość załóg na pokładach dwę statków pirackich, przyglądali się ognistej rzeczy spadającej w < z północnego nieba, lecz kapitan i załoga Duszka Morskiego, o~ drugiego statku kupieckiego, była zbyt zajęta swą nie najlepszą sytuacją żeby troszczyć się jeszcze o wydarzenia rozgrywają się z tyłu. Jednak Drizzt poświęcił więcej uwagi powozowi, zau

ważywszy lśniące odbicie, które mogło być pojedynczym rogiem pogniecionego hełmu, sterczącym nad płomieniami, i stoją z tyłu postać z powiewającymi włosami, które wydawały się bar4' dziej niż znajome. Lecz może była to tylko sztuczka, splątani przez światło i niezłomną nadzieję Drizzta. Powóz oddalił się? w ognistej poświacie i Drizzt stracił go z oczu, nie mając czasu, zastanawiać się nad nim dłużej.

Załoga Duszka Morskiego wyległa na przedni pokład, strzelając z kusz do pirackiego statku i mając nadzieję ponad wszystko tak zająć czarnoksiężnika, aby nie mógł uderzyć w nich ponownie. Ryknęła druga błyskawica, lecz Duszek Morski podskakiwał dziko na falach odbijających się od rafy i pocisk czarnoksiężnika wyciął tylko niewielką dziurę w głównym żaglu.

Deudermont spojrział z nadzieją na Wulfgara; napięty i gotów do wydania szybkiego rozkazu. Przepłynęli nagle obok piratów, za ledwie pięćdziesiąt jardów od drugiego statku, kierując się najwidoczniej samobójczym kursem na rafy.

- Ciągnij! - krzyknął Deudermont i Wulfgar pociągnął, a każdy mięsień jego olbrzymiego ciała poczerwieniał od nagłego napływu krwi i adrenaliny.

Grotmaszt jęknął w proteście, reje zatrzęszczały i popekały, wypełnione wiatrem żagle stawiały opór, gdy Wulfgar owinał linę

\* 142 \*

#### KLEJNOT HALFUNGA

wokół swych ramion i ruszył do przodu. Duszek Morski obrócił się w wodzie, jego dziób podniósł się nad fale i przechylił nagle w stronę pirackiego statku. Załoga Deudermonta, choć była świadkiem siły Wulfgara na rzece Chionthar, zdumiona chwyciła się desperacko relingu. Oślupiali piraci, nie spodziewający się nigdy, że statek pod pełnymi żaglami może dokonać tak nagłego zwrotu, w ogóle nie zareagowali. Przyglądali się zdumieni, gdy dziób Duszka Morskiego uderzył w ich lewąburkę, wiążąc oba statki w śmiertelnym uścisku.

- Przywiążcie nas do nich! - krzyknął Deudermont. W powietrze wyleciały haki, wiążąc mocniej Duszka Morskiego ze statkiem pirackim, opuszczono pomosty abordażowe i umocowano je.

Wulfgar stanął na rozstawionych szeroko nogach i zdjął z pleców Aegis-fang. Drizzt wyciągnął swe sejmitary, lecz nie zrobił żadnego bezpośredniego ruchu, przepatrując pokład pirackiego statku. Szybko skupił się na pewnym mężczyźnie, nie ubranym tak jak czarnoksiężnicy, lecz o ile Drizzt mógł to powiedzieć na pewno - także nie uzbrojonym. Mężczyzna ten wykonywał jakieś ruchy, jak podczas rzucania zaklęcia, a słynne magiczne iskierki wypełniały przestrzeń wokół niego. Drizzt był szybszy. Wezwawszy swe wewnętrzne, wrodzone zdolności otoczył postać czarnoksiężnika nie czyniącymi krzywdy purpurowymi płomieniami. Materialne ciało czarnoksiężnika znikło z pola widzenia, gdy zadziało z kolei jego zaklęcie niewidzialności. Lecz purpurowa otoczka pozostała. - Wulfgarze, czarnoksiężnik! - krzyknął Drizzt. B arbarzyńca podbiegł do relingu i przeszukał wzrokiem piracki statek, z łatwością odnajdując magiczny obrys.

Czarnoksiężnik, oceniwszy swe kłopotliwe położenie, zanurkował za jakieś beczki. Wulfgar nie wahał się. Rzucił Aegis-fangiem. Potężny młot bojowy przebił się przez beczki, rozbryzgując w powietrzu wodę i drewno i znalazł swój cel po drugiej stronie. Młot wyrzucił strzaskane ciało czarnoksiężnika-nadal widoczne tylko dzięki konturowi magicznego ognia drowa -w powietrzu i przez dalszy reling pirackiego statku. Drizzt

\* 143\*



R. A. SALVATORE

i Wulfgar pokiwali do siebie głowami z ponurą satysfakcją. Deu-dermont przetarł ręką swe niedowierzające oczy. Może mieli szansę.

\* \* \* Piraci na pokładach dwóch pozostałych statków zaprzestali wykonywania swych czynności, patrząc na latający powóz. Gdy Bruenor zatoczył krąg wokół rufy wielkiego statku z katapultą i nadleciał zza niego, Catti-brie napięła cięciwę Taulmarila.

\*- Pomyśl o naszych przyjaciółach - uspokoił ją Bruenor, widząc jej wahanie. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Catti-brie zabiła bez potrzeby człowieka i nadal nie mogła się z tym pogodzić. Teraz, gdy zbliżali się do statku z góry, miała spuścić deszcz śmierci na odsłoniętych żeglarzy.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić i wycelowała w marynarza stojącego z otwartymi ustami, nie zdającego sobie nawet sprawy z tego, że czeka go śmierć. Był na to jednak inny sposób.

Catti-brie zauważyła lepszy cel. Skierowała łuk w stronę rufy statku i wysłała srebrną strzałę.

Uderzyła w ramię katapulty roztrzaskując drewno, jej magiczna energia wypaliła czarną dziurę.

- Posmakujcie moich płomieni! - krzyknął Bruenor, kierując powóz w dół. Szalony krasnolud skierował swe płomieniste konie prosto przez główny żagiel, pozostawiając potargany łachman. Cel Catti-brie także był doskonały, srebrne strzały raz po raz wbijały się w katapultę. Gdy powóz ruszył ponownie do tyłu, strzelcy na statku usiłowali odpowiedzieć kulą płonącej smoły, lecz drewniane ramię katapulty doznało zbyt wielu uszkodzeń, aby wytrzymać jakiegokolwiek naprężenie i kula smoły wyleciała tylko na kilka stóp w górę i na kilka stóp dalej. Spadła na pokład własnego statku!

- Jeszcze jeden najazd! - ryknął Bruenor, oglądając się przez ramię na płomień szalejące teraz na maszcie i na pokładzie.

◆144\*

Lecz wzrok Catti-brie skierowany był do przodu, tam gdzie Duszek Morski uderzył w jeden ze statków i gdzie drugi z pirackich statków podpływał, aby dołączyć do walki.

KLEJNOT HALFUNGA

- Nie ma czasu! - krzyknęła. - Będą nas potrzebowali tam z przodu!

\* \* \* Rozległ się szcęk stali, gdy załoga Duszka Morskiego starła się z piratami. Jeden z rabusiów dostrzegł rzut Wulfgara młotem bojowym, więc przeskoczył na Duszka Morskiego i rzucił się na nieuzbrojonego barbarzyńcę, zapewne widząc w nim łatwą ofiarę. Ruszył do ataku z wyciągniętym przed siebie mieczem. Wulfgar bez trudu zrobił unik, chwycił pirata jedną ręką za nadgarstek, drugą zaś za krocze. Lekko zmieniając jego kierunek, lecz nie zmniejszając samego pędu, Wulfgar podniósł go w powietrze i wyrzucił przez burtę Duszka Morskiego. Dwaj inni piraci, początkowo mając taki sam zamiar względem nieuzbrojonego barbarzyńcy, jak ich nieszczęśliwy towarzysz, zatrzymali się i poczęli szukać lepszego uzbrojenia lub mniej niebezpiecznego przeciwnika. Nagle Aegis-fang w magiczny sposób powrócił do czekającego Wulfgara i nadeszła kolej na atak z jego strony.

Trzech ludzi z załogi Deudermonta, usiłując przedostać się na piracki statek po mostku abordażowym, zostało zabitych i teraz piraci rzucili się przez mostek, aby swą liczbą zalać pokład Duszka Morskiego. Drizzt Do'Urden powstrzymał ten napływ. Z sejmityrami w rękach - Błysk jaśniał wściekłym, niebieskim światłem - elf wskoczył lekko na szeroki pomost abordażowy.

Grupa piratów, widząc samotnego, szczupłego przeciwnika zagrażającego im drogę, sądziła, że łatwo się przebiję. Lecz ich napór osłabł widocznie, gdy trzech ludzi w pierwszym szeregu zważyło się przy furkocie ostrzy, bezskutecznie łapiąc się za rozplataną gardła i brzuchy.

Deudermont i sternik, którzy rzucili się na pomoc Drizztowi, zwolnili i patrzyli na to wyśmienite przedstawienie. Błysk i jego towarzysz podnosiły się i opadały z oślepiającą wręcz szybkością i śmiertelną dokładnością. Padł następny pirat, a jeszcze inny wypuścił z ręki miecz, nurkując w wodę w ucieczce przed straszliwym elfim wojownikiem. Pozostałych pięciu piratów zamarło jak sparaliżowanych, z otwartymi szeroko ustami w niemych okrzykach przerażenia.

Deudermont i sternik także odskoczyli zaskoczeni i lekko przerażeni, gdyż zaabsorbowanemu walką Drizztowi magiczna ma-

\* 145\*

R. A. SALVATORE

ska zrobiła niespodziankę. Zsunęła się z twarzy drowa, ukazując wszystkim wokół jego ciemne dziedzictwo.

\* \* \*

- Nawet gdybyś spalił żagle, statek włączy się do walki - zauważyła Catti-brie, obserwując niewielką odległość między pozostałym statkiem pirackim, a unieruchomionym statkiem u wejścia do kanału.

- Żagle? - roześmiał się Bruenor. - Mam zamiar zrobić coś więcej, niż tylko to!

Catti-brie cofnęła się od karła, rozważając jego pomysł.

- Zwariowałaś! - otworzyła usta, gdy Bruenor skierował pojazd w dół, na poziom pokładu.

- Ba! Zatrzymam te psy! Trzymaj się, dziewczyno!

- Demonie, będę się trzymała! - odrzyknęła Catti-brie. Poklepała Bruenora po głowie i zaczęła realizować kontrplan, zeskakując z powozu do wody.

- Żwawa dziewczyna - zachichotał Bruenor, przyglądając się jak bezpiecznie plusnęła w wodę. Potem skierował wzrok z powrotem ku piratom. Załoga na tylnym pokładzie widziała jego zbliżanie się i rozbiegła się we wszystkich kierunkach, aby zejść mu z drogi.

Pinochet na dziobie obejrzał się na to nieoczekiwane poruszenie dokładnie w chwili, gdy Bruenor uderzył w statek.

- Moradin!

\* \* \*

Okrzyk bojowy krasnoluda rozbrzmiał na pokładzie Duszka Morskiego i trzeciego statku pirackiego nad całym bitewnym zgiełkiem. Piraci i marynarze na walczących statkach obejrzeni się na odgłos eksplozji na statku flagowym Pinocheta, a jego załoga odpowiedziała na okrzyk Bruenora wrzaskiem przerażenia. Wulfgar przerwał, słysząc wezwanie do boga krasnoludów, przypominając sobie drogiego przyjaciela, który miał zwyczaj wykrzykiwać takie imię w obliczu wrogów.

Drizzt tylko się uśmiechnął.

\* \* \*

Gdy powóz uderzył w pokład, Bruenor odtoczył się w tył, a zakłęcie Alustriel rozleciało się, przekształcając powóz w toczą-

KLEJNOT HALFUNGA

cą się kulę zniszczenia. Płomienie rozpełzły się po pokładzie, liżąc maszty i chwytając dobie brzegi żagli.

Bruenor stanął na nogach, trzymając w jednym ręku swój mi-Ihrilowy topór, z lśniącą złotą tarczą przywiązaną do drugiej. Lecz w tej chwili nikt nie odważył się go zaatakować. Ci z piratów, którym udało się uniknąć początkowego zniszczenia, zainteresowani byli tylko jak najszybszą ucieczką Bruenor splunął za nimi i wzruszył ramionami. Potem, ku zdumieniu tych

nielicznych, którzy go widzieli, szalony krasnolud wszedł prostow płomienie, kierując się na dziób, aby przekonać się, czy jacyś piraci na przodzie chcą z nim walczyć.

Pinochet natychmiast zrozumiał, że statek jest stracony. Nie po raz pierwszy, a prawdopodobnie i nie po raz ostatni, pocieszał się, chłodno skinąwszy na najbliższego oficera, aby pomógł mu opuścić małą łódź wiosłową. Dwaj inni członkowie załogi wpadli na ten sam pomysł i gdy nadszedł Pinochet już mieli odwiązaną małą łódkę. W całym tym nieszczęściu każdy myślał tylko o sobie, Pinochet zadał mieczem cios w plecy jednemu z nich, drugiego zaś odpędził. Wtedy też wynurzył się nietknięty przez płomienie Bruenor i zobaczył dziób statku prawie opustoszały. Uśmiechnął się uszczęśliwiony, gdy zobaczył małą łódkę i kapitana piratów, opuszczającego się w niej na wodę. Inni piraci pochyleni byli nad relingiem, odwiązując ostatnie liny.

Gdy pirat przełożył jedną nogę nad relingiem, Bruenor pomógł mu, kopnąwszy go obutą stopą w tyłek, przerzuciwszy tym samym przez reling.

- Oddaj ją, dobrze? - warknął Bruenor do kapitana piratów, wskakując ciężko do łódki. - Muszę wyciągnąć z wody pewną dziewczynę!

Pinochet z werwą wyciągnął miecz z pochwy i zerknął przez ramię.

- Oddasz? - zapytał znowu Bruenor.

Pinochet odwrócił się i ciał potężnie w stronę krasnoluda.

- A wystarczyło powiedzieć tylko jedno: nie - zadrwił Bruenor, blokując uderzenie tarczą i tnąc swym toporem w kolana pirata.

\* \* \*

\* 146 \*

\* 147 ♦

R. A. SALVATORE

KLEJNOT HALFUNGA

Ze wszystkich nieszczęść, jakie spotkały piratów tego dnia, żadne nie przeraziło ich bardziej, niż wkroczenie Wulfgara do walki. Nie potrzebował pomostu abordażowego - potężny barbarzyńca po prostu przeskoczył szczylinę między statkami i wbił się w szeregi piratów, roztrzaskując ich potężnymi zamachami swego młota bojowego.

Drizzt przyglądał się widowisku z głównego pokładu. Drów nie zauważył, że jego maska ześliznęła się, nie miałby zresztą nawet czasu, by coś z tym zrobić. Chcąc dołączyć do przyjaciela, rzucił się na pięciu pozostałych na pokładzie piratów. Rozbiegli się bez namysłu, woląc wodę w dole, niż zabójcze ostrza drowa.

Dwaj bohaterowie, dwaj przyjaciele byli znów razem, wyrabując ścieżkę zniszczenia przez pokład pirackiego statku. Deu-dermont i jego załoga, będąc sami wyćwiczonymi wojownikami, oczyścili wkrótce Duszka Morskiego z piratów i zwyciężali na wszystkich pomostach

abordażowych. Wiedząc teraz, że zwycięstwo nie wymknie się im już z rąk, czekali przy relingu pirackiego statku, eskortując wzrastającą falę jeńców do ładowni Duszka Morskiego, podczas gdy Drizzt i Wulfgar kończyli swe zadanie.

\* \* \*

- Zginiesz, brodaty psie! - ryknął Pinochet, tnąc mieczem.

Bruenor, usiłując stanąć pewnie na nogach na kiwającej się łódce, pozwolił mu pozostawać w ofensywie, czekając ze swymi ciosami na lepsze chwile. Jedna z nich nadeszła nieoczekiwanie, gdy pirat, którego Bruenor strącił z płonącego statku, zaczął płynąć w kierunku dryfującej łódki. Bruenor przyglądał się kątem oka, jak się zbliża. Mężczyzna chwycił się burty małej łódki i podciągnął się w górę po to tylko, by otrzymać cios mithrilowe-go topora Bruenora w szczyt głowy. Pirat runął w tył obok łódki, zabarwiając wodę na czerwono.

- To twój przyjaciel? - zadrwił Bruenor.

Pinochet natarł z jeszcze większą wściekłością, niż się tego spodziewał Bruenor. Nie trafił dzikim machnięciem, tracąc równowagę po prawej stronie Bruenora. Krasnolud pomógł mu, przesuując jego ciężar ku burcie i uderzając kapitana piratów tarczą w plecy.

- Jeśli chcesz żyć - zawołał Bruenor, gdy Pinochet huśtając się na wodzie odplłynął o kilka stóp - to puść miecz! - Krasnolud rozpoznał ważną pozycję tego człowieka i chciał, żeby wiosłował ktoś inny.

Nie mając innego wyjścia, Pinochet posłuchał i podplłynął z powrotem do małej łódki. Bruenor wciągnął go przez burty i posadził go między wiosłami.

- Odwróć ją! - ryknął krasnolud. - I ciągnij mocno!

\* \* \*

- Maski ci spadła - szepnął Wulfgar do Drizzta, gdy już skończyli swoją robotę. Drów wśliznął się za maszt i umocował na miejscu swą maskę.

- Sądzisz, że widzieli? - zapytał Drizzt, gdy powrócił do Wulfgara. Jednak gdy to mówił zauważył załogę Duszka Morskiego, stojącą na pokładzie pirackiego statku i przyglądającą się mu podejrzliwie; z bronią w ręku.

- Widzieli - zauważył Wulfgar. - Chodź - błagał Drizzta, kierując się w stronę pomostu abordażowego. - Zaakceptuj to!

Drizzt nie był tego pewien. Pamiętał inne razy, gdy ratował ludzi po to tylko, aby się od niego odwrócili, gdy zobaczyli pod kapturem płaszcz prawdziwy kolor jego skóry. Lecz to była cena, jaką płacił za swój wybór porzucenia własnego ludu i wyjścia na powierzchnię ziemi.

Drizzt złapał Wulfgara za ramię i szedł obok niego, zdecydowanie kierując się z powrotem w stronę Duszka Morskiego. Spojrzawszy na swego młodego przyjaciela, mrugnął okiem i ściągnął maskę z twarzy. Włożył swe sejmity do pochew i odwrócił się do załogi.

- Niech poznają Drizzta Do'Urdena - warknął cicho za nim Wulfgar, używając Drizztowi całej siły, jakiej ten mógł potrzebować.

CouiAftzusze

Bruenor znalazł Catti-brie, chlapiącą się w wodzie, za szczątkami statku Pinocheta. Jednak Pinochet nie zwrócił uwagi na młodą kobietę. W oddali załoga jego pozostałego na wodzie, wielkiego, artyleryjskiego okrętu opanowała ogień i zawróciła, odpływając tak szybko, jak tylko mogła.

- Myślałam, że zapomniałeś o mnie - powiedziała Catti-brie, gdy tylko łódka się zbliżyła.
- Powinnaś zostać u mego boku - roześmiał się do niej krasnolud.
- Nie mam tak dobrych stosunków z ogniem, jak ty - odparła Catti-brie z pewną dozą podejrzliwości.

Bruenor wzruszył ramionami.

- Jest tak od czasu kopalń - odparł. - Może to zbroja ojca mojego ojca.

Catti-brie chwyciła za burtę łódki i zaczęła się podciągać, nagle jednak przestała w nagłym olśnieniu, gdy zobaczyła sejmitar przewieszony przez plecy Bruenora.

- Wziąłeś ostrze drowa! - powiedziała, przypominając sobie historię, którą opowiedział jej Drizzt o swej walce z ognistym demonem. Magia wykutego w lodzie sejmityra uchroniła Drizzta tego dnia przed ogniem. - Z pewnością to było twoją ochroną!
- Dobre ostrze - mruknął Bruenor, spoglądając na rękojeść sterczącą nad jego ramieniem. - Elf powinien znaleźć dla niego imię!
- - Łódka nie utrzyma ciężaru trojga - przerwał Pinochet. Bruenor rzucił na niego wściekle okiem i warknął.

## KLEJNOT HALFUNGA

-Więc spływaj!

Twarz Pinocheta wykrzywiła się i zaczął się podnosić.

Bruenor stwierdził, że w drwinach z dumnego pirata posunął się zbyt daleko. Zanim jednak tamten zdążył się wyprostować, krasnolud uderzył czołem w pierś Pinocheta, wyrzucając go z łodzi przez burtę. Krasnolud chwycił za nadgarstek Catti-brie i wciągnął ją, by posadzić obok siebie.

- Wyceluj w niego swój łuk, dziewczyno - powiedział na tyle głośno, aby Pinochet, znów chlapiący się w wodzie, mógł usłyszeć. Rzucił piratowi koniec liny. - Jeśli nie będzie się trzymał, zabij go!

Catti-brie nałożyła srebrną strzałę na cięciwę Taulmarila i wycelowała w Pinocheta, udając, że mu grozi, choć w istocie nie miała zamiaru uśmiercić bezsilnego człowieka,

- Mój łuk nazywają Poszukiwaczem Serc - ostrzegła. - Zrobisz lepiej, jeśli będziesz za nami płynął.

Dumny pirat owinął się liną i zaczął młócić wodę rękoma i nogami.

\* \* \*

- Żaden drów nie wróci na ten statek! - warknął jeden z członków załogi Deudermonta do Drizzta. Człowiek ten otrzymał uderzenie w tył głowy za te słowa i już tylko usunął się na bok zakłopotany, gdy Deudermont wszedł na pomost abordażowy. Kapitan badał wyraz twarzy swej załogi tak, jak oni badali drowa, który był ich towarzyszem od tygodni.

- Co z nim zrobisz? - odważył się zapytać jeden z marynarzy.
- Mamy ludzi w wodzie - odparł kapitan, nie odpowiadając na pytanie. - Wyciągnijcie ich i

osuszcze, a piratów zakujcie w łańcuchy. - Odczekał chwilę, aż załoga się rozejdzie, lecz marynarze pozostali na swych miejscach, oczarowani dramatem mrocznego elfa.  
-I rozłączcie te statki! - ryknął Deudermont. Po chwili zwrócił się do Drizzta i Wulfgara. -  
Chodźmy do mojej kabiny - powiedział chłodno. - Powinniśmy porozmawiać.  
Drizzt i Wulfgar nie odpowiedzieli. Poszli z kapitanem w milczeniu, przyjmując na siebie ciekawe, przerażone i obrażone spojrzenia załogi.

9 150 \*

\* 151 \*

### B. A. SALVATORE

Deudermont zatrzymał się w połowie pokładu, dołączając do grupy marynarzy patrzących na południe, za płonący statek Pino- ; cheta, na małą łódź wiosłową płynącą ich stronę.  
- Woźnica ognistego powozu, który pędził po niebie - wyją- • śnił jeden z marynarzy.  
- Zatopił tamten statek! - krzyknął drugi, wskazując na szczątki flagowego statku Pinocheta, teraz mocno przechylonego " i zaczynającego tonać. -I zmusił trzeci do ucieczki!  
- Więc jest naszym przyjacielem - odparł kapitan.  
-Naszym także - dodał Drizzt, powodując, że wszystkie oczy '  
znów spojrzały na niego. Nawet Wulfgar spojrzał z ciekawością na swojego towarzysza. Słyszał okrzyk do Moradina, lecz nie śmiał mieć nadziei, że to rzeczywiście Bruenor Battlehammer idzie ; im na pomoc.

- Rudobrody krasnolud, jeśli me domysły są prawidłowe - kontynuował Drizzt. -A wraz z nim młoda kobieta.

Wulfgar otworzył usta.

- Bruenor? -wyszeptał. - Catti-brie?

Drizzt wzruszył ramionami. - Tak się domyślał.

- Powinniśmy się wkrótce dowiedzieć - zapewnił ich Deuder- j mont. Poleciał załodze przyprowadzić pasażerów łódki do swej ; kabiny, gdy tylko znajdą się na pokładzie, a potem odprowadził Drizzta i Wulfgara, wiedząc, że na pokładzie drów będzie rozpraszał uwagę załogi. A teraz miała wiele roboty przy oczyszczaniu statku.

- Co zamierzasz z nami zrobić? - zapytał Wulfgar, gdy Deudermont zamknął drzwi kabiny.  
- Walczyliśmy dla...

Deudermont przerwał mu uspokajającym uśmiechem.

- Z pewnością - przyznał. - Chciałbym mieć tak potężnego marynarza w każdej podróży na południe. Teraz z pewnością i-raci będą uciekać, gdy tylko Duszek Morski pokaże się na hory zonie!

Wulfgar złagodził swą obronną postawę.

- Moje maskowanie się nie miało na celu sprowadzenie szkody - powiedział ponuro Drizzt. - Tylko mój wygląd był kłamstwem. Musiałem udać się na południe, aby uratować przyjaciela i to pozostaje prawdą.

\* 152 \*

## KLEJNOT HALFJNGA

Deudermont pokiwał głową lecz zaitim zdążył odpowiedzieć, zapukano do drzwi i zajrzał jakiś maryiiaz-

- Proszę o wybaczenie - zaczął.

- O co chodzi? - zapytał Deudermont.

- Idziemy za tobą wszędzie, kapitanie - powiedział marynarz. - Lecz sądzimy, że powinieneś wiedzo, co rzeczywiście czujemy do elfa.

Deudermont przyglądał się przez cliche, marynarzowi, a potem Drizztowi. Zawsze był dumny ze swej załogi, większość ludzi była razem już od wielu lat, lecz poważnie zastanawiał si«. J3\* poradzą sobie z tym problemem.

- Mów dalej - powiedział, uparcie pierząc w swoich liJdzi.

- Cóż, wiemy, że jest drowem - zaczął marynarz. -I wiemy co to oznacza - przerwał, ważąc ostrożnie \$we następne słowa. Drizzt wstrzymał oddech w oczekiwaniu; tę rundę przegrał już wcześniej. - Ale oni obaj wyciągnęli nas dzisiaj z ciężkiej opresji -nagle wyrzucił z siebie marynarz. - Beł nich nie dalibyśmy sobie przeciw rady!

- Chcecie więc, aby pozostali na pokładzie? - zapytał Deudermont, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Jego załoga jeszcze raz stanęła na wysokości zadania.

- Tak! - odparł marynarz. - Wszyscy! Jesteśmy dumni mając ich wśród nas.

Inny marynarz, ten który zaatakow^ Drizzta przed chciana pomocy, wsadził głowę do kabiny. - Byłem przestraszany, to wszystko - usprawiedliwił się przed Dnzztem.

Zakłopotany Drizzt nie mógł złapać oddechu. Pokiwał głową przyjmując usprawiedliwienie.

- Wyjdźcie więc na pokład - powiedział drugi marynarz i zniknął z drzwi.

- Myśleliśmy tylko, że powinieneś wiedzieć - rzekł pierwszy marynarz do Deudermonta, a potem t^ze zniknął.

- To doskonała załoga - powiedz- Deudermont do Drizzta i Wulfgara, gdy drzwi się zamknęły.

- A ty, co o tym myślisz? - zapytał Wulfgar.

- Oceniam człowieka - elfa - według jego charakteru, a nie wyglądu - oznajmił

Deudermont. - Jeśli o to chodzi, to nie za-

9 153 \*

## R. A. SALVATORE

kładaj już maski, Drizzcie Do 'Urdenie. Jesteś dużo przystojnie; szy bez niej!

- Niewielu podziela to zdanie - odparł Drizzt.

- NaDuszkę Morskimwszyscy! - ryknął kapitan. - Teraz, mimo że zwyciężyliśmy w tej walce, jest jeszcze dużo do zrobienia. Podejrzewam, że twoja siła przyda się na dziobie, potężny barbarzyńco. Musimy oczyścić te statki i odpłynąć, zanim trzeci pirat. wróci, prowadząc więcej swych przyjaciół!

- Jeśli zaś chodzi o ciebie - powiedział do Drizzta z chytrym uśmiechem - to sądzę, że nikt lepiej nie utrzyma porządku wśród więźniów niż ty.

Drizzt ściągnął maskę z głowy i włożył ją do swego plecaka.

- Są też korzyści z koloru mej skóry - przyznał, potrząsając lokami swych białych włosów. Chciał wyjść z Wulfgarem, gdy drzwi do kabiny nagle się otworzyły.

- Doskonale ostrze, elfie! - powiedział Bruenor Battlehammer, stojąc w kałuży morskiej wody. Wręczył Drizztowi magiczny seymitar. - Znajdź dla niego imię, dobrze? Ostrze takie jak to powinno mieć imię. Dobrze do pieczenia wieprzo winy!

- Lub krasnolud polujący na smoki - zauważył Drizzt. Trzy małe seymitarskie ostrza z uszanowaniem, przypominając sobie znowu, gdzie zobaczył go po raz pierwszy, leżącego wśród skarbów martwego smoka. Potem włożył go do pochwy, w której uprzednio trzymał zwykłe ostrze, sądząc, że to stare będzie stosownym towarzyszem dla Błysku. Bruenor podszedł do drowa i chwycił go mocno za nadgarstek.

- Gdy zobaczyłem twoje oczy, patrzące na mnie tam, w wąwozie - zaczął cicho krasnolud, walcząc z czymś dławiącym go w gardle, grożącym załamaniem się jego głosu. - Byłem pewien, że pozostali moi przyjaciele będą bezpieczni.

- Ale nie są - odparł Drizzt. - Regis jest w poważnym niebezpieczeństwie. Bruenor mrugnął okiem.

\*154\*

- Dostaniemy go, elfie! Żaden śmierdzący morderca nie wykończy Pasibrzucha! - ścisnął mocno ramię drowa po raz ostatni

#### KLEJNOT HALFUNGA

i zwrócił się do Wulfgara, którego wprowadził do człowieczeństwa.

Wulfgar chciał coś powiedzieć, lecz nie mógł, miał ściśnięte gardło. W przeciwieństwie do Drizzta barbarzyńca nie wiedział, że Bruenor mógł pozostać żywym i zobaczenie teraz swego drogiego mentora, krasnoluda, który stał się dla niego więcej niż ojcem, było po prostu ponad jego siły, nie wiedział jak to znieść. Chwycił za ramiona Bruenora w chwili, gdy krasnolud miał coś powiedzieć i podniósł go w górę, zamykając w niedźwiedzim uścisku. Bruenor kilka chwil szamotał się, zanim zdołał się uwolnić na tyle, aby móc przynajmniej złapać oddech.

- Gdybyś tak ścisnął smoka - wykaszał - nie musiałbym je chać na nim na dno wąwozu!

Weszła Catti-brie, ociekająca wodą z włosami przylepionymi do szyi i ramion. Za nią wszedł Pinochet - przemoczony i pokorny. Jej oczy najpierw napotkały wzrok Drizzta, zatrzymując drowa w cichej chwili emocji, sięgającej głębiej niż zwykła przyjaźń.

- Witaj - szepnęła. - Dobrze jest znów spojrzeć na Drizzta Do'Urdena. Moje serce było cały czas z tobą.

Drizzt uśmiechnął się do niej zdawkowo i odwrócił swe lawendowe oczy.

- Jakoś wiedziałem, że dołączysz do nas w naszych poszukiwaniach, zanim się skończą.

Wzrok Catti-brie powędrował za drowa, do Wulfgara. Dwukrotnie już była rozdzielona z tym człowiekiem i po raz drugi, gdy znów się spotykali, przypominała sobie, jak bardzo go pokochała.

Wulfgar także ją zobaczył. Kropelki morskiej wody błyszczały na jej twarzy, lecz bladły wobec błysku jej uśmiechu. Barbarzyńca, nie spuszczać wzroku z Catti-brie, postawił Bruenora na podłodze. Tylko zakłopotanie spowodowane tym, że patrzą na nich Drizzt i Bruenor, utrzymało ich z dala od siebie.

- Kapitanie Deudermont - powiedział Drizzt. - Przedstawiam



ci Bruenora Battlehammera i Catti-brie, dwoje najdroższych przyjaciół i doskonałych sprzymierzeńców.

\* 155 \*

R. A. SALVATORE

- Przynosimy ci też prezent - roześmiał się Bruenor. - W" dząc, że nie mamy pieniędzy, aby zapłacić za przejazd. - Brr nor podszedł do Pinocheta, chwycił go za rękaw i wyciągnął na środek kabiny. - Kapitan statku, który spaliłem, jak się do ślam.

- Witam was oboje - odparł Deudermont. - I zapewniam ci że więcej niż mocno zapracowałeś na swą podróż. - Kapitan podniósł się, aby przyjrzeć się Pinochetowi, podejrzewając, że jest dla niego ważnym.

- Wiesz kim jestem? - zapytał pirat rozdrażniony, sądząc, że teraz ma do czynienia z kimś rozsądniejszym niż ponury krasnolud.

- Jesteś piratem - odparł chłodno Deudermont.

Pinochet przechylił głowę, aby przyjrzeć się kapitanowi. Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiešek.

- Zapewne słyszałeś o Pinochecie?

Deudermont pomyślał i obawiał się, że rozpoznał tego człowieka, gdy tylko Pinochet wszedł do kabiny. Kapitan Duszka Morskiego w istocie słyszał o Pinochecie - każdy kupiec wzdłuż Wybrzeża Mieczy słyszał o Pinochecie.

- Żądam, żebyś uwolnił mnie i moich ludzi! - oznajmił bez ogródek pirat.

- W swoim czasie - odparł Deudermont. Drizzt, Bruenor, Wulfgar i Catti-brie nie znając zasięgu wpływu piratów, spojrzeli na Deudermonta z niedowierzaniem.

- Ostrzegam cię, że konsekwencje twego postępowania będą straszne! - kontynuował Pinochet, nagle uzyskując przewagę w tej konfrontacji. - Nie jestem skłonny do wybaczenia, podobnie jak moi sprzymierzeńcy.

Drizzt, którego naród nagminnie nagiął zasady sprawiedliwości do swych własnych reguł, natychmiast zrozumiał dylemat kapitana.

- Uwolnij go - powiedział. W jego obydwu rękach pojawiły się magiczne sejmity; Błysk jaśniał niebezpiecznie. - Uwolnij go i daj mu broń. Ja też nie wybaczam.

Widząc przerażone spojrzenie, jakim obdarzył drowa pirat, Bruenor szybko dołączył do dyskusji.

\* 156«

KLEJNOT HALFUNGA

- Tak, kapitanie, uwolnij tego psa - warknął. - Zatrzymałem jego głowę na jego ramionach tylko po to, aby dać ci żywy podatek. Jeśli go nie chcesz... - Bruenor wyciągnął zza pasa swój topór i machnął nim bez trudu.

Wulfgar też nie chciał tracić okazji.

- Gołe ręce i pod maszt! - ryknął barbarzyńca napinając swe mięśnie tak, że wydawało się, iż wybuchną. - Pirat i ja! Niech zwycięzca pozna chwałę zwycięstwa. A pokonany niech zginie!

Pinochet patrzył na trzech szalonych wojowników. Potem, prawie błagając o pomoc, zwrócił się znów do Deudermonta.

- Ach, wszyscy zapomnieliście o zabawie - Catti-brie uśmiechnęła się, nie chcąc pozostać w tyle.

- Gdzie tu zabawa w rozdarciu pirata na strzępy? Daj mu łódkę i niech odpływa! - Jej

rozradowana twarz stała się nagle ponura, spojrzała złośliwie na Pinocheta. - Daj mu łódkę - powtórzyła - i niech robi uniki przed moimi srebrnymi strzałami.

- Dobrze, kapitanie Pinochet - zaczął Deudermont, z trudem ukrywając uśmiech rozbawienia. - Nie chcę rozwścieczyć piratów. Jesteś wolny i możesz płynąć, gdzie chcesz.

Pinochet rozejrzał się niepewnie.

- Albo - kontynuował kapitan Duszka Morskiego - ty i twoja załoga możecie pozostać w mojej ładowni, pod moją osobistą ochroną, aż dopłyniemy do portu.

- Nie możesz kontrolować swojej załogi? - parsknął pirat.

- Oni nie należą do załogi - odparł Deudermont. - A jeśli tych czworo postanowi cię zabić, to zapewniam cię, że niewiele będę mógł zrobić, aby ich powstrzymać.

- Mój lud nie ma zwyczaj u pozostawiać swych wrogów żywymi! - przerwał Drizzt tonem tak nieczułym, że zadrżeli nawet jego najbliżsi przyjaciele. - Jednak potrzebuję cię, kapitanie Deudermont i twojego statku. - Schował sejmity do pochew błyskawicznym ruchem. - Pozostawię pirata przy życiu, w zamian za wypełnienie warunków naszego układu.

- Ładownia, kapitanie Pinochet? - zapytał Deudermont, skinąwszy na dwóch członków swej załogi, aby odprowadzili przywódcę piratów.

Pinochet znów spojrzał na Drizzta.

9iS7 \*

## R. A. SALVATORE

- Jeśli kiedykolwiek znowu będziesz tędy żeglował... - zaczął złowieszczo uparty pirat.

Bruenor kopnął go w tyłek.

- Uważaj na to, co mówisz, psie - ryknął. - Albo bądź pewien, że ci obetnę jęzor!

Pinochet wyszedł cicho z marynarzami Deudermonta.

\* \* \*

Znacznie później, gdy załoga Duszka Morskiego kontynuowała naprawę statku, połączeni znowu przyjaciele wrócili do kabiny Drizzta i Wulfgara, aby wysłuchać przygód Bruenora w Mithrilowej Hali. Gwiazdy już poczęły migotać na wieczornym niebie, a krasnolud ciągle jeszcze opowiadał, mówiąc o bogactwach, jakie widział, o prastarych i świętych miejscach, przez które przechodził w swej ojczyźnie, o wielu potyczkach z patrolami duergarów i o swej końcowej, śmiałej ucieczce przez wielkie, podziemne miasto.

Catti-brie siedziała naprzeciw Bruenora, przyglądając się mu w przesuwającym się świetle samotnej świecy płonącej na stole. Słyszała jego opowieść już wcześniej, lecz Bruenor przekreślał historię tak, jak każdą, więc pochyliła się do przodu w swym krześle, ponownie oczarowana jego głosem. Wulfgar przysunął krzesło zaniął objął jązaramiona swymi długimi rękami. Drizzt stał przy oknie i patrzył na senne niebo. Jak bardzo przypominało to dawne czasy, jakby w jakiś sposób zabrali ze sobą kawałek Doliny Lodowego Wichru. Było wiele takich nocy, gdy przyjaciele zbierali się, aby opowiadać historie ze swej przeszłości lub po prostu tylko po to, by cieszyć się spokojem spędzonego razem wieczoru. Oczywiście piąty członek grupy był zawsze z nimi i zawsze jego opowieści z dalekich krajów przewyższały wszystkie inne. Drizzt spojrzał na swych przyjaciół, a potem znowu w nocne niebo, myśląc, a właściwie mając nadzieję, że nadejdzie dzień, w którym pięcioro przyjaciół znowu się połączy.

Pukanie do drzwi sprawiło, że trójka przy stole podskoczyła, tak byli zaabsorbowani - nie

wyłączając samego Bruenora - opowieścią krasjiołuda. Drizzt otworzył drzwi. Wszedł kapitan Deu-dermont.

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Witajcie - powiedział grzecznie. - Nie chciałbym wam przeszkadzać, ale mam pewne nowiny.
- Tylko żeby były dobre - mruknął Bruenor. - Albo lepiej byłoby z nimi trochę poczekać!
- Rozmawiałem znowu z Pinochetem - powiedział Deuder-mont. - W tym kraju jest on bardzo wysoko postawionym człowiekiem i nie było przypadkiem, że wysłał trzy statki, aby nas zatrzymać. Gonił za czymś.
- Za nami - stwierdził Drizzt.
- Nie powiedział niczego bezpośrednio - odparł Deudermont. - Lecz wydaje mi się, że istotnie tak było. Proszę zrozumieć, że nie mogę naciskać go zbyt mocno.
- Ba! Zmuszę psa do szczekania! - obraził się Bruenor.
- Nie ma potrzeby - powiedział Drizzt. - Piraci szukali nas.
- Ale skąd wiedzieli? - zapytał Deudermont.
- Ogniste kule nad Wrotami Baldura - stwierdził Wulfgar.

Deudermont pokiwał głową przypominając sobie to widowisko.

- Wydaje się, że zyskaliście jakichś potężnych wrogów.
- Człowiek, którego szukamy wiedział, że przybędziemy do Wrót Baldura - powiedział Drizzt. - Zostawił nawet dla nas przesłanie. Artemisowi Entreriemu nie sprawiało trudności zaaranżowanie wysłania sygnału jak i kiedy je opuścimy.
- Lub zaaranżowanie zasadzki - powiedział ponuro Wulfgar.
- Tak się wydaje - powiedział Deudermont.

Drizzt milczał, lecz podejrzewał co innego. Po co Entreri prowadziłby ich przez całą drogę tylko po to, aby zabili ich piraci? Wmieszał się tu ktoś inny, Drizzt był o tym przekonany i mógł się tylko domyślać, że tym kimś jest sam Pasha Pook.

- Jednak są inne kwestie, które musimy omówić - powiedział Deudermont. - Duszek Morski jest zdolny do żeglugi, lecz do znaleźliśmy poważnych uszkodzeń, podobnie jak i statek piracki, który opanowaliśmy.

- Masz zamiar płynąć obydwoma statkami? - zapytał Wulfgar.
- Tak - odparł kapitan. - Powinniśmy uwolnić Pinocheta i jego ludzi, gdy zawiniemy do portu. Tam chcą odzyskać swój statek.

◆ 158\*

\*159 \*

#### R. A. SALVATORE

- Piraci zasłużyli sobie na coś gorszego - mruknął Bruenor.
- Czy to uszkodzenie spowolni naszą podróż? - zapytał Drizzt, bardziej zainteresowany ich misją.
- Tak - odparł Deudermont. - Mam nadzieję, że dopłyniemy do królestwa Calimshanu, do

Memnonu, tuż za granicą Tethyru. Nasza flaga pomoże nam w pustynnym królestwie. Tam będziemy mogli zadokować i naprawić uszkodzenia.

-Na jak długo?

Deudermont wzruszył ramionami.

- Tydzień, może dłużej. Nie będziemy wiedzieli, dopóki właściwie nie ocenimy uszkodzeń. I jeszcze tydzień na żeglugę wokół półwyspu do Calimportu.

Czworo przyjaciół wymieniło przygnębione i zmartwione spojrzenia. Ile dni życia pozostało Regisowi? Czy halfling może pozwolić sobie na zwłokę?

- Jest jednak jeszcze inne wyjście - powiedział Deudermont. - Podróż z Memnonu do Calimportu statkiem, wokół miasta Te-shburl i przez Lśniące Morze jest znacznie dłuższa niż prosta droga lądem. Karawany opuszczają Calimport prawie każdego dnia i podróż, choć trudna, przez Pustynię Calim zabiera tylko kilka dni.

- Nie mamy zbyt wiele złota, aby zapłacić za przejazd - powiedziała Catti-brie.

Deudermont machnął na to ręką.

- Koszt jest niewielki - powiedział. - Każda karawana wędrująca przez pustynię będzie szczęśliwa mając was za strażników. Zasłużyliście także na wielką nagrodę ode mnie za pomoc w pokonaniu piratów - potrząsnął sakiewką złota, uwiązaną u pasa. - Jeśli wolicie, możecie pozostać z Duszką Morską tak długo, jak tylko będziecie chcieli.

- Jak długo potrwa podróż do Memnonu? - zapytał Drizzt.

- To zależy od tego, czy wiatr się utrzyma - odparł Deudermont. - Pięć dni, może tydzień.

- Opowiedz nam o tej Pustyni Calim - powiedział Wulfgar. -Co to jest pustynia?

■- Nagi kraj - odparł ponuro Deudermont, nie chcąc pomniejszać wyzwania jakie stanie przed nimi, jeśli wybiorą tę drogę.

## KLEJNOT HALFIJNGA

Pusty kraj z gorącymi wichrami, niosącymi kłujące piaski Tam gdzie potwory panują nad ludźmi i wielu nieszczęsnych wędrowców pełnie do śmierci, a ich kości oczyszczają apadn<sup>o</sup>cSoro przyjaciół otrząsnęło się z ponurego opisu kapitana. Z wyjątkiem odmiennej temperatury, było to bardzo podobne do ich domu.

\* 160 \*

\*161\*

Kor>seKuieT?cje

Doki ciągnęły się w każdym kierunku poza zasięg wzroku," gęste tysiące statków pstrzyły bładoniebieskie wody Lśniącego Morza i zabrałoby im całe godziny wędrówki, by przejść przez całe miasto, bez względu na to, którą bramą by weszli. Calim port, największe miasto w całych Krainach, było rozległą konfederacją chat i potężnych świątyń, wysokich wież wyrastających z równin niskich, drewnianych domów. Było ośrodkiem południowego wybrzeża, olbrzymim placem handlowym, kilkakrotnie większym niż powierzchnia Waterdeep.

Enlreri wyprowadził Regisa z portu do miasta Halfling nie stawiał oporu, był zbyt pochłonięty emocjami wywołanymi unikalnymi zapachami, widokami i dźwiękami, jakie oferowało miasto.

Nawet przerażenie i myśl o spotkaniu z PashąPookiem poczęły gasnąć pod natłokiem wspomnień wywołanych powrotem do swego dawniejszego domu. Spędził tutaj całe dzieciństwo, jako porzucone, osierocone dziecko, kradnąc jedzenie na ulicach i śpiąc zwinięty przy ogniskach rozpalanych przez innych włóczęgów na ulicach w zimne noce. Lecz miał przewagę nad innymi wagabundami Calimportu. Już jako młody chłopiec miał niezaprzeczalny czar i szczęście, które pozwalało mu zawsze spaść na cztery łapy. Pewnego dnia kolega wprowadził go do jednego z wielu domów publicznych miasta „Panie” okazały Regisowi wiele życzliwości, pozwalaj ac mu sprzątać i gotować, z powodu jego stylu życia, którego jego starsi przyjaciele mogli tylko zazdrościć. Rozpoznawszy charyzmatyczny potencjał halflinga, „panie” poznały Regisa z człowiekiem, który stał się jego mentorem i który przekształcił go w jednego z najlepszych złodziei jakich kiedykolwiek znało miasto - z PashąPookiem.

### KLEJNOT HALFUNGA

Imię to wróciło do Regisa jak uderzenie w twarz, przypominając mu strasliwą rzeczywistość, której zmuszony był teraz stawić czoła. Był ulubionym, małym rzezimieszkiem Pooka, dumą i uciechą mistrza gildii, lecz teraz pogarszało to tylko położenie Regisa Pook nigdy nie wybaczy mu jego zdrady. Nagle żywsze wspomnienia sprawiły, że pod Regisem zmiękły nogi, gdy Entreri skręcił w kierunku Kręgu Bandytów. W dalszym jego końcu, w ślepej uliczce, frontem do wejścia stał nie rzucający się w oczy, drewniany budynek z pojedynczymi drzwiami. Regis jednak znał wspaniałości kryjące się za tą bezpretensjonalną fasadą.

I przerażenie.

Entreri chwycił go za kołnierz i pociągnął w tamtym kierunku, nie zwalniając nawet kroku.

- Teraz, Drizzcie, teraz - wyszeptał Regis, modląc się o to, żeby jego przyjaciele byli gdzieś w pobliżu, gotowi do desperackiej akcji ratunkowej w ostatniej chwili. Wiedział jednak, że jego modlitwy pozostaną bez odpowiedzi. W końcu wdepnął w błoto zbyt głęboko, aby ot tak sobie uciec.

Dwaj strażnicy, przebrani za żebraków podeszli do nich, gdy zbliżyli się do drzwi. Entreri nie powiedział nic, rzucił im tylko mordercze spojrzenie. Strażnicy najwidoczniej rozpoznali mordercę. Jeden z nich usunął się na bok, potykając się o własne stopy, podczas gdy drugi pospieszył do drzwi i głośno zapukał. Otworzył się judasz i strażnik wyszeptał coś do odźwiernego wewnątrz. W chwilę później drzwi otworzyły się szeroko.

Spojrzenie we wnętrze gildii złodziei przerastało siły halflinga. Otoczyła go ciemność i poczuł, że wiotczeje w żelaznym uchwycie mordercy. Nie okazując emocji ani zaskoczenia, Entreri zarzucił sobie Regisa na ramiona i wniósł go do domu gildii i po znajdujących się za drzwiami schodach, jak worek kartofli. Dwaj następni strażnicy ruszyli, aby go odprowadzić, lecz Entreri szedł nie zwracając na nich uwagi. Minęły Irzy długie lata odkąd Pook wysłał go za Regisem, lecz morderca nie zapomniał drogi. Przeszedł przez kilka pokoi, potem w dół na niższy poziom, a potem począł się wspinać długimi, spiralnymi schodami. Wkrótce znalazł się ponownie nad poziomem ulicy i wspinał się dalej, do najwyższej położonych pokoi budowli.

R. A. SALVATORE

Regis odzyskał przytomność, wszystko w jego oczach było nak zamazaną plamą. Desperacko rozglądał się dokoła, o\* stały się wyraźniejsze i przypomniał sobie w końcu gdzie Entreri trzymał go za kostki, głowa halflinga chwiała się w poł pleców mordercy, a jego ręka była tylko o kilka cali od wys nego klejnotami sztyletu. Lecz nawet gdyby szybko udało m« zdobyć broń, Regis wiedział, że nie ma szans ucieczki - nie niosącym go Entrerim, z idącymi za nimi dwoma strażnik i ciekawymi oczyma wyglądającymi z każdych drzwi.

Szepty powędrowały przez gildię szybciej niż Entreri.

Regis wysunął podbródek za bok Entreriego i udało mu rzucić okiem na to, co znajdowało się wprzodzie. Dotarli podest, gdzie dalsi czterej strażnicy rozstąpili się przed nimi \_ słowa, otwierając drzwi na krótki korytarz, zakończony ozd nymi, obitymi żelazem drzwiami. Drzwi do pokoju Pashy Poo

Ciemność ponownie ogarnęła Regisa.

Wszedłszy do pokoju, Entreri znalazł wszystko tak, jak się te spodziewał. Pook siedział wygodnie na swym tronie, LaValle b^ obok niego, a ulubiony lampart u jego stóp. Żaden z nich mrugnął nawet okiem na nagłe pojawienie się dwóch długo ni obecnych towarzyszy. Morderca i mistrz gildii długo patrzyli i siebie w milczeniu. Entreri badał go uważnie. Nie spodziewał si tak formalnego spotkania.

Coś tu nie grało.

Entreri ściągnął Regisa z ramion i wyciągnął go - nadal głową w dół - na odległość ramienia, jakby prezentował zdobycz. Przekonany, że halfling jest przytomny, Entreri puścił go. Regis runął ciężko na podłogę. Pook na ten widok zachichotał.

- Minęły trzy długie lata - powiedział mistrz gildii, rozprasza jąć napięcie.

Entreri skinał głową.

- Mówiłem ci wyruszając, że to może potrwać. Mały złodziej uciekł na krańce świata.

- Lecz nie poza twój zasięg, he? - powiedział Pook, z pewnym sarkazmem. - Doskonale wykonałeś swoje zadanie, jak zawsze, Mistrzu Entreri. Twoja nagroda będzie taka, jak obiecano.

- Pook

9 164 «

## KLEJNOT HALFUNGA

osiadł znów na swoim tronie i przybrał swojaodległapostawę, pocierając palcami wargi i przyglądając się podejrzliwie Entreriemu. Entreri nie miał pojęcia, dlaczego Pook po tylu trudnych latach i zakończonej sukcesem misji traktuje go tak źle. Regis wymykał się z rąk mistrza gildii więcej niż pięć lat, zanim w końcu Pook wysłał Entreriego w pościg. Entreri nie uważał więc trzech lat za długi okres dla wypełnienia swej misji. Morderca nie chciał się też bawić w jakieś ukryte gry.

- Jeśli jest jakiś problem, to powiedz -powiedział bez ogródek.

- Był problem - odparł tajemniczo Pook, dając wyraźny nacisk na czas przeszły w swym stwierdzeniu.

Entreri cofnął się o krok, zupełnie zakłopotany -jeden z bardzo nielicznych razy w życiu. Regis poruszył się w tym momencie i udało mu się usiąść, lecz obaj mężczyźni pogrążeni w ważnej rozmowie, nie zwrócili na niego uwagi.

- Byłeś śledzony - wyjaśnił Pook, nie chcąc przedłużać tej gry z mordercą. - Co z przyjaciółmi halflinga?

Regis nastawił uszu.

Entreri milczał przez dłuższą chwilę, aby zastanowić się nad odpowiedzią. Domyślał się, do czego zmierza Pook i łatwo mógł się domyślić, iż Oberon musiał powiadomić mistrza gildii o czymś więcej, niż tylko o jego powrocie z Regisem. Zanotował sobie w myśli, że musi odwiedzić Oberona, gdy będzie następnym razem we Wrotach Baldura i wyjaśnić mu właściwe granice szpiegowania i właściwy umiar w lojalności. Nikt po raz drugi nie wchodził w drogę Artemisowi Entreriemu.

- Mniejsza z tym - powiedział Pook, widząc, że odpowiedź nie nadchodzi. - Nie będą już nam przeszkadzać.

Regis poczuł się słabo. To było południe, dom Pashy Pooka. Jeśli Pook dowiedział się o pościgu jego przyjaciół, z pewnością mógł ich wyeliminować. Entreri także wiedział o tym. Walczył o zachowanie spokoju, podczas gdy wzbierała w nim płonąca wściekłość.

- Sam troszczę się o swoje sprawy - warknął do Pooka, jego ton utwierdził mistrza gildii w przekonaniu, że morderca gra przydatną grę ze ścigającymi go.

- A ja o swoje! - krzyknął Pook, prostując się w swym krześle. - Nie wiem, co cię łączy z elfem i barbarzyńcą, Entreri, lecz

♦ 165\*

R. A. SALVATORE

KLEJNOT HALFUNGA

oni nie mają nic wspólnego z moim wisiorkiem! - pozbierał się szybko i usiadł ponownie, wiedząc, że konfrontacja stała się zbyt, niebezpieczna, aby ją kontynuować. - Nie mogłem ryzykować. Napięcie mięśni Entreriego zmalowało. Nie chciał wojny z Poo\*-kiem i nie mógł zmienić tego, co minęło.

- Jak? - zapytał.

- Piraci - odparł Pook. - Pinochet miał dług wdzięczności wobec mnie.

- To jest potwierdzone?

- Co cię to obchodzi? - zapytał Pook. - Jesteś tutaj. Halfling? jest tutaj. Mój wi... - przerwał nagle, uzmysłowivszy sobie, że jeszcze nie widział rubinowego wisiorka.

Teraz nadeszła kolej Pooka, aby pocić się i zastanawiać.

- To jest potwierdzone? - zapytał ponownie Entreri, nie robiąc żadnego ruchu w stronę magicznego wisiorka, wiszącego, w ukryciu, na jego szyi.

- Jeszcze nie - wyjąkał Pook. - Lecz trzy statki zostały wysła\* ! ne w pogoń za jednym.

Nie powinno być wątpliwości. "i

Entreri ukrył uśmiech. Znał drowa i potężnego barbarzyńcę na tyle, że uważał ich za żywych, dopóki nie zobaczyłyby ich zwłok '.

- Tak, istotnie są wątpliwości - szepnął pod nosem, ściągając rubinowy wisiorek przez głowę i wręczając go mistrzowi gildii.

Pook chwycił go w ręce, wiedząc natychmiast, po znajomym • mrowieniu, że to prawdziwy klejnot. Jaką teraz będzie władał, siłą! Mając w rękach magiczny rubin, z Artemisem Entreri u boku, i szcurołakami Rassitera pod jego dowództwem, będzie niepo- % konany. LaValle położył uspokajająco rękę na ramieniu mistrza

gildii. Pook, jaśniejąc w oczekiwaniu wzrostu swej siły, spojrzął na niego. i

- Dostaniesz obiecaną nagrodę - powtórzył Pook, gdy tylko mógł złapać oddech. -I jeszcze więcej!

Entreri skłonił się.

- A więc witaj, Pasho Pooku - odparł. - Dobrze jest być w domu. i

- Biorąc pod uwagę elfa i barbarzyńcę - powiedział po namyśle Pook, nagle ciesząc się z wiecznego niedowierzania mordercy.

Entreri uciszył go wyciągniętą ręką.

9 166 \*

- Wodny grób posłuży im równie dobrze, jak kanały Calim-  
portu - powiedział. -Nie martwmy się o to, co już za nami.

Na okrągłej twarzy Pooka pojawił się uśmiech.

- Zgoda, witaj więc - rozpromienił się. - Szczególnie, gdy czeka nas tak przyjemne zajęcie - spojrzął złym okiem na Regisa, lecz halfling, siedząc skulony na podłodze obok Entreriego, nie zauważył tego.

Regis nadal rozważał nowiny dotyczące swych przyjaciół. W tej chwili nie troszczył się o to, jak ich śmierć mogłaby wpłynąć na jego własnąprzyszłość - lub jej brak. Martwił się o to, że zginęli. Najpierw Bruenor w Mithrilowej Hali, potem Drizzt i Wulfgar, a możliwe, że i Catti-brie. Jeśli tak było, to pogrożki Pashy Pooka były naprawdę czcze. Co mógł mu zrobić Pook, co zabolaloby tak, jak te straty?

- Spędziłem wiele bezsennych nocy, niepokojąc się zawodem, jaki mi sprawiłeś - powiedział Pook do Regisa. - A spędzę jeszcze więcej zastanawiając się, jak ci za to odplącić.

Drzwi się otworzyły, przerywając tok myśli Pooka. Mistrz gildii nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć kto się ośmielił wejść bez pozwolenia. Tylko jeden człowiek w gildii miał taką śmiałość. Rassiter wśliznął się do pokoju i zatoczył niespokojny, ciasny krąg badając nowoprzybytych.

- Witaj, Pook - powiedział bezceremonialnie, z oczyma utkwionymi w mordercę.

Pook nie odezwał się, oparł brodę na dłoni i przyglądał się. Czekał na to spotkanie od dłuższego czasu. Rassiter był wyższy prawie o stopę od Entreriego, co dodawało tylko próżności postawie szczurołaka. Jak u wielu prostych zbirów, u Rassitera wysokość nie szła w parze z siłą i patrzenie z góry na człowieka, który był legendąlic Calimimportu - a tym samym jego rywalem -sprawiało, że sądził, iż już przez samo to zyskał przewagę.

- A więc to ty jesteś wielkim Artemisem Entrerim - powiedział z wyczuwalnąpogardą głosie.

Entreri nawet nie mrugnął okiem. Morderstwo czaiło sięw jego oczach, gdy wodził spojrzeniem za Rassiterem, który ciągle krążył. Nawet Regis oniemiał widząc tak zimnąkrew u obcego. Nikt nigdy nie traktował Entreriego tak lekceważąco.

\*167\*

R. A. SALVATORE

- Witaj -powiedział w końcu Rassiter, zadowolony z wynikó swych oględzin. - Jestem Rassiter, najbliższy doradca i kontrol Pashy Pooka w porcie.



Entreri nie odpowiedział. Spojrzał na Pooka oczekując wyj1:\* śnień. Mistrz gildii odpowiedział na zaciekawione spojrzeń\*<sup>1</sup> Entreriego uśmiechem i podniósł dłonie w geście bezsilności. < Rassiter posunął swoją poufałość jeszcze dalej. - Ty i ja - szepnął do Entreriego - powinniśmy razem dokonać wielkich rzeczy. - Chciał położyć rękę na ramieniu mordercy, lecz Entreri zmierzył go lodowatym spojrzeniem, tak śmierzdonośnym, że nawet zarozumiała Rassiter zaczął zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które niesło takie postępowanie, i

- Przekonasz się, że mam ci wiele do zaoferowania - powie "dział Rassiter, cofając się ostrożnie o krok. Widząc, że odpo-<sup>1</sup> wiedź nie nadchodzi, zwrócił się do Pooka. - Pozwolisz mi zatroszczyć się o małego złodzieja? - zapytał szczerząc swe żółte zęby.

- On jest mój, Rassiterze - odparł bez wahania Pook. - Ty i twoi trzymajcie swe okryte nitrem łapy z daleka!

Entreri nie pominął odniesienia.

- Oczywiście - odparł Rassiter. - Mam coś do załatwienia. Idę - skłonił się szybko i odwrócił się, aby odejść, napotykając oczy Entreriego po raz ostatni. Nie mógł wytrzymać tego lodowatego spojrzenia; nie mógł dorównać jego prostej intensywności intensywnością swego własnego wzroku.

Rassiter potrząsnął z niedowierzaniem głową, przechodząc obok przekonany, że Entreri przez cały czas nie mrugnął okiem.

- Ty zniknąłeś. Mój wisiołek zniknął - wyjaśnił Pook, gdy drzwi się zamknęły. - Rassiter pomógł mi zachować, a nawet rozszerzyć siłę gildii.

- To jest szczurołak - zauważył Entreri, jakby to samo wyczerpywało wszelką dyskusję.

- To głowa ich gildii - odparł Pook. - Są wystarczająco lojalni i łatwo ich kontrolować - podniósł do góry rubinowy wisiołek. - Teraz będzie jeszcze łatwiej.

\* 168 «\*

Entreri miał trudności ze zrozumieniem tego wszystkiego, nawet w świetle bezskutecznych prób wyjaśnienia ze strony Pooka.

## KLEJNOT HALFUNGA

Musiał mieć czas na rozważenie nowej sytuacji, uzmysłwić sobie, jak wiele rzeczy zmieniło się wokół domu gildii.

- Mój pokój? - zapytał.

LaValle poruszył się niespokojnie i spojrzał na Pooka.

- Używałem go - wyjąkał czarnoksiężnik. - Ale już się budują kwatery dla mnie - spojrzał na nowo osadzone drzwi w ścianie między haremem a dawnym pokojem Entreriego. - Lada dzień zostaną ukończone. Wyniosę się z twego pokoju natychmiast.

- Nie ma potrzeby - odparł Entreri, myśląc, że budowla jest w stanie bardziej zaawansowanym, niż była w rzeczywistości. W każdym razie potrzebował pewnej odległości od Pooka na jakiś czas, aby lepiej rozeznaczyć się w sytuacji w jakiej się znalazł i obmyślić swe następne posunięcia. - Znajdę pokój niżej, gdzie będę mógł lepiej zrozumieć nowe sposoby działania gildii.

LaValle odprężył się ze słyszalnym westchnieniem ulgi. Entreri podniósł Regisa za kołnierz.

- Co mam z nim zrobić?

Pook skrzyżował ramiona na piersi i przechylił głowę.

- Obmyśliłem dla ciebie milion tortur odpowiadających twemu przestępstwu - powiedział do Regisa. - Jednak widzę, że zbyt wiele, gdyż naprawdę nie wiem, jak odpłacić ci za to, co mi zro

biłość - spojrzał znów na Entreriego. - Mniejsza z tym - roze śmiał się. - Wymyślę coś. Wrzucę go do Cel Dziewięciu.

Na wzmiankę o mających złą sławę lochach Regis znowu sflaczał. Ulubione cele Pooka były przerażającymi pomieszczeniami normalnie zarezerwowanymi dla złodziei, którzy zabili innych członków gildii. Entreri uśmiechnął się, widząc halflinga tak przerażonego na samą wzmiankę o tym miejscu. Bez wysiłku podniósł Regisa z podłogi i wyniósł go z pokoju.

- Nie poszło dobrze - powiedział LaValle, gdy Entreri wyszedł.

- Poszło wspaniale! - sprzeciwił się Pook. - Nigdy nie widziałem Rassitera tak zdenerwowanego, a taki widok zapewnia nieskończenie więcej zadowolenia, niż nawet mogłem sobie wyobrazić.

- Entreri go zabije, jeśli nie będzie ostrożny - zauważył ponuro LaValle.

\* 169 «

R. A. SALVATORE

Pook wydawał się być rozbawiony tą myślą.

- Powinniśmy ustalić, kto nadaje się na następcę Rassitera' spojrzał na LaValle'a. - Nie obawiaj się, mój przyjacielu. Rassi" przeżyje. Nazywał ulice swym domem przez całe swoje życie i w końcu skryć się w bezpieczeństwie cieni. Nauczy się, gdzie jest je miejsce obok Entreriego i okaże mordercy należny szacunek.

Lecz LaValle nie myślał o bezpieczeństwie Rassitera - s' często myślał o pozbyciu się obrzydliwego szczurołaka. Czarn księżnik martwił się możliwością pogłębienia się rozdarcia w; wewnątrz gildii.

-Co będzie, jeśli Rassiter zwróci siłę swych sprzymierzeńców" przeciwko Entreriemu? - zapytał jeszcze bardziej ponurym t~, nem. - Wojna, jaka wybuchnie na ulicach, może rozedrzeć gildi na części. f

Pook odpedził tę możliwość machnięciem ręki. - Nawet Rassiter nie jest aż tak głupi - odparł, bawiąc się w palcach rubinowym wisiorkiem, swą polisaubezpieczeniową. LaValle odprężył się, usatysfakcjonowany zapewnieniami swego mistrza i zdolnościami Pooka w działaniu przy delikatnych sytuacjach. Pook jak zwykle miał rację, stwierdził LaValle. En\* treri zdenerwował szczurołaka samym spojrzeniem, odnosząc; wszelkie możliwe korzyści. Może teraz Rassiter będzie działał bardziej stosownie do swojej rangi w gildii. Gdy Entreri zakwa-, teruje się w niedalekiej przyszłości na tym samym piętrze, może narzucanie się brudnego szczurołaka będzie rzadsze. Tak, to dobrze, że Entreri wrócił.

\* \* \* Cele Dziewięciu nazwano tak z powodu dziewięciu cel wyciętych tych w centrum podłogi - po trzy w rzędzie. Tylko jedna, środkowa cela pozostawała nie zajęta, w pozostałych ośmiu Pasha Pook trzymał swą najcenniejszą kolekcję, wielkie, używane do polowań koty z każdego zakątka Krain.

Entreri wręczył Regisa profosowi, olbrzymiemu mężczyźnie i cofnął się, żeby lepiej przyjrzeć się widowisku. Profos obwiązał halflinga jednym końcem ciężkiej liny, przechodzącej przez bloczek umocowany do sufitu nad środkową celą i powracającej do korby na bocznej ścianie.

\*170\*

KLEJNOT HALFUNGA

- Odwiąż ją, gdy będziesz już w środku - warknął profos do Regisa. Popchnął Regisa do przodu. - Ruszaj.

Regis ruszył z werwą wzdłuż brzegu zewnętrznych cel. Wszyst

kie miały około dziesięciu stóp kwadratowych, z jaskiniami wykutymi w ścianach, gdzie koty mogły iść odpocząć. Lecz teraz żadna z bestii nie odpoczywała i wszystkie wydawały się być równie głodne.

Zawsze były głodne.

Regis wybrał deskę między białym lwem i ciężkim tygrysem, sądząc, że te dwa olbrzymy najmniej nadają się do wspięcia się na dwudziestostopową ścianę i wyszarpięcia miecha z jego kostki, gdy będzie przechodził. Postawił jedną nogę na ścianie, mającej zaledwie cztery cale szerokości, oddzielającej celi i nagle zawahał się przerażony. Profos przynaglając szarpnął za linę, o mało nie zrzucając Regisa na białego lwa. Ostrożnie ruszył do przodu, koncentrując się na tym, żeby stawiać stopy jedna przed drugą i usiłując nie zwracać uwagi na warczenia i szpony w dole. Prawie dotarł do środkowej celi, gdy nagle tygrys uderzył całym ciężarem ciała o ścianę, wstrząsając nią potężnie. Regis stracił równowagę i spadł z krzykiem.

Profos pociągnął za korbę, zatrzymując go w połowie drogi w dół, tuż nad zasięgiem wysokości tygrysa. Regis uderzył w dalszą ścianę, ocierając sobie zębra, lecz nawet nie czuł bólu w tak krytycznym momencie. Wdrapał się na ścianę i kołysał się swobodnie, zatrzymując się w końcu nad środkiem centralnej celi, gdzie profos go opuścił. Ostrożnie postawił stopy na podłodze i ścisnął linę, jako swój możliwy ratunek, nie mogąc uwierzyć, że musi zostać w tym koszmarnym miejscu.

- Odwiąż to! - zażądał profos, a ton głosu mężczyzny wyjątkowo jasno zasugerował Regisowi, że brak posłuszeństwa będzie równoznaczny z niewypowiedzianym bólem. Zsunął linę.

- Śpij dobrze - roześmiał się profos, wyciągając linę poza zasięg halflinga. Zakapturzony mężczyzna wyszedł wraz z Entrerim, gasząc wszystkie pochodnie w pomieszczeniu i zatrzasnąwszy za sobą żelazne drzwi, pozostawiając Regisa samotnie w ciemności wraz z ośmioma głodnymi kotami.

9 171 \*

## R. A. SALVATORE

Ściany oddzielały bardzo solidnie klatki kotów, nie pozwalając, żeby zwierzęta zrobiły sobie nawzajem krzywdę, lecz ściana celi oddzielona była od nich tylko prętami, rozstawionymi na ryło szeroko, aby kot mógł włożyć łapę. Ta izba tortur była okrągła, zapewniając łatwy dostęp od strony wszystkich pozostałych ośmiu cel.

Regis nie odważył się ruszyć. Lina umieściła go w samym środku celi, jedynym miejscu, w którym nie mógł go dosięgnąć żaden z ośmiu kotów. Patrzył dokoła w kocie oczy, błyszczące złośliwie w półmroku. Słyszał drapanie pazurów, a nawet czuł szel powietrza, gdy któremuś z nich udało się przesunąć łapę pomiędzy prętami na tyle daleko, aby zadać cios. Za każdym razem gdy potężna łapa uderzała w podłogę obok niego, Regis przysiadł sobie, żeby nie uskakiwać w bok - tam, gdzie czekał i kot. Pięć minut wydawało się godziną i Regis drżał na myśl o' jak długo Pook zechce go tutaj trzymać. Może lepiej byłoby skorzystać z tym wszystkim, pomyślał Regis, myśl tę podzielało wielu umieszczonych w tym miejscu. Jednak patrząc na koty, halfling odrzucił tę możliwość.

Nawet gdyby przekonał sam siebie, że szybka śmierć w szczękach tygrysa byłaby lepsza, niż los, który / bez wątpienia go czeka, nigdy nie znalazłby na tyle odwagi, aby się na to zdecydować.

Chciał żyć - jak zawsze - i nie mógł zaprzeczyć tej upartej dążności swego charakteru, która nie chciała się poddać bez względu na to, jak czarno malowałyby się jego przyszłość.

Stał teraz nieruchomo jak posąg i usilnie pracował nad tym, aby myśleć o swej niedalekiej

przeszłości, o latach, które spędził poza Calimportem. W swych wędrówkach przeżył wiele przygód, pokonał wiele niebezpieczeństw. Regis przeżywał w myślach raz po raz te walki i ucieczki, usiłując odczuć to czyste podniecenie, jakiego doświadczył - były to aktywne myśli, które nie pozwalały mu zasnąć. Gdyby ogarnęła go słabość i gdyby upadł na podłogę, jakaś jego część mogłaby się znaleźć zbyt blisko kotów. Niejeden z więźniów został chwycony pazurem za nogę i przyciągnięty do ściany, aby tam zostać rozerwany na strzępy. Nawet ci, którzy przeżyli Cele Dziewięciu, nigdy nie zapominali \*172\* głodnego wzroku szesnastu błyszczących oczu.

2» 14- «£

CAT5CZACC isięte

Szczęście dopisywało uszkodzonemu Duszkowi Morskiemu i zdobytemu statkowi pirackiemu, gdyż morze było spokojne, a wiatr stały, lecz łagodny. Jednak podróż wokół Półwyspu Te-thyr była nudna i zbyt wolna dla czworga niecierpliwących się przyjaciół, gdyż za każdym razem, gdy wydawało się, że oba statki zrobiją jakiś postęp, na jednym lub drugim pojawiał się jakiś problem.

Na południe od półwyspu Deudermont skierował swe statki przez szeroki obszar wodny zwany Biegiem, z powodu częstego tu widoku statków kupieckich uciekających przed pościgiem piratów. Jednak żadni inni piraci nie sprawiali Deudermontowi i jego załodze kłopotów. Nawet trzeci statek Pinocheta nie pokazał ponownie swoich żagli.

- Nasza podróż zbliża się wreszcie ku końcowi - powiedział Deudermont do czworga przyjaciół, gdy trzeciego dnia pojawiła się przed ich oczyma wysoka linia brzegowa Purpurowych Wzgórz. - Tam, gdzie kończą się te wzgórza, zaczyna się Calimshan.

Drizzt przechylił się nad przednim relingiem i patrzył w blado-niebieskie wody południowych mórz. Zastanawiał się po raz kolejny, czy dotrze do Regisa na czas.

- W głębi lądu jest kolonia twego ludu - powiedział mu Deudermont, odciągając go od jego myśli. - W ciemnym lesie zwanym Mir - kapitan mimowolnie wzdrygnął się. - Drowy nie są mile widziane w tym regionie, radzę ci nałożyć maskę.

Drizzt bez namysłu wciągnął magiczną maskę na twarz, przybierając natychmiast wygląd elfa zamieszkującego powierzchnię

9 173 \*

R. A. SALVATORE

ziemi. Czyn ten mniej zmartwił drowa niż jego trójkę przyjaciół którzy spojrzeli na niego z pełną rezygnacji pogardą. Drizzt zrobił tylko to, co należało zrobić, przypomnieli sobie, postępuj\* z tym samym, nie skarżącym się na nic stoicyzmem, który kierował jego życiem od dnia, w którym porzucił swój lud. Nowa postać Drizzta nie podobała się oczom Wulfgara i Catti-brie. BrueJ nor splunął w wodę, rozgoryczony światem zbyt ślepym, aby odczytać księgę zapisaną we wnętrzu przyjaciela. ■

Wczesnym popołudniem, na południowym horyzoncie ukazał się setki żagli i potężna linia doków wzdłuż wybrzeża, orali rozległe miasto z chałupami z gliny i jaskrawymi namiotami rozciągającymi się za nimi. Doki były tak samo ogromne, jak w Memflonie, lecz ilość statków rybackich, kupieckich i wojennych TOMsnej floty Calimshanu była znacznie większa. Duszek Morski i pochwycony przez niego statek piracki były zmuszone zarzucić kotwicę na redzie i czekać, aż zwolni się odpowiednie miejsce przy nabrzeżu - czekanie to, jak poinformował Deudermonta kapitan portu, mogło potrwać i tydzień. fl

- Odwiedzą nas następnie przedstawiciele floty wojennej Calimshanu - wyjaśnił Deudermont, gdy szalupa kapitana portu oddaliła się. - Aby dokonać inspekcji pirackiego statku i przesłuchać Pinocheta. IH

- Mają zamiar troszczyć się o tego psa? - zapytał Bruenor. a Deudermont potrząsnął głową. jH

- Niezupełnie. Pinochet i jego ludzie są moimi więźniami i moim zmartwieniem. Calimshan chce skończyć z działalnością piratów i wielkimi krokami zmierza do celu, lecz wątpię, czy odważą się zdrzeć z kimś tak potężnym jak Pinochet. dH

- Więc co z nim będzie? - warknął Bruenor, usiłując zrozumieć jakieś podstawy tej podwójnej polityki. f jH

- Odplynie, aby niepokoić inny statek, innego dnia - odparł Deudermont. . JH

- I aby ostrzec tego szczura, Entreriego, że wysłiznęliśmy się z jego matni - parsknął Bruenor. '1^1

Rozumiejąc niezręczną pozycję Deudermonta, Drizzt zapytał rzeczowo. |^|

\*174\*

- Ile czasu nam dajesz? 'UH

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Pinochet nie dostanie swego statku przed upływem tygodnia, i - kapitan chytrze mrugnął okiem - widziałem, że nie nadaje się do podróży morskiej. Powinienem nadrobić tydzień lub dwa. Gdy piraci będą znów mogli wypłynąć, będziesz mógł powiedzieć temu Entreriemu o swej ucieczce osobiście.

Wulfgar nadal nie rozumiał.

- Co zyskałeś? - zapytał Deudermonta. - Pokonałeś piratów, lecz odplyną swobodnie, smakując odwet na swych wargach. Zaatakują Morskiego w następnej podróży. Okażą ci tyle litości, gdy zwyciężaw następnym spotkaniu?

- Gramy w dziwną grę - przyznał Deudermont z bezsilnym uśmiechem. - Lecz prawdę mówiąc wzmocniłem mapozycję na tych wodach, oszczędzając Pinocheta i jego ludzi. W zamian za wolność, kapitan piratów wyrzekł się zemsty. Żaden ze sprzymierzeńców Pinocheta nie będzie już niepokoił Duszka Morskiego, a grupa ta obejmuje większość piratów pływających po Kanale Asavira!

- Wierzysz słowom tego psa? - zapytał bez ogródek Bruenor.

- Są wystarczająco honorowi - odparł Deudermont - Na swój sposób oczywiście. Istnieje

honorowy kodeks piratów i jest przez nich przestrzegany, jego złamanie wywołałoby otwartą wojnę z południowymi królestwami.

Bruenor znów splunął w wodę. Tak samo było w każdym mieście i królestwie, a nawet na otwartym morzu: organizacje złodziei tolerowane w granicach przyzwoitości. Bruenor miał inny pogląd na tę sprawę. Dawniej, w Mithrilowej Hali, jego klan wybudował zwyczajnie pomieszczenie przeznaczone do przechowywania odciętych rak, które zostały pochwycone w kieszeniach, do nich nie należących.

- Więc postanowione - zauważył Drizzt, widząc, że nadszedł czas, aby zmienić temat. - Nasza podróż morzem skończyła się.

Deudermont, już wcześniej oczekując na to oświadczenie, wręczył mu sakiewkę złota.

- Mądry wybór - powiedział kapitan. - Dotrzesz do Calimportu na tydzień lub dużo, dużo wcześniej, zanim zawinie tam Duszek Morski. Lecz wróć do nas, gdy załatwisz swoje sprawy. Powinniśmy od płynąć z powrotem do Waterdeep, zanim stop-  
\*175 \*

## R. A. SALVATORE

niejana północy ostatnie śniegi zimy. Według mnie, zarobiłeś przejazd.

- Opuścimy Calimport znacznie wcześniej - odparł Bruen

- Ale dziękujemy za propozycję.

Wystąpił Wulfgar i chwycił kapitana za rękę.

- Dobrze było służyć ci i walczyć obok ciebie - powiedział. Oczekuję dnia, w którym znów się spotkamy.

- Jak i my wszyscy - dodał Drizzt. Podniósł sakiewkę. Odwdzięczymy się za to.

Deudermont machnął ręką.

- Nie ma o czym mówić - mruknął. Wiedząc, że przyjadę się spieszą, skinął na dwóch marynarzy, aby opuścili szalupę.

- Żegnajcie! - zawołał, gdy odbijali od burty Duszka Morski go. - Szukajcie mnie w Calimporcie.

\* \* \* Ze wszystkich miejsc, jakie towarzysze odwiedzili, ze wsz stkich krain, jakie przewędrowali, żadne nie wydawało się i tak obce, jak Memnon w królestwie Calimshanu. Nawet Drizj pochodzący z obcego świata drowów, patrzył zdumiony, w drując otwartymi ulicami i placami targowymi miasta. Dziw^na muzyka, piskliwa i smutna - częściej przypominająca jękł bólu niż jakaś melodię - otaczała ich i niosła. Ludzie tłoczy\*\* się wszędzie. Większość nosiła szaty koloru piasku, lecz byli też odziani jaskrawo i wszyscy mieli jakieś nakrycia głowy, turban lub kapelusz z woalem. Przyjaciele nie mogli się domyśleć liczby mieszkańców miasta i wątpili, czy ktoś kiedykolwiek starał się ich policzyć. Lecz Drizzt i jego towarzysze wyobrażali sobie, że gdyby wszyscy ludzie ze wszystkich miast wzdłuż Wybrzeża Mieczu, nie wyłączając Waterdeep, zebrali się w jednym ogromnym obozie uchodźców, przypominałby on Memnon.

Gorącym powietrzem Memnonu płynęła dziwna kombinacja zapachów, kanału płynącego przez targ perfumeryjny, zmieszanego z ostrym zapachem potu i niezbyt przyjemnymi zapachami oddechów wszechobecnego tłumu. Domostwa pobudowano w sposób bardzo dowolny, jak się wydawało, nadając Memno-nowi pozory miasta zbudowanego bez żadnego planu. Ulice bie-

## KLEJNOT HALFUNGA

gły we wszystkich kierunkach, których nie blokowały domy, choć czworo przyjaciół doszło do

wniosku, że nawet same ulice służą za domy wielu ludziom. W centrum tego całego zamieszania znajdowali się kupcy. Na każdej ulicy oferowali broń, artykuły żywnościowe, egzotyczne zioła do fajek - nawet niewolników - wykładając swe dobra na każdy sposób, który mógł przyciągnąć klientów. Na jednym z rogów potencjalni kupujący wy-próbowywali dużakuszę, strzelając do klatki z żywymi niewolnikami. Na innym kobieta pokazywała więcej skóry niż szat -a i te były tylko przejrzystymi szalami - skręcając się i wijąc w synchronicznym tańcu z olbrzymim węzem, owijając się potężnymi zwojami gada, a potem wyślizgując się z nich z łatwością. Wulfgar zatrzymał się z otwartymi ustami, zahipnotyzowany dziwnym i kuszącym tańcem - chwilę później otrzymał uderzenie w tył głowy od Catti-brie i usłyszał pełne zdumienia śmiechy dwóch pozostałych towarzyszy.

- Nigdy tak nie tęskniłem za domem - westchnął olbrzymi barbarzyńca.

- To tylko następna przygoda, nic więcej - przypomniał mu Drizzt. -Nigdzie nie możesz nauczyć się więcej, niż w kraju niepodobnym do swojego.

- To prawda - powiedziała Catti-brie. -Ale wydaje mi się, że zaczyna panować tu klimat dekadencji.

- Żyj według odmiennych reguł - odparł Drizzt. - Prawdopodobnie równie dobrze mogliby żyć według reguł obowiązujących na północy.

Pozostali nic na to nie odpowiedzieli, a Bruenor, którego ekscentryczne postępowanie ludzi nigdy nie zaskakiwało, lecz raczej tylko zdumiewało, kiwał swąrudąbrodą.

Przygotowani na przygodę przyjaciele byli dalecy od oryginalności w handlowym mieście. Lecz będąc obcymi przyciągali tłum, najczęściej nagie, ciemnoskóre dzieci, proszące o monety i podarki. Kupcy także przyglądali się poszukiwaczom przygód - obcy zazwyczaj przynosili bogactwo -jeden z nich, szczególnie obleśny, nie spuszczał z nich badawczego spojrzenia.

\* 176 \*

\*177«

R. A. SALVATORE

- Cóż, cóż? - zapytał łasicowaty kupiec swego przygarbio go towarzysza.

- Magia, wszędzie magia, mój panie - wyseplenił mały gob absorbując sensacje pożyczonej mu magicznej różdżki. Ws ją ponownie za pas. - Mocniejsza od jakiegokolwiek broni: mi czy elfów, toporów krasnoludów, łuków dziewcząt, a szczególnie młotów olbrzymów! - pomyślał jeszcze o znaczeniu dziwny rewelacji, jakich udzieliła mu różdżka na temat twarzy elfa, le postanowił nie denerwować swego nerwowego mistrza bard niż to było niezbędne.

- Ha, ha, ha, ha, ha - zakrakał kupiec machając palcem, śliznął się, aby zaczepić obcych.

Prowadzący grupę Bruenor zatrzymał się na widok żylastego mężczyzny, odzianego w szaty w żółto-czerwone prążki i płonący, różowy turban z olbrzymim diamentem na przodzie.

- Ha, ha, ha, ha, ha, witajcie! - krzyknął do nich mężczyzna, bębniąc palcami po swej piersi, z uśmiechem od ucha do ucha

okraszającym szkaradnągębę i ukazującym wszystkim, że co drugi ■  
zab ma złoty, zaś mostki między nimi z kości słoniowej. - Jestem  
Sali Dalib, tak właśnie, tak właśnie! Kupcie, ja sprzedam! Dobry;  
interes, dobry interes! - wyrzucał słowa zbyt szybko, żeby je  
można było natychmiast zrozumieć. Przyjaciele spojrzeli więc'1  
po sobie, wzruszyli ramionami i chcieli odejść. f

- Ha, ha, ha, ha, ha - nalegał kupiec zastępując im drogę. -(  
Sali Dalib ma wszystko czego potrzebujecie. W obfitości też, f  
dużo. Tookie, nookie, bookie.

- Tytonie, kobiety i księgi w każdym znanym na świecie języku - przełożył sepleniący  
gpblin. - Mój mistrz jest kupcem niczego i wszystkiego. ]

- Najlepsze z najlepszych - zapewnił Sali Dalib. - Czego po^ trzebujecie...

- Sali Dalib ma - dokończył za niego Bruenor. Krasnolud spojrział na Drizzta, pewien, że  
myślą o tym samym: im szybciej opuszczą Memnon, tym lepiej. Jeden dziwaczny kupiec będzie  
tak samo dobry, jak i drugi.

\*178\*

- Konie - powiedział do kupca krasnolud.

- Chcemy udać się do Calimportu - wyjaśnił Drizzt.

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Konie, konie? Ha, ha, ha, ha, ha - odparł zwycięsko Sali Dalib. - To nie na długą jazdę,  
nie. Zbyt gorąco, zbyt sucho. Lepsze będą wielbłądy!

- Wielbłądy... konie pustyni - wyjaśnił goblin, widząc osłupienie na twarzach towarzyszy.  
Wskazał na dużego dromadera prowadzonego ulicą przez odzianego w brązowe szaty  
właściciela. - Znacznie lepsze do podróży przez pustynię.

- A więc wielbłądy - parskną} Bruenor, przyglądając się z powątpiewaniem potężnej bestii.

- Lub co tam macie!

Sali Dalib zatarł z zapalem rękę.

- Czego tylko potrzebujecie...

Bruenor wyciągnął rękę, aby powstrzymać podnieconego kupca.

- Wiemy, wiemy.

Sali Dalib wysłał swego asystenta z jakąś prywatną instrukcją i z wielką szybkościąpoprowadził  
przyjaciół przez labirynt Mem-nonu, choć wydawało się, że w ogóle nie odrywa stóp od ziemi  
sunąc przez ulice. Przez cały czas trzymał rękę wyciągniętąprzed siebie, kręcąc młynka palcami.

Wydawał się jednak na tyle nieszkodliwy, że przyjaciele byli bardziej rozbawieni niż zatroskani.

Sali Dalib zatrzymał się przed wielkim namiotem na zachodnim końcu miasta, dzielnicy  
biedniejszej nawet według standardów ubogich Memnonu. Z tyłu kupiec znalazł to, czego szukał.

- Wielbłądy! - oznajmił z dumą.

- Ile za cztery? - zapytał Bruenor, chcąc jak najszybciej załatwić interes i wracać na szlak.

Sali Dalib wydawał się nie rozumieć.

- Cena? - zapytał krasnolud.

- Cena?

- Czeka na propozycję - zauważyła Catti-brie.

Drizzt rozumiał to doskonale. W Menzoberranzanie, mieście drowów, kupcy stosowali tę samą  
technikę. Dając kupującemu -szczególnie takiemu, który nie znał się na towarze - możliwość  
zapropozowania ceny, często uzyskiwali kwotę wielokrotnie przekraczającą wartość towaru. Jeśli  
oferta była zbyt niska, kupiec zawsze mógł wyciągnąć wartość rynkową.



- Pięćset sztuk złota za cztery - zaoferował Drizzt, domyślając się, że zwierzęta są warte, co najmniej dwukrotnie więcej.  
9 179 9

#### R. A. SALVATORE

Palce Sali Daliba rozpoczęły znów swój taniec, w jego blade\* szarych oczach pojawiły się iskierki. Drizzt spodziewał się dłuż\* szej przemowy, a potem nieziemskiej cyfry, lecz Sali Dalib nagli się uspokoił i błysnął swym złoto-słoniowym uśmiechem. - Zgoda - odparł.

Drizzt ugryzł się w język, zanim zdążył wypowiedzieć swą- nową odpowiedź. Zagulgotał tylko niezrozumiale. Spojrzał z zaciekawieniem na kupca, a potem odwrócił się, aby odliczyć potrzebną sumę z sakiewki, którą dał mu Deudermont.

-I jeszcze pięćdziesiąt, jeśli dołączysz nas do jakiejś karawany zdążającej do Calimportu - zaoferował Bruenor.

Sali Dalib przyjął pozę kontemplującego, bębniąc palcami po swych ciemnych bokobrodach.

- Jest jedna, która wyruszyła właśnie teraz - odparł. - Możecie ją z łatwością dogonić. Powinniście. Ostatnia w tym tygodniu do Calimportu.

- Na południe! - wykrzyknął uszczęśliwiony krasnolud do swych towarzyszy.

- Na południe? Ha, ha, ha, ha, ha! - wybuchnął Sali Dalib. -Nie na południe! Na południe jest przynęta dla złodziei!

- Calimport jest na południu - odparł podejrzliwie Bruenor. -I tam prowadzi droga, jak się domyślam.

- Droga do Calimportu prowadzi na południe - zgodził się Sali Dalib - lecz ci, którym się spieszy, wyruszają na zachód lepszą drogą.

Drizzt wręczył kupcowi sakiewkę ze złotem.

- Jak możemy dogonić karawanę?

- Na zachód - odparł Sali Dalib, wrzucając sakiewkę do głębokiej kieszeni, nie sprawdzając nawet jej zawartości. - Wyruszyli przed godziną, łatwo więc ich dogonicie. Jedźcie za drogowskazami na horyzoncie. Nie ma problemu.

»180 \*

- Będziemy potrzebowali zaopatrzenia - zauważyła Catti-brie.

- Karawana jest dobrze zaopatrzona - odparł Sali Dalib. -Najlepsze miejsce do kupowania. Teraz jedźcie. Złapcie ich, zanim skręcą na południe, na Kupiecki Szlak! - Ruszył, aby pomóc im wybrać wierzchowce: dużego dromadera dla Wulfgara, dwu-garbnego dla Drizzta i mniejsze dla Catti-brie i Bruenora.

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Pamiętajcie, dobrzy przyjaciele - powiedział do nich kupiec, gdy wspięli się już na swe wierzchowce. - Czego potrzebujecie...

- Sali Dalib dostarczy! - czwórka odpowiedziała jednogłośnie. Z końcowym rozbłyskiem swego złoto-słoniowego uśmiechu kupiec wszedł do namiotu.

- Liczył na więcej, jak mi się wydaje - zauważyła Catti-brie, gdy skierowali się ostrożnie na sztywnonogich wielbłądach w stronę pierwszego drogowskazu. - Mógł dostać więcej za te bestie.

- Oczywiście kradzione! - roześmiał się Bruenor, uważając to za oczywiste.

Lecz Drizzt nie był tego taki pewien.

- Kupcy tacy, jak on próbują dostać lepszą cenę nawet za kradzione dobra - odparł. -Az tego, co wiem o regulach wymiany handlowej, powinien przeliczyć złoto.
  - Ba! - parsknął Bruenor, walcząc o to, żeby jego wierzchowiec szedł prosto. -Daleś mu prawdopodobnie więcej, niż to jest warte!
  - Więc co sądzisz? - zapytała Drizzta Catti-brie, bardziej zgadzając się z jego stwierdzeniem.
  - Gdzie? - zapytał i odpowiedział jednocześnie Wulfgar. -Wysłał goblina z jakimś przesłaniem.
  
  - Zasadzka - powiedziała Catti-brie. Drizzt i Wulfgar pokiwali głowami.
  - To bardzo prawdopodobne - powiedział barbarzyńca. Bruenor rozważył wszystkie możliwości.
  
  - Ba! - parsknął na tę uwagę. - Nie ma w głowie tyle rozumu, abyżastawić.
  - Ta uwaga może go uczynić tylko bardziej niebezpiecznym -zauważył Drizzt, spoglądając po raz ostatni w stronę Memnonu.
  - Wracamy? - zapytał krasnolud, nie spiesząc się z rozpraszaniem widocznych obaw drowa.
  - Jeśli nasze podejrzenia okażą się bezpodstawne i nie złapiemy karawany... - przypomniał im złowieszczo Wulfgar.
  - Czy Regis może czekać? - zapytała Catti-brie.
- Bruenor i Drizzt spojrzeli po sobie.  
9 181 \*

#### R. A. SALVATORE

- Jedziemy - powiedział w końcu Drizzt. - Zobaczymy, co będzie.
  - Nigdzie nie nauczysz się więcej, niż w kraju niepodobnym do swego - zauważył Wulfgar, powtarzając myśl Drizzta wygłoszoną tego ranka.
- Gdy minęli pierwszy drogowskaz, ich podejrzenia nie osłabły. Do słupka przybita była duża deska, nazywająca ich drogę w dwudziestu językach: „najlepsza droga”. Przyjaciele jeszcze raz rozważyli wszystkie możliwości i jeszcze raz stwierdzili, że nie mają czasu. Zdecydowali, że powinni jechać dalej przez , godzinę. Jeśli w tym czasie nie znajdą śladów karawany, wrócą do Memnonu i „przedyskutują” tę sprawę z Sali Dalibem.
- Następny drogowskaz wskazywał tę samą drogę, podobnie jak i następny. Gdy minęli piąty, pot przemoczył ich ubrania i zalewał oczy, miasto znikło z pola widzenia, pogrążywszy się gdzieś w pylistym żarze wznoszących się wydm. Ich wierzchowce nie ? czyniły podróży łatwiejszą. Wielbłądy sąkrnąbrnymi zwierzętami, a jeszcze krnąbrniejszym, gdy kieruje nimi niedoświadczony i jeździec. Szczególnie wierzchowiec Wulfgara miał paskudną opinię o swymjeźdźcu, gdyż wielbłądy lubią chodzić własnymi drogami, zaś barbarzyńca, ze swymi potężnymi rękami i nogami, zmuszał wielbłąda, aby szedł tam, gdzie on chce. Dwukrotnie wielbłąd wygiął szyję w łuk i splunął w twarz Wulfgara. Wulfgar \ przyjmował to wszystko ze stoickim spokojem, lecz spędził niejedną chwilę wyobrażając sobie, jak rozpląszcza garb wielbłąda swym młotem.
- Stójcie! - rozkazał Drizzt, gdy zjechali w zagłębienie między dwoma wydmami. Drów wyciągnął ramię, kierując ich zaskoczone oczy ku niebu, gdzie kilka sępów krążyło zataczając leniwe koła.
  - Tu jest gdzieś jakaś padlina - zauważył Bruenor.
  - Lub wkrótce będzie - odparł ponuro Drizzt.

Gdy to powiedział, linia wydm otoczyła ich, przekształcając ,  
się nagle z zamglonego, płaskiego brązu gorących piasków w złowieszcze sylwetki jeźdźców z  
wyciągniętymi i błyszczącymi w słońcu krzywymi mieczami.

- Zasadzka - stwierdził spokojnie Wulfgar.

### KLEJNOT HALFUNGA

Bruenor, niezbyt zaskoczony tym faktem rozejrzał się, aby szybko ocenić szanse.

- Pięć do jednego - szepnął do Drizzta.

- Tak jak zawsze - odparł Drizzt. Powoli zdjął łuk z ramienia i napiął go.

Jeźdźcy pozostawali na swych pozycjach przez dłuższą chwilę, badając swą przypuszczalną  
ofiare.

- Sądysz, że będą rozmawiać? - zapytał Bruenor, wysilając  
się na dowcip w niewesołej sytuacji.

-Nie - odpowiedział sam sobie, gdy żadne z pozostałej trójki nie uśmiechnęło się.

Dowódca jeźdźców szepnął komendę i nastąpił błyskawiczny atak.

- Niech szlag trafi cały ten przeklęty świat - warknęła Catti-brie, ściągając z ramienia  
Taulmarila i ześlizgując się z wielbłąda. - Wszyscy chcą walczyć.

- A więc dalej! - krzyknęła do jeźdźców. - Lecz niech walka będzie uczciwsza! -  
uruchomiła magiczny łuk, wysyłając jedną srebrną strzałę po drugiej, strzelając nad wydmami i  
zrzucając z siodła jednego jeźdźca po drugim.

Bruenor gapił się na swoją córkę, nagle tak okrutną.

- Dziewczyna potraktowała ich prawidłowo! - oznajmił zsia  
dając ze swego wielbłąda. Gdy stanął na ziemi, chwycił swój ple  
cak i wyciągnął z niego dwie flaszki oliwy.

Wulfgar poszedł za przykładem swego mentora, używając jako zasłony boku swego wielbłąda.  
Lecz jego wierzchowiec okazał się pierwszym jego wrogiem, gdyż poirytowana bestia odwróciła  
się do niego i ugryzła go płaskimi zębami w przedramię.

Łuk Drizzta dołączył do śmiertelnej pieśni Taulmarila, lecz gdy jeźdźcy zbliżyli się drów  
zdecydował się na inny sposób działania. Wykorzystując przerażenie, jakie wywoływała  
reputacja jego ludu, Drizzt ściągnął swą maskę i kaptur płaszcz, wskakując stopami na grzbiet  
swego wielbłąda i stając jedną nogą na każdym garbie. Zbliżający się do Drizzta jeźdźcy  
zatrzymali się, widząc nagle pojawienie się drowa. Jednak atak na flanki pozostałej trójki nie  
osłabł, gdyż atakujący jeźdźcy nadal przewyższali liczebnie przyjaciół.

\* 182 \*

9 183 «

### R. A. SALVATORE

Wulfgar spojrział z niedowierzaniem na swego wielbłąda, a potem uderzył go  
swąpotężnapięściamiędzy oczy. Ogłuszony wielbłąd prędko zwolnił swój chwyt i odwrócił łeb.  
Olbrzym nie skończył jednak ze zdradzieckąbestią. Zauważył trzech jeźdźców zbliżających się  
do niego, postanowił więc użyć jednego przeciwnika przeciw drugiemu. Włazł pod wielbłąda,  
podniósł go z ziemi i rzucił nim w nacierających jeźdźców. Ledwie udało mu się odskoczyć  
przed kłębiącą się masą koni, jeźdźców, wielbłądów i piasku. Potem chwycił Aegis-fang i

skoczył w ten galimatias, miażdżąc bandytów, zanim zorientowali się, co ich uderzyło. Dwaj jeźdźcy znaleźli drogę wśród wielbłądów pozbawionych jeźdźców, aby dostać się do Bruenora, lecz przyszedł mu na pomoc Drizzt, stojący samotnie tam, gdzie nastąpił pierwszy atak na niego. Wezwawszy swe magiczne zdolności, drów przywołał kulę ciemności przed linię atakujących bandytów. Próbowali się zatrzymać, lecz wpadli w nią. To dało Bruenorowi tyle czasu, ile potrzebował. Swym krzesiwkiem skrzesał iskry na szmaty wetknięte we flaszki z oliwą a potem rzucił płonące granaty w kulę ciemności. Nawet gdy ogniste światła eksplozji nie mogły być widoczne w kuli zaklęcia Drizzta, z wrzasków, które wybuchły wewnątrz, Bruenor mógł łatwo wywnioskować, że trafił w cel.

- Dziękuję, elfie - krzyknął krasnolud. - To szczęście być znowu z tobą!

- I za tobą! - brzmiała odpowiedź Drizzta, gdyż w czasie, gdy Bruenor mówił, trzeci jeździec wy dostał się z kuli, okrążył ją i galopował teraz na krasnoluda. Bruenor instynktownie skoczył w kulę, wyciągając nad siebie swą tarczę.

Koń nastąpił na Bruenora i potknął się w miękkim piasku, zrzucając swego jeźdźcę. Wytrzymały krasnolud skoczył na równe nogi i otrząsnął piasek z oczu. Takie nastąpienie z pewnością by bolało, gdyby minął szal bitewny, lecz teraz Bruenor czuł tylko wściekłość. Zaatakował jeźdźcę, który także już wstał, z mithrilowym toporem wzniesionym nad głową. W chwili, gdy miał zadać cios, srebrna linia błysnęła nad jego ramieniem i bandyta upadł martwy. Nie mogąc zatrzymać swego pędu, krasnolud potknął się o leżące na ziemi ciało i przewrócił się jak długi.

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Następnym razem ostrzeż mnie w jakiś sposób, dziewczyno! - ryknął Bruenor do Catti-brie, plując piaskiem przy każdym słowie.

Catti-brie miała własne kłopoty. Przykucnęła, słysząc nadbiegającego z tyłu konia i wypuściła strzałę. Zakrzywiony miecz świsnął tuż koło jej głowy, raniąc ją w ucho i jeździec przeleciał obok niej. Zamierzała wypuścić za nim następną strzałę, lecz gdy się pochyliła, zobaczyła jeszcze jednego bandytę zbliżającego się do niej z tyłu z wycelowaną włócznią i wysuniętą przed siebie ciężką tarczą. Catti-brie i Taulmaril okazali się szybsi. W jednej chwili następna strzała znalazła się na cięciwie magicznego łuku i została wysłana. Uderzyła w ciężką tarczę bandyty i przebiła ją, zrzucając bezsilnego mężczyznę z jego wierzchowca i posyłając go w królestwo śmierci. Koń, pozbawiony w ten sposób jeźdźcy, zatrzymał się. Catti-brie chwyciła jego cugle i wskoczyła na siodło, aby ścigać bandytę, który zranił ją w ucho.

Drizzt nadal stał na swym wielbłądzie, górując nad swymi przeciwnikami, robiąc uniki przed ciosami jeźdźców przelatujących obok i przez cały czas wymachując swymi dwoma magicznymi sejmityrami w hipnotyzującym tańcu śmierci. Raz po raz bandyci, sądzący, że będą mieli łatwą okazję do zadania ciosu stojącemu elfowi, stwierdzali, że ich miecze czy włócznie natrafiają tylko na puste powietrze i znajdowali cięcie Błysku lub drugiego magicznego sejmityra na swych gardłach - akurat, gdy zamierzali odjechać. Nagle dwóch z nich zbliżyło się naraz, najeżdżając szerokim łukiem z tyłu wielbłąda, na którym stał Drizzt. Zręczny drów odwrócił się, nadal wygodnie stojąc na swej grzędzie i w ciągu niewielu sekund zepchnął obu przeciwników do defensywy.

Wulfgar skończył z ostatnim z trójki, która go atakowała i odskoczył od całego zamieszania po to tylko, aby znaleźć swego upartego wielbłąda wyrosłego bez uprzedzenia przed nim. Uderzył znowu złośliwe stworzenie, tym razem Aegis-fangiem i zwałił go na ziemię obok bandytów. Pierwszą rzeczą jaką barbarzyńca zauważył skończywszy swą walkę, był Drizzt. Zachwycał się wspianym tańcem ostrzy drowa, ich uderzeniami w dół w celu odparowywania zakrzywionych mieczy lub wytrącania

\* 184 \*

«185\*

R. A. SALVATORE

z równowagi jednego ze swych przeciwników. Pozbycie się i< przez Drizzta było kwestią sekund. Nagle Wulfgar spojrział drowa, skąd cicho nadjeżdżał następny jeździec, z włócznią v mierzoną prosto w plecy Drizzta.

- Drizzt! - wrzasnął barbarzyńca, rzucając Aegis-fangien^ w stronę przyjaciela. |

Słyszając ten krzyk, Drizzt pomyślał, że Wulfgar znalazł się w kłopotach, lecz gdy spojrział i zobaczył wirujący młot, lecący w kierunku jego kolan, natychmiast zorientował się w sytuacji. Bez wahania skoczył nad swymi przeciwnikami w pięknym saltie.

Atakujący włócznik nie miał nawet czasu pożałować ucieczki swej ofiary, gdyż potężny młot przeleciał nad garbami wielbłąda i i uderzył go prosto w twarz. Skok Drizzta okazał się korzystny, gdyż zaskoczył obu przeciwników. W krótkiej chwili ich waha- \* nia drów, mimo że znajdował się głową w dół w czasie skoku, ; wbił swe ostrza. Błysk wbił się głęboko w pierś. Drugiemu bandycie udało się zrobić unik przed drugim sejmitem, lecz znalazł się wystarczająco blisko Drizzta, aby ten mógł wbić jego rękojeść pod ramię przeciwnika. Obaj jeźdźcy przewrócili się wraz z drowem, lecz tylko Drizzt wylądował na nogach. Jego ostrza zabłysły dwukrotnie - tym razem kończąc szamotaninę.

Widząc olbrzymiego barbarzyńcę bez broni, następny jeździec :! ruszył w jego stronę. Wulfgar zobaczył zbliżającego się mężczyznę i rzucił się do desperackiego ataku. Gdy koń nadbiegł, barbarzyńca skoczył z prawej strony, z dala od miecza jeźdźca, jak ten się tego spodziewał. Nagle Wulfgar zmienił kierunek i rzucił się prosto pod konia. Przyjął ogłuszające uderzenie i zacisnął swe ramiona wokół szyi konia, obejmując swymi nogami przednie nogi zwierzęcia - przewracając rym samym i jego, i siebie. Potem potężny barbarzyńca pchnął z całej siły, przerzucając nad sobą konia i jeźdźca. Zaskoczony bandyta nie zareagował, jednak udało mu się krzyknąć, gdy koń zrzucił go na ziemię. Gdy rumak w końcu przetoczył się dalej, bandyta pozostał pogrążony głową w piasku po pas, wymachując groteskowo nogami w powietrzu. Z butami i brodapełnymi piasku Bruenor rozejrzał się za kimś, z kim mógłby walczyć. Wśród wysokich wierzchowców niski

◆ 186 ◆

KLEJNOT HALFUNGA

krasnlud zobaczył kilku bandytów. Jednak większość z nich była już martwa. Bruenor wybiegł z za zasłony wielbłądów, uderzając toporem w tarczę, aby zwrócić na siebie uwagę. Zobaczył jednego z jeźdźców, mającego zamiar uciec z tej nieszczęsnej sceny.

- Hej! - szczechnął za nim Bruenor. - Twoja matka była kurwą obcałowującąorków!

Sądząc, że posiada przewagę nad stojącym krasnoludem, bandyta nie mógł nie skorzystać ze sposobności odpowiedzi na taką zniewagę. Rzucił się na Bruenora i ciał mieczem. Bruenor podniósł tarczę, aby zablokować cios i skoczył przed konia. Jeździec odwrócił się, żeby dosięgnąć krasnoluda z drugiej strony, lecz Bruenor zyskał przewagę dzięki swemu niewielkiemu

wzrostowi. Nieco pochyliwszy się, wśliznął się pod brzuch konia z drugiej strony i uderzył toporem w górę, nad głowę, trafiając zaskoczonego mężczyznę w udo. Gdy ten przechylił się z bólu na bok, Bruenor podniósł swe ramię z tarczą, chwycił turban i włosy w swe sękaty palce i ściągnął jeźdźca z siodła. Z pełnym zadowolenia chrząknięciem ciał w kark bandyty.

- Zbyt łatwo! - mruknął ściągając ciało na ziemię. Rozejrzał się za następną ofiarą, lecz walka już się skończyła. W dolince nie pozostał już żaden bandyta, Wulfgar, mów z Aegis-fangiem w rękach, i Drizzt- obydwaj stali spokojnie.

- Gdzie jest moja dziewczyna? - krzyknął Bruenor. Drizzt uspokoił go spojrzeniem i wyciągnięciem palca.

Na szczycie wydmy siedziała i przepatrywała pustynię Catti-brie na koniu, którego sobie zdobyła; z Taulmarilem w ręku.

Kilku jeźdźców galopowało po piasku w panicznej ucieczce, pozostali leżeli martwi po drugiej stronie wydmy. Catti-brie wycelowała w jednego z nich i stwierdziła nagle, że walka już się skończyła.

- Dość - szepnęła przesuwając łuk o cal i wysyłając strzałę w ramię uciekającego bandyty.

Wystarczy już zabijania tego dnia, pomyślała.

Catti-brie popatrzyła na obraz rzezi i głodne sępy, cierpliwie krążące nad głową. Opuściła Taulmaril. Ponura twarz powoli zaczęła się rozpogadzać.

• 187 \*

## KLEJNOT HALFLINGA

» 15 «

PRZeUIOOTtfK

- Zobacz, oto obiecane rozkosze - zadrwił mistrz gildii, dra piąc ręką wąsate ostrze, sterczące z drewnianego klocka, stojącego na małym stoliku pośrodku pokoju.

Regis wygiął wargi w głupawym uśmiechu, chcąc dopatrzeć się oczywistej logiki w słowach Pooka.

- Uderz tylko w to ręką - zakrakał Pook. - A z miejsca do- \nznasz radości i znowu będziesz częścią naszej rodziny.

Regis szukał sposobu ucieczki z tej pułapki. Raz wcześniej użył podstępny, kłamstwa w kłamstwie, udając, że znalazł się pod wpływem magicznego czaru. Potem rozwinął to do perfekcji, przekonując złego czarnoksiężnika o swej lojalności, a potem w krytycznym momencie zrobił zwrot, żeby pomóc swym przy-jaciołom. Tym razem Regis został zaskoczony, nie poddając się działaniu rubinowego wisiora. Był pochwycony: ktoś naprawdę oszukany przez klejnot byłby rad, nabijając rękę na wąsate szpikulec. Regis wyrzucił rękę nad głowę i zamknął oczy, usiłując nie zobaczyć oszustwa. Machnął ramieniem w dół, mając zamiar zastosować się do sugestii Pooka. W ostatniej chwili jego ręka zboczyła i uderzyła w stół, nie czyniąc sobie krzywdy.

Pook ryknął z wściekłości, podejrzewając, że Regis w jakiś sposób umknął spod wpływu wisiora. Chwycił halflinga za nadgarstek i nabił jego małą rękę na szpikulec i przekręcił ją, gdy ostrze przez nią przeszło. Wrzask Regisa przybrał na sile dziesięciokrotnie, gdy Pook szarpnął jego rękę z powrotem do góry, na wąsate szpikulec. Potem, gdy Regis przycisnął swą zranioną rękę do piersi, Pook puścił i uderzył go w twarz.

\* 188\*

- Zdradziecki psie! - krzyknął mistrz gildii, bardziej rozwścieczony tym, że wisiorek go zawiódł, niż zachowaniem się Regisa. Miał zamiar uderzyć w twarz ponownie, lecz uspokoił się i postanowił skierować upartą wolę Regisa przeciwko niemu.

- Szkoda - zadrwił. - Gdyby wisiorek przejął ponownie kontrolę nad tobą, mógłbym znaleźć dla ciebie miejsce w gildii. Z pewnością zasłużyłeś na śmierć, mały złodzieju, lecz nie zapomniałem o tym, jak byłeś wartościowy dla mnie w przeszłości. Byłeś najlepszym złodziejem w Calimporcie, a tę pozycję mogę ci znowu zaoferować.

- Więc nie żałuj tego, że wisiorek zawiódł - odważył się od powiedzieć Regis - gdyż żaden ból nie przeważy obrzydzenia, jakie czułbym będąc lokajem Pashy Pooka!

Odpowiedzią Pooka był ciężki cios, który zrzucił Regisa z krzesła na podłogę. Halfling leżał skulony, usiłując zatamować krew płynącą z ręki i z nosa.

Pook rozparł się na krześle i założył ręce za głowę. Spojrzał na wisiorek spoczywający przed nim na stole. Zawiódł go wcześniej tylko raz, gdy próbował jego działania na woli, która nie została pochwycona przez jego czar. Na szczęście Artemis Entreri nie zorientował się, że miała miejsce takowa próba, a Pook był na tyle mądry, żeby nie próbować ponownie wisiorka na mordercy. Pook przeniósł swój wzrok na Regisa, który teraz stracił z bólu przytomność. Musiał przyznać honor małemu halflingowi. Nawet jeśli jego znajomość wisiorka dała mu przewagę w tej walce, to tylko żelazna wola mogła się oprzeć jego wpływowi.

- Jednak nie pomogę ci - szepnął Pook do nieprzytomnej postaci. Usiadł znów na krześle i zamknął oczy, usiłując sobie wyobrazić następną męczarnię dla Regisa.

\* \* \*

Odziana w brązowy rękaw ręka wśliznęła się przez połę namiotu, trzymając wiotkie ciało rudobrodego krasnoluda głową w dół, za kostki. Palce Sali Daliba poczęły kręcić swego zwyczajnego młynka i błysnęły swym złoto-słoniowym uśmiechem tak, że wydawało się, iż połknie swoje uszy. Jego mały asystent, goblin, podskakiwał u jego boku piszcząc: magia, magia, magia!

◆ 189\*

R. A. SALVATORE

Bruenor otworzył jedno oko i podniósł rękę, żeby odsunąć s długą brodę z twarzy.

- Cieszysz się z tego, co widzisz? -zapytał chytrze krasnok

Uśmiech Sali Daliba znikł; pokurcz nerwowo splótł palce.

Niosący Bruenora Wulfgar, odziany w szaty jedneg z bandytów, wszedł do namiotu, Catti-brie weszła zaraz za nr

- A więc to ty nasłałeś na nas bandytów - warknęła mło kobieta.

Okrzyk przerażenia Sali Daliba wypadł bardzo bełkotliwi podstępny kupiec odwrócił się, aby uciekać... napotkał jedn dziurę wyciętą w tyle namiotu i stojącego w niej Drizz Do'Urdena, opartego na jednym z sejmitarów, podczas gdy < gi oparty był na jego ramieniu. Aby powiększyć przerażenie l cą Drizzt znowu zdjął swą magiczną maskę.

- Uh... hmm, najlepsza droga? - wyjąkał kupiec. i

- Najlepsza dla ciebie i twoich przyjaciół! - warknął Bruenots

- Tak myśleli - wtrąciła szybko Catti-brie.

Sali Dalib uśmiechnął się głupkowato, lecz był w opałach już\* setki razy i zawsze znajdował z nich jakieś wyjście. Podniósł ręce, jakby mówiąc „przyłapaliście mnie”, lecz nagle szarpnął się w oszalałym manewrze, wyciągając z jednej z wielu kieszeni w swych szatach kilka małych, ceramicznych kulek. Uderzył nimi o podłogę u swych stóp. Eksplozje różnobarwnego światła pozostawiły gęsty, oślepiający dym i chytry kupiec rzucił się w bok namiotu. Wulfgar odruchowo rzucił Bruenora i skoczył do przodu, jednak chwycił tylko powietrze. Krasnolud klapnął na ziemię jak długi i przetoczył się do pozycji siedzącej, jego jed-norogi hełm przekrzywił się na bok. Gdy dym się rozwiął, zaaferowany barbarzyńca spojrzął na krasnoluda, który potrząsnął tylko z niedowierzaniem głową i wymamrotał. - Z pewnością, będzie to długa przygoda. Tylko Drizzt, zawsze czujny, nie stracił kontroli nad sobą. Drów osłonił oczy przed wybuchem i zauważył zamgloną sylwetkę kupca rzucającą się w lewo. Drizzt złapałby go, zanim uciekł z namiotu przez zamaskowaną klapę, lecz wpadł na asystenta Sali Daliba, który napatoczył się na jego drogę. Nie zwalniając biegu, Drizzt uderzył małego goblina w czoło ręką Błysku, po-

\* 190 «

### KLEJNOT HALFUNGA

zbawiając stworzenie przytomności, potem naciągnął maskę ponownie na twarz i wyskoczył na ulicę Memnonu.

Catti-brie rzuciła się za Drizztem, Bruenor także zerwał się na nogi.

- Za nim, chłopcze! - krzyknął krasnolud do Wulfgara. Rozpoczęła się pogoń.

Drizzt zauważył kupca wślizgującego się w tłum na ulicy. Nawet jaskrawe szaty Sali Daliba wtopiły się w miriady kolorów miasta, Drizzt zaś dodał do nich swój własny. Podobnie, jak w przypadku niewidzialnego maga na pokładzie pirackiego statku, drów wysłał na kupca błyszczące purpurą oblamowanie tańczących płomieni.

Drizzt rzucił się w pogoń, klucząc w tłumie ze zdumiewającą łatwością, nie spuszczając z oka chwiejnej, purpurowej linii na przodzie. Bruenor poruszał się z mniejszym wdziękiem. Torował drogę Catti-brie - rzucił się w tłum, używając tarczy do odtrącania ciał ze swej drogi. Wulfgar, tuż za nim, pozostawiał za sobą jeszcze szerszą ścieżkę i Catti-brie nie miała żadnych trudności w podążaniu za nimi. Przebiegli z tuzin ulic i wypadli na otwarty plac targowy, Wulfgar przypadkowo przewrócił wóz pełen olbrzymich, żółtych melonów. Wybuchły za nimi okrzyki protestu, lecz oni patrzyli przed siebie, usiłując nie zgubić widniejącej przed nimi sylwetki we wszechobecnym tłumie.

Sali Dalib także zorientował się natychmiast, że jest zbyt widoczny z powodu ognistego obramowania, aby móc uciec na otwartej ulicy. Niekorzystne też było to, że na każdym zakręcie pozdrawiały go oczy i wyciągnięte palce ciekawskich gapiów, co było drogowym dla ścigających go. Chwytną się jedynej szansy kupiec przeciął jedną z ulic i wbiegł do dużego, kamiennego budynku.

Drizzt odwrócił się, aby upewnić się, że jego przyjaciele są ciągle za nim, a potem wpadł przez drzwi, zatrzymując się z poślizgiem na śliskiej od pary wodnej marmurowej posadzce publicznej łaźni. Dwaj potężni eunuchowie ruszyli, żeby zatrzymać odzianego elfa, lecz podobnie jak kupiec, który wpadł tu przed chwilą, zręczny Drizzt odzyskał swą szybkość zbyt prędko, aby mogli to uczynić. Przejechał jak na łyżwach przez krótki

\* 191 \*

### R. A. SALVATORE

korytarz wejściowy do głównego pomieszczenia - dużej, otwartej łaźni, wypełnionej gęstą parą,



pachnącej potem i wonnymi mydlami. Na każdym kroku natykał się na nagie ciała i wyjątkowo musiał uważać, gdzie kładzie ręce.

Bruenor prawie upadł, gdy wszedł do śliskiego pokoju, a eunu-chowie, którzy wrócili już na swe pozycje, tym razem zastąpili drogę intruzowi.

- Żadnych ubrań! - zażądał jeden z nich, ale Bruenor nie miał czasu na próżną dyskusję. Nastąpił swym ciężkim butem na nagą stopę jednego z olbrzymów, aż chrupnęło, zaś Wulfgar, wpadając tuż za nim, odrzucił drugiego eunucha na bok.

Barbarzyńca pochylony do przodu w biegu nie miał szans, aby zatrzymać się na śliskiej podłodze i gdy Bruenor odwrócił się, żeby przebiec po przekątnej łaźni, Wulfgar uderzył w niego. Obaj przewrócili się na podłogę. Przetoczyli się nad brzegiem basenu i wpadli do wody. Wulfgar wypłynął między dwiema zmysłowymi i nagimi, chichoczącymi kobietami. Barbarzyńca począł jąkać jakieś usprawiedliwienie, stwierdzając z przerażeniem, że język mu się płącze. Uderzenie w tył głowy przywróciło go znów do rzeczywistości.

- Szukamy kupca, pamiętasz o tym? - przypomniała mu Catti-brie.

- Szukam! - zapewnił ją.

- Więc rozglądaj się za kimś z purpurową otoczką! - krzyknęła Catti-brie. Wulfgar, zmrużywszy oczy w oczekiwaniu następnego uderzenia, zauważył jednorogi hełm, wystający z wody. Pospieszenie zanurzył rękę, chwycił Bruenora za fałd skóry na karku i wyciągnął z basenu. Niezbyt szczęśliwy krasnolud wynurzył się z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, potrząsając powoli z niedowierzaniem głową.

Drizzt wybiegł przez tylne drzwi łaźni i znalazł się na pustej ulicy, jedynej nie zaludnionej, jaką zobaczył od czasu przybycia do Memnonu. W poszukiwaniu lepszego punktu obserwacyjnego drów wspiał się po ścianie łaźni i szedł dalej po dachach. Sali Dalib zwolnił kroku sądząc, że uniknął pogoni. Purpurowy płomień drowa zgasł, wzmagając poczucie bezpieczeństwa u kupca, skierował się więc przez labirynt bocznych uliczek. Nie było na-

\*192 «

## KLEJNOT HALFUNGA

wet opierających się tu zazwyczaj o ściany pijaków, którzy mogliby poinformować ścigających. Przebył sto krętych zaułków, potem drugie sto, a potem skierował się w aleję, o której wiedział, że prowadzi do największego placu targowego w Memnonie, gdzie każdy w mgnieniu oka mógł stać się niewidzialny. Jednak, gdy Sali Dalib doszedł do końca alei, jakaś elfia postać zeskoczyła przed niego, a dwa sejmitary wyskakując z pochw rozbłysły przed jego nosem i zagroziły drogę osłupiałemu kupcowi, spoczywając na jego obojczykach, a potem znacząc ślady po obu stronach jego szyi.

Gdy czworo przyjaciół wróciło do namiotu kupca ze swym jeńcem, znalazło, ku swej uldze, małego goblina leżącego tam, gdzie powalił go Drizzt. Bruenor niezbyt delikatnie pociągnął nieszczęsne stworzenie za Sali Daliba i związał ich plecami do siebie. Wulfgar pospieszył z pomocą i owinał niechcący jednym zwojem sznura przedramię Bruenora. Krasnolud wyszarpnął je i odepchnął barbarzyńcę.

- Powinienem być zostać w Mithrilowej Hali - mruknął Bruenor.

-Byłbym bezpieczniejszy z szarymi, niż z tobą dziewczyną!

Wulfgar i Catti-brie spojrzeli na Drizzta w poszukiwaniu pomocy, ale drów uśmiechnął się tylko i usunął pod ścianę namiotu.

- Ha, ha, ha, ha, ha - zachichotał nerwowo Sali Dalib. - Nie ma problemu. Ułożymy się.

Jestem bardzo bogaty. Czego potrzebujecie...

- Zamknij się! - warknął do niego Bruenor. Mrugnął do Drizzta, wskazując, że ma zamiar odegrać rolę kogoś groźnego w tym spotkaniu.

-Nie chcę bogactw od kogoś, kto mnie oszukał - warknął Bruenor. - Moje serce pała pragnieniem odwetu! - spojrział na swych przyjaciół. - Wszyscy widzieliście jego twarz, gdy myślał, że nie żyję. Z pewnością to on nasłał na nas bandytów.

- Sali Dalib nigdy... -wyjąkał kupiec.

- Powiedziałem, zamknij się! - krzyknął mu w twarz Bruenor. Podniósł topór i wsparł go na ramieniu.

Przerażony i zdezorientowany kupiec spojrział na Drizzta, gdyż drów ponownie nałożył swą maskę i wyglądał teraz jak elf z powierzchni. Sali Dalib domyślał się prawdy o tożsamości

9 193 \*

R. A. SALVATORE

Drizzta, wyobrażając sobie, że czarna skóra bardziej pasowałaby do śmiercionośnego elfa i nie myślał nawet błagać go o litość.

- Poczekaj z tym - powiedziała nagle Catti-brie, chwytając za rękojęć broni Bruenora. Może jest sposób, aby ten pies uratował swoją skórę.

- Ba! Czego możemy od niego chcieć? - odparł Bruenor, mru gając okiem do Catti-brie, żeby jak najlepiej odegrała swoją rolę.

- Zaprowadzi nas do Calimportu - odparła Catti-brie. Spojrzała stalowym wzrokiem na Sali Daliba ostrzegając go, że nie zdobędzie tak łatwo jej litości. - Z pewnością tym razem poprowadzi nas prawdziwą drogą.

- Tak, tak, ha, ha, ha, ha, ha - wybuchnął Sali Dalib. - Sali Dalib pokaże wam drogę!

- Pokaże? - zapytał Wulfgar, nie chcąc pozostać na uboczu. -Zaprowadzisz nas do samego Calimportu!

- To bardzo długa droga - wymamrotał kupiec. - Pięć dni lub dłużej. Sali Dalib nie może... Bruenor podniósł topór.

- Tak, tak, oczywiście - znowu wybuchnął kupiec. - Sali Dalib zaprowadzi was tam. Zaprowadzi was prosto do bramy... przez bramę - poprawił się szybko. - Sali Dalib dostarczy nawet wody. Musimy dogonić karawanę.

- Żadnej karawany - przerwał Drizzt, zaskakując nawet swych przyjaciół. - Będziemy wędrować samotnie.

- To niebezpieczne - odparł Sali Dalib. - Bardzo, ale to bardzo. Pustynia Calim jest pełna potworów. Smoków i bandytów.

- Żadnej karawany - powtórzył Drizzt tonem, po którym nikt nie odważył się kwestionować jego słów. - Rozwiążcie ich, niech wszystko przygotują.

Bruenor skinął głową, a potem przybliżył swą twarz do twarzy Sali Daliba.

- Mam zamiar sam ich pilnować - powiedział do Drizzta, choć przesłanie skierowane było do Sali Daliba i małego goblina. -

Jedna sztuczka i rozetnę ich na połowy!

Niecałą godzinę później pięć wielbłądów wyruszyło z południowej dzielnicy Memnonu w kierunku Pustyni Calim, niosąc przytroczone do siodła gliniane dzbany z wodą. Drizzt i Bruenor

◆ 194 \*

KLEJNOT HALFUNGA

jechali na przedzie, kierując się drogowskazami Szlaku Handlowego. Drów miał na twarzy swąmasę, lecz kaptur płaszcza miał opuszczony tak nisko, jak to tylko było możliwe, gdyż oślepiające światło słoneczne odbite od białych piasków paliło go w oczy, które przecież były kiedyś przystosowane do absolutnych ciemności podziemnego świata.

Sali Dalib, ze swym asystentem siedzącym przed nim, jechali w środku, zaś Wulfgar i Catti-brie zamykali pochód. Catti-brie trzymała Taulmarila na kolanach, a srebrna strzała obracana w palcach była nieustannym ostrzeżeniem dla zdradzieckiego kupca.

Dzień był gorętszy ponad wszystko, czego przyjaciele kiedykolwiek doświadczyli. Dla wszystkich, oczywiście z wyjątkiem Drizzta, który żył w samych trzewiach świata. Żadna chmurka nie przesłaniała brutalnych promieni słońca, żaden powiew wiatru nie przynosił ulgi. Sali Dalib bardziej niż oni przyzwyczajony do gorąca wiedział, że brak wiatru jest błogosławieństwem, gdyż wiatr na pustyni oznaczał tnący i oślepiający piasek, będący najbardziej niebezpiecznym zabójcą Pustyni Calim. Noc była lepsza, gdyż temperatura spadła, a księżyc w pełni zamienił nie kończącą się linię wydm w srebrny, bajkowy krajobraz, podobny do toczących się fal oceanu. Przyj aaciele na kilka godzin rozbili obóz, pilnując po kolei swych przymusowych przewodników.

Catti-brie obudziła się jakoś po północy. Usiadła i przeciągnęła się, sądząc, że nadeszła jej zmiana. Zobaczyła Drizzta stojącego na krawędzi kręgu światła rzucanego przez ognisko i patrzącego w rozgwieżdżone niebo.

Czy przypadkiem to Drizzt nie miał pierwszej wachty? - zastanowiła się. Zbadła pozycję księżyca, aby upewnić się co do pory nocy. Nie mogło być wątpliwości: noc trwała już długo.

- Jakież kłopoty? - zapytała cicho, podchodząc do Drizzta. Głośnie chrapanie Bruenora odpowiedziało na pytanie zamiast Drizzta.

- Mogę cię więc o coś zapytać? - spytała. - Nawet drowy potrzebują snu.

- Odpoczywam pod kapturem mego płaszcza - odparł Drizzt, odwracając się, aby napotkać lawendowymi oczyma na jej zatroskany wzrok. - Wtedy, gdy słońce jest wysoko.

\*195 ♦

## R. A. SALVATORE

- Mogę więc dołączyć do ciebie? - spytała Catti-brie. - Naprawdę zachwycająca noc.

Drizzt uśmiechnął się i spojrział znowu w niebo, słące w jego „ serce zew tajemniczej tęsknoty, tak głęboki, jakiego nie doświadczył żaden elf zamieszkujący powierzchnię. Catti-brie wsunęła swe szczupłe palce w jego dłoń i stała cicho obok niego, nie chcąc , zakłócać dalej jego oczarowania, dzieląc więcej ze swym najdroższym przyjacielem, niż mogłyby to przekazać słowa.

\* \* \* Następnego dnia gorąco było jeszcze większe, potem było jeszcze gorzej, lecz wielbłądy szły bez wysiłku, a czworo przyjaciół, którzy przeżyli już tak wiele trudnych chwil, przyjęło tę brutalną drogę jako jeszcze jedno utrudnienie w podróży, którą musieli odbyć.

Nie widzieli innych śladów życia i uważali to za błogosławieństwo, gdyż wszystko żyjące w tym opustoszałym kraju mogło być < tylko wrogie. Żar był wystarczającym wrogiem, czuli, jakby skóra marszczyła się i odpadała płatami. Gdyby którekolwiek z nich chciało się poddać, gdy nieustanne słońce, parzący piasek i gorąco stawały się nie do zniesienia, myśleli po prostu o Regisie.

Jakie straszliwe męczarnie cierpiał teraz halfling w rękach swego dawnego pana?

Z cienia wykusza Entreri przyglądał się, jak Pasha Pook schodzi po schodach w kierunku wyjścia z domu gildii. Nie minęła jeszcze godzina, odkąd Pook odzyskał swój rubinowy wisiołek, a już gotów był do jego użycia. Entreri wierzył mistrzowi gildii; nigdy nie spóźniał się na gong obiadowy. Morderca poczekał, aż Pook opuści dom, a potem poszedł na najwyższe piętro. Strażnicy przed drzwiami nie zrobili żadnego ruchu, żeby go zatrzymać, choć Entreri nie przypominał ich sobie z czasów swego wcześniejszego pobytu w gildii. Pook musiał celowo rozpuścić wieści o stanowisku Entreriego w gildii, dającym mu wszelkie przywileje. Nigdy nie spóźniał się na gong obiadowy.

Entreri podszedł do drzwi swego dawnego pokoju, w którym rezydował teraz LaValle, i cicho zapukał.

- Wejdz, wejdz - zaprosił go czarnoksiężnik, naprawdę zaskoczony tym, że morderca go odwiedził.

- Dobrze jest wrócić - powiedział Entreri.

- Dobrze jest mieć cię znowu - odparł z przeświadczeniem czarnoksiężnik. - Nie jest już tak jak było, zanim nas opuściłeś, a w ostatnich miesiącach wszystko się jeszcze pogorszyło.

Entreri zrozumiał czarnoksiężnika.

- Rassiter?

LaValle skrzywił się.

- Trzymaj się plecami do ściany, gdy ktoś taki jest w pobliżu - wzdrygnął się cały, lecz szybko się opanował. - Teraz, gdy wróciłeś do Pooka, Rassiter szybko nauczy się, gdzie jest jego miejsce.

- Może - odparł Entreri. - Lecz nie jestem pewien, czy Pook jest zadowolony widząc mnie znowu.

\* 196 ♦

\* 197 \*

R. A. SALVATORE

- Zrozum Pooka - roześmiał się LaValle. - Zawsze myśli jak f mistrz gildii! Chciał ustanowić warunki waszego spotkania, aby zapewnić sobie autorytet. Lecz ten incydent jest już za nami. Wyraz twarzy Entreriego zrobił na czarnoksiężniku wrażenie, że ten nie jest tego taki pewien.

- Pook zapomni o tym - zapewnił go LaValle.

- Tych, którzy mnie ścigają, nie można tak łatwo zapomnieć - odparł Entreri.

- Pook wezwał Pinocheta dla dokończenia tej sprawy - powiedział LaValle. - Pirat nigdy go nie zawiódł.

- Pirat nigdy nie miał do czynienia z takimi przeciwnikami - odparł Entreri. Spojrzał na stół i kryształową kulę LaValle'a. - Powinniśmy się upewnić.

LaValle pomyślał przez chwilę, a potem skinął głową zgadzając się. I tak miał zamiar wysledzić coś.

- Patrz w kulę - polecił Entreriemu. - Zobaczę, czy będę mógł przywołać obraz Pinocheta.

Kryształowa kula pozostawała ciemna przez kilka chwil, a potem wypełniła się dymem. LaValle nie miał zbyt często do czynienia z Pinochetem, lecz znał pirata na tyle, aby móc go wysledzić.

Kilka sekund później ukazał się zadokowany statek - nie statek piracki, lecz kupiecki. Entreri

natychmiast zaczął podejrzewać, że coś tu jest nie tak.

Kryształowa kula zjrzała głębiej, za burtę statku i przypuszczenia mordercy potwierdziły się, gdyż w odosobnionym rogu ładowni siedział dumny kapitan piratów, z łokciami na kolanach i twarzą ukrytą w dłoniach, przykuty do ściany.

Oślupiały LaValle spojrział na Entreriego, lecz morderca był zbyt zafascynowany widokiem, aby zdobyć się na jakieś wyjaśnienie. Na twarzy Entreriego pojawił się nieczęsto tam goszczący uśmiech. LaValle rzucił czar na kryształową kulę.

- Pinochecie - zawołał cicho. Pirat podniósł głowę i rozejrzał się.
- Gdzie jesteś? - zapytał LaValle.
- Oberon? - spytał Pinochet. - To ty, czarnoksiężniku?

\* 198 \*

- Nie, jestem LaValle, czarnoksiężnik Pooka w Calimporcie.
- Gdzie jesteś?

### KLEJNOT HALFUNGA

- W Memnonie - odparł pirat. - Możesz mnie stąd wyciągnąć?
- Co z elfem i barbarzyńcą? - zapytał Entreri LaValle'a, lecz Pinochet także usłyszał pytanie.
- Miałem ich! - syknął pirat. - Złapałem ich w kanale, bez możliwości ucieczki. Lecz nagle pojawił się krasnolud, powożący latającym, ognistym powozem, a wraz z nim łuczniczka; śmiercionośna łuczniczka - przerwał, walcząc z niesmakiem, jaki wywołało w nim samo wspomnienie tego spotkania.
- Jak to się skończyło? - zapytał LaValle, zdumiony rozwojem sytuacji.
- Jeden statek uciekł, jeden statek - mój statek - zatonął, a trzeci został przechwycony - jęknął Pinochet. Wykrzywił twarz w grymasie złości i zapytał znowu, z większym naciskiem. -Możesz mnie stąd wyciągnąć?

LaValle spojrział bezradnie na Entreriego, który stał teraz wyprostowany nad kryształową kulą chłonąc każde słowo.

- Gdzie oni są? - mruknął morderca tracąc cierpliwość.
  - Zniknęli - odparł Pinochet. - Zniknęli wraz z dziewczyną i krasnoludem w Memnonie.
- Jak dawno?
- Przed trzema dniami.

Entreri dał znak czarnoksiężnikowi, że usłyszał już wszystko, co chciał wiedzieć.

- Postaram się, aby Pasha Pook natychmiast wysłał polecenie do Memnonu - zapewnił pirata LaValle. - Będziesz uwolniony.

Pinochet opadł do swej poprzedniej, przygnębionej pozycji. Oczywiście, że zostanie uwolniony; to już wcześniej zostało uzgodnione. Miał nadzieję, że LaValle w jakiś magiczny sposób wyciągnie go z ładowni Duszka Morskiego, zwalniając go ze wszelkich obietnic, jakich zmuszony był udzielić Deudermontowi.

- Trzy dni - powiedział LaValle do Entreriego, gdy kryształ pociemniał. - Mogą już być w połowie drogi do nas.

Entreri wydawał się być rozbawiony tą uwagą.

- Pasha Pook nie może się o tym dowiedzieć - powiedział nagle.

LaValle zapadł się w swym krześle.

- Musi się o tym dowiedzieć.

\* 199 «

## R. A. SALVATORE

- Nie! - warknął Entreri. - To nie jego sprawa.  
- Gildia może znaleźć się w niebezpieczeństwie - odparł ] Valle.  
- Nie wierzysz, że jestem zdolny poradzić sobie z tym? -: pytał Entreri ponurym tonem.  
LaValle poczuł, że twarde oca mordercy przeszywają go, jakby nagle stał się następną barie do pokonania.

Lecz wzrok Entreriego złagodniał. Wreszcie morderca uśmiechnął się.

- Znasz zamiłowanie Pashy Pooka do kotów łownych - po4  
wiedział sięgając do sakiewki. -Daj mu to. Powiedz, że zrobiłeś  
to dla niego - rzucił czarnoksiężnikowi przez stół mały przedmiot.?

LaValle chwycił go, jego oczy rozszerzyły się, gdy tylko poz»< nał, co to jest. Guenhwyvar.  
Na odległym planie wielki kot poruszył się, gdy czarnoksiężnik dotknął statuetki i zastanowił się,  
czy jego pan ma zamiar w końcu go wezwać do siebie. Lecz po chwili uczucie to znikło i kot  
położył głowę w spoczynku.

Minęło tak wiele czasu.

\* \* \*

- Zawiera samą istotę - sapnął czarnoksiężnik, czując moc onyksowej statuetki.  
- Potężną istotę - zapewnił go Entreri. - Gdy nauczysz się ją kontrolować, dasz gildii  
nowego sojusznika.  
- Jak mam dziękować... - zaczął LaValle, lecz przerwał, stwierdziwszy, że już powiedziano  
mu cenę pantery. - Po co kłopotać Pooka szczegółami, które go nie obchodzą? - Czarnoksiężnik  
roześmiał się narzucając zasłonę na kryształową kulę.

Entreri poklepał LaValle'a po ramieniu przechodząc w stronę drzwi. Minione trzy lata nie  
zmniejszyły porozumienia, jakie kiedyś zawiązało się między tymi dwoma mężczyznami. Lecz  
wobec zbliżającego się Drizzta i jego przyjaciół Entreri miał pilniejszy interes. Musiał pójść do  
Celi Dziewięciu i złożyć wizytę Regisowi.

Morderca potrzebował następnego daru.

### Część 3

#### Pustynne imperia

◆ 200 \*

T>e ow uiscRęcptejszeęo mfeJscA

Entreri prześliznął się przez cienie trzewi Calimportu cicho jak sowa, lecąca przez las o  
zmierzchu. To był jego dom, miejsce, które znał najlepiej i wszyscy ludzie ulicy powinni  
zapamiętać dzień, w którym Entreri znów będzie chodził wśród nich - lub za nimi.

Entreri nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, gdy za nim rozlegały się stłumione szepty -  
bardziej doświadczone rzezimieszki mówiły nowicjuszom, że przybył król. Nigdy nie pozwalał,  
aby jego reputacja i legendy o czynach - choćby nie wiem jak zasłużone - wpływały na stały stan  
gotowości, który utrzymywał go przy życiu przez lata. Na ulicach mit siły wyznaczał człowieka  
na cel dla innych ambitnych, szukających swego własnego mitu.

Pierwszym jego zadaniem w mieście, prócz odpowiedzialności przed Pashą Pookiem, było  
odtworzenie sieci informatorów i współpracowników pomagających utrzymać pozycję. Jednemu

z nich już wcześniej wyznaczył ważne zadanie w związku ze zbliżaniem się Drizzta i jego towarzyszy- i doskonale wiedział, komu je powierzyć.

- Słyszałem, że wróciłeś - zapiszczał niewielki typek, wyglądający jak chłopiec, gdy Entreri pochylił się i wszedł do jego mieszkania. - Domyślam się, że wielu słyszało.

Entreri przyjął komplement skinięciem głowy.

- Co się zmieniło, mój przyjacielu halfhngu?

- Niewiele - odparł Dondon. - A zarazem dużo. - Podszedł do stołu w ciemniejszym kącie swej małej kwatery, bocznego

\* 203 \*

## R. A. SALVATORE

pokoju w tamtej gospodzie zwanej Gospodą Pod Zwiniętym<sup>^</sup> zem. - Prawa ulicy nie uległy zmianie, lecz gracze tek -

EnSlo adnieZaPal<sup>o</sup>neJ lamPy' <sup>^^</sup>-JT w < - Mimo wszystko, Artemis Entreri zniknął - wyjaśnił halfflir

azenie. - Na królewskim tronie był wakat.

i odS;lszXgłową zgadzając się; haifli<sup>^o</sup>dp<sup>^</sup> Ktow<sup>^^</sup>

<sup>^</sup>alazł innego agenta na twojemiejsce. Cały rój agentów -D ndon umilkł „a chwilę, żeby móc spokojnie pomS e<sup>^</sup>Znó

S doS' Z<sup>^</sup> Sł<sup>o</sup>WO' <sup>^</sup>4>ow?e- Łe <sup>^</sup>M?ut > <sup>^^^</sup>^^<sup>^^</sup>^PashaPookniekontr luje ulic, ale nadal ma ulice pod kontrolą. <sup>^</sup>Entreri wiedział do czego zmierza mały halfling, zanim naw

- Rassiter - powiedział ponuro

- Można by wiele powiedzieć o nim i jego załodze - Dondon

z<sup>^</sup>Lr<sup>^</sup> k0ÓC2aC SWC <sup>^</sup>^~»

uważ<sup>^^</sup>ewS9 CU<sup>^</sup> !fCZUrołakom \* śmieszki z ulicy' uważają, żeby nie wejść w drogę gildii - stwierdził Entreri

- Rassiter i jego rasa grają ostro.

- Równie ostro upadną.

Chłód tonu Entreriego oderwał oczy Dondona od lampy i no nego, ulicznego wojownika, który zbudował swoje S?Ł.

Sbizw?7<sup>^</sup>sp<sup>^^</sup>

zSLITetlT elT ip0rUSZył Się <sup>^</sup>P<sup>^</sup>ojnie. aŁL zooaczył ten efekt i szybko zmienił temat

dia debS ŁŁ: p<sup>™</sup>edział-'Nie martw się <sup>^</sup> maiy-Mam

Ola ciebie zadanie, bardziej pasujące do twych talentów

\*204\*

Dondon zapalił w końcu lampę i przysunął krzesło zapraszając swego dawnego szefa, aby na nuS usiadł<sup>^</sup>ozmalT w lSj

## KLEJNOT HALFLINGA

niz godzinę, aż latarnia stała się jedyną obroną przed napierającą czernią nocy. Potem Entreri wyszedł przez okno na ulicę. Nie sądził, aby Rassiter był tak głupi, by uderzyć, zanim nie oceni w pełni możliwości mordercy - zanim szcurołak nie zacznie nawet rozumieć wymiarów swego przeciwnika.

Entreri nie posądział Rassitera o wysoki stopień inteligencji.

Jednak może to właśnie Entreri nie zrozumiał w pełni swego przeciwnika lub tego, w jakim

stopniu Rassiter i jego wstrętnei towarzysze opanowali ulice w ciągu tych ostatnich trzech lat. Mniej niż pięć minut po wyjściu Entreriego drzwi do kwatery Dondona otworzyły się znowu. Wszedł Rassiter.

- Czego chciał? - zapytał zuchwały rzezimieszek, siadając wygodnie na krześle przy stole.

Dondon odsunął się zaniepokojony, zauważywszy dwóch dalszych przyjaciół Rassitera, trzymających straż na korytarzu. Po więcej niż roku halfling czuł się nadal nieswojo w obecności Rassitera.

- No mów - zażądał Rassiter. Zapytał ponownie, tym razem bardziej ponuro. - Czego on chciał?

Ostatnią rzeczą, jakiej chciał Dondon, było dostanie się w krzyżowy ogień między szczurołakami a mordercą, lecz nie miał innego wyjścia, jak tylko odpowiedzieć Rassiterowi na jego pytanie. Jeśli Entreri kiedykolwiek dowie się o tej podwójnej grze, to doskonale wiedział, że jego dni zostaną szybko policzone. Jednak, jeśli nie odpowie Rassiterowi, być może jego koniec będzie nie mniej pewny, za to metoda bardziej okrutna. Westchnął nie widząc wyjścia z sytuacji i opowiedział Rassiterowi wszystko, ze szczegółami.

Rassiter nie sprzeciwił się instrukcjom Entreriego. Wolał pozwolić Dondonowi odegrać cały scenariusz dokładnie tak, jak zaznaczył go Entreri. Najwidoczniej szczurołak sądził, że potrafi wyciągnąć z tego swe własne korzyści. Siedział milcząc przez długą chwilę, drapiąc się w swą bezwłosą brodę i napawając się łatwym zwycięstwem, jego połamane zęby błyszczały jeszcze głębszą żółcią w świetle lampy.

- Pójdiesz z nami tej nocy? - zapytał halflinga, zadowolony z zakończenia sprawy mordercy. - Księżyc będzie jasny - pogła-

\* 205 \*

## >• A. SALVATORE

skął jeden z cherubinowych policzków Dondona - Futro gęste, hę?

Dondon odsunął się.

- Nie tej nocy - odparł, trochę zbyt ostro.

Rassiter przechylił głowę, przyglądając się z ciekawością Dondonowi. Zawsze podejrzewał, że halfling nie czuje się d~ w nowej sytuacji.

Może to wyzwanie związane jest z powrotem jego do szefa? - zastanowił się.

- Rozdrażnij go, a zginiesz - odparł Dondon, wywołując jeszcze bardziej zaciekawione spojrzenie szczurołaka.

- Nie zacząłeś nawet rozumieć mechanizmów działania człowieka - kontynuował Dondon. - Z Artemisem Entrerim można się bawić; jeśli ktoś jest mądry. On wie wszystko, będzie widziany szczur uciekający z paczką, ja stracę a twoje plany będą rujnowane. - Podeszedł nie zważając na dźwięk i umieścił swą poważną twarz o cal od nosa Rassit

- Stracę życie - powtórzył. - Co najmniej.

Rassiter wyskoczył z krzesła, odepchnąwszy je na drogi nieć pokoju. Słyszał już zbyt wiele o Artemisie Entrerim w je' dniu. Gdziekolwiek się zwrócił, drżące wargi powtarzały mordercy.

- Czy nie wiedzą? - powiedział sobie raz jeszcze, idąc ze ścieżką do drzwi. - To Rassitera powinni się bać! Poczł swędi na brodzie, potem przeszło przez jego ciało mrowienie.

Dondon cofnął się i odwrócił oczy, nigdy nie będzie mógł przyzwycząić do tego spektaklu.



Rassiter zrzucił buty, rozwił koszulę i spodnie. Teraz widoczne były włosy, wyrastające z jaskawymi kępkami i płatami. Upadł pod ścianę, gdy góra'ka ogarnęła go całkowicie. Skóra kipiała i wybrzuszała się, szczerze golnie w okolicach twarzy. Wrzasnął, gdy jego nos wydłużył? choć męka nie była tym razem większa - może tysięcznym ras - niż w czasie jego pierwszej transformacji. Chwilę później stanął przed Dondonem na dwóch nogach, jak człowiek, U z wąsami wyrastającymi z futra i z długim, różowym ogonem wystającym z nogawki, jak u gryzonia. - Dołączysz do mnie? - zapytał halflinga.

\* 206 \*

#### KLEJNOT HALFUNGA

Ukrywając obrzydzenie Dondon szybko się poddał. Patrząc na człekoszczura, halfling zastanawiał się, jak pozwolił Rassiterowi ugryźć się i zarazić tą likantropiczną zmoją.

- Dam ci moc! - obiecał Rassiter.

Ale jakim kosztem? - pomyślał Dondon. Aby wyglądać jak śmierdziec jak szczur? Tonie było błogosławieństwo, lecz choroba.

Rassiter domyślał się niesmaku halflinga, wykrzywił swój szczurzy nos i syknął groźnie, a potem zwrócił się ku drzwiom. Zanim wyszedł z pokoju, odwrócił się do Dondona.

- Trzymaj się z dala od tego! - ostrzegł halflinga. - Rób, jak ci nakazano i ukryj się!

- Co do tego nie mam nawet najmniejszych wątpliwości - szepnął Dondon, gdy drzwi się zniknęły.

\* \* \*

Aura, wyróżniająca Calimport jako dom tak wielu calishitów, przybyszom z północy wydała się śmierdząca. Drizzt, Wulfgar, Bruenor i Catti-brie byli naprawdę zmęczeni pięciodniową podróżą przez Pustynię Calim, lecz patrząc na miasto Calimport mieli ochotę odwrócić się i wyruszyć znowu w piasce. To było wstrętne Memnon na dużo większą skalę, z dzielnicami tak rażąco krzykliwym bogactwem, że czworgu przyjaciółom Calimport wydawał się krańcowo perwersyjny. Wyszukane domy, pomniki świadczące o bogactwie poza wszelkie wyobrażenie znaczyły przestrzeń miasta. Jednak: obok pałaców ciągnęły się ulice walących się szalasów z popękanej gliny i potarganych skór. Przyjaciele nie mogli się domyślić ilu ludzi tu mieszka - z pewnością więcej niż w Waterdeep i Memnonie razem wziętych! - i wiedzieli natychmiast, że w Calimportcie, tak jak i w Memnonie, nikt nie troszczył się o to, aby ich policzyć.

Sali Dalib zsiadł z wielbłąda, prosząc pozostałych, aby uczynili to samo i poprowadził ich z ostatniego pagórka do nie otoczonego murami miasta. Z bliska Calimport nie wyglądał wcale lepiej. Nagie dzieci, z wydętymi z głodu brzuskami, uciekały z drogi lub po prostu były tratowane, wózki ciągnięte przez niewolników leniwie przejeżdżały ulicami. Jeszcze gorsze były boki tych ulic, po prostu rowy, służące jako otwarte ścieki bie-

9Z07 \*

#### R. A. SALVATORE

dniej szym dzielnicom miasta. Wrzucano tu ciała ubogich którzy upadli na chodnikach, cicho kończąc swą żalostną egzystencję.

- Pasibrzuch z pewnością nigdy nie wspominał o takich widokach, gdy mówił o domu - mruknął Bruenor naciągając pelerynę na twarz, aby odgrodzić się przed straszliwym smrodem. - Nie mogę sobie wyobrazić, jak mógł tak długo wytrzymać w takim miejscu!

-To jest największe miasto na świecie! - wykrzyknął Sali Dalib, podnosząc ręce dla podkreślenia swych słów.

Wulfgar, Bruenor i Catti-brie spojrzeli nań z niedowierzaniem. Tłumy ludzi, zebranych i

głodujących nie były ich wyobrażeniem wielkości. Drizzt jednak nie zwracał uwagi na kupca. Zajęty był porównywaniem Calimportu z innym miastem, które znał - z Menzoberranzanem. Istniały niewątpliwe podobieństwa, a śmierć nie była rzadszym zjawiskiem w Menzoberranzanie, lecz Calimport wydawał się jakoś bardziej wstrętny niż miasto dro-wów. Nawet najslabszy z ciemnych elfów miał jakąś ochronę, dzięki silnym więzom rodzinnym i śmiertocnym, wewnętrznym zdolnościom, a tutaj ci żałośni biedacy Calimportu, a tymś bardziej ich dzieci, wydawali się naprawdę bezsilni i pozbawieni < nadziei.

W Menzoberranzanie elfy z najniższych kręgów mogły wywalczyć sobie drogę do lepszej pozycji, zaś dla większości ludzi z Calimportu dany był jedynie niedostatek, nędzna egzystencja z dnia na dzień, aż lądowali na stosach szarpanych przez sępy ciała, gdzieś w kanałach.

- Zaprowadź nas do domu gildii Pashy Pooka - powiedział

Drizzt, przechodząc do sedna sprawy, chcąc jak najszybciej załatwić swą sprawę i wynieść się z Calimportu. -1 możesz spokojnie odejść.

Sali Dalib zbladł słysząc takie żądanie.

- Pasha Pook? - wyjąkał. - A kto to jest?

- Ba! - parsknął Bruenor, podchodząc niebezpiecznie blisko do kupca. - On go zna!

- Z pewnością zna - zauważyła Catti-brie. -1 boi się go.

- Sali Dalib nie... - zająkał się kupiec.

#### KLEJNOT HALFUNGA

Błysk wyskoczył z pochwy i niebezpiecznie świsnął, zatrzymując się pod brodą kupca - uciszając go natychmiast. Drizzt pozwolił swej masce zsunąć się nieco, przypominając Sali Dalibowi o swym pochodzeniu. Ponownie jego nagle poważne zachowanie się wytrąciło z równowagi nawet jego przyjaciół.

- Myślę o moim przyjacielu - powiedział Drizzt chłodnym, spokojnym tonem, jego lawendowe oczy patrzyły nieobecnie na miasto - torturowanym w czasie, gdy my tu mitrężymy bezcenny dla niego czas. -Nagle spojrzał w twarz Sali Daliba i warknął. - Gdy ty mitrężysz! Zaprowadź nas do domu gildii Pashy Pooka - powtórzył, tym razem z większym naciskiem. -1 będziesz wolny.

- Pook? Och, Pook - rozpromienił się kupiec. - Sali Dalib zna tego człowieka, tak, tak.

Wszyscy znają Pooka. Tak, tak, zaprowadzę was tam, a potem odejdę.

Drizzt z powrotem nałożył maskę, lecz zachował poważny wyraz twarzy.

- Jeśli ty, lub twój mały towarzysz będziecie próbowali ucie-

kać - obiecał z takim chłodem, że ani kupiec, ani jego asystent

nie wątpili nawet przez chwilę w jego słowa-dogonię was i zabiję.

Troje przyjaciół drowa wzruszyło w zażenowaniu ramionami i wymieniło zatroskane spojrzenia.

Byli przekonani, że znają Drizztado głębi, leczbarwajego głosu była tak ponura, że nawet oni

zaczęli się zastanawiać, na ile jego obietnica była tylko cczą-

pogróżką.

\* \* \*

Więcej niż godzinę zabrało im przebycie labiryntu uliczek Calimportu, ku obrzydzeniu przyjaciół, którzy nie pragnęli niczego więcej, niż wydostania się z tych zaułków i znalezienia się z dala od ich smrodu. W końcu - ku ich niezmiernej uldze - Sali Dalib skręcił za ostatni róg, ku Zbójeckiemu Kręgowi i wskazał na nie rzucając się w oczy drewnianą budowlę na jego krańcu, dom gildii Pashy Pooka.

- Tam jest Pook - powiedział Sali Dalib. - Teraz Sali Dalib zabierze swoje wielbłądy i wróci do

Memnonu.

Przyjaciele jednak nie chcieli tak szybko odprawić chytrego kupca.

9 208\*

◆ 209 \*

R. A. SALVATOKE

- Jak się domyślam, Sali Dalib pospieszy do Pooka, aby powiedzieć mu coś o czworgu przyjaciółach - mruknął Bruenor.

- Cóż, mamy na to sposób - powiedziała Catti-brie. Spojrzała chytrze na Drizzta, a potem podeszła do zaciekawionego i przerażonego kupca, sięgając po drodze do swego plecaka. Wyraz jej twarzy stał się nagle ponury i tak złośliwy, że Sali Dalib rzucił się do tyłu, gdy jej ręka zbliżyła się do jego czoła.

- Stój spokojnie! - warknęła do niego ostro. Nie mógł oprzeć się mocy jej tonu. W pakunku miała proszek, substancję podobną do maki. Recytując coś, co brzmiało jak tajemne zaklęcie, narysowała sejmitar na czole Sali Daliba. Kupiec próbował protestować, lecz ze strachu zapomniał języka w ustach.

- Teraz czas na małego - powiedziała Catti-brie, zwracając się do goblina Sali Daliba.

Goblin zapiszczał i usiłował jej umknąć, lecz Wulfgar chwycił go w jedną rękę i wyciągnął w stronę Catti-brie, ściskając coraz mocniej, aż przestał wierzyć. Catti-brie powtórzyła całą ceremonię, a potem zwróciła się do Drizzta.

- Teraz będą połączeni z twoim duchem - powiedziała. - Czu jesz ich?

Drizzt, rozumiejąc sztuczkę, skinął ponuro głową i powoli wyciągnął swe dwa sejmitary. Sali Dalib zbladł iomal nie zemdlął, lecz Bruenor, który podszedł bliżej, aby przyjrzeć się sztuczce swej córki, szybko podtrzymał przerażonego człowieka.

- Ach, puście ich. Skończyłam już swe czary - powiedziała Catti-brie do Wulfgara i Bruenora. - Drów teraz będzie czuł waszą obecność - syknęła do Sali Daliba i goblina. - Będzie wie dział, co robicie i kiedy odejdziecie. Jeśli zostanieie w mieście i jeśli pomyślicie o pójściu do Pooka, drów będzie wiedział i pójdzie za wami, a wtedy zabije was - umilkła na chwilę, czekając aż obaj w pełni zrozumieją zagrożenie, w obliczu którego stanęli.

-A będzie zabijał was powoli.

- Zabierajcie swe garbate konie i znikajcie! - ryknął Bruenor. - Jeśli znowu zobaczą wasze śmierdzące twarze, drów zrobi użytek ze swych sejmitarów!

\* 210 \*

KLEJNOT HALFUNGA

Zanim krasnolud zdążył skończyć, Sali Dalib i goblin w panice pozbierali swoje wielbłądy i odjechali w stronę północnych krańców miasta.

- Więc ci dwaj wyruszyli na pustynię - roześmiał się Bruenor, gdy zniknęli. - Doskonała sztuczka, dziewczyno.  
 Drizzt wskazał w połowie uliczki na szyld gospody: „Pod Plującym Wielbłądem”.  
 - Wynajmijmy tam pokoje - powiedział do swych przyjaciół. - Pójdę za nimi, aby upewnić się, że rzeczywiście opuścili miasto.  
 - Tracisz czas - zawołał za nim Bruenor. - Dziewczyna zmusiła ich do ucieczki, albo jestem brodatym gnomem!  
 Drizzt jednak odszedł, zanurzając się w labirynt ulic Calim-portu. Wulfgar, nieświadom jej nietypowej sztuczki i ciągle nie będąc pewnym, co właściwie się zdarzyło, spojrzał z uwagą na Catti-brie. Bruenor zauważył jego przerażony wzrok.  
 - Zapamiętaj to dobrze - powiedział krasnolud. - Z pewnością dziewczyna naznaczy cię także tym niebezpiecznym znakiem, gdybyś kiedykolwiek chciał od niej uciec.  
 Grając dalej swągrę, ku uciechu Bruenora, Catti-brie spojrzała na olbrzymiego barbarzyńcę zwięzonymi oczyma, powodując, że Wulfgar ostrożnie cofnął się o krok,  
 - Magia czarownicy - zachichotała. - Powie mi, kiedy twoje oczy spoczyna innej kobiecie! - odwróciła się powoli, nie spuszczać z niego wzroku dopóty, dopóki nie zrobiła trzech kroków ulicąw kierunku gospody, którą wskazał Drizzt.  
 Bruenor wyciągnął rękę i klepnął Wulfgara w plecy, gdy ten ruszył za Catti-brie.  
 - Dobry chłopiec - zauważył. - Nie pozwól jej tylko na żadne szaleństwa!  
 Wulfgar otrząsnął się ze zmieszania i zmusił się do uśmiechu, przypominając sobie, że „magia” Catti-brie była tylko podstępem, mającym na celu przestraszenie kupca. Lecz wzrok Catti-brie i sama jego siła szły za nim, gdy podążał przez Zbójecki Krąg. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu zarówno dreszcz strachu, jak i niewymownie słodkie mrowienie.  
 \* \* \*

• 211 \*

## R. A. SALVATORE

Słońce już do połowy zanurzyło się pod zachodni horyzont zanim Drizzt wrócił do Zbójeckiego Kręgu. Szedł za SaJi Dau-bem i jego asystentem daleko na Pustynię Calim, choć jego poprzednie kroki kupca wskazywały, że nie ma najmniejszego szansa wracać do Calimportu. Drizzt po prostu nie chciał tracić czasu byli zbyt blisko znalezienia Regisa i zbyt blisko Entreriego.  
 Zamaskowany, teraz jako elf- Drizzt zaczął uzmysławiać sobie, jak łatwo teraz przychodzi mu zmiana powierzchownie! ~ poszedł do gospody Pod Plującym Wielbłądem i podszedł do biurka właściciela. Powitał go niewiarygodnie chudy mężczyzna zwrócony zawsze plecami do ściany i rozglądający się nerwowo we wszystkich kierunkach.  
 - Troje przyjaciół - powiedział ochryple Drizzt. - Krasnoludka kobieta i olbrzym o złotych włosach.  
 - Na górze - powiedział mężczyzna! - Na lewo. Dwie złota, jeśli zamierzasz zostać na noc - wyciągnął kościstą rękę.  
 - Krasnolud już zapłacił - powiedział ponuro Drizzt, cicho odejść.

- Za siebie, dziewczynę i olbrzymiego... - zaczął karcztjarz chwytając Drizzta za ramię. Jednak spojrzenie w jego laweo"0" we oczy zatrzymało go w miejscu.

- Zapłacił - wyjąkał przerażony człowiek. - Oczywiście, pr^" pominam sobie. Zapłacił.

Drizzt odszedł bez słowa. Znalazł dwa pokoje po przeciwny^1 stronach korytarza w dalszej części budowli. Miał zamiar pójj^c prosto do pokoju Wulfgara i Bruenora i trochę odpocząć, che53-0 wyjść na ulicę, gdy noc już zapadnie w pełni, a Entreri z pewnością\*3-będzie gdzieś tam. Zamiast nich jednak znalazł Catti-brie, najw71" doczniej czekającą na niego. Skinęła, aby wszedł i zamknął drzy^ za sobą.

Drizzt usiadł na samym brzeżku jednego z dwóch krzeseł p<?~ środku pokoju, uderzając lekko stopą w podłogę przed sobą.

\* 212 \*

Catti-brie, idąc do drugiego krzesła bacznie mu się przyglądała. Znała Drizzta od lat, lecz nigdy nie widziała go tak poruszonego • - Wyglądasz tak, jakbyś miał się sam rozedrzeć na kawałki -^ powiedziała do niego. Drizzt spojrzał na nią chłodno, lecz Catti" brie roześmiała się. - Masz zamiar mnie uderzyć?

#### KLEJNOT HALFUNGA

Drów cofnął się na krzesło.

- Nie noś też tej głupiej maski - nachmurzyła się nagle Catti-brie.

Drizzt sięgnął do maski, lecz zawahał się.

- Zdejmij ją! - rozkazała Catti-brie, a drów posłuchał, zanim zdążył się ponownie zastanowić.

- Byłeś nieco poważny tam, na ulicy, zanim odszedłeś - zauważyła Catti-brie, jej głos stał się bardziej miękki.

- Musieliśmy się upewnić - odparł spokojnie Drizzt. - Nie wierzę Sali Dalibowi.

- Ani ja-przyznała Catti-brie. -Lecz, jak widzę, nadal jesteś ponury.

- To ty władasz magią czarownicy - odparł Drizzt obronnym tonem. - Więc, to Catti-brie okazała się sroga.

Catti-brie wzruszyła ramionami.

- To było konieczne - powiedziała. - Porzuciłam to, gdy ku piec zniknął. Ale ty - powiedziała z naciskiem, pochylając się i kładąc uspokajająco rękę na kolanie Drizzta - ty gotujesz się do walki.

Drizzt chciał odsunąć kolano, lecz stwierdził słuszność jej obserwacji i zmusił się do odprężenia pod jej przyjacielskim dotknięciem. Odwrócił wzrok, gdyż stwierdził, że nie może złagodzić wyrazu swej twarzy.

- O co chodzi? - szepnęła Catti-brie.

Drizzt spojrzał na nią i przypomniał sobie wszystkie chwile, które dzielili w Dolinie Lodowego Wichru. W jej poważnej trosce o niego, Drizzt przypomniał sobie pierwszy raz, gdy się spotkali, gdy uśmiech dziewczynki - gdyż była wtedy zaledwie dziewczynką- dał nadzieję zniechęconemu elfowi na życie wśród mieszkańców powierzchni. Catti-brie wiedziała o nim więcej, niż ktokolwiek inny, o rzeczach, które były dla niego ważne i uczyniła jego pustelniczą egzystencję znośną. Ona jedna rozpoznała obawy kryjące się pod jego czarną skórą, brak pewności, maskowany zręcznością jego ramienia.

- Entreri - odparł cicho.

- Masz zamiar go zabić?

- Zrobię to.

\*213 ♦

R. A. SALVATORE

Catti-brie comeła się na krzesło, aby rozważyć te słowa.

- Jeśli zabijesz Entreriego, żeby uwolnić Regisa - powiedziała; w końcu - i aby go powstrzymać od czynienia krzywdy komukolwiek innemu, to serce mi mówi, że będzie to dobra rzecz. - Znow pochyliła się do przodu, zbliżając swą twarz do twarzy Drizzta. -4\* Lecz jeśli zamierzasz go zabić po to, aby się sprawdzić, lub aby j zaprzeczyć temu, czym jest, to moje serce będzie płakać z bólu.

Z takim samym skutkiem mogłaby uderzyć Drizzta w twarz.

Usiadł wyprostowany i przechylił głowę, jego rysy wykrzywiły się we wściekłym zaprzeczeniu. Pozwolił Catti-brie mówić dalej, ? gdyż nie mógł nie docenić ważności spostrzeżeń kobiety. '

- Z pewnością świat nie jest uczciwy, mój przyjacielu.

Z pewnością według miar serca mylisz się. Lecz czy gonisz mordce z powodu własnego gniewu? Czy zabicie Entreriego na prawi zło?

Drizzt nie odpowiedział, lecz jego twarz znow spoważniała.

- Spójrz w lustro, Drizzcie Do'Urdenie - powiedziała Catti-brie. - Bez maski. Zabicie Entreriego nie zmieni koloru twojej skóry ani koloru samego ciebie.

Drizzt znow otrzymał policzek - a tym razem w słowach dziewczyny zadźwięczała niezaprzeczalna prawda. Cofnął się na krzesło, patrząc na Catti-brie tak, jak nigdy wcześniej na nią nie patrzył. Gdzie się podziała mała dziewczynka Bruenora? Przed nim była kobieta, piękna i wrażliwa, odsłaniająca swą duszę w kilku słowach. Dzielili ze sobą wiele, to prawda, lecz skąd znała go tak dobrze? I dlaczego wybrała właśnie ten czas?

- Masz prawdziwszych przyjaciół, niż to możesz sobie wyobrazić - powiedziała Catti-brie. - I nie z tego powodu, że tak zręcznie wymachujesz mieczem. Masz innych, którzy nazwą się przyjaciółmi, jeśli tylko będą mogli dostać się w zasięg twojego ramienia, jeśli tylko nauczą się patrzeć.

Drizzt rozważał te słowa. Przypomnił sobie Duszka Morskiego, kapitana Deudermonta i jego załogę, stojącą za nim nawet wtedy, gdy wiedzieli o jego pochodzeniu.

- Gdybyś tylko nauczył się kochać - kontynuowała Catti-brie, jej głos był ledwie słyszalny. - Z pewnością nie zważałbyś na to, Drizzcie Do' Urdenie.

\* 214 \*

KLEJNOT HALFUNGA

Drizzt przyglądał się jej uważnie, widząc blask jej ciemnych, podobnych do spodków oczu. Próbował wysondować do czego zmierza, jakie osobiste przesłanie próbuje mu przekazać. Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Wulfgar, z uśmiechem od ucha do ucha, z oczekiwaniem przygody błyszczącym w jego bla-doniebieskich oczach.

- Dobrze, że wróciłeś - powiedział do Drizzta. Przeszedł za Catti-brie i objął jąuspokajająco ramieniem. - Zapadła noc, nad wschodnim horyzontem jaśnieje księżyc. Nadszedł czas polowa

nia!

Catti-brie położyła dłoń na rękę Wulfgara i błysnęła doń czarującym uśmiechem. Drizzt był szczęśliwy, że ci dwoje znaleźli się. Razem będą mieli błogosławione i radosne życie, wychowując dzieci, których będą im bez wątpienia zazdrościć na całej Północy.

Catti-brie znów spojrzała na Drizzta.

- Właśnie tak, jak myślisz, przyjacielu - powiedziała spokojnie. - Jesteś bardziej związany sposobem, w jaki widzi cię świat, czy sposobem jaki ty widzisz, że postrzega cię świat?

Napięcie opuściło mięśnie Drizzta. Jeśli Catti-brie miała rację, to miał kilka spraw do przemyślenia.

-Czas na polowanie! -krzyknęła Catti-brie, zadowolona z tego, że przeforsowała swój punkt widzenia. Wstała i skierowała się ku drzwiom, lecz obejrzała się przez ramię na Drizzta po raz ostatni, jej spojrzenie powiedziało mu, że może powinien pytać Catti-brie o coś więcej tam, w Dolinie Lodowego Wichru, zanim w jej życiu pojawił się Wulfgar.

Gdy opuścili pokój, Drizzt westchnął i instynktownie sięgnął po swą magiczną maskę.

Instynktownie? - zastanowił się. Rzucił ją nagle i cofnął się na swym krześle w zamyśleniu, założywszy ręce za głowę. Rozejrzał się z nadzieją, lecz w pokoju nie było lustra.

\* 215 \*

\* 17 «

La Valle trzymał rękę w sakiewce przez dłuższą chwilę, dokuczając Pookowi. Byli sami, nie licząc eunuchów, w centralnym pomieszczeniu na najwyższym piętrze. LaValle obiecał swemu mistrzowi dar przewyższający nawet nowinę o powrocie jego rubinowego wisiora, zaś Pook wiedział, że czarnoksiężnik złożył taką obietnicę z wielką ostrożnością. Nie miał zamiaru rozczarować mistrza gildii. LaValle był pewien swego daru i nie bał się swego buńczucznego oświadczenia. Wyciągnął rękę i pokazał jej zawartość Pookowi, uśmiechając się szeroko. Pook wstrzymał oddech, dłonie mu się spociły, gdy dotknął onyksowej statuetki.

- Wspaniała - mruknął oczarowany. - Nigdy nie widziałem takiego cudenka kunsztu rzeźbiarskiego; takie szczegóły. Ktoś musiał to lubić!

- Ktoś lubił - szepnął pod nosem LaValle. Czarnoksiężnik nie chciał natychmiast ujawnić wszystkich właściwości daru, odparł więc. - Jestem szczęśliwy, że jesteś zadowolony.

- Gdzie to zdobyłeś?

LaValle poruszył się niespokojnie.

- To nie jest ważne - odparł. - To dla ciebie, Mistrzu, dane z wyrazami mojej wierności tobie. - Szybko poprowadził rozmowę dalej, aby zapobiec naciskaniu Pooka w tej materii. - Mistrzostwo wykonania tej figurki jest zaledwie częścią jej wartości - powiedział, wywołując tym zaciekawienie w spojrzeniu Pooka.

\* 216 \*

- Słyszałeś o takich figurkach - ciągnął dalej LaValle, zadowolony z tego, że tym razem ponownie mistrz gildii został oczarowany. - Może być magicznym towarzyszem swego właściciela.

KLEJNOT HALFUNGA

Ręce Pooka zdrząły na tę myśl.

- To - wyjął podekscytowany - to może powołać panterę do życia?

Chytry uśmiech LaValle'a udzielił pełnej odpowiedzi na to pytanie.

- Jak? Kiedy mógłbym...

- Kiedy tylko będziesz chciał - odparł LaValle.

- Powinniśmy przygotować klatkę? - zapytał Pook.

- Nie ma potrzeby.

- Lecz przynajmniej dopóki pantera nie zrozumie, kto jest jej panem...

- Posiadasz figurkę - przerwał LaValle. - Stworzenie, które wezwiesz, jest w pełni twoje.

Posłucha każdego twojego rozkazu dokładnie tak, jak będziesz sobie tego życzył.

Pook przycisnął statuetkę do piersi. Nie mógł uwierzyć w swe powodzenie. Wielkie koty były jego pierwszą największą miłością, a mając w swym posiadaniu takiego, o takim posłuszeństwie, rozciągnięcie swej własnej woli podnieciło go bardziej, niż cokolwiek do tej pory.

- Teraz - powiedział. - Chcę teraz przywołać kota. Powiedz mi słowa.

LaValle wziął statuetkę i położył ją na podłodze, a potem szepnął coś do ucha Pooka, uważając, aby wymówienie przez niego imienia kota nie przywołało Guenhwyvar i nie zrujnowało tej chwili dla Pooka.

- Guenhwyvar - zawołał cicho Pook. Początkowo nic się nie stało, lecz zarówno Pook, jak i LaValle poczuli, że zaczyna się tworzyć połączenie z oddaloną istotą.

- Choć do mnie, Guenhwyvar! - rozkazał Pook.

Jego głos przetoczył się przez bramy między planami istnienia, ciemnym korytarzem do planu astralnego, domu istoty pantery. Guenhwyvar obudziła się na wezwanie. Kot ostrożnie wyruszył w drogę.

- Guenhwyvar - dobiegło znowu wezwanie, lecz kot nie mógł rozpoznać głosu. Minęło już wiele tygodni od chwili, gdy jej pan wezwał ją Pierwszy Plan Materialny, gdzie pantera bardzo się zasłużyła i bardzo potrzebowała odpoczynku, lecz ten, kto teraz  
9 217 \*

## R. A. SALVATORE

ją wzywał, czynił to z wielką ostrożnością. Teraz, gdy wzywał nieznanego głosu, Guenhwyvar zrozumiała, że coś krańcowo się i niło.

Z wahaniem, lecz nie mogąc oprzeć się wezwaniu, wielki 1 podążył korytarzem.

Pook i LaValle przyglądali się jak zahipnotyzowani, gdy ukazał się szary dym, kłębiący się na podłodze wokół figurki. Wirwał leniwie przez kilka chwil, a potem przybrał określony kształt, stając się postacią Guenhwyvar. Kot stał doskonale nieruchomo, próbując rozpoznać otoczenie.

- Co mam zrobić? - zapytał Pook LaValle'a. Kot stęzał dźwięk jego głosu. Głosu pana.

- Co sobie tylko życzysz - odparł LaValle. - Kot może się4, dzieć obok ciebie, polować dla ciebie, chodzić ci przy nodzej! może zabijać dla ciebie. «

Słyszając to ostatnie stwierdzenie, w umyśle mistrza gildii powstał pewien pomysł.

- Jakiego ograniczenia?

LaValle wruszył ramionami.

- Większość magii tego rodzaju zanika po długim czasie, choć możesz znowu wezwać kota, gdy odpocznie - dodał szybko, widząc zniechęcony wyraz twarzy Pooka. - Tego nie można



zabić; powróci tylko na swój plan, chociaż posążek można po łamać.

Pook znów zrobił kwaśną minę. Rzecz już stała się dla niego zbyt cenna, aby brał pod uwagę jej stratę.

- Zapewniam cię, że zniszczenie statuetki nie jest łatwym zadaniem - kontynuował La Valle. - Jej magia jest naprawdę silna. Najsilniejszy kowal w całych Krainach nie zrobi na niej rysy najcięższym młotem!

Pook był usatysfakcjonowany.

- Chodź do mnie - rozkazał kotu wyciągając rękę.

Guenhwyvar posłuchała i stuliła uszy, gdy Pook delikatnie pogłaskał jej miękkie, czarne futro.

◆ 218\*

- Mam zadanie - oznajmił nagle Pook, patrząc z podnieceniem na LaValle'a. - Pamiętne i wspaniałe zadanie! Pierwsze zadanie dla Guenhwyvar.

### KLEJNOT HALFUNGA

Oczy LaValle'a rozblęły, widząc czystą rozkosz na twarzy Pooka.

- Sprowadź Regisa - powiedział Pook. - Niech Guenhwyvar najpierw zabije halflinga, którym najbardziej pogardzam!

\* \* \*

Wyczerpany doświadczeniami w Celach Dziewięciu i różnymi męczarniami, jakie zadał mu Pook, Regis bezwładnie osunął się na twarz przed tronem Pooka. Z trudem wstał, zdecydowany przyjąć następną torturę - nawet, gdyby to miała być śmierć - z godnością.

Pook skinął ręką na strażników, aby wyszli z komnaty.

- Cieszysz się, że jesteś z nami? - zadrwił z Regisa.

Regis odgarnął z twarzy kosmyk włosów.

- Można wytrzymać - odparł zaczepnie. - Sąsiedzi są trochę zbyt głośni, warczą i mruczaprzez całą noc.

- Cisza! - warknął Pook. Spojrzał na LaValle'a, stojącego obok wielkiego krzesła. - Znajdź tu małą zabawę - powiedział mistrz gildii ze zjadliwym chichotem.

Regis przeszedł już jednak poza strach, w rezygnację.

- Wygrałeś - powiedział chłodno, mając nadzieję pozbawić nieco przyjemności Pooka. - Zabrałem twój wisiołek i zostałem pochwycony. Jeśli uważasz, że to przestępstwo zasługuje na karę śmierci, to mnie zabij.

- Och, zrobię to! - syknął Pook. - Planowałem to od samego początku, lecz nie znałem stosownej metody.

Regis zachwiał się. Może nie był tak opanowany, jak sądził?

- Guenhwyvar - zawołał Pook.

- Guenhwyvar? - powtórzył pod nosem Regis.

- Chodź do mnie, moja kochana.

Halfling zmartwiał, gdy magiczny kot wśliznął się przez uchylone drzwi do pokoju LaValle'a.

- S... skąd go dostałeś? - wyjąkał Regis.

- Wspaniały, prawda? - odparł Pook. - Lecz nie martw się, mały złodzieju. Będziesz miał okazję przyjrzeć się mu z bliska. Zwrócił

się do kota. - Guenhwyvar, kochana Guenhwyvar -mruczał Pook  
- ten mały złodziej skrzywdził twojego pana. Zabij go, moja przer  
piękna, ale zabijaj go powoli. Chcę słyszeć jego wrzaski.

\* 219 «

R. A. SALVATORE

Regis patrzył w wielkie oczy pantery. - Spokój, Guenhwyvar - powiedział, gdy kot zrobił wolny, pelen wahania krok w jego stronę. Regisa naprawdę bolało zob. czenie wspaniałej pantery pod rozkazami kogoś tak nikczemny; go, jak Pook. Guenhwyvar należała do Drizzta. Lecz nie mó poświęcić zbyt wiele czasu na rozważanie skutków pojawię-' się kota. Jego podstawową troską była jego przeszłość.

- To on -krzyknął Regis do Guenhwyvar, wskazując na Po, oka. - On rozkazuje temu złemu, który zabrał cię od twego praw| dziwego pana, tego złego, którego twój prawdziwy pan poszu kuje! \

- Doskonale! - roześmiał się Pook, sądząc, że Regis chwycił' się desperackiej linii postępowania, aby zbić z tropu zwierzę, -i Ten pokaz może być wart mają, jakie cierpiałem z twoich rąk, złodzieju Regisie!

LaValle poruszył się niespokojnie, odnajdując więcej prawdy w słowach Regisa.

- Dalej, mój ulubieńcze! - rozkazał Pook. - Zadaj mu ból!

Guenhwyvar warknęła basowo, jej oczy zwęziły się.

- Guenhwyvar - powiedział znowu Regis, cofając się o krok.

- Guenhwyvar, znasz mnie.

Kot nie dał żadnego znaku, że rozpoznał halflinga. Poganiana głosem nowego pana przywarła nisko do podłogi i poczęła skradać się w stronę Regisa.

- Guenhwyvar! - wrzasnął Regis, posuwając się przy ścianie w poszukiwaniu ucieczki.

- To jest imię kota - roześmiał się Pook, nadal nie zdając so bie sprawy z tego, że halfling naprawdę rozpoznał bestię. - Że gnaj Regisie. Pocziesz się tym, że zapamiętam tę chwilę na resztę mego życia!

Pantera stuliła uszy i przywarła jeszcze bardziej do podłogi, przebierając tylnymi nogami dla lepszego utrzymania równowagi. Regis rzucił się do drzwi, choć nie miał wątpliwości, że są zamknięte, zaś Guenhwyvar skoczyła, nieprawdopodobnie szybko i dokładnie. Regis zaledwie zorientował się, że kot jest na nim. Jednak ekstaza Pashy Pooka nie trwała długo. Wskoczył ze swego krzesła, mając nadzieję lepiej zobaczyć całą akcję, gdy Gue-

\* 220 ♦

KLEJNOT HALFLINGA

nhwyvar przykryła Regisa. Nagle kot zniknął, rozplywając się powoli w powietrzu. Halfling także zniknął.

- Co? - krzyknął Pook. - To tak? Nie ma krwi? - odwrócił się do LaValle'a. - To w taki sposób to zabija?

Przerażony wyraz twarzy czarnoksiężnika powiedział Pooko-wi coś innego. Nagle mistrz gildii zrozumiał prawdę przekomarzania się Regisa z kotem.

- To go zabrało! - ryknął Pook. Obiegł krzesło i przybliżył

swą twarz do twarzy LaValle'a. - Dokąd? Powiedz mi!

LaValle omal nie zemdlął.

- To niemożliwe - sapnął. - Kot musi słuchać swego pana, posiadacza.

- Regis znał kota! - krzyknął Pook.

- To niemożliwa wierność - odparł LaValle naprawdę osłupiały.

Pook opanował się i usiadł na krześle.

- Kto ci to dał? - zapytał LaValle'a.

- Entreri - odparł bez wahania czarnoksiężnik.

Pook podrapał się w brodę.

- Entreri - powtórzył. Części układanki zaczęły pasować do siebie. Pook znał na tyle Entreriego, aby wiedzieć, że morderca nie oddałby czegoś tak wartościowego, nie otrzymując czegoś w zamian. - To należało do jednego z przyjaciół halflinga - stwierdził Pook, przypominając sobie aluzje Regisa, co do prawdziwego pana kota.

- Nie pytałem o to - odparł LaValle.

- Nie pytałeś o to! - krzyknął Pook. - To należało do jednego z przyjaciół halflinga i to prawdopodobnie do jednego z tych, o których mówił Oberon. Tak. A Entreri dał ci to w zamian za... - spojrzał ze złością na LaValle'a.

- Gdzie jest pirat, Pinochet? - zapytał chytrze.

LaValle omal nie zemdlął, pochwycony w pajęczynę obiecującą śmierć gdziekolwiek by się nie zwrócił.

- Nie trzeba nawet mówić - powiedział Pook, domyślając się wszystkiego z bladej twarzy czarnoksiężnika. - Ach, Entreri - zadumał się - nawet ty przyprawiasz mnie o ból głowy, jednak

9 221 \*

R. A. SALVATORE

dobrze mi służysz. A ty - sapnął do LaValle'a - mów gdzie oni zniknęli? LaValle potrząsnął głową.

- Plan istnienia kota - powiedział bez ogródek - to jedyna możliwość.

- Kot może wrócić na ten świat?

- Tylko wezwany przez posiadacza statuetki.

Pook wskazał na figurkę, leżącą na podłodze przed drzwiami.

- Wezwij kota - LaValle ruszył po figurkę.

- Nie, poczekaj - zrewidował swe polecenie Pook. - Pozwól mi najpierw zbudować klatkę na to. Z czasem Guenhwyvar będzie moja. Naucz się dyscypliny.

LaValle podszedł i podniósł statuetkę, nie bardzo wiedząc, co j począć dalej. Pook chwycił go, gdy przechodził obok tronu. ■'

-Ale halfling - warknął Pook, przyciskając swój nos do nosa LaValle'a. -Na twe życie, czarnoksiężniku, sprowadź halflinga z powrotem do mnie!

Pook odepchnął LaValle'a i skierował się do drzwi prowadzących na niższy poziom. Chciał otworzyć pewne oczy na ulicach, aby dowiedzieć się, gdzie jest Artemis Entreri i czegoś więcej o tych przyjaciółach halflinga, czy jeszcze żyją, czy zginęli \ w Kanale Asavira. Gdyby to był ktokolwiek inny, nie Artemis Entreri, Pook użyłby rubinowej wisiorka, lecz ta opcja nie była \ wykonalna w przypadku niebezpiecznego mordercy. Pook mruknął do siebie wychodząc z pokoju. Miał nadzieję, po powrocie Entreriego, że nigdy już nie ucieknie się do tego sposobu, lecz z LaVallem, tak oczywiście uwikłanym w grę mordercy, jedną

opcją Pooka był Rassiter.

\* \* \*

- Chcesz go usunąć? - zapytał szczurołak, łaknąc zaczątków swej roli, jakich nigdy dotąd Pook mu nie dał.

- Nie pochlebiaj sobie - odparł Pook. - Entreri to nie twoja sprawa, Rassiterze, i poza twoim zasięgiem.

-Nie doceniasz siły mojej gildii.

-Nie doceniasz sieci mordercy, liczącej prawdopodobnie wielu z tych, których mylnie nazywasz towarzyszami - ostrzegł go Pook. -Nie chcę wojny wewnątrz mojej gildii.

9 222 «

### KLEJNOT HALFLINGA

-A więc co? - warknął szczurołak wyraźnie rozczarowany.

Słyszac sprzeciwiający się ton Rassitera, Pook zaczął bawić się w palcach rubinowym wisiorzkiem wiszącym mu na szyi. Wiedział, że może pchnąć Rassitera w objęcia jego czaru, ale mimo wszystko nie chciał tego. Zaczarowani nigdy nie postępowali tak dobrze, jak działający według własnych pragnień, a jeśli przyjaciele Regisa istotnie uciekli Pinochetowi, Rassiter i jego przyjaciele powinni być najlepsi, żeby móc ich pokonać.

- Za Entrerim ktoś podążał do Calimportu - wyjaśnił Pook. -

Jak sadzę, przyjaciele halflinga i mogabyć niebezpieczni dla naszej gildii.

Rassiter pochylił się do przodu, udając zaskoczenie. Oczywiście już wcześniej dowiedział się od Dondona o zbliżaniu się ludzi z Północy.

- Wkrótce powinni być w mieście - kontynuował Pook. - Nie masz zbyt wiele czasu.

Oni są już tutaj, w milczeniu odpowiedział Rassiter, usiłując ukryć uśmiech.

- Chcesz ich złapać? ' -

- Wyeliminować - poprawił Pook. - Ta grupa jest zbyt silna. Nie ma szans.

- Wyeliminować... - powtórzył Rassiter. - Nawet tak, jak ja lubię?

Pook wzdrygnął się.

- Poinformuj mnie, gdy zadanie zostanie wykonane - powie dział kierując się do drzwi.

Rassiter w milczeniu roześmiał się za plecami mistrza.

-Ach, Pook - szepnął, gdy mistrz gildii wyszedł. - Jak ty mało wiesz o moich wpływach. - Szczurołak zatarł dłonie w oczekiwaniu.

Noce były coraz dłuższe, a ludzie z Północy wkrótce mieli pokazać się na ulicach - gdzie powinien ich znaleźć Dondon.

9 223 «

?

o

v>.

o

00

I\*

In

5

R. A. SALVATORE

- Nie musimy szukać Entreriego - przeciął Wulfgar, idąc m  
linią myśli Drizzta. - Morderca znajdzie nas. 'M

Jakby w odpowiedzi, stwierdzenie Wulfgara przypomniało ta|  
o niebezpiecznym otoczeniu, wszyscy zwrócili oczy na zewna™  
ich małej gromadki i przyglądali się tłumowi na ulicach. Ciemni  
oczy przyglądały się im z każdego rogu, każdy, kto przechodzą  
obok nich rzucał im przeciągłe spojrzenie. Calimport był przyzwyl  
czajony do obcych -mimo wszystko był to port handlowy- lecz ta  
czwórka wołałaby stać na ulicy każdego innego miasta w Krainacffl  
Zdając sobie sprawę z ich podatności na atak, Drizzt zdecydowała  
że muszą zmienić miejsce. Ruszył więc wzdłuż Zbójeckiego Krwi  
gu, skinąwszy na pozostałych, aby do niego dołączyli. 1

Zanim Wulfgar, będący na końcu powstającego szeregu, zdawł  
zył zrobić nawet krok, z cienia gospody Pod Plującym Wielbłą-J  
dem zawołał do niego dziecięcy głos."\  
- Hej - zaprosił do awantury. - Szukasz guza? !

Wulfgar, nie rozumiejąc o co chodzi, podszedł nieco bliżej  
i zajrzał w ciemność. Stał tam Dondon, wydając się młodym, za  
niedbanym chłopcem. J

- O co chodzi? - zapytał Bruenor, podchodząc do Wulfgara. I  
Wulfgar wskazał na róg. I

'— Czego chcesz? - zapytał znowu Bruenor, zwracając się teraz I  
do zaniebanej, ciemnej postaci. a

- Szukacie guza? - zapytał ponownie Dondon, wychodząc \ z ciemności. \

- Ba! - parsknął Bruenor machnąwszy ręką. - To tylko chłopiec. Pozbądź się go. Nie mamy  
czasu na zabawy! - chwycił Wulfgara za ramię.

- Mogę wam pomóc - powiedział za nimi Dondon.

Bruenor nie zwracając uwagi ruszył przed siebie, a za nim

Wulfgar, lecz tym razem, zauważywszy chwilowy postój swych towarzyszy i słysząc ostatnie  
słowa chłopca, zatrzymał się Drizzt.

- To tylko chłopiec! - wyjaśnił Bruenor drowowi, gdy ten się do nich zbliżył.

- Ulicznik - poprawił Drizzt, mijając Bruenora i Wulfgara i wracając w kierunku chłopca. -  
O oczach i uszach, których uwagi niewiele ujdzie.

\* 226 \*

KLEJNOT HALFUNGA

- Jak możesz nam pomóc? - szepnął Drizzt do Dondona, zbli

żając się do budynku, żeby zejść z widoku ciekawskim oczom tłumu. Dondon wzruszył ramionami.

- Tu można wspaniale kraść, wielu kupców przybyło tu dzisiaj. Czego szukacie?

Bruenor, Wulfgar i Catti-brie zajęli obronne pozycje wokół Drizzta i chłopca, z jednej strony patrząc na ulicę, a z drugiej nastawiając uszu, aby usłyszeć coraz bardziej interesującą dla nich rozmowę. Drizzt przykucnął i poprowadził wzrok Dondona za swym własnym spojrzeniem w kierunku budynku na końcu kręgu.

- Dom Pooka - zauważył natychmiast Dondon. - Najbardziej gangsterski dom w Calimporcie.

- Ale ma jakąś słabość? - naciskał Drizzt.

- Wszystkie mają- odparł chłodno Dondon, grając doskonale rolę próżnego ulicznika.

- Byłeś tam kiedyś?

- Może i byłem.

- Widziałeś kiedyś sto sztuk złota?

Dondon pozwolił rozbłysnąć swym oczom i zaczął przestępować z nogi na nogę.

- Zabierz go do pokoju w gospodzie - powiedziała Catti-brie.

- Ściągacie tu zbyt wiele par oczu.

Dondon łatwo się na to zgodził, lecz rzucił Drizztowi ostrzeżenie w postaci lodowatego spojrzenia i oznajmił:

- Umiem liczyć do stu!

Gdy wrócili do pokoju, Drizzt i Bruenor nakarmili Dondona

stałym strumieniem monet, zaś halfling opisał im drogę do sekretnego, tylnego wejścia do domu gildii.

- Nawet złodziej e - oznajmił Dondon - nie wiedzą o nim!

Przyjaciele skupili się, żądni szczegółów. W relacji Dondona cała operacja była łatwa. Zbyt łatwa.

\* 227 \*

Drizzt wstał i odwrócił się, kryjąc swój uśmiech przed informatorem. Czyż nie rozmawiali z kontaktem Entreriego? Zaledwie minuty wcześniej ten oświecający ich chłopiec przybył w tak dogodnej chwili, aby ich prowadzić.

R. A. SALVATORE

- Wulfgarze, zdejmij mu buty - powiedział Drizzt. Jego przyjaciół zwróciło się do niego z zaciekawieniem. Dondon skłonił się na krześle.

U5

- Jego buty - powtórzył Drizzt odwracając się i wskazując stopy Dondona. Bruenor, będąc tak długo przyjacielem halflinga, zorientował się o co chodzi drowowi i nie czekał na reakcję Wulfgara. Krasnolud chwycił za lewy but Dondona i ściągnął go ujawniając gęstą kępkę włosów stopy - stopy halflinga.

Dondon wzruszył bezsilnie ramionami i skulił się na krześle. S; tkanie przebiegało dokładnie tak, jak przepowiedział to Entreri.

- Powiedział, że może nam pomóc - zauważyła Catti-brie, stawiając słowa Dondona w bardziej złowróżbnym świetle.

- Kto cię wysłał? - warknął Bruenor.
  - Entreri - odparł za Dondona Wulfgar. - On pracuje dla En, treriego, który wysłał go tu, aby zaprowadził nas w pułapkę -> Wulfgar pochylił się nad Dondonem, przysłaniając swym olbrzymim ciałem światło świecy. '<-
  - Bruenor odepchnął barbarzyńcę i zajął jego miejsce. Ze swym, chłopcym wyglądem Wulfgar nie był po prostu tak imponujący, jak ostronosy, rudobrody wojownik o krasnoludzkich ognistych oczach, w poobijanym hełmie.
  - A więc, mała żmijo - warknął Bruenor w twarz Dondonowi - teraz popracujemy nad twym śmierdzącym językiem. Jeśli będzie coś nie tak jak trzeba, uchlastam ci go!
  - Dondon zbladł - to potrafił robić jak na zamówienie - i zaczął drzeć.
  - Uspokój się - powiedziała do Bruenora Catti-brie, tym razem grając pozytywniejszą rolę. - Już z pewnością wystarczająco przestraszyłeś tego małego.
  - Bruenor odsunął jado tyłu, odwracając ją od Dondona, aby mrugnąć do niej, by ten tego nie widział.
  - Przestraszyłem go? - zagrział. Podniósł topór na wysokość ramienia. - Mam zamiar zrobić coś więcej, niż tylko go przestraszyć!
  - Poczekaj! Poczekaj! - prosił Dondon, płaszcząc się jak tylko halflingi to potrafią. - Zrobiłem tylko to, co kazał mi morderca i za co mi zapłacił.
- \* 228 «

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Znasz Entreriego? - zapytał Wulfgar.
- Wszyscy znają Entreriego - odparł Dondon. - A w Calim-porcie wszyscy słuchają rozkazów Entreriego!
- Zapomnij o Entrerim! - warknął mu w twarz Bruenor. - Mój topór powstrzyma go przed uczynieniem ci krzywdy.
- Sądzisz, że potrafisz zabić Entreriego? - odparł Dondon, choć wiedział, co w istocie Bruenor ma na myśli.
- Entreri nie będzie mógł skrzywdzić trupa - odparł ponuro Bruenor. - Mój topór uderzy go w głowę!
- Czy tego chcesz? - powiedział Dondon do Drizzta, chcąc uspokoić sytuację.
- Drizzt pokiwał głową, lecz milczał. Coś wydawało się nie pasować do tego miejsca spotkania.
- Nie miałem wyboru - prosił Dondon Bruenora, widząc, że Drizzt mu nie pomoże. - Robię tylko to, co muszę, aby przeżyć.
- I tym razem przeżyjesz, jeśli powiesz nam, jak dostać się do środka - powiedział Bruenor. - Bezpiecznie dostać się do środka.
- To miejsce jest jak forteca - Dondon wzruszył ramionami.
- Nie ma bezpiecznej drogi. Bruenor zaczął przysuwać się bliżej, zachmurzenie jego twarzy pogłębiło się. - Lecz jeśli bym próbował - powiedział bez ogródek halfling - to próbowałbym kanałami.
- Bruenor spojrzał na swych przyjaciół.

- To wydaje się brzmieć prawidłowo - zauważył Wulfgar.  
Drizzt przyglądał się halflingowi nieco dłużej, szukając jakie  
goś tropu w rozbieganych oczach Dondona.  
- W porządku - powiedział w końcu drów.  
-A więc uchronił swą szyć - powiedziała Catti-brie. -Ale co z nim zrobimy? Zabierzemy go ze  
sobą?  
- O tak - powiedział Bruenor spoglądając chytrze. - On nas  
poprowadzi.  
- Nie - odparł Drizzt zaskakując swych towarzyszy. - Hal  
fling zrobi to, co my mu każemy. Puśćcie go.  
-I pójdzie prosto opowiedzieć Entreriemu, co się wydarzyło? - zapytał Wulfgar.  
\*229 \*

#### R. A. SALVATORE

- Entreri nie zrozumie - odparł Drizzt. Spojrzał Dondono w oczy, nie dając halflingowi  
wskazówki, że w tej grze umieś swą małą grę. - Ani nie wybaczy.  
- Serce mi mówi, żeby raczej go zabrać - zauważył Bruen  
- Puśćcie go - powiedział spokojnie Drizzt. - Wiercie mi.  
Bruenor parsknął i opuścił topór, mrucząc coś w brode, g  
szedł do drzwi. Wulfgar i Catti-brie wymienili zatroskane sp rzenia, lecz odsunęli się mu z drogi.  
Dondon nie wahał się, lecz Bruenor stanął przed nim, gdy si gał do drzwi.  
- Jeśli zobaczę ponownie twoją twarz - zagroził - lub jakąko  
wiek maskę, którą mógłbyś nosić, to zabiję cię! i  
Dondon prześliznął się obok niego i wypadł na korytarz, ni patrząc nawet na niebezpiecznego  
krasnoluda i pędem z nied wierzaniem kręcąc głową nad tym, jak doskonale Entreri opis to  
spotkanie i jak doskonale morderca znał tych przyjaciół a szczególnie drowa.  
Domyślając się prawdy o tym spotkaniu, Drizzt rozumiała że ostatnia groźba Bruenora niewiele  
znaczyła dla podstępного halflinga. Dondon zignoruje oba kłamstwa bez zmrużenia oka. Lecz  
Drizzt pokiwał głową z aprobatą, gdy ciągle nachmurzony Bruenor wrócił do pokoju, gdyż drów  
wiedział też, że groźba, jak nic innego, sprawiła, że Bruenor czuł się bardziej bezpiecznie.  
Według sugestii Drizta wszyscy położyli się, żeby się trochę przespać. Przy tym ruchu na  
ulicach nigdy nie byliby w stanie wśliznąć się nie zauważeni za jedną z krat kanałów, lecz tłum  
prawdopodobnie zrzędzie w nocy, a strażę zmienia się z niebezpiecznych rzezimieszków  
wieczora na chłopów gorącego dnia. Sam Drizzt nie mógł zasnąć. Siedział oparty o drzwi pokoju,  
nasłuchując dźwięków wydawanych przez każdego, kto się zbliżał, pogrąony w rozmyślaniach i  
wsluchany w rytmiczne oddechy swych towarzyszy. Spojrzał w dół - na maskę wiszącą mu na  
szyi. Takie proste kłamstwo i może wędrować swobodnie przez świat. Lecz czy zostanie złapany  
w pajęczynę własnego oszustwa? Jaką wolność może znaleźć w zaprzeczaniu prawdy o sobie?  
9 230 \*

#### KLEJNOT HALFLINGA

Drizzt spojrział na Catti-brie, spokojnie leżącą w jedynym łóżku pokoju, i uśmiechnął się. W  
niewinności była naprawdę wiedza, żyła prawdy w idealizmie nieskażonej percepcji.  
Nie mógł jej oszukać.  
Drizzt czuł pogłębiający się na zewnątrz mrok - to księżyc zaszedł. Podeszedł do okna i wyjrzał na  
ulicę. Nocni ludzie ciągle wędrowali, było ich jednak teraz mniej, a noc zbliżała się ku końcowi.  
Drizzt obudził swych towarzyszy; nie mogli sobie już pozwolić na żadnązwłokę. Otrząsnęli się



ze słabości snu, pozbierali swe rzeczy i wyszli na ulicę.

Przy Zbójeckim Kręgu znajdowało się kilka żelaznych krat ściekowych, wyglądających jakby były przeznaczone bardziej do powstania niż do odprowadzania ścieków, niż będących odpływami dla wód rzadkich, lecz potężnych ulew, jakie uderzały w miasto.

Przyjaciele wybrali jedną z nich w alejce obok gospody, z dala od głównej ulicy, lecz wystarczająco blisko domu gildii, tak że powinni znaleźć swą podziemną drogę bez większych kłopotów.

- Chłopiec powinien to podnieść - zauważył Bruenor skinąwszy na Wulfgara. Wulfgar pochylił się i chwycił za żelazo.

- Jeszcze nie - szepnął Drizzt, rozglądając się wokół podejrz-

I

liwymi oczyma. Skinął na Catti-brie, aby poszła na koniec alei, w stronę Zbójeckiego Kręgu, i uskokzył na ciemniejszą stronę. Gdy był już zadowolony, że wszystko jest pewne, skinął na Bruenora. Krasnolud spojrział na Catti-brie, która skinęła głową z aprobatą. - Podnieś to, chłopcze

- powiedział Bruenor. - Ale cicho! Wulfgar chwycił mocniej żelazo i wziął głęboki oddech. Jego potężne ramiona zaczerwieniły się od napływu krwi, gdy pociągnął, z jego warg wydobyło się stęknienie. Krata jednak oparła się sile szarpnięcia. Wulfgar spojrział z niedowierzaniem na Bruenora, a potem ponowił swój wysiłek, tym razem nawet z poczerwieniałą twarzą. Krata jęknęła w proteście, lecz podniosła się tylko na kilka cali.

- Z pewnością coś ją ątrzymuje - powiedział Bruenor pochylając

♦ 231 \*

się, aby to zbadać.

## R. A. SALVATORE

Trzask pękającego łańcucha był jedynym ostrzeżeniem dla snoluda, gdy krata została uwolniona. Wulfgar przewrócił się tyłu. Podnoszące się żelazo uderzyło Bruenora w czoło, zderzając mu z głowy hełm i zwalając go do pozycji siedzącej. Wulfgar, nadal ściskając kratę uderzył ciężko i głośno w ścianę, spody.

- Ty przeklęty, głupi... - zaczął mruzczyć Bruenor, lecz Dii i Catti-brie, podbiegłszy, aby mu pomóc, szybko przypomni mu o konieczności zachowania tajemnicy przy ich misji.

- Po co łańcuch na kracie ściekowej? - zapytała Catti-brie.

Wulfgar otrzepał się z kurzu.

- Od wewnątrz - dodał. - Wydaje się, że coś tam w dole i chce, aby miasto tam się przedostało.

- Wkrótce dowiemy się, co - zauważył Drizzt. Przysiadł obok otwartej dziury i wsunął w nią nogi. - Przygotujcie pochodnię - powiedział. - Zawołam was, jeśli wszystko będzie w porządku. Catti-brie zobaczyła entuzjastyczny błysk w oczach drov i spojrzała nań z z troskaniem.

- To dla Regisa - zapewnił ją Drizzt. - I tylko dla Regisa. -;

Potem zniknął w ciemności. Czerń taka jak ta, z nieoświetlonych tuneli, była jego ojczyzną.

Pozostała trójka usłyszała ciche chlupnięcie, gdy dotarł do dna. "Potem zapadła cisza. Minęło wiele pełnych strachu chwil.

- Zapal pochodnię - szepnął Bruenor do Wulfgara. Catti-brie chwyciła Wulfgara za ramię, żeby go powstrzymać.

- Wierz mu - powiedziała do Bruenora.
- Za długo - mruknął krasnolud. - Za cicho.

Catti-brie trzymała za ramię Wulfgara jeszcze przez chwilę, dopóki nie dotarł do nich cichy głos Drizzta.

- W porządku - powiedział drów. - Szybko na dół.
- Bruenor wziął pochodnię od Wulfgara.

\* \* \*

- Ja pójdę ostatni - powiedział - i zasunę kratę za sobą. Nie ma potrzeby mówić światu, dokąd się udaliśmy.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyli towarzysze, gdy światło pochodni oświetliło kanał, był łańcuch mocujący kratę. Był nowy

\* 232 \*

\* \* \*

### KLEJNOT HALFUNGA

J co do tego nie było wątpliwości - przemocowany był do zamka Da ścianie kanału.

- Myślę, że nie jesteśmy tu sami - szepnął Bruenor.

Drizzt rozejrzał się wokół, dzieląc niepokój krasnoluda. Zdjął z twarzy maskę, stając się znowu drowem w środowisku stosownym dla drowa.

- Będę prowadził - powiedział - na granicy kręgu światła.

Uważajcie. - Odszedł cichymi krokami po brzegu strumienia ciemnej wody płynącej powoli środkiem tunelu. Następny szedł z pochodnią Bruenor, zanim szli Catti-brie i Wulfgar. Barbarzyńca musiał się pochylić nisko, aby trzymać głowę z dala od ośliżłego sklepienia. Szczury umykały przed obcym tu światłem, a ciemniejsze rzeczy wycofywały się cicho pod wodą. Dźwięk ciekącej wody nasilał tylko mieszanie, towarzysząc przyjacielom przez chwilę, potem rozlegając się głośniejsz gdzieś z boku, a potem jeszcze głośniejsz z przeciwnego kierunku.

Bruenor odsunął od siebie myśli krążące wokół tych odgłosów, ignorując błoto i cuchnący smród i skoncentrował się na tym, aby trzymać się szlaku wyznaczanego przez ciemną figurę, skaczącą tu, to tam na granicy światła rzucanego przez pochodnię. Gdy dotarł do zbijającej z tropu wielodrożnej sekcji, kątem oka zauważył obok siebie jakąś postać. Gdy miał już za nią pójść stwierdził, że Drizzt jest nadal z przodu.

- Uważaj! - krzyknął Bruenor, rzucając pochodnię na suche miejsce obok siebie i podnosząc topór i tarczę. Jego czujność uratowała ich wszystkich, gdyż w ułamek sekundy później nie jedna, lecz dwie owinięte w płaszcze postacie wynurzyły się z bocznego tunelu, z podniesionymi mieczami i ostrymi zębami błyszczącymi pod drgającymi wąsami. Były rozmiarów czło wieka, nosiły ludzkie ubrania i miały miecze. W swej zwykłej postaci były rzeczywiście ludźmi, nie zawsze podłymi, lecz w nocy pełni księżyca przybierali ciemniejszą, Hkantropiczną formę swej egzystencji. Poruszali się jak ludzie, lecz mieli wydłużone nosy, lśniące brązowe futra i różowe ogony - szczurów z kanałów.

Celując nad szczytem hełmu Bruenora, Catti-brie zadała pierwszy cios. Srebrny błysk jej

śmiercionośnej strzały oświetlił ścianę

\* 233 «

R. A. SALVATOREI^

tunelu jak błyskawica, ukazując więcej złowróżbnych postaci c gnących w stronę przyjaciół. Rozbłysk z tyłu spowodował, Wulfgar odwrócił się w kierunku nacierającego gangu szc~ łaków. Wbił obcasy w błoto i chwycił Aegis-fang, stając w p: gotowości do uderzenia. -Atakują nas, elfie! - krzyknął Bruenor. Drizzt już wcześniej doszedł do takiego samego wniosku.' pierwszy krzyk krasnoluda uskoczył dalej, poza światło pochb dni, aby wykorzystać przewagę, jaką dawała mu ciemność. G wyszedł za róg stanął twarzą w twarz z dwoma postaci i domyślił się ich złej natury, zanim nawet podniósł niebies\* światło Błysku wystarczająco wysoko, aby dojrzeć ich krzacza\* ste brwi.

Szczurołaki - pomyślał, z pewnością nie spodziewały się, kog znajdą stojącego przed nimi w gotowości. Może było to spow" dowane tym, że byli przekonani, że ich przeciwnicy znajdują si wyłącznie w kręgu światła rzucanym przez pochodnię, lecz bardziej prawdopodobnym było też to, że to czarna skóra drowa spra-; wiła, że odwrócili się na pięcie i rzucili do ucieczki.

Drizzt nie stracił okazji, ścinając ich jednym błyskawicznym; ruchem, zanim nawet zdążyli otrząsnąć się z szoku. Następnie drów znów wtopił się w czerń, szukając sposobu wciągnięcia ■ w zasadzkę tych, którzy z kolei zastawili na nich zasadzkę.

Wulfgar trzymał atakujących go na dystans długimi wyma-chami Aegis-fanga. Młot zwał z nóg każdego szczurołaka,; który zaryzykował podejście zbyt blisko i odrywał kawały błota ze ścian kanału za każdym razem, gdy kończył swój lot po łuku. Lecz gdy szczurołaki poczęły zdawać sobie sprawę z siły potężnego barbarzyńcy i zaczęły nacierać na niego z mniejszym entuzjazmem, najlepsze co Wulfgar mógł osiągnąć, to był pat -śmiertelna równowaga, która mogła trwać tak długo, jak długo miał siłę w swych potężnych ramionach. Stojącym za Wulfgar-em Bruenorowi i Catti-brie wiodło się wyraźnie lepiej. Magiczny łuk Catti-brie - wysyłając strzały nad głową krasnoluda -dziesiątkował szeregi zbliżających się szczurołaków, a ci nieliczni, którzy dotarli do Bruenora, wytrąceni z równowagi i przykucający dla uniknięcia śmiercionośnych strzał wysyła-

\* 234 ♦

KLEJNOT HALFLINGA

nych przez stojącą za nim kobietę, stawali się łatwymi ofiarami krasnoluda. Lecz obcy napierali zewsząd. Przyjaciele doskonale zdawali sobie sprawę, że nawet jedna najmniejsza pomyłka może ich drogo kosztować.

Szczurołaki, wściekle sycząc i plując odstąpiły od Wulfgara. Zorientowawszy się, że rozpoczynająbardziej zdecydowany atak, barbarzyńca ruszył do przodu. Nagle rozdzieliły swe szeregi wzdłuż tunelu, a na samym końcu kręgu światła pochodni Wulfgar zobaczył jednego z nich podnoszącego ciężką kuszę i strzelającego z niej. Olbrzym instynktownie przytulił się do ściany i był na tyle zręczny, aby usunąć się z drogi pocisku, lecz Catti-brie, będąca tuż za nim i patrząca w inną stronę nie zauważyła nadlatującej strzały. Poczula nagle palący ból, a potem ciepło krwi płynącej po skroni. Ogarnęła ją ciemność; bezwładnie oparła się o ścianę.

\* \* \*

Drizzt prześliznął się przez ciemne przejścia cicho jak śmierć. Błysk spoczywał w pochwie, drów nie chciał ujawniać jego światła - szedł z\>bnążonym drugim magicznym ostrzem. Był w labiryncie, lecz mniej więcej wiedział jaką musi wybrać drogę, aby dołączyć do swych

przyjaciół. Jednak każdy tunel, do którego wszedł, rozświetlony był na końcu światłem pochodni, gdyż coraz więcej szczurołaków zdążyło do walki.

Ciemność była wystarczająca dla opanowanego drowa, aby mógł pozostać w ukryciu, lecz Drizzt miał niepokojące uczucie, że jego ruchy są śledzone, a nawet oczekiwane. Wokół niego otwierały się dziesiątki przejść, lecz miał coraz mniejszy wybór, gdy za każdym zakrętem ukazywały się szczurołaki. Z każdym krokiem droga do przyjaciół stawała się coraz dłuższa, lecz Drizzt szybko uzmysłowił sobie, że nie ma innego wyboru, jak tylko iść dalej do przodu. Szczurołaki wypełniły za nim główny tunel i podążały jego śladem.

Drizzt zatrzymał się w ciemności jednego z zakątków i rozejrzał się dokoła, obliczając ponownie odległość jaką przebył i liczbę przejść, w których teraz migotały pochodnie. Najwidoczniej nie było tak wielu szczurołaków, jak pierwotnie sądził; ci, którzy ukazywali się za każdym zakrętem, byli prawdopodobnie tąsamą

\*235 \*

## R. A. SALVATORE

grupą z poprzednich tuneli, biegnącą równoległe do Driz i wbiegającą do każdego nowego przejścia, gdy Drizzt wcho do niego z drugiej strony.

Lecz odkrycie prawdziwej liczby szczurołaków było dla Dri niewielkim pocieszeniem. Teraz nie wątpił w swe podejrzenia. Był odcięty od reszty.

Wulfgar odwrócił się i ruszył w kierunku swej leżącej ukochanej, swej Catti-brie, lecz natychmiast zaatakowały go SZCZUTO ki. Teraz w potężnego barbarzyńcę wstąpiła furia. Wdarł w szeregi atakujących, roztrzaskując i rozrzucając ich ciosa swego młota bojowego, który druzgotał kości, lub wyciągaj gołą rękę, aby skręcić kark każdemu, kto tylko prześliznął i obok niego. Szczurołakom udało się zadać mu kilka ciosów, łe te cięcia i niewielkie rany nie powstrzymały rozwścieczone barbarzyńcy. Stapał po powalonych, wciskając swe obute ] w ich umierające ciała. Pozostałe szczurołaki odpelzały w st aby tylko zejść mu z drogi. Na końcu ich szeregów kusznik motał się w panice, aby ponownie załadować swąbroń, a zad było tym trudniejsze, że nie mógł oderwać oczu od widoku z żającego się barbarzyńcy. W końcu stało się to podwójnie 1 ne, gdy uzmysłowił sobie, że to on jest ośrodkiem gniewu pot nego mężczyzny. Bruenor, przed którym przeredziły się szeregi szczurołaków miał więcej czasu, aby zająć się Catti-brie. Pochylił się nad -dą kobietą, a jego twarz przybrała barwę popiołu, gdy odga z jej twarzy gęstą grzywę kasztanowych włosów, gęstszą t od jej krwi.

Catti-brie spojrzała na niego otepiałymi oczyma.

- O cal dalej, a moje życie zakończyłoby się - powied z mrugnięciem oka i uśmiechnęła się.

Bruenor popelzł na czworakach, aby zbadać ranę i stwie z ulgą, że jego córka miała rację. Strzała pozostawiła złość wyzłobienie, lecz było to zaledwie muśnięcie.

-Nic mi nie jest -powiedziała Catti-brie usiłując wstać.

Bruenor j ednak przytrzymał j a.

- Jeszcze nie - szepnął.

\* 236 «

## KLEJNOT HALFUNGA

- Walka się jeszcze nie skończyła - odparła Catti-brie, nadal usiłuj ąc umieścić pod sobą swą stopę. Bruenor popatrzył wzdłuż tunelu, na Wulfgara i porozrzucane wokół niego ciała.

- To nasza szansa - zachichotał. - Niech chłopak myśli, że zginęłaś.  
Catti-brie przygryzła wargi zdumiona tą sceną. Powalonych już było z tuzin szczurołaków, a Wulfgar ciągle walił, jego młot odrzucał tych nieszczęsnych, którym nie udało się zejść mu z drogi.  
Nagle jakiś gwar z przeciwnej strony zwrócił uwagę Catti-brie. Bez jej łuku wracały szczurołaki z przodu.

- Oni są moi - powiedział do niej Bruenor. - Leż!  
- Jeśli będziesz miał kłopoty...  
- Jeśli będę cię potrzebował, to tak - zgodził się Bruenor. -  
Ale teraz leż! Niech chłopak ma o co walczyć!

\* \* \*

Drizzt Wóbowiał zawrócić, lecz szczurołaki szybko zamknęły wszystkie tunele. Wkrótce wszystkie drogi odwrotu zostały zredukowane do jednej: szerokiego, suchego przejścia, prowadzącego w przeciwnym kierunku do tego, w którym zamierzał iść. Szczurołaki szybko zbliżały się do niego, a w głównym tunelu musiałby z nimi walczyć z kilku różnych kierunków i naraz. Wśliznął się w przejście i przywarł do ściany. Dwa szczurołaki weszły do przejścia i patrzyły w ciemność, wołając trzeciego - z pochodnią, aby do nich dołączył. Światło, które znaleźli nie było żółtym migotaniem pochodni, lecz na-; głą linią niebieskości, gdy Błysk został uwolniony z pochwy. Drizzt zaatakował ich, zanim nawet zdążyli wyciągnąć broń, wbijając jedno z ostrzy w pierś jednego i tnąc drugim ostrzem w kark drugiego.

Gdy upadli, ogarnęło ich światło pochodni, drów stał z obu ostrzami ociekającymi krwią. Najbliższe szczurołaki wrzasnęły, niektóre z nich nawet rzuciły broń i uciekły, lecz większość z nich groźnie zbliżyła się, blokując wszystkie wejścia do tuneli na tym terenie, a sama przewaga liczebna dawała im pewną dozę pewności siebie. Powoli, spoglądając po sobie przy każdym kroku dla podtrzymania się na duchu, zbliżali się do Drizzta.

◆ 237 \*

## R. A. SALVATORE

Drizzt rozważał zaatakowanie jednej grupy, mając na przebić się przez ich szeregi i wydostać się z pułapki, lecz szczurołaki były w dwóch rzędach w każdym przejściu, w niektórych nawet w trzech lub czterech. Nawet przy swojej zręczności i zwinności Drizzt nigdy nie przebiłby się przez nich na tyle blisko, aby uniknąć ataku z tyłu. Rzucił się w boczne przejście i przywołał kulę ciemności u jego wejścia, a potem pobiegł jej zasięg, żeby zająć pozycję tuż za nią. Ohydne stworzenia spieszywszy swój atak, gdy tylko Drizzt zniknął znów w run zatrzymały się nagle w polu nieprzenikliwej czerni. W pierwszej chwili myślały, że zgasty ich pochodnie, lecz ciemność była głęboka, że wkrótce zorientowały się w naturze zakłęcia drogi. Wycofały się do głównego tunelu i ostrożnie zawróciły.

Nawet Drizzt ze swymi przyzwyczajonymi do nocy oczami nie mógł zajrzeć w smolistą czerń wywołaną swym zaklęciem, lecz stojąc po drugiej stronie, mógł wbić w nią czubek swego miecza, potem drugiego, kładąc dwa szczurołaki znajdujące na przedzie. Nie zdążyły nawet wyjść z ciemności, gdy drów atakował, odtrącając ich miecze na bok i wbijając swe sejmity na odległość wyciągniętego ramienia w ich ciała. Ich przedśmiertne wrzaski spowodowały, że pozostałe szczurołaki wycofały się do głównego korytarza i dały Drizztowi chwilę do rozważenia swojej pozycji.

\* \* \*

Kusznik wiedział, że nadszedł jego koniec, gdy dwóch jego ostatnich towarzyszy odepchnęło go na bok w desperackiej ucieczce przed rozwścieczonym olbrzymem. Nałożył w końcu st

tblisk

i podniósł kuszę, aby wystrzelić. Lecz Wulfgar był zbyt 1

Barbarzyńca złapał za kuszę, skrzył ją i wyrwał z rak szczurka z taką dzikością, że rozleciała się na kawałki, gdy uderzył o ścianę. Szczurołak chciał uciekać, lecz wzrok Wulfgara pakuł go do miejsca. Przyglądał się przerażony jak Wulfgar chwycił w obie ręce Aegis-fang. Uderzenie Wulfgara było niewiada godnie szybkie. Szczurołak nawet nie zorientował się, że był śmiertelny dla niego cios. Poczł tylko nagły wybuch na szczycie głowy. Ziemia ruszyła na jego spotkanie. Był już martwy, za nawet plusnął w błoto. Wulfgar, z oczyma zaczerwienionymi

#### KLEJNOT HALFUNGA

leż, walił swym młotem wstrętne stworzenie, póki jego ciało nie stało się krwawym strzępem nieokreślonego kształtu. Ochlapany jg-wią, błotem i czarną wodą Wulfgar oparł się w końcu o ścianę. Gdy opadł pożerający go gniew, usłyszał za sobą dźwięki walki. Odwrócił się i zobaczył Bruenora walczącego z dwoma szczurołakami, kilku dalszych widniało za nimi.

Za krasnoludem, pod ścianą leżała bez ruchu Catti-brie. Widok ten rozpał ponownie ogień w Wulfgarze.

- Tempos! - ryknął do swego boga wojny i rzucił się przez błoto z powrotem do tunelu. Szczurołaki walczące z Bruenorem wpadły na siebie usiłując uciec, dając krasnoludowi możliwość zabicia jeszcze dwóch - był wyjątkowo szczęśliwy, mogąc z tego skorzystać. Pozostali uciekli w labirynt tuneli. Wulfgar zamierzał ich gonić, zabić każdego z nich i wziąć odwet, lecz Catti-brie wstała, zagrządzając mu drogę. Rzuciła mu się na piersi, zaskakując go tym całkowicie, objęła jego szyję ramionami i pocałowała go z takim uczuciem, z jakim nigdy nie wyobrażał sobie, że można pocałować. Trzymał ją w ramionach, jękając cokolwiek zaskoczony, dopóki po jego twarzy nie rozlał się radosny uśmiech i nie usunął wszystkich innych uczuć. Potem uściśnął ją oczekując następnego pocałunku. Bruenor rozdzielił ich.

- Elf? - przypomniał im o przyjacielu. Podniósł pochodnię, teraz na wpół pokrytą błotem i ledwie się tłącą poprowadził ich tunelem.

Nie odważyli się skrzyć w żadne z wielu bocznych przejść w obawie przed zgubieniem się. Główny korytarz był najszybszą drogą, bez względu na to, dokąd ich mogła zaprowadzić i mogli tylko mieć nadzieję zobaczyć lub usłyszeć coś, co doprowadziłoby ich do Drizzta.

Zamiast tego znaleźli drzwi.

- Gildia? - szepnęła Catti-brie.

- A co innego by to mogło być? - odparł Wulfgar. - Tylko siedziba złodziei posiada drzwi prowadzące do kanałów.

Znad drzwi, z sekretne go ukrycia, Entreri przyglądał się z ciekawością trojgu przyjaciółom.

Wiedział, że coś przeoczył, gdy szczurołaki zaczęły się zbierać w kanałach tego wieczoru.

\* 238 ♦

\* 239 \*

R- A. SALVATORE

KLEJNOT HALFUNGA

Entreri miał nadzieję, że wyruszą na miasto, lecz wkrótce, się oczywiście, że zamierzają pozostać. Nagle tych tpoje podeszło pod drzwi bez drowa. Entreri oparł brodę na dłoni i począł rozważać kierunek s\ dalszego postępowania.

Bruenor z zaciekawieniem badał drzwi. Ponad poziomem człowieka przybita była do nich mała, drewniana skrzynka, mając czasu bawić się w zagadki krasnolud śmiało sięgnął zdarł skrzyneczkę i zajrzał do niej. Twarz wykrzywiła się m widok tego, co znajdowało się w środku. Wzruszył ramion i wyciągnął skrzyneczkę do Wulfgara i Catti-brie. Wulfgar był zbyt zaskoczony. Już wcześniej widział coś podobne w dokach Wrót Baldura. Następny podarunek od Artemisa treriego - następny palec halflinga.

- Morderca! - ryknął i uderzył ramieniem w drzwi. Wyła je z zawiasów i Wulfgar wpadł do pokoju znajdującego si nimi, trzymając drzwi przed sobą. Zanim nawet zdążył je odr cić na bok, usłyszał trzask za sobą i zrozumiał jak niemądry t ten ruch. Wpadł prosto w pułapkę Entreriego. W wejściu zap dla się krata, odcinając go od Bruenora i Catti-brie.

\* \* \* Ostrza długich włóczni prowadziły szczurołaki przez kulę cieni, ności Drizzta. Drowowi udało się powalić na ziemię jedneg z prowadzących szczurołaków, lecz odpychany był stale prz\* nacisk grupy idącej za nim. Ustępował, parując ich pchnięcia i cięcia. Gdy spostrzegął brak zasłony, sam zadawał cios. Nagle; jeden zapach zdominował nawet smród kanałów. Zapach słodkiego syropu, który wywołał u drowa odległe wspomnienia. Szczu- \ rołaki nacisnęły mocniej, jakby ten zapach odnowił ich żądzę walki. Drizzt przypominał sobie. W Menzoberranzanie, swym rodzinnym mieście, niektórzy z drowów trzymali jako maskotki stworzenia wydzielające taki zapach. Nazywano te potworne bestie rosiczkami, były to kluchowate masy postrzępionych, lepkich wypustek, które po prostu otaczały i rozpuszczały wszystko, co znalazło się zbyt blisko nich.

Teraz Drizzt walczył o każdy krok. Naprawdę był otoczony, stał w obliczu straszliwej śmierci, albo wzięcia do niewoli, gdyż

\* 240 «

rosiczki pożerały swe ofiary bardzo powoli, a tylko pewien płyn mógł rozluźnić ich chwyt. Drizzt poczuł trzepotanie i obejrzał się przez ramię. Rosiczka była oddalona od niego zaledwie o dziesięć stóp, wyciągając już sto lepkich palców. Sejmitary Drizzta wiły się i nurkowały, odwracały i cięły we wspaniałym tańcu, w jakim zawsze walczył. Szczurołak otrzymywał pięćdziesiąt ciosów, zanim nawet stwierdził, że pierwszy z nich dosięgnął celu. Lecz szczurołaków było zbyt wiele, aby Drizzt mógł utrzymać swą pozycję, a widok rosiczki pobudził w nim brawurę. Czuł łaskotanie drgających wypustek na swych plecach. Nie miał teraz miejsca do manewrowania; włócznie z pewnością popchną go na potwora.

Uśmiechnął się; w oczach rozbłysły ognie.

- To w ten sposób kończysz? - szepnął głośno. Nagły wybuch jego śmiechu wstrząsnął szczurołakami.

Z wyciągniętym do przodu Błyskiem, Drizzt odwrócił się na pięcie i zanurkował w samo serce rosiczki.

\* 241 \*

\* 19 \*

SzCUCZKf f PUIAPKf

Wulfgar znalazł się w kwadratowym, nieumeblowanym pokoju o kamiennych ścianach. W uchwytych na nich płonęły dwie pocho-

- Chroń moje plecy - powiedział do Catti-brie, lecz ona już (wcześniej wyobraziła sobie swojarolę w tej sytuacji i skierowała swój łuk w stronę drzwi po drugiej stronie pokoju.

Wulfgar zatarł ręce przygotowując się do próby podniesienia kraty. Mimo że był to potężny kawałek żelastwa barbarzyńca nie sądził, że przerośnie jego siły. Chwycił za żelazo i zanim nawet spróbował je podnieść, z obrzydzeniem upadł do tyłu. Pręty były czymś wysmarowane.

- Entrieri, albo jestem brodatym gnomem - mruknął Bruenor.

- Wsadziłeś swoją twarz w gówno, chłopcze.

- Jak się stąd wydostaniemy? - zapytała Catti-brie.

Wulfgar spojrział przez ramię na zamknięte drzwi. Wiedział, (że nie mogą niczego innego zrobić poza staniem tutaj i obawiał <' się, że hałas wywołany zawaleniem się kraty musiał zwrócić czyjąś uwagę - uwagę, która mogła tylko oznaczać niebezpieczeństwo dla jego przyjaciół.

- Nie zamierzasz iść głębiej? - zaprotestowała Catti-brie.

- A jaki mam wybór? - odparł Wulfgar. - Może tam jest korba do jej podnoszenia?

- Bardziej prawdopodobne, że morderca - rzekł Bruenor. -

Musimy jednak spróbować.

◆242\*

Catti-brie naciągnęła mocniej cięciwę, gdy Wulfgar podszedł ! do drzwi - spróbował klamki, lecz stwierdził, że są zamknięte.

## KLEJNOT HALFUNGA

Spojrzał znów na swych przyjaciół i wzruszył ramionami, a potem odwrócił się i uderzył swym ciężkim butem. Drewno zadrżało i rozprysło się, ukazując następny pokój, tym razem pograżony w ciemności. - Weź pochodnię - rzekł do niego Bruenor. Wulfgar zawahał się. Czuł, że coś tu nie jest w porządku, jakiś nieprawidłowy zapach. Jego szósty zmysł, instynkt wojownika powiedział mu, że drugi pokój nie będzie tak samo pusty, jak ten pierwszy, lecz nie mając wyboru podszedł po jedną z pochodni. Śledząc sytuację wewnątrz pokoju, Bruenor i Catti-brie nie zauważyli ciemnej postaci wyskakującej z kryjówki na ścianie w niedalekiej odległości w tunelu. Entrieri przyglądał się przez chwilę tym dwojgu. Mógł ich łatwo dostać i prawdopodobnie cicho, lecz morderca odwrócił się i zniknął w ciemności. Już wcześniej wyznaczył sobie cel.

\* \* \*

Rassiter przestąpił dwa ciała leżące u wejścia do tunelu. Zatrzymani w połowie transformacji między szczurem a człowiekiem, zmarli w niewypowiedzianych mękach, o których może wiedzieć tylko likantrop. Jednak dalsze ciała w głównym tunelu były pocięte i pokłute z niebywałą precyzją a jeśli linia martwych ciał nie wyznaczała wyraźnie drogi, to kula ciemności, wisząca w bocznym przejściu z pewnością była drogowskazem. Rassite-rowi wydało się, że ta pułapka zadziałała, choć cena była bez wątpienia wysoka. Przypadł do niższego rogu ściany i skradał się wzdłuż niej, omal nie potykając się o następne ciała członków swej gildii. Szczurołak pokręcił głową z niedowierzaniem, idąc tunelem i przestępując co kilka stóp ciała szczurołaków. Ilu zabił ten mistrz fechtunku?

- Drów! - wykrztusił Rassiter nagle zrozumiałwszy, gdy wyszedł za ostatni róg. Tu wznosiły się już stosy ciał jego towarzyszy, lecz Rassiter patrzył poza nie. Z chęcią zapłaciłby taką cenę za nagrodę, jaką zobaczył przed sobą, gdyż teraz miał w rękę ciemnego wojownika, drowa jako



więźnia! Zdobędzie względy Pashy Pooka i na zawsze wzrośnie ponad Entreriego. Na końcu przejścia Drizzt opierał się cicho o roszkę, spowity tysiącami wypustek. Nadal trzymał swe dwa sejmity, lecz  
9 243 «

#### R. A. SALVATORE

jego ramiona zwisały bezsilnie u boków, jego głowa opadła w dół, lawendowe oczy były zamknięte.

Szczurołek szedł korytarzem ostrożnie, mając nadzieję, że dnr nie jest jeszcze całkiem martwy. Sprawdził bukłak wypełniony octem, mając nadzieję, że zabrał go wystarczająco dużo, aby rozluźnić chwyt roszki i uwolnić drowa. Rassiter szczerze pragnął, żeby jego zdobycz była żywa. Pook milej powita taki prezent. ;

Wyciągnął miecz, aby szturchnąć drowa, lecz zwinął się z bólu, gdy błysnął wysadzany klejnotami sztylet, rozcinając mu ramię. Odwrócił się na pięcie i zobaczył Artemisa Entreriego, z wyciągniętą szablą i żądzą mordu w ciemnych oczach. Rassiter znalazł się w pułapce, którą zastawił; z tego korytarza nie było ucieczki. Przywarł do ściany, ściskając swe zranione ramię i cał po calu począł się wycofywać. Entreri postępował za nim nie mrugnawszy okiem.

- Pook nigdy ci tego nie wybaczy - ostrzegł Rassiter.

- Pook nigdy się o tym nie dowie - syknął Entreri. Przerażony Rassiter rzucił się obok mordercy, spodziewając

się miecza wsadzonego w bok, gdy przebiegał, lecz Entreri nie zwracał uwagi na Rassitera, jego oczy powędrowały korytarzem, ku postaci Drizzta Do'Urdena, bezsilnego i pokonanego.

Entreri ruszył, aby odzyskać swój wysadzany klejnotami sztylet, niezdecydowany, czy uwolnić drowa, czy pozwolić mu umrzeć powolną śmiercią w objęciach roszki.

-1 tak umrzesz - wyszeptał w końcu, wycierając błoto ze sztyletu.

\* \* \* Z wyciągniętą przed siebie pochodnią Wulfgar z werwą wszedł do następnego pokoju. Tak jak i pierwszy, był on kwadratowy i nieumeblowany, lecz jedna strona przesłonięta była w połowie parawanem sięgającym od podłogi do sufitu. Wulfgar wiedział, że niebezpieczeństwo czai się za zasłoną, wiedział, że była to część pułapki zastawionej przez Entreriego, w którą wpadł zupełnie na oślep. Nie miał czasu na łapanie siebie za brak rozsądka. Stał pośrodku pokoju, nadal tak, aby go widzieli jego przyjaciele i położył pochodnię u swych stóp, ściskając oburącz Ae-gis-fang.

\* 244 «

#### KLEJNOT HALFUNGA

Lecz gdy to rzuciło się na niego, barbarzyńca stał tylko, gapiąc się zdumiony.

Osiem węzowych łbów wiło się w hipnotyzującym tańcu, jak igły oszalałej kobiety robiącej na drutach szal. Wulfgarowi wbrew skojarzeniu nie było do śmiechu w tej chwili, gdyż każda paszcza wypełniona była rzędami ostrych jak brzytwa zębów.

Catti-brie i Bruenor zrozumieli, że Wulfgar ma kłopoty, gdy zobaczyli, że cofnął się o krok.

Spodziewali się Entreriego lub grupy żołnierzy. Nagle przez otwarte drzwi wyszła hydra.

- Wulfgar! - krzyknęła z obrzydzeniem Catti-brie, wypuszczając strzałę. Srebrny pocisk wybił głęboką dziurę w węzowej szyi i hydra ryknęła z bólu, odwracając jedną z głów w stronę kogoś atakującego ją z boku.

Siedem pozostałych łbów uderzyło w Wulfgara. \* \* \*

- Rozczarowałaś mnie, drowie - kontynuował Entreri. - Są

działem, że jesteś mi równy lub prawie równy. Podjąłem się kłopotów i niejakiego ryzyka, aby sprowadzić cię tutaj, gdzie może my zdecydować, czyje życie jest kłamstwem. Aby przekonać cię, że dla tych emocji, do których jesteś tak szczerze przywiązany, nie ma miejsca w sercu prawdziwego wojownika. Ale teraz widzę, że me wysiłki były próżne - żałował morderca. - To zagnienie zostało rozwiązane już wcześniej, jeśli w ogóle było to jakimś zagadnieniem. Ja nigdy nie wpadłbym w taką pułapkę! Drizzt spojrział jednym, półotwartym okiem i podniósł głowę, aby napotkać na wzrok Entreriego.

- Ani ja - powiedział, odsuwając bezwładne wypustki martwej rosiczki. - Ani ja!

Gdy Drizzt się odsunął, ukazała się rana; jednym pchnięciem Drizzt zabił rosiczkę. Na twarzy Entreriego pojawił się nagle uśmiech.

- Doskonale zrobione! - krzyknął wyciągając swe ostrza. - Wspaniale!

- Gdzie jest halfling? - warknął Drizzt.

- To nie ma nic wspólnego z halflingiem - odparł Entreri. - Ani z twoją głupią zabawką, panterą.

Twarz Drizzta wykrzywiła się w gniewie.

9 245\*

## R. A. SALVATORE

- Och, żyją - drwił Entreri, mając nadzieję wytrącić z równowagi swego przeciwnika gniewem. - Może, a może i

Nieokleźnana wściekłość często pomagała wojownikom w starciu ze słabszym przeciwnikiem, lecz w wyrównanej walce dwóch zręcznych szermierzy ciosy musiały być perfekcyjnie wymierzone, nie należało też zapominać o obronie. Drizzt natychmiast ostrzami, Entreri odbił je w bok szabłą odpowiedział pchnięciem sztyletu. Drizzt uchylił się przed sztyletem, zrobił pełny obrot i ciał Błyskiem. Entreri sparował cios szabłą tak, że rękojeść uderzyła o rękojeść, zbliżając obu walczących.

- Dostałeś mój podarunek we Wrotach Baldura? - roześmiał się morderca.

Drizzt nawet nie zadrżał. Nie myślał teraz o Regisie i Guenh-; wyvar. Skoncentrował się tylko i wyłącznie na Artemisie Entrerim.

Tylko na Artemisie Entrerim.

Morderca naciskał.

- Maską? - zapytał z szerokim uśmiechem. - Nałóż ją, drogiu. Rościsz sobie pretensje do czegoś, czym nie jesteś.

Drizzt pchnął nagle, odrzucając Entreriego do tyłu. Morderca odskoczył, chcąc kontynuować walkę z dystansu, lecz gdy usiłował się zatrzymać, jego noga wpadła do wypełnionej błotem dziury i osunął się najedno kolano. Drizzt błyskawicznie znalazł się przy nim, oba sejmity zawyły. Ręce Entreriego poruszały się równie szybko, sztylet i szabla skręcały się i obracały parując i odbijając ciosy. Jego głowa i ramiona huśtały się widocznie, gdy usiłował odzyskać równowagę. Drizzt wiedział, że stracił przewagę. Co gorsza, znalazł się w niezgrabnej pozycji, z jednym ramieniem zbyt blisko ściany, bo gdy Entreri począł wstawać, Drizzt odskoczył do tyłu.

- Tak łatwo? - zapytał Entreri, gdy znów stanęli naprzeciw siebie. - Sądzisz, że szukałem tej walki tak długo, tylko po to, aby zginać w otwartej wymianie ciosów?

- Nie mogę sobie nawet wyobrazić, czym zainteresowany jest Artemis Entreri - odparł Drizzt. - Jesteś dla mnie zbyt obcy, morderco. Nie mam zamiaru rozumieć twoich motywów ani nie troszczę się o to, by je poznać.

\*246\*

#### KLEJNOT HALFUNGA

- Motywy? - rzekł Entreri. - Jestem wojownikiem, czystej krwi wojownikiem. Nie mieszam do mojego życia kłamstw delikatności i miłości - wyciągnął przed siebie szablę i sztylet. - To są moi jedyni przyjaciele, a z nimi...

- Jesteś niczym - przeciął Drizzt. - Twoje życie jest czczym kłamstwem.

- Kłamstwem? - odkrzyknął Entreri. - To ty nosisz maskę, drowie. To ty musisz się ukrywać.

Drizzt przyjął te słowa z uśmiechem. Kilka dni przedtem takie słowa mogły go ukłuć, lecz teraz, po tym jak Catti-brie dała mu wgląd w samego siebie, zabrzmiały pusto.

- Ty jesteś kłamstwem, Entreri - odparł chłodno. - Jesteś tylko załadowaną kuszą, nieczułą bronią, która nigdy nie zazna prawdziwego życia. - Ruszył w stronę mordercy, zacisnąwszy szczękę, wiedząc, co musi zrobić.

Entreri ruszył z równym przekonaniem.

- Zgiń, drowie! - splunął.

\* \* \*

Wulfgar cofał się szybko, wymachując przed sobą swym młotem bojowym, aby odparowywać oszałamiające ataki hydry. Wiedział, że nie utrzyma tej niezmordowanej rzeczy długo na odległość. Musiał znaleźć sposób przeciwstawienia się furii jej ataków. Lecz w obliczu siedmiu klapiących zębami paszczy, wijących się w hipnotyzującym tańcu, atakujących pojedynczo lub naraz nie miał zbyt wiele czasu na przygotowanie ataku.

Catti-brie, poza zasięgiem łbów, ze swym łukiem odnosiła większe sukcesy. Łzy wypełniły jej oczy ze strachu o Wulfgara, lecz powstrzymywała je, aby nie poddać się. Następna strzała wbiła się w samotną głowę, która zwróciła się w jej kierunku, wypalając dziurę dokładnie między oczyma. Łeb wzdrygnął się i szarpnął do tyłu, a potem opadł na podłogę z głuchym odgłosem - martwy.

Atak, a może spowodowany nim ból, na sekundę sparaliżował resztę hydry, a zdesperowany barbarzyńca nie przepuścił takiej sposobności. Zrobił krok do przodu i uderzył z całej siły Aegisfangiem w pysk następnego łba, roztrzaskując go. I ten także opadł bez życia na podłogę.

\* 247\*

#### R. A. SALVATORE

- Trzymaj to przed drzwiami! - zawołał Bruenor. - Nie przechodź bez krzyknięcia. Dziewczyna z pewnością zabiłaby cię. Jeśli hydra była nawet głupią bestią, to w końcu zrozumie taktykę. Zwróciła swoje ciało pod kątem do otwartych drzwi, P dając Wulfgarowi najmniejszą szansę, aby mógł przez nie przejść. Dwa łby były pokonane, zaś następna srebrna strzała, a po niej druga sycząc wbiły się tym razem w tułów hydry. Wulfgar, p-cując rękoma jak szalony, a skończywszy przed chwilą wście walkę ze szczurołakami, począł odczuwać zmęczenie. Nie zdążył odparować ataku jednego z łbów i potężne szczęki zacisnęły się na jego ręce, wyszarpując krwawą dziurę tuż pod ramieniem; Hydra próbowała potrząsnąć szyją i oderwać ramię mężczyzny, co było jej zwykłą taktyką, lecz nigdy przedtem nie miała do czynienia z kimś o sile Wulfgara.

Barbarzyńca przycisnął mocno rękę? do boku, krzywiąc się z potwornego bólu, i zatrzymał hydrę w miejscu. Wolną ręką chwycił Aegis-fang tuż pod głowicą i wbił rękójść w oko hydry. Bestia rozluźniła swój chwyt i Wulfgar wydarł się z jej objęć, po czym upadł do tyłu, w odpowiednim czasie, aby uniknąć ugryzień pięciu innych głów. Mógł nadal walczyć, lecz rana spowalniała jego ruchy.

- Wulfgarze! - krzyknęła znowu Catti-brie słysząc jego jęk.

- Odejdź stamtąd, chłopcze! - wrzasnął Bruenor.

Wulfgar już się ruszył. Zanurkował pod tylną ścianę i przetoczył się wokół hydry. Dwa najbliższe łby podążyły za nim i pochyliły się, żeby podnieść go w górę. Wulfgar stanął na nogach i zmienił kierunek ruchu, roztrzaskując jedną szeroko otwartą paszczę potężnym uderzeniem. Catti-brie, widząc desperacką ucieczkę Wulfgara posłała strzałę w oko drugiego łba. Hydra ryknęła w męce i wściekłości i odwróciła się, wlokąc teraz po podłodze cztery martwe łby.

Wulfgar, wracając na drugi koniec pokoju, zobaczył co znajdowało się za zasłoną.

- Następne drzwi! - krzyknął do swych przyjaciół.

Catti-brie oddała jeszcze jeden strzał, gdy hydra przechodziła ścigając Wulfgara. Wraz z Bruenorem usłyszała trzask, gdy drzwi zostały wyrwane z zawiasów i szumiący łoskot, gdy następna krata opadła za olbrzymem.

## KLEJNOT HALFIJNGA

\* \* \*

Entreri zaatakował po raz ostatni, świsnąwszy szablą nad szyją Drizzta i jednocześnie tnąc nisko sztyletem. Był to odważny ruch i gdyby morderca nie władał tak zręcznie bronią, Drizzt bez wątplenia znalazłby odsłonięte miejsce, aby wbić ostrze w jego serce. Jednak wszystko co mógł zrobić drów, to podnieść jeden z sejmitarów, aby zablokować cios szabli i opuścić drugi, żeby zepchnąć na bok sztylet.

Entreri wykonał całą serię takich podwójnych ataków, a Drizzt odpierał je za każdym razem, wynosząc ze spięć tylko małe cięcia na ramieniu, zanim w końcu Entreri zmuszony był ustąpić.

- Pierwsza krew należy do mnie - zapiał Entreri. Przeciągnął palcem po ostrzu swej szabli, pokazując drowowi czerwoną barwę.

- Liczy się ostatnia krew - odparł Drizzt, zbliżając się z wyciągniętymi przed siebie sejmitarami. Uderzyły w mordercę pod niemożliwym kątem, jeden zagłębił się w ramieniu, drugi wzniosł się, aby znaleźć łuk żeber.

Entreri, podobnie jak Drizzt, odparował atak perfekcyjnymi ciosami.

\* \* \*

- Żyjesz, chłopcze? - zawołał Bruenor. Krasnolud usłyszał ponownie odgłosy walki w korytarzu za sobą i doznał ulgi, gdyż dźwięki te powiedziały mu, że i Drizzt nadal żyje.

- Jestem bezpieczny - odparł Wulfgar rozglądając się po nowym pokoju, do którego wszedł. Był umeblowany kilkoma krzesłami i stołem, który - j ak się wydawało - był niedawno używany do gry. Wulfgar nie wątpił w to, że był teraz pod budynkiem, najprawdopodobniej pod siedzibą gildii złodziei.

- Droga za mną jest zamknięta - zawołał do swych przyjaciół. - Znajdź Drizzta i wracajcie na ulicę. Znajdę sposób, żeby tam do was dołączyć!

- Nie zostawię cię! - odparła Catti-brie.

- Powiniennem cię zostawić - odkrzyknął Wulfgar. Catti-brie spojrzała na Bruenora.

- Pomóż mu - prosiła.  
Spojrzenie Bruenora było równie poważne.

\* 248 ♦

\* 249 \*

R. A. SALVATOBÉ

- Nie mamy nadziei utrzymania się tutaj, gdzie jesteśmy - za wołał Wulfgar. - Z całą pewnością ja nie mogę wrócić, nawet gdyby udało mi się podnieść kratę i pokonać hydrę. Idź, moj& kochana i miej nadzieję, że spotkamy się znowu!

- Posłuchaj chłopca - powiedział Bruenor. - Twoje serce mów| ci, żeby tu zostać, lecz nie pomożesz Wulfgarowi idąc za jego głosem. Musimy zawierzyć chłopakowi.

Bród zmieszał się z krwią na głowie Catti-brie, gdy ta oparła się ciężko o pręty kraty. Z głębin kompleksu pokoi, jak cios młotem w serce, rozległ się dźwięk następnych roztrzaskiwanych drzwi. Bruenor chwycił córkę delikatnie za łokieć. |

- Chodź, dziewczyno. Drów jest gdzieś w pobliżu i potrzebuje naszej pomocy. Wierz w siły Wulfgara.

Catti-brie oderwała się od kraty i podążyła tunelem za krasnoludem.

\* \* \*

Drizzt atakował, badając twarz mordercy; udało mu się wysu- • blimować jego nienawiść do mordercy, zważając na słowa Catti-brie i pamiętając o priorytetach tej przygody. Entreri stał się dla niego tylko jeszcze jedną przeszkodą na drodze do uwolnienia Regisa. Z chłodnym umysłem Drizzt skupił się na obecnej chwili, odpowiadając na ciosy przeciwnika tak chłodno, jakby był na lekcji szermierki w Menzoberranzanie. Twarz Entreriego, człowieka, który głosił swą wyższość nad nim, jako wojownika | z powodu braku uczuć, często wykrzywiała się potężnie, będąc na granicy wybuchu wściekłości. Entreri naprawdę nienawidził Drizzta, gdyż całe ciepło i przyjaźń, jakie drów odnalazł w swym życiu, on zawdzięczał tylko swemu perfekcyjnemu władaniu bronią. Za każdym razem, gdy Drizzt rutynowo udaremniał atak Entreriego i odpowiadał równie zręcznymi ciosami, uwydatniał pustkę egzystencji mordercy. Drizzt rozpoznał wrzący w Entrerim gniew i szukał sposobu wykorzystania go. Zadał następną serię ciosów, lecz znów zostały odparte. Nagle zadał podwójne uderzenie, trzymając sejmitary przy sobie, o cal tylko jeden od drugiego. Entreri odbił je w bok uderzeniem szabli, szczerząc zęby na oczywisty błąd Drizzta. Warcząc złowrogo, Entreri zadał cios sztyletem, kierując go w serce drowa. Lecz Drizzt spodziewał się

KLEJNOT HALFUNGA

tego mchu-to był jego wabik na mordercę. Przykucnął i skrzywił swój sejmitar dokładnie w chwili, gdy szabla już miała go odbić, wbijając go pod ostrze Entreriego, i ciał w odwrotną stronę. Ręka Entreriego, trzymająca sztylet znalazła się dokładnie na drodze sejmitara i zanim morderca zdążył wbić swe ostrze w serce Drizzta, sejmitar Drizzta zagłębił się w jego łokieć. Sztylet upadł w błoto. Entreri chwycił się za zranione ramię, krzywiąc się z bólu, i odskoczył do tyłu. Jego oczy zwięzły się w złości i zaskoczeniu.

- Twój głód przesłonił twoje zdolności - powiedział do niego

Drizzt podchodząc o krok. - Tej nocy obaj stanęliśmy przed lustrem. Z pewnością nie będziesz cieszył się widokiem, jaki ci pokazałem.

Entreri zaczerwienił się ze wściekłości.

- Jeszcze nie zwyciężyłeś - rzekł wyzywająco, choć wiedział, że drów zyskał olbrzymią przewagę.

- Może nie - Drizzt wzruszył ramionami - lecz ty zginałeś już wiele lat temu.

Entreri uśmiechnął się złośliwie i skłonił nisko, a potem zaczął uciekać korytarzem.

Drizzt zaczął go ścigać, jednak zatrzymał się w chwili, gdy dotarł do brzegu kuli ciemności.

Usłyszał szuranie nogami po drugiej stronie. Zbyt głośne, jak na Entreriego, uzmysłowił sobie i zaczął podejrzewać, że wróciły jakieś szczurołaki.

- Jesteś tam, elfie? - rozległ się znajomy głos.

Drizzt rzucił się przez ciemność i stanął obok swych zdumionych przyjaciół.

- Entreri? - zapytał, mając nadzieję, że ranny morderca nie uciekł niezauważony.

Bruenor i Catti-brie wzruszyli ramionami i odwrócili się, aby podążyć za Drizztem, który pobiegł w ciemność.

9 250 «

\* 251 \*

\* 20 \* ►

Cz€RT5 r BteL

Wulfgar, omal nie padając z wyczerpania i bólu w ramieniu, oparł się ciężko o gładką ścianę, wznoszącego się w górę przejścia. Ścisnął mocno ranę, aby zatamować upływ krwi. Czuł się tak niesamowicie samotny. Wiedział, że miał rację odsyłając swych przyjaciół. Nie mogli mu pomóc, a zostając tutaj, w głównym korytarzu, tuż przed miejscem, które Entreri wybrał na zastawienie pułapki, za bardzo byli narażeni na niebezpieczeństwo. Wulfgar szedł teraz prawdopodobnie w serce mającej złą sławę gildii złodziei.

Puścił biceps i zbadał ranę. Hydra ugryzła głęboko, lecz stwierdził, że nadal może poruszać ramieniem; z zapalem machnął kilka razy Aegis-fangiem. Potem znów oparł się o ścianę, usiłując ustalić plan działania w sytuacji, która naprawdę wydawała się beznadziejna.

\* \* \*

Drizzt prześlizgiwał się z tunelu do tunelu, czasami zwalniając kroku, aby nasłuchiwać delikatowych dźwięków, które pomogłyby mu w prowadzeniu pościgu. W rzeczywistości nie spodziewał się, że cokolwiek usłyszy, Entreri mógł się poruszać tak cicho, jak on sam. I, podobnie jak Drizzt, poruszał się bez pochodni, czy nawet świecy. Lecz Drizzt czuł się tak, jakby był prowadzony przez motyw, który kierował Entrerim. Czuł obecność mordercy, znał go lepiej, niż chciał i mógł to przyznać przed sobą, i Entreri nie mógł przed nim uciec bardziej, niż on przed Entrerim. Ich walka zaczęła się w Mithrilowej Hali przed miesiącami - lub może byli obecnymi wcieleniami w kontynuacji większych zmagania, powstałych u zarania czasu - lecz dla Drizzta i Entreriego, dwóch zało-

\* 252 «

## KLEJNOT HALFUNGA

żeń w beczasowej walce zasad, ten rozdział wojny nie mógł się zakończyć, dopóki jeden z nich nie ogłosi się zwycięzcą.

W pewnej odległości Drizzt zauważył błysk z boku - nie migotanie żółtego światła pochodni, lecz stały strumień srebra. Podszedł ostrożnie i znalazł otwartą kratę, przez którą padało światło księżycy, oświetlając mokre, żelazne szczeble drabiny umocowanej na ścianie kanału. Szybko rozejrzał się - zbyt szybko - i rzucił się do drabiny.

Cienie po jego lewej stronie eksplodowały ruchem i Drizzt dostrzegł wielomówne lśnienie ostrza w samą porę, aby usunąć się z linii cięcia. Rzucił się w przód, czując palący ból w ramieniu, a potem wilgoć krwi ściekającej w dół po jego płaszczu. Zignorował ból, wiedząc, że każde zawahanie z pewnością przyniesie mu śmierć i odwrócił się, uderzając plecami o ścianę i wystawiając przed siebie zakrzywione ostrza obu sejmitarów w obronnej gardzie. Entreri tym razem nie żartował. Natarł z wściekłością, tnąc swą szablą i wiedząc, że skończy z Drizztem zanim ten otrząśnie się z szoku spowodowanego zasadzką. Zjadliwość zastąpiła elegancję, pograżając mordercę w szaleństwie nienawiści. Skoczył na Drizzta, przytrzymując jedno z ramion drowa pod swym własnym, zranionym ramieniem i próbując użyć brutalnej siły, aby wbić szablę w plecy przeciwnika. Drizzt opanował się na tyle szybko, żeby móc kontrolować początkowy atak. Pozwolił mordercy przytrzymać swe ramię, koncentrując się tylko na podniesieniu swego wolnego sejmitaru celem zablokowania ciosu. Rękojeść ostrza znów zakleszczyła się z rękojeścią szabli Entreriego, zatrzymując ją w połowie zamachu między obu walczącymi.

Zza swych ostrzy Drizzt i Entreri patrzyli na siebie z otwartą nienawiścią, ich wykrzywione twarze znajdowały się tylko o cale od siebie.

- O ile zbrodni powinienem cię oskarżyć, morderco? - warknął Drizzt. Wzmocniony tym mocnym odezwaniami odepchnął o cal szablę, przesuwając swe śmiertelne ostrze w stronę Entreriego.

Entreri nie odpowiedział, nie wydawał się nawet zaniepokojony lekkim przesunięciem się ostrzy. W jego oczach pojawił się

\* 253 \*

## R. A. SALVATORE

dziki, ożywiony wyraz, a jego wargi rozciągnęły się w złośliwym uśmiechu.

Drizzt wiedział, że morderca ma w zanadrzu jeszcze jedną sztuczkę. Zanim jednak zdążył się zorientować, Entreri splunął trzymaną w ustach brudną wodą z kanału w jego lawendowe oczy.

\* \* \*

Odgłosy podjętej ponownie walki prowadziły tunelami Bruenora i Catti-brie. Zobaczyli skapanie w świetle księżycy, zmagające się postacie akurat w chwili, gdy Entreri zagrał złośliwą > kartą ?

- Drizzt! - krzyknęła Catti-brie, wiedząc, że nie dotrze do niego, a nawet nie wystrzeli strzały z łuku na czas, aby powstrzymać Entreriego.

Bruenor warknął i rzucił się do przodu zjedną tylko myślą jeśli Entreri zabije Drizzta, przetnie tego psa na połowę.

\* \* \*

Uderzenie wody złamało koncentrację Drizzta tylko na ułamek sekundy, lecz wiedział, że nawet ułamek sekundy to zbyt » długo w walce z Artemisem Entrerim. Desperacko szarpnął głowę w bok. Entreri ciął swą szablą rozplatając czoło Drizzta i miażdżąc kciuk drowa między skręcającymi się rękojeściami.

- Mam cię! - zakwiczął, wierząc w nagłą zmianę sytuacji.

W tej straszliwej chwili Drizzt nie mógł się z tym nie zgodzić, lecz następny ruch drowa kierowany był bardziej instynktem, niż ~ chłodną kalkulacją, a jego zręczność zaskoczyła nawet Drizzta. : Jednym nagłym podskokiem Drizzt włożył jedną stopę zakostkę ■ Entreriego, drugą zaś wetknął między niego a ścianę. Pchnął go. Na śliskiej podłodze Entreri nie miał szans na wydostanie się z tej pułapki i runął do tyłu w ciemny strumień, zaś Drizzt rzucił się na niego rozchlapując wodę. Upadające ciężkie ciało Drizzta wbiło A poprzeczkę rękojeści jego sejmitara w oko Entreriego. Drizzt otrząsnął się z zaskoczenia własnym ruchem szybciej niż Entreri i nie zmarnował okazji. Skręcił rękę nad rękojeścią i odwrócił ruch ostrza, uwalniając je od ostrza Entreriego i kierując w tył i w dół. Czubek sejmitara zagłębił się w żebra mordercy. Z ponurą satysfakcją Drizzt poczuł, jak zaczyna się wbijać. Teraz nadeszła kolej na desperacki ruch Entreriego. Nie mając czasu na użycie

9 254 \*

## KLEJNOT HALFUNGA

szabli, Entreri uderzył w twarz Drizzta jej rękojeścią. Nos Drizzta rozpląszczył się na jego policzku, barwy eksplodowały przed jego oczyma i poczuł, że jest unoszony i odrzucany na bok, zanim sejmitar zakończył swe zadanie. Entreri odpełził poza jego zasięg i wylazł z ciemnej wody. Drizzt także się odtoczył, walcząc z zawrotami głowy, aby stanąć znów na nogach. Gdy mu się to udało, stwierdził, że znów stoi twarzą twarzą z Entrerim, będącym nawet w lepszej kondycji niż on.

Entreri spojrział nad ramieniem drowa w tunel, na szarżujących krasnoluda i Catti-brie z jej śmiercionośnym łukiem, trzymanym na wysokości twarzy. Odskoczył w bok, ku żelaznym szczeblom i począł wspinać się w górę, na ulicę.

Catti-brie podążyła gładko za nim, widząc go już martwym. Nikt, nawet Artemis Entreri nie ucieknie jej, gdy wyceluje w niego.

- Zostaw go, dziewczyno! - wrzasnął Bruenor.

Drizzt był tak zaangażowany w walkę, że nawet nie zauważył przybycia przyjaciół. Odwrócił się i zobaczył toczącego się Bru-enora i Catti-brie mającą już wypuścić strzałę.

- Stój! - warknął Drizzt tonem, który na miejscu zatrzymał Bruenora, a Catti-brie przeszył dreszczem. Oboje gapili się z otwartymi ustami na Drizzta.

- On jest mój! - rzekł do nich drów.

Entreri nie wahał się, aby po próżnicy zastanawiać się nad swoim szczęściem. Tam, na otwartych ulicach, jego ulicach, mógł znaleźć kryjówkę. Nie czekając na odpowiedź ze strony swych zdenerwowanych przyjaciół, Drizzt nałożył swą magiczną maskę na twarz i szybko podążył za mordercą.

\* \* \*

Świadomość, że każda zwłoka z jego strony może sprowadzić niebezpieczeństwo na przyjaciół - gdyż odeszli szukać jakiejś drogi wyjścia, aby spotkać się z nim na ulicy - popchnęła Wulfgara do działania. Ścisnął mocniej zranioną ręką Aegis-fang, zmuszając uszkodzone mięśnie do odpowiedzi na swe polecenia. Nagle pomyślał o Drizzcie, o tej zdolności, jaką posiadał jego przyjaciel, całkowitej sublimacji strachu w obliczu najbardziej niemożliwych okoliczności i zastąpienie go zjadliwą furją. Tym razem to oczy Wulfgara płonęły wewnętrznym ogniem. Stał



#### R. A. SALVATORE

w korytarzu szeroko rozstawiwszy nogi, jego oddech był chrap wy, jak ciche warczenie, zaś mięśnie kurczyły się i rozkurcz! rytmicznie, gotując się do perfekcyjnej walki.

Gildia złodziei, najsilniejsza organizacja w Calimporcie - j myślał. Po twarzy barbarzyńcy przemknął uśmiech. Ból znikn z kości odpłynęła słabość. Ruszając do przodu zaczął się serd© nie śmiać. Czas walki.

Zauważył, że tunel wznosi się i wiedział, że następne drzwi przez które przejdzie, będą na poziomie ulicy lub w jej pobliżu! Wkrótce natrafił na nie - nie jedne, lecz troje drzwi; jedno oś końcu tunelu i dwoje po każdej jego stronie. Nie zwolnił nawet, wyobrażając sobie, że kierunek, w którym podążał jest tak samo dobry j ak każdy inny i wpadł przez drzwi na końcu korytarza do ośmiokątnej wartowni, w której znajdowało się czterech bardzo zaskoczonych strażników.

- Hej! - krzyknął jeden z nich, stojący pośrodku pokoju, gdy potężna pięść Wulfgara zwała go na podłogę. Barbarzyńca zauważył inne drzwi, dokładnie naprzeciwko tych, którymi wszedł i rzucił się ku nim, mając nadzieję, że przejdzie przez pokój, nie., wywołując walki. Jeden ze strażników, drobny, ciemnowłosa, mały rzezimieszek okazał się od niego szybszy. Rzucił się ku? drzwiom, włożył klucz i przekręcił go w zamku, a potem odwrócił się do Wulfgara, trzymając klucz przed sobą i szczerząc swe popsute zęby.

- Klucz - szepnął, rzucaj ąc go do swego towarzysza z boku.

Potężna ręka Wulfgara chwyciła go za koszulę, wyszarpując jednocześnie niejedną włos na piersi i mały rzezimieszek poczuł, jak jego stopy odrywają się od podłogi. Jedną ręką Wulfgar rzucił nim przez drzwi.

- Klucz - powiedział barbarzyńca, przestępując stosik drzazg i złodzieja.

Jednak Wulfgar nie uniknął niebezpieczeństwa. Następne pomieszczenie było wielką halą spotkań, z leżącymi za nią tuzinami pokoi. Krzyki zaniepokojenia goniły barbarzyńcę, gdy przebiegał przez nie, a wszędzie wokół niego zaczęto realizować doskonale wypracowany w szczegółach plan obrony. Złodzieje, lu-

\*• 256 \*

#### KLEJNOT HALFUNGA

dzie, oryginalni członkowie gildii Pooka, uciekali w cieni bezpieczeństwa swoich pokoi, gdyż zwolnieni byli od odpowiedzialności w działaniu z intruzami od ponad roku - odkąd Rassiter i j ego załoga dołączyli do gildii.

Wulfgar pokonał krótki bieg schodów i wpadł przez drzwi na ich szczycie. Przed nim widniał labirynt korytarzy i otwartych pokoi, skarby dzieł sztuki - posągi, obrazy i gobeliny - przewyższające wszystko, co mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić. Nie miał czasu na podziwianie dzieł sztuki. Zobaczył ścigające go postacie. Widział je wybiegające z boków i gromadzące się w korytarzach widniejących przed nim, aby odciąć mu drogę. Wiedział kim są, był przecież w ich kanałach. Znał już zapach szcurołaków.

\* \* \*

Entreri po przejściu otwartej kraty stanął w pełni gotów naprzy-jęcie Drizzta. Gdy drów poczał wynurzać się na ulicę, morderca ciał potężnie w dół swą szablą. Drizzt, biegnąc w górę po żelaznych szczeblach w doskonałej równowadze, miał wolne ręce. Spodziewając się takiego

ruchu, skrzyżował swe sejmitary nad głową. Chwycił szablę Entreriego w nożyce i odepchnął ją bok. Stanęli teraz naprzeciw siebie na otwartej ulicy.

Nad wschodnim horyzontem ukazały się już pierwsze barwy świtu, temperatura zaczęła wzrastać i senne miasto wokół poczęło się budzić.

Entreri natarł, a Drizzt odepchnął go zjadliwymi przeciwco-sami i czystą siłą. Drów nie mrugnął okiem, jego rysy stężyły w grymasie determinacji. Metodycznie nacierał na mordercę, oba sejmitary cięły równymi, pewnymi ciosami. Ze swym beużytecznym lewymramieniem, z lewym okiem, widzącym jak przezmgłę, Entreri wiedział, że nie ma szans na zwycięstwo. Drizzt wiedział o tym także i wzmógł tempo, uderzając raz po raz w coraz wolniejszą szablę, próbując zmusić słabnącego Entreriego tylko do obrony. Lecz gdy Drizzt nacierał coraz silniej, jego magiczna maska znowu się rozluźniła i spadła mu z twarzy. Entreri uśmiechnął się wiedząc, że oto znowu uniknął niechybnej śmierci. Znalazł wyjście.

- Przyłapany na kłamstwie? - szepnął złośliwie.

9 257 «

R. A. SALVATORE

KLEJNOT HALFUNGA

Drizzt zrozumiał.

- Drów! - krzyknął Entreri do gromady ludzi, o których wie dział, że przyglądają się walce z pobliskich cieni. - Z Lasu Mii Szpieg, poprzedzający armię! Drów!

Ciekawość wyciągnęła teraz tłum z kryjówek. Walka ji wcześniej była wystarczająco interesująca, lecz teraz ludzie ulic zbliżyli się, aby sprawdzić prawdziwość oświadczenia Entreriego.

Wokół walczących poczał tworzyć się stopniowo a Drizzt i Entreri usłyszeli dzwonięcie mieczy wyciąganyc| z pochew.

- Żegnaj, Drizzcie Do'Urdenie - szepnął Entreri wśród i stającego zamieszania i okrzyków „drów”, rozlegających się i całym terenie. Drizzt nie mógł zaprzeczyć efektywności zag mordercy. Rozejrzał się nerwowo dokoła, spodziewając si w każdej chwili ataku z tyłu.

Entreri rozproszył uwagę przeciwnika na tyle, na ile potrzeb wał. Gdy Drizzt znów spojrział w bok wyrwał się i wmieszał i w tłum, krzycząc:

- Zabijcie drowa! Zabijcie go!

Drizzt zrobił obrót, z ostrzami w pogotowiu, bowiem wroj tłum ostrożnie zbliżał się do niego. Catti-brie i Bruenor; żli się na ulicy w tej właśnie chwili i natychmiast zorientov się co się stało. Bruenor pobiegł do Drizzta, a Catti-brie na żyła strzałę.

- Cofnijcie się! - warknął krasnolud. - Tu z pewnością i zła, z wyjątkiem tego, któremu wy, głupcy, pozwoliliście odej i Pewien mężczyzna zbliżył się śmiało z wyciągniętą włócz Wybuch srebra trafił w rękojeść broni, odłamując jej zakończ nie. Przerażony mężczyzna rzucił złamaną włócznię i spojrz w bok, gdzie Catti-brie nałożyła właśnie następną strzałę.

- Odejź! - warknęła do niego. - Zostaw elfa w spokoju, alfc następny strzał nie będzie szukał twojej broni.

Mężczyzna cofnął się, a tłum stracił serce do walki tak szybko jak je znalazł. W istocie nikt nie palił się do walki z drowem i te byli bardziej niż szczęśliwi, mogąc wierzyć słowom krasnoludów że ten elf nie jest zły. Nagle wszystkie głowy zwróciły w kierunku poruszenia, jakie nastąpiło w dalszym końcu ulicy

Dwaj strażnicy, słysząc odgłosy walki, przebrani za włóczęgów i znajdujący się na zewnątrz gildii złodziei otworzyli drzwi i wpadli do środka, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

- Wulfgar! - krzyknął Bruenor, biegnąc ulicą. Catti-brie ruszyła za nim, lecz odwróciła się, aby spojrzeć na Drizzta.

Drów stał, nie mogąc się zdecydować patrzył w jedną stronę - w stronę gildii, a potem w drugą, w którą uciekł morderca. Mógł zabić Entreiego; ranny mężczyzna prawdopodobnie nie dotrzymałby mu pola.

Jak mógł pozwolić uciec Entreiemu?

- Twoi przyjaciele cię potrzebują - przypomniała mu Catti-brie. - Jeśli nie dla Regisa, to dla Wulfgara.

Drizzt potrząsnął głową robiąc sobie wyrzuty. Jak mógł nawet rozważać porzucenie swych przyjaciół w tak krytycznej chwili?

Pobiegł za Catti-brie, ścigając Bruenora.

\* \* \*

Ponad Zbójeckim Kręgiem światło świtu dotarło już do bogatych pokoi Pashy Pooka. LaValle podszedł ostrożnie do zasłony pod ścianą odsunął ją na bok. Nawet on, doświadczony czarnoksiężnik, nie ośmielał się zbliżyć do narzędzia niewypowiedzianego zła przed wschodem słońca, do Pierścienia Tarosa, swego najpotężniejszego i najbardziej przerażającego narzędzia. Chwytał za żelazną ramę i wyciągnął je z małej szafki. Na swej podstawie i kółkach było wyższe od niego, z roboczym pierścieniem wystarczająco dużym, aby mógł przezeń przejść człowiek na stopę nad podłogą. Pook zauważył, że jest podobne do pierścieni, jakich używał trenując swe wielkie koty. Lecz żaden lew, który przeskoczyłby przez Pierścień Tarosa, nie wylądowałby bezpiecznie po drugiej stronie.

LaValle odwrócił pierścień na bok i przyglądał się mu, badając symetryczną powierzchnię wypełniającą jego wnętrze. Wydawała się krucha, lecz LaValle znał moc jej nici, magiczną moc przenikającą plany istnienia. Wyjął wyzwalacz instrumentu, cienkie berło zakończone ogromną czarną perłą włożył go za pas i wyciągnął Pierścień Tarosa do centralnego pokoju na piętrze. Chciałby mieć czas, żeby zbadać swój plan, gdyż z pewnością nie chciał zawieść znowu swego mistrza, lecz słońce było już

\* 258 \*

9 259 \*

R. A. SALVATORE

prawie w pełni na wschodnim niebie, a Pook nie byłby zadowolony nawet z chwili zwłoki. Nadal w nocnej koszuli Pook przyszedł do centralnego pokoju na wołanie LaValle'a. Oczy mistrza gildii rozblęsnęły na widok Pierścienia Tarosa, który on, nie będąc czarnoksiężnikiem i rozumiejąc niebezpieczeństwa związanych z takim urządzeniem uważał po prostu za cudowną zabawkę. LaValle, trzymając berło w jednym ręku, a onyksową figurę Guenhwyvar w drugim, stał przed

urządzeniem.

- Trzymaj to - powiedział do Pooka, rzucając mu statuetkę. Kota możemy dostać później, do tego zadania nie potrzebuję kota Pook odruchowo włożył statuetkę do kieszeni.

- Przeszukałem plany istnienia - wyjaśnił czarnoksiężnik. Wiem, że kot jest na Planie Astralnym, lecz nie jestem pewien: czy halfling tam nadal pozostaje; jeśli znalazł drogę stamtąd: Oczywiście Plan Astralny jest bardzo rozległy.

- Dość! - rozkazał Pook. - Zaczynaj! Co chciałeś mi poka-  
zać?

- Tylko to - odparł LaValle, machnąwszy berłem przed Pier-  
ścieniem Tarosa. Pajęczyna zadzwoniła mocą i zaświeciła drób\*;  
nymi rozbłyskami błyskawic. Stopniowo światło stawało się bar-  
dziej stałe, wypełniając przestrzeń między nitkami i obraz paję-  
czyzny zniknął w tle niebieskich chmur.

LaValle wypowiedział słowo rozkazu i pierścień ześrodkował się na jasnej, dobrze oświetlonej  
szarości, na scenie Planu Astralnego. Siedział tam Regis, z rękoma założonymi za głowę i  
nogami skrzyżowanymi przed sobą, wygodnie oparty o obraz drzewa, sylwetkę dębu  
oświetloną jakby światłem gwiazd.

Pook otrząsnął się z oszołomienia.

- Dostań go - zachrypiał. - Jak możemy go dostać?

Zanim LaValle odpowiedział, otworzyły się drzwi i do pokoju  
wtoczył się Rassiter.

\*2609:

- Walka, Pook - wysapał nie mogąc złapać tchu - na dolnych piętrach. Olbrzymi  
barbarzyńca.

- Obiecałeś mi, że zajmiesz się tym - warknął do niego Pook.

- Przyjaciele mordercy... - zaczął Rassiter, lecz Pook nie miał czasu na wyjaśnienia. Nie  
teraz.

## KLEJNOT HALFUNGA

- Zamknij drzwi - powiedział do Rassitera.

Rassiter umilkł i zrobił tak, jak mu powiedziano. Pook wystarczająco rozzłościł się na niego, gdy  
dowiedział się o niepowodzeniu w kanałach - nie trzeba było naciskać w tym względzie.

Mistrz gildii zwrócił się znów do LaValle'a, tym razem nie z pytaniem.

- Dostań go - powiedział.

LaValle zaśpiewał cicho zaklęcie i znów machnął berłem przed Pierścieniem Tarosa, a potem  
sięgnął przez szklistą zasłonę od-dzielającą plany i chwycił zaspanego Regisa za włosy.

- Guenhwyvar! - udało się krzyknąć Regisowi, lecz LaValle przeciągnął go przez bramę i  
rzucił na podłogę. Regis potoczył się do stóp Pashy Pooka.

- Hmm... witaj - wyjąkał, patrząc z usprawiedliwieniem na Pashę Pooka. - Możemy o tym  
porozmawiać?

Pook kopnął go w zębra i postawił koniec swego kija na piersi Regisa.

- Będziesz tysiącokrotnie błagał o śmierć, zanim uwolnię cię z tego  
świata - obiecał mu mistrz gildii.

Regis nie wątpił w ani jedno jego słowo.

9 21 \*

CATTI, qozfe pfe súifecf sŁor

Wulfgar uskakiwał i przykucał, prześlizgując się wśród \_ gów lub przemykając za ciężkimi gobelinami. Było tu po j zbyt wiele szczurołaków, zbliżających się do niego ze ws kich stron, aby mógł mieć nadzieję na ucieczkę. Wszedł do nego z korytarzy i zobaczył trzech szczurołaków, biegną w jego stronę. Walcząc z przerażeniem skoczył za otwór, j stanął i przycisnął plecy mocno do rogu. Gdy szczurołaki w do pokoju, powalił je szybkimi uderzeniami Aegis-fanga. Wrócił potem korytarzem, mając nadzieję, że zaskoczy i ścigających go. Wszedł do dużego pokoju z rzędami kr i wysokim sufitem - do prywatnego teatru Pooka, w którym j wały wędrowne trupy. Nad środkiem wisiał ogromny świec z tysiącami płonących świec i z marmurowymi kolumnami, rz bionymi delikatnie w postaci znanych bohaterów i egzotyczny potworów, umieszczonymi wzdłuż ścian. Znów nie miał c podziwiać wspaniałości dekoracji. W pokoju zauważył tylko j rzecz: krótkie schody pod jedną ze ścian, prowadzące na balk. Szczurołaki wpadły do pokoju przez liczne wejścia. Wulfj obejrzał się przez ramię na korytarz, lecz stwierdził, że i on j zablokowany. Wzruszył ramionami i pobiegł schodami w gó sądząc, że przynajmniej w ten sposób będzie mógł walc z szeregi atakujących, a nie zaś z ich tłumem. Dwa szczura ki pobiegły za nim po schodach, lecz gdy Wulfgar dotarł do pod\* stu i odwrócił się ku nim, zorientowały się, że są w gorszym po-?; łożeniu. Barbarzyńca górował nad nimi nawet na równym poziomie. Teraz, trzy stopnie wyżej jego kolana były na wysokości ich oczu. Nie była to zła pozycja do ataku, szczurołaki mogły zaata-

\* 262 \*

#### KLEJNOT HALFUNGA

fcować nie chronione nogi Wulfgara, lecz gdy Aegis-fang zatoczył przerażający łuk w dół, zaden ze szczurołaków nie mógł zwolnić jego ruchu. Na schodach nie mieli też miejsca, aby W miarę szybko zejść mu z drogi.

Młot bojowy trzasnął w czaszkę jednego ze szczurołaków z siłą wystarczającą do złamania kostek u nóg, drugi zaś zbladł pod swym brązowym futrem i zeskoczył ze schodów. Wulfgar omal nie roześmiał się w głos. Nagle zobaczył przygotowywane włócznie. Pobiegł na balkon, aby ukryć się za balustradą i krzesłami, mając nadzieję znalezienia innego wyjścia. Ścigające go szczurołaki wpłynęły na schody. Nie znalazł innych drzwi. Pokręcił głową stwierdziwszy, że znalazł się w pułapce i już trzymał Aegis-fang w pogotowiu.

Co Drizzt mówił mu o szczęściu? To, że prawdziwy wojownik zawsze znajdzie właściwą drogę, jedną otwartą ścieżkę, którą przypadkowi obserwatorzy mogą uważać za szczęśliwą?

Roześmiał się w głos. Kiedyś zabił smoka, strącając sopel lodu wiszący nad jego grzbietem. Zastanowił się, co może zrobić potężny świecznik z tysiącami płonących świec w pokoju pełnym szczurołaków.

- Tempos! - ryknął barbarzyńca do swego boga wojny, szukając pewnej dozy szczęścia inspirowanej przez bóstwo, która mogłaby mu pomóc - mimo wszystko, Drizzt nie może wiedzieć o wszystkim! Miotnął Aegis-fangiem z całej siły, rzucając się w ślad za nim. Aegis-fang przeleciał przez pokój tak dokładnie, jak zawsze, gdy rzucał nim Wulfgar. Przebił zawieszenie żyrandola, odbijaj ąc przy okazji potężny kawał sufitu. Szczurołaki rozbiegły się na boki, gdy olbrzymia kula kryształu i ognia eksplodowała na podłodze. Wulfgar postawił stopę na balustradzie balkonu i skoczył.

\* \* \*

Bruenor warknął i podniósł topór nad głowę, mając zamiar wyrąbać drzwi do domu gildii jednym

uderzeniem, lecz gdy z tupotem pokonywał ostatnie metry, nad jego ramieniem świsnęła strzała, wypalając dziurę wokół zamka i drzwi się otworzyły. Nie mogąc się zatrzymać, wpadł przez otwór i przetoczył się przez głowę po wewnętrznych schodach, zabierając ze sobą dwóch

\* 263 \*

## R. A. SALVATORE

zaskoczonych strażników. Oszołomiony podniósł się na koła i spojrzał w górę na schody. Ujrzał Drizzta przeskakującego pięć stopni naraz i Catti-brie podążającą za nim.

- Do cholery z tobą, dziewczyno! - ryknął. - Mówiłem ci, ab" mi mówiła, gdy masz zamiar to zrobić!

- Nie ma czasu - przerwał Drizzt. Zeskoczył z ostatnich sis miu stopni, tuż nad klęczącym krasnoludem, aby zagrozić < gę dwóm szczurołakom, zbliżającym się z tyłu do Bruenora. v Bruenor wziął swój hełm, nałożył go na miejsce i odwrócił si® aby dołączyć do zabawy, lecz oba szczurołaki od dawna były jujji martwe -jeszcze zanim zdążył stanąć na nogach, zaś Drizzt bieg§J już w kierunku odgłosów większej bitwy, rozgrywającej się gdzieś1 wewnątrz kompleksu. Bruenor zaproponował swe ramię Cattil' brie, gdy przebiegała obok niego tak, że mógł coś zyskać ze swego pędu w tym pościgu.

Olbrzymie nogi Wulfgara przeniosły go bez wysiłku nad szczątkami żyrandola. Barbarzyńca objął głowę ramionami, gdy wpadł w grupę szczurołaków, odsuwając ich kopniakami.

Oszołomiony, lecz nadal świadom kierunku, w którym powinien biec, przetoczył się przez drzwi i wpadł do innego, dużego pokoju. Przed nim widniały otwarte drzwi, prowadzące do następnego labiryntu pokoi i korytarzy. Lecz nie mógł mieć nadziei dotarcia tam, przy kilkudziesięciu szczurołakach blokujących mu drogę. Prześliznął się pod ścianę pokoju i przycisnął plecy do ściany.

Sądząc, że nie jest uzbrojony szczurołaki ruszyły na niego, wrzeszcząc w ciemności. Nagle Aegis-fang w magiczny sposób wrócił do rak Wulfgara i ten zwałił z nóg dwóch pierwszych, którzy akurat dotarli do niego. Rozejrzał się w poszukiwaniu następnej dawki szczęścia.

Nie tym razem.

Szczurołaki syczały na niego ze wszystkich stron, zgrzytając swymi popsutymi zębami. Nie potrzebowali Rassitera, aby wyjaśnił im moc, jaką taki olbrzym - olbrzym szczurołak - mógł dodać ich gildii. Barbarzyńca poczuł się nagle nagi w swej tunice bez rękawów, gdy każde z ugryzień coraz bliżej mijalo celu. Wulfgar słyszał wystarczającą ilość legend dotyczących takich

9 264 ♦

## KLEJNOT HALFUNGA

stworów, aby rozumieć jak straszliwe w skutkach są ugryzienia likantropa i walczył każdą odrobiną siły, jaka mu jeszcze pozostała. Niewiele już mu dawały uderzenia adrenaliny pompowanej przez strach. Spędził połowę nocy na walce i odniósł wiele ran, z których najcięższą było ugryzienie ramienia przez hydrę, które ponownie się otworzyło podczas jego skoku z balkonu. Zamachy poczęły być coraz wolniejsze. Normalnie, Wulfgar walczyłby do końca z pieśnią na ustach, wznosząc stos martwych przeciwników u swych stóp i uśmiechając się na myśl o tym, że zginie jak prawdziwy wojownik. Lecz teraz, wiedząc, że sytuacja jest beznadziejna, przy następstwach gorszych od śmierci rozglądał się po pokoju, szukając jakiegoś sposobu popełnienia samobójstwa. Ucieczka była niemożliwa. Zwycięstwo także. Jediną myślą i pragnieniem Wulfgara w tej chwili było uniknięcie niegodzi-wości i udreki likantropii. Nagle do pokoju wpadł Drizzt.

Nadszedł z tyłu szeregów szczurołaków, jak nagłe tornado spadające na nie przygotowaną

wioskę. W ciągu jednej chwili jego sejmity rozbrły czerwieni krwi, po całym pokoju rozleciały się kępki futra. Te kilka szczurołaków, którym udało się uciec, podkuliło pod siebie swe ogony i zniknęło z pokoju. Jeden szczurołak odwrócił się i podniósł miecz, aby odparować cios, lecz Drizzt odciął jego ramię w łokciu i wbił drugie ostrze w pierś bestii. Nagle drów znalazł się obok swego olbrzymiego przyjaciela, a jego obecność dodała nowych sił i odwagi Wulfgarowi. Wulfgar chrząknął z radości, trafiając Aegis-fangiem w pierś jednego z atakujących i wbijając wstrętną bestię w ścianę. Szczurołak leżał martwy na plecach w jednym pokoju, jego nogi, wystające przez nowe okno pokoju, były groteskowo skrzycone. Szczurołaki spojrzwały po sobie, szukając wzajemnie wsparcia i zbliżyły się ostrożnie do obu wojowników. Z niewysokim morale uciekłyby w chwilę później, lecz do pokoju wpadł z rykiem krasnolud, poprzedzany salwą srebrnych strzał, powalających szczurołaki z niechybną precyzją. Dla tych półzwierząt, półludzi sytuacja była tym bardziej nieciekawa, że stracili wcześniej tej samej nocy już ponad dwa tuziny swych towarzyszy. Nie mieli serca stanąć przeciwko czworgu zjednoczonym towarzyszom i ci, którzy

\* 265 «

R. A. SALVATORE

mogli uciec, zrobili to. Ci zaś, którzy pozostali mieli niewyбір: młot, ostrze sejmity, topór lub strzałę.

Pook usiadł znów w swym wielkim krześle, przyglądając zniszczeniu w obrazie w Pierścieniu Tarosa. Mistrzowi gildii sprawiał ból widok ginących szczurołaków - kilka dobrze zmierzonych ugryzień na ulicach uzupełni ilość tych wstrętnych stworzeń - lecz Pook wiedział, że bohaterowie wyrabując so drogę przez jego gildię staną wkrótce przed nim.

Regis, podniesiony z podłogi za siedzenie spodni przez jed go z olbrzymów eunuchów Pooka, przyglądał się także temu o\*: zowi. Sam widok Bruenora, o którym Regis sądził, że z ' w Mithrilowej Hali wywołał łzy w oczach halflinga. A myśl, jego najdrożsi przyjaciele przewędrowali całą szerokość Kraby aby go uratować i teraz walczą dla niego z taką mocą, jakiej i dy nie był świadkiem, przyniatała go. Wszyscy odnieśli szczególnie Catti-brie i Drizzt, lecz nie zważali na ból, gdy w li się w szeregi strażników Pooka. Przyglądając się padającym przy każdym cięciu przeciwnikom, Regis nie wątpił, że zwyciężą i dotrą do niego. Potem halfling spojrział w bok od Pierście Tarosa, gdzie stał LaValle, nieporuszony, ze skrzyżowanymi piersi rękoma, stukając się lekko w ramię zakończonym berłem.

- Twoi ludzie nie spisali się zbyt dobrze, Rassiterze - zauważył mistrz gildii. - Ktoś mógłby nawet zauważyć ich tchórzostwo.

Rassiter niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Czyżbyś nie mógł utrzymać swojej partii na wyznaczonych stanowiskach?

- Moja gildia walczyła tej nocy z potężnymi przeciwnikami wyjął Rassiter. - Oni... nie byliśmy w stanie... Walka jeszcze nie jest stracona!

- Może jednak powinienes dopilnować tego, aby twoje szczury walczyły lepiej - powiedział chłodno Pook, a Rassiter nie mógł zauważyć groźby w jego tonie. Skłonił się nisko i wybiegił z pokoju zatrzasnąjąc drzwi za sobą.

Nawet mistrz gildii nie mógł obarczać szczurołaków pełną odpowiedzialnością za obecne niepowodzenie.

\* 266 «

KLEJNOT HALFUNGA

- Wspaniale - mruknął, gdy Drizzt odparował dwa równocześnie

sne ciosy i zabił dwa szczurołaki pojedynczymi, lecz w tajemniczy sposób bliźniaczymi ciosami. - Nigdy nie widziałem takiego wdzięku we władaniu ostrzem. Przerwał na chwilę, aby rozważyć tę myśl. - Może raz.

Zaskoczony tym Pook spojrział na LaValle'a, który skinął głową zgadzając się.

- Entreri - wtrącił LaValle. - Podobieństwo jest wyjątkowe. Teraz wiemy, dlaczego morderca ściągnął tę grupę na południe.

- Aby walczyć z drowem? - zadumał się Pook. - W końcu znalazł kogoś równego sobie?

- Tak się wydaje.

- Ale gdzie on jest? Dlaczego się nie pokazuje?

- Może już się pokazał - odparł ponuro LaValle.

Pook przerwał na dłuższą chwilę, aby rozważyć te słowa; były dla niego zbyt niewiarygodne, aby mógł w nie uwierzyć.

- Entreri pokonany? - sapnął. - Entreri martwy?

Słowa te brzmiały dla Regisa jak słodka muzyka, przyglądającemu się z przerażeniem rywalizacji między mordercą Drizztem od samego początku. Przez cały czas Regis spodziewał się, że dojdzie między nimi do pojedynku, z którego tylko jeden z nich wyjdzie z życiem. I przez cały czas halfling obawiał się o swego przyjaciela, drowa.

Myśl, że nie ma już Entreriego postawiła przed Pashą Pookiem trwającą walkę w nowej perspektywie. Nagle znów potrzebował Rassitera i jego kohort, nagle rzeź, której przyglądał się przez Pierścień Tarosa, nabrała nowego znaczenia dla bezpośredniej siły jego gildii. Zerwał się z krzesła i poszedł do urządzenia zła.

- Musimy to powstrzymać - warknął do LaValle'a. - Odeślij ich w ciemne miejsce!

Czarnoksiężnik uśmiechnął się złośliwie i poszedł, aby przynieść ogromną księgę oprawioną w czarną skórę. Otworzywszy ją na zaznaczonej stronie LaValle poszedł przed Pierścień Tarosa i zaczął początkowe zaśpiewy złowróznej inkantacji.

\* \* \*

Bruenor wypadł pierwszy z pokoju, szukając prawdopodobnej drogi do Regisa i następnych szczurołaków, których mógłby

\* 267 \*

## R. A. SALVATORE

ściąć. Przebiegł jak burza przez krótki korytarz i jednym kopnikiem otworzył drzwi, znajdując nie szczurołaków, lecz dwu bardzo zaskoczonych złodziei - ludzi. Mając jakąś dozę lito w swym stwardniałym w walkach sercu - mimo wszystko był intruzem - Bruenor powstrzymał swą wymachującą toporem r- i tarczą powalił oba rzeźmieszki na ziemię. Wypadł po" z powrotem na korytarz i dołączył do pozostałych towarzyszy.

- Uważaj z prawej! - krzyknęła Catti-brie, zauważywszy jej ruch za kilimami w przodzie, obok Wulfgara. Barbarzyńca zdarł cięki kilim jednym pociągnięciem, ujawniając drobnego człowieczka tylko nieco wyższego od halflinga, przykucniętego i gotowego ucieczki. Odsłonięty mały złodziej szybko stracił serce do walki i 1 wzruszył w usprawiedliwieniu ramionami, gdy Wulfgar odtrącił bok jego mały sztylet. Wulfgar chwycił kurdupła za kark, podniósł w powietrze i przycisnął swój nos do nosa złodzieja.

- Czym jesteś? - warknął. - Człowiekiem czy szczurem?

- Nie szczurem! - wrzasnął przerażony złodziej. Splunął ziemię dla podkreślenia swych słów. - Nie szczurem!



- Regis? - zapytał Wulfgar. - Znasz go?

Złodziej pospiesznie pokiwał głową.

- Gdzie mogę znaleźć Regisa? - ryknął Wulfgar, sprawiaj że z twarzy złodzieja odpłynęła cała krew.

- Na górze - zapiszczał człowieczek. - W pokojach Poo\* Cały czas w górę.

Działając tylko pod wpływem instynktu przeżycia i nie eh; niczego innego, jak tylko uwolnić się od potwornego barba cy, złodziej sięgnął jedną ręką po ukryty sztylet, zatknięty za \ sem na plecach. To był zły pomysł.

Drizzt uderzył płazem sejmityra w ramię złodzieja, zwracaj Wulfgarowi uwagę na ten ruch.

Wulfgar użył człowieczka otworzenia następnych drzwi.

Pościg rozpoczął się ponownie. Szczurołaki rozbiegły w cienie po bokach czworga przyjaciół, lecz kilku stanęło z \ twarząw twarz. Ci, którzy nawinęli się im po drodze, znaleźli tam częściej przypadkiem niż celowo.

Roztrzaskano następne drzwi, opustoszały dalsze pokoje i 1 minut później ukazały się schody.

Szerokie, wyłożone dywys

\* 268 \*

#### KLEJNOT HALFUNGA

z rzeźbioną balustradą z lśniącego drewna, mogły tylko prowadzić do pokojów Pashy Pooka.

Bruenor ryknął radośnie i wbiegł na nie. Wulfgar i Catti-brie pospieszyli za nim. Drizzt zawahał się i rozejrzał dokoła, nagle przestraszony. Drowy były z natury czuły na magię, a Drizzt czuł teraz dziwne i niebezpieczne mrowienie, początek wycelowanego w niego zaklęcia. Zobaczył, że ściany i podłoga wokół niego nagle zachwiały się, jakby stały się mniej solidne. Nagle zrozumiał. Już wcześniej wędrował przez Plany Istnienia, jako towarzysz Guenhwyvar, swego magicznego kota i teraz wiedział, że ktoś lub coś wyciąga go z jego miejsca na Pierwszym Planie Materialnym. Spojrzał przed siebie i zobaczył Bruenora i pozostałych podobnie zmieszanych.

- Chwyćcie się za ręce! - krzyknął drów, biegnąc, aby dołączyć do przyjaciół, zanim zaklęcie zabierze ich wszystkich.

\* \* \*

Regis przyglądał się w bezsilnym przerażeniu, jak jego przyjaciele skupili się razem. Nagle scena w pętli Tarosa zmieniła się. Znikły niższe piętra domu gildii, ukazało się ciemne miejsce, miejsce dymu i cieni, duchów i demonów.

Miejsce, gdzie nie świeciło słońce.

-Nie! -krzyknął halfling, zorientowawszy się w zamiarach czarnoksiężnika. LaValle nie zwrócił nań uwagi, a Pook tylko parsknął. W kilka sekund później Regis znów zobaczył swoich przyjaciół, tym razem w wirującym dymie ciemnego planu.

Pook oparł się ciężko na swym kiju i roześmiał się.

- Jak bardzo lubię zawiedzione nadzieje! - powiedział do czar noksiężnika. - Jeszcze raz wykazałeś swą nieocenioną wartość dla mnie, mój drogi LaValle!

Regis przyglądał się, jak jego przyjaciele stanęli do siebie plecami w żalosej próbie obrony. Ciemne postacie kręciły się już wokół nich lub górowały nad nimi - istoty wielkiej mocy i wielkiego zła.

Regis opuścił oczy, nie mogąc na to patrzeć.

- Och, nie odwracaj oczu, mały złodziejaszku - roześmiał się

Pook. - Przyglądaj się jak umierają i bądź szczęśliwy, gdyż za-

9 2699

R. A. SALVATORE

pewniam cię, że ból jaki będą cierpieć nie może być poro z męczarniami, jakie przewidziałem dla ciebie.

Regis, nienawidząc tego człowieka i nienawidząc siebie to, że wtrącił swych przyjaciół w takie opał, spojrział wście na Pooka. Przyszli tu dla niego. Przemierzali świat dla nie Walczyli z Artemisem Entrerim i tłumami szczurołakó a prawdopodobnie i z innymi przeciwnikami.

Wszystko to' bili dla niego.

- Niech cię szlag trafi - splunął Regis, nagle już się nie ł» Ześliznął się i ugryzł mocno eunucha w wewnętrzną stronę Olbrzym wrzasnął z bólu i rozluźnił swój chwyt, rzucając Re na podłogę.

Halfling zaczął uciekać. Przebiegł przed Pooki kopnąwszy w kij, którym podpierał się mistrz gildii, zanu jednocześnie głęboko rękę w kieszeni Pooka, aby wyjąć z -pewną statuetkę. Potem podbiegł do LaValle'a.

Czarnoksiężnik miał więcej czasu na reakcję i zaczął już cać szybkie zakłęcie, lecz halfling okazał się szybszy. Pc czył i wsadził dwa palce w oczy LaValle'a, przerywając ' cie, aż czarnoksiężnik zatoczył się do tyłu. Gdy czarnoksi<sup>^</sup> walczył o utrzymanie równowagi, Regis wyrwał mu zakończ perłaberło i podbiegł do Pierścienia Tarosa. Po raz ostatni i rżał się po pokoju, zastanawiając się, czy nie mógłby znale. twiejszej drogi.

W całym obrazie dominował Pook. Z twarzą nabiegłą\* i wykrzywioną wściekłości mistrz gildii dochodził do sieŁ ataku i teraz kręcił swym kijem jak bronią którą Regis z wiadczenia znał j ako śmiertelną.

- Proszę, daj mi go -wyszeptał Regis do jakiegokolwiek" który mógł go słyszeć. Zacisnął zęby i pochylił głowę, i się w przód, z wyciągniętym przed sobąaberłem, w Pierści rosa.

SzczeLft>A

Dym, wydobywający się dokładnie z gruntu, na którym stali, snuł się posepnie i kłębił wokół ich stóp. Przy zmianach jego kierunku i sposobie, w jaki odpływał tylko na stopę lub dwie w jedną czy drugą stronę, po to tylko, by wznieść się następną chmurą, przyjaciele rozpoznali, że znajdują się na wąskiej półce - moście, prowadzącym przez jakąś nieskończoną rozpadlinę.

Podobne mosty, nie więcej niż na kilka stóp szerokie, łączyły oba brzegi szczeliny przed i za nimi i jak mogli spostrzec, były jedynymi drogami na całym planie. W żadnym kierunku nie było widać jakiegoś stałego gruntu, tylko skręcające się spiralne mosty.

Ruchy przyjaciół były powolne, senne, walczyli z ciężarem powietrza. Samo to miejsce, ciemny, przygniatający świat smrodów i pełnych boleści krzyków, ziało złem. Wstrętne, niekształtne potwory krążyły nad ich głowami i wokół nich w ciemnej pustce, krzycząc radośnie na niespodziewane pojawienie się tak smakowitych kęsów. Czwooro przyjaciół, tak niepokromionych wobec niebezpieczeństw swego świata, stwierdziło, że zabrakło im odwagi.

- Dziewięć Otchłani? - szepnęła Catti-brie słabym głosem, bojąc się, że jej słowa mogą zburzyć chwilowy bezruch gromadzących się jestestw we wszechobecnych cieniach.

- Hades - domyślił się Drizzt, więcej wiedzący o znanych planach. - Domena Chaosu. - Choć stał tuż obok swych przyj a-ciół> jego słowa dobiegły jakby z daleka, podobnie jak słowa Catti-brie.

Bruenor już miał zamiar warknąć coś w odpowiedzi, lecz jego itos ucichł, gdy spojrział na Catti-brie i Wulfgara, swe dzieci - za

\* 270 \*

◆ 271 \*

R. A. SALVATORE

takie ich przynajmniej uważał. Teraz nic nie mógł zrobić, aby i pomóc. Wulfgar spojrział na Drizzta, poszukując odpowiedzi.

- Jak możemy stąd uciec? - zapytał bez ogródek. - Są tu ja drzwi? Okno prowadzące na nasz świat?

Drizzt potrząsnął głową. Chciał ich uspokoić, podnieść na chu w obliczu niebezpieczeństwa, tym razem jednak drów nie odpowiedzi. Nie widział ucieczki ani nadziei na nią.

Stworzenie o skrzydłach nietoperza, podobne do psa, j o twarzy groteskowo nieomylnie ludzkiej, zanurkowało na W" fgara, chwytając ramiona barbarzyńcy brudnym szponem.

- Padnij! - wrzasnęła Catti-brie do Wulfgara w ostatniej eh" li. Barbarzyńca nie kwestionował rozkazu. Upadł na twarz, a st chybił celu. Zatoczył krąg i zawisnął w miejscu na ułamek kundy, a potem nadleciał znowu, głodny żywego ciała. Catti-u była już jednak gotowa i gdy potwór zbliżył się do grupy,1 ściła strzałę. Wyleciała leniwie w stronę potwora, ciągnąc za s mętny, szary ślad zamiast, jak zwykle, srebrnego. Magiczna st uderzyła jednak ze zwykłą siłą, wypalając dziurę w psim fir\* i wytrącając potwora z równowagi w locie. Przetoczył się tuż nimi, usiłując wyprostować swój lot, lecz Bruenor ciał go : toporem, zwalając w dół, w ciemność pod nimi. Przyjaciele mogli cieszyć się zbytnio tym małym zwycięstwem. Setki pod nych bestii przemykały się nad, pod i po bokach, wiele z i było dziesięć razy większych od tego, którego stracili Brua i Catti-brie.

- Nie możemy tu zostać - mruknął Bruenor. - Dokąd pójć my, elfie?

Drizzt byłby zadowolony, gdyby mógł zostać tu gdzie) teraz, lecz wiedział, że odejście stąd uspokoi jego przyja i da im przynajmniej poczucie, że robią jakiś postęp Wiwiązaniu tego dylematu. Tylko drów rozumiał głębiej przed jaką teraz stanęli. Tylko Drizzt wiedział o tym, że kądkolwiek pójdą sytuacja będzie taka sama: brak możli ści ucieczki.

- Tędy - powiedział po chwili udawanego namysłu. - Jeśli, są drzwi, to czuje, że właśnie w tym kierunku. Zrobił krok\*

KLEJNOT HALFLINGA

wąskim moście, lecz zatrzymał się nagle, gdy przed nim uniósł się i zawirował dym. Potem przed nim pojawiło się coś.

Kształtem przypominało człowieka, wysokie i szczupłe, z bulwiastą, podobną do żabiej głową i trójpalczastymi, zakończonymi szponami palcami. Wyższe nawet od Wulfgara, górowało nad Drizztem.

- Chaos, mroczny elfie? -wyseplenilo gardłowym, obcym głó sem. - Hades?

W ręku Drizzta zajaśniał Błysk, jego drugie ostrze, wykute w magii lodu, prawie rzuciło się na potwora.

- Mylisz się - zakrakał stwór. Bruenor podbiegł do Drizzta.

- Cofnij się, demonie -warknął.

- To nie demon - powiedział Drizzt, rozumiejąc odniesienia stwora i przypominając sobie wiele z lekcji, na których się uczył o Planach

w czasie lat spędzonych w mieście drowów. - Demodand.

Bruenor popatrzył na niego z zainteresowaniem. -1 nie Hades - wyjaśnił Drizzt. - Tartar.

- Dobrze, mroczny elfie - zakrzakał demodand. - Twój lud zna niższe plany.

- Więc także rozumiesz moc, jaką posiada mój lud - blefował Drizzt. -1 wiesz, w jaki sposób odpłacamy nawet lordom demonów, gdy staną na naszej drodze.

Demodand roześmiał się, jeśli w ogóle można było to nazwać śmiechem, gdyż brzmiało to bardziej jak zamierający gulgot topiącego się człowieka.

- Martwy drów się nie mści. Jesteś daleko od domu! - wyciągnął leniwie rękę w stronę Drizzta.

Bruenor rzucił się obok swego przyjaciela.

- Moradin! - krzyknął i machnął swym mithrilowym toporem w stronę demodanda. Demodand był j ednak szybszy, niż krasno lud się tego spodziewał i z łatwością uchylił się przed ciosem, odpowiadając uderzeniem swego ramienia, które wysłało Bruenora ślizgającego się na twarzy w odległą część mostu.

Demodand sięgnął szponem po przejeżdżającego krasnoluda. Błysk przeciął rękę demodanda na połowę, zanim dosięgła Bruenora. Demodand zwrócił się do Drizzta zdumiony.

\* 272 «

◆ 273 «

R. A. SALVATORE

- Zraniłeś mnie, mroczny elfie - zakrzakał, choć w jego głosie nie słyhać było bólu. -Niestety jednak musisz się poprawić! -r wyciągnął zranioną rękę w stronę Drizzta, a gdy ten odruchowo uchylił się przed nią, demodand wyciągnął drugą, aby dokończyła zadanie pierwszej, wyorując potrójną linię w ramieniu rozciągniętego krasnoluda.

-Niech to cholera! -ryknął Bruenor, podnosząc się na kolana. - Ty brudny, oślizgły... - mruknął robiąc unik przed drugim nieskutecznym atakiem.

Tuż za Drizztem balansowała Catti-brie, przykuciała usiłując uzyskać czysty strzał z Taulmarila. Obok niej Wulfgar stał w pogotowiu, nie mając miejsca na wąskim moście, aby móc przedostać się obok drowa.

Drizzt poruszał się w ślimaczym tempie, jego sejmitary niezdarnie skręcały się w niepewnych sekwencjach. Może spowodowane to było zmęczeniem po całonocnej walce lub niezwy- >< kłym ciężarem powietrza na tym planie, ale Catti-brie, spoglądając nań z ciekawością, nigdy nie widziała drowa tak zniechęconego w swych wysiłkach. Dalej, na moście, ciągle na kolanach Bruenor wymachiwał toporem bardziej z frustracji, niż ze swej zwykłej żądzy walki.

Catti-brie już wiedziała. To nie było zmęczenie, czy też ciężar powietrza. Jej przyjaciele stracili całą nadzieję. Spojrzała na Wulfgara, aby prosić go o interwencję, lecz wygląd barbarzyńcy, stojącego obok niej nie uspokoił jej. Jego zranione ramię zwisało bezwładnie przy boku, a ciężka głowica Aegis-fan-ga opadła poniżej nisko snującego się dymu. Ile jeszcze walk go czeka? Ilu jeszcze z tych wstrętnych demodandów będzie zdolny pokonać, zanim znajdzie swój koniec? A jaki koniec może przynieść zwycięstwo na planie nie kończących się walk? Zastanawiała się Catti-brie.

Drizzt najostrzej odczuwał rozpacz. W czasie wszystkich prób, jakie przechodził w swym

twardym życiu, drów wierzył w ostateczną sprawiedliwość. Wierzył, choć nigdy nie odważył się do tego przyznać, że jego niezłomna wiara w cenne zasady, przyniesie mu nagrodę, jakiej oczekiwał. A teraz nade- 't szło to, walka, która zakończyć się mogła tylko śmiercią; miej- h 9 274 \*

## KLEJNOT HALFUNGA

sce, gdzie jedno zwycięstwo przynieść mogło tylko dalsze konflikty.

- Do cholery z tym wszystkim! - krzyknęła Catti-brie. Nie miała pewnego strzału, lecz mimo to wystrzeliła. Jej strzała przecięła krwawą linią ramię Drizzta, lecz eksplodowała w demodandzie, przewracając go i dając Bruenorowi szansę przedostania się do Drizzta.

- Straciłeś swą walkę? - nachmurzyła się Catti-brie.

- Spokojnie, dziewczyno - odparł posępnie Bruenor, tnąc toporem nisko w kolana demodanda. Stwórprzeskoczył nad ostrzem i ruszył do następnego ataku, który odparował Drizzt.

- Sam się uspokój, Bruenorze Battlehammerze! - krzyknęła Catti-brie. - Nazwałeś się królem swego klanu. Ha! Garumn prze wróciłby się w grobie widząc, że tak walczysz!

Bruenor spojrział wściekle na Catti-brie, miał zbyt ściśnięte gardło, by jej odpowiedzieć. Drizzt próbował się uśmiechnąć. Wiedział co ta młoda, ta cudowna młoda kobieta chce osiągnąć. Lawendowe oczy rozbłysły wewnętrznym ogniem.

- Idź do Wulfgara - powiedział do Bruenora. - Chroń jego tyły i uważaj na ataki z góry.

Drizzt spojrział na demodanda, który zauważył nagłą zmianę w jego zachowaniu.

- Chodź, farastu - powiedział spokojnie drów, przypomniawszy sobie nazwę nadawaną temu właśnie rodzajowi stworów.

- Farastu - szydził - najpodlejszy z gatunków demodandów. - Chodź, poczujesz cięcia ostrzy drowa.

Bruenor cofnął się od Drizzta, prawie się śmiejąc. Część jego istoty chciałapowiedzieć: „O co chodzi”, lecz większa część, strona, którą obudziła Catti-brie swym gryzącym przytykiem do jego dumnej historii, mówiła co innego.

- Chodź więc i walcz! - ryknął w cieniu niezgłębionej szczeliny. - Mamy dość sił na cały wasz przekłety świat!

W jednej chwili Drizzt przejął inicjatywę. Jego ruchy pozostały powolne pod działaniem ciężaru planu, lecz były nie mniej wspaniałe, niż w ich świecie. Robił zwody i ciał, rąbał i parował ciosy, harmonijnie stosując się do każdego ruchu wykonywanego przez demodanda. Wulfgar i Bruenor instynktownie ruszyli mu na po-

\*275«

## R. A. SALVATORE

moc, lecz zatrzymali się, żeby lepiej przyjrzeć się przedstawieniu;, Catti-brie nie patrzyła, strzelając z łuku w każdą wstrętą postaci] wynurzającą się z zalegającego dymu. Spojrzała tylko na ciało spa^ dające właśnie z ciemności wysoko w górze. W ostatniej chwili; odsunęła Taulmaril w całkowitym zaskoczeniu.

-Regis!-krzyknęła. V

Halfling zakończył swe spadanie, siadając z miękkim plaśnięciem w dymie na drugim moście, o kilkanaście jardów od swych; przyjaciół. Wstał i usiłował utrzymać się na nogach mimo fal zawrotów głowy i dezorientacji.

- Regis! - krzyknęła znowu Catti-brie. - Jak się tu dostałeś?

- Widziałem was w tej przerażającej pętli - wyjaśnił halfling. - Pomyślałem, że możecie potrzebować mojej pomocy.

-Ba! Bardziej niż twego przybycia tutaj, Pasibrzuchu- odparł Bruenor.

-I mnie jest miło cię widzieć - odkrzyknął Regis. -Ale tym razem ja zem to ty się mylisz. Mam swój własny wybór. Podniósł zakończone t, perłą berło, aby mogli je dokładnie zobaczyć. - Aby ci to dać.

Bruenor był naprawdę szczęśliwy, widząc swego małego przyjaciela. Zanim Regis zdążył odeprzeć jego podejrzenia, przyznał się do błędu, skłoniwszy się nisko Regisowi. Broda zanurzyła się w wirującym dymie. Wzniósł się w górę następnym demodand, na tym samym moście co Regis. Halfling znów pokazał berło swym przyjaciołom.

- Weźcie to - prosił, przymierzając się do rzutu. - To wasza jedyna szansa na wydostanie się stąd! Opanował swe zdenerwowanie, tu w ogóle istniała tylko jedna szansa i rzucił berłem za całej siły. Poleciało wirując, hipnotyzująco powoli, w kierunku trzech par wyciągniętych rąk.

Nie mogło jednak przelecieć wystarczająco szybko przez ciężkie powietrze i utraciło szybkość tuż przed mostem.

- Nie! - krzyknął Bruenor, widząc, jak ich nadzieje spadają w dół.

Catti-brie warknęła chcąc zaprzeczyć temu, rozpięła pas i odrzuciła Taulmaril jednym ruchem. Skoczyła za berłem.

Bruenor rzucił się desperacko na płask, aby chwycić ją za kostki, lecz była już zbyt daleko.

Wyraz zadowolenia pojawił się na

\*276«

## KLEJNOT HALFIJNGA

jej twarzy, gdy chwyciła berło. Przekreśliła się w powietrzu i rzuciła je w ręce czekającego Bruenora, a potem zniknęła z pola widzenia bez słowa skargi.

\* \* \* LaValle badał zwierciadło drżącymi rękoma. Obraz przyjaciół i plan Tartaru zniknął w ciemnej mgłę, gdy Regis przeskoczył przez nie z berłem. Lecz teraz to było najmniejszym zmartwieniem czarnoksiężnika. Cienka szczelina, widoczna tylko przy dokładnym badaniu, powoli posuwała się w kierunku środka Pierścienia Tarosa. Rzucił się na Pooka i wyrwał mu kij. Zbyt zaskoczony, aby odepchnąć czarnoksiężnika Pook oddał laskę i cofnął się o krok.

LaValle rzucił się znów ku lustru.

- Musimy zniszczyć jego magię! - wrzasnął i uderzył laską w szklisty obraz.

Drewniany kij pod działaniem siły urządzenia rozleciał się w jego rękach na kawałki, a sam LaValle został odrzucony przez cały pokój. - Rozbij to! Rozbij to! - błagał Pooka, jego głos przeszedł w żalony jęk.

- Sprowadź z powrotem halflinga! - odparł Pook, bardziej zatroskany Regisem i statuetką.

- Nic nie rozumiesz! - krzyknął LaValle. - Halfling ma berło!

Bramy nie można zamknąć z drugiej strony!

Wyraz twarzy Pooka zmienił się z zaciekawionego na zatroskany, gdy dotarł do niego ciężar

przerażenia czarnoksiężnika.

- Mój drogi LaValle - zaczął chłodno. - Czy ty chcesz mi powiedzieć, że z tych pokoi mamy otwartą bramę do Tartaru?

LaValle potulnie pokiwał głową.

- Rozbij to! Rozbij to! - wrzasnął Pook do stojącego obok niego eunucha. - Zrób tak, jak mówi czarnoksiężnik! Roztrzaskaj tę piekielną pętlę na kawałki!

Pook podniósł kawałek swej roztrzaskanej laski, bogato rzeźbionej laski wręczonej mu przez samego Pashę Calimshanu.

Poranne słońce widniało jeszcze nisko na wschodnim niebie, ale mistrz gildii już wcześniej wiedział, że nie będzie to dobry dzień.

9 277 9

\* \* \*

## R. A. SALVATORE

Drizzt, drząc z udreki i wściekłości rzucił się w stronę demodanda, jego każdy cios wymierzony był w krytyczny punkt bestii. Stwór, zwinny i doświadczony, zrobił unik przed początkowym atakiem, lecz nie mógł dotrzymać pola rozwścieczonemu drowowi. Błysk odciął blokujące ramię w łokciu, a drugie ostrze zagłębiło się w serce demodanda. Drizzt poczuł przepływ mocy przez swoje ramię, gdy jego sejmitar wyssał siły życiowe ze wstrętnego stwora, lecz drów posiadał własną siłę zawartą w jego gniewie.

Gdy stwór legł bez życia, Drizzt odwrócił się do swych towarzyszy.

- Ja nie... - wyjąkał Regis przez rozpadlinę. - Ona... ja...

Ani Bruenor, ani Wulfgar nie odpowiedzieli mu. Stali jak ska mieniali, patrząc w pustą ciemność w dole.

- Uciekaj! - zawołał Drizzt, widząc kolejnego demodanda, zbliżającego się od tyłu do halflinga. - Powinniśmy się dostać do ciebie!

Regis oderwał oczy od rozpadliny i rozejrzał się w sytuacji.

- Nie ma potrzeby! - odrzyknął. Wyciągnął statuetkę i podniósł jądo góry, aby Drizzt mógł ją zobaczyć. - Guenhwyvar mnie stąd zabierze, a przynajmniej kot może pomóc...

- Nie - przerwał mu Drizzt, wiedząc co mały chce zasugerować. - Wezwij panterę i znikaj!

- Spotkamy się znowu w lepszym miejscu - zaproponował Regis, pociągając nosem.

Położył statuetkę przed sobą i zawołał cicho.

Drizzt wziął berło od Bruenora i położył uspokajająco rękę na ramieniu przyjaciela. Potem przycisnął magiczny instrument do piersi, dostrajając swe myśli do jego magicznych emanacji. Domysły zyskały potwierdzenie, berło rzeczywiście było kluczem do bramy prowadzącej na ich plan, bramy, która jak czuł Drizzt, była ciągle otwarta. Podniósł Taulmaril i pas Catti-brie.

- Idziemy - powiedział do swych dwóch przyjaciół, ciągle patrząc w ciemność. Popchnął ich przez most delikatnie, lecz nie ustępliwie.

\* \* \*

Guenhwyvar wyczuła obecność Drizzta Do'Urdena, gdy znalazł się na planie Tartaru. Wielki kot ruszył z wahaniem, gdy Regis

## KLEJNOT HALFLINGA

wzwał go, aby go stąd zabrał, lecz teraz halfling posiadał statuetkę, a Guenhwyvar od dawna już

uważała halflinga za przyjaciela. Wkrótce Regis znalazł się w wirującym tunelu ciemności, dryfując w stronę odległego światła oznaczającego plan Guenhwyvar.

Nagle halfling zrozumiał swój błąd. Onyksowa statuetka, połączenie z Guenhwyvar, nadal leżała na zadymionym moście w Tartarze. Regis odwrócił się, walcząc z pchającymi go prądami tunelu planarnego. Zobaczył ciemność na jego końcu i mógł domyślić się ryzyka przejścia przez nią. Nie mógł pozostawić statuetki, nie tylko z obawy przed utratą swego wspianego, kociego przyjaciela, lecz przede wszystkim dlatego, że nie mógł znieść myśli, że któraś ze wstrętnych bestii z niższych planów mogłaby przejąć kontrolę nad Guenhwyvar. Odważnie wsadził swą trójpalczastą dłoń przez bramę. Wszystkie jego zmysły pomieszały się. Przytłaczający wybuch sygnałów i obrazów z dwu planów zalał go oszalamiającą falą. Zablokował je, używając swej dłoni jako punktu skupienia i koncentrując wszystkie swe myśli i całą energię na odczuciach tej dłoni.

Nagle jego ręka natrafiła na coś twardego, coś żywo rzeczywistego. Oparło się jego szarpnięciu, jakby nie miało zamiaru przejść przez taką bramę. Wyciągnął się teraz, jego nogi trzymane były przez nieustanne przyciąganie tunelu, zaś ręka uparcie ścisnęła statuetkę, której nie chciał zostawić. Końcowym szarpnięciem, z całą siłą jaką mały halfling mógł zebrać - i jeszcze trochę większą - przeciągnął statuetkę przez bramę. Gładka jazda przez tunel planarny zamieniła się w koszmarne obijanie się i podskakiwanie, gdy Regis toczył się wśród skręcających się ścian, które jakby chciały udaremnić mu przejście. Przez cały czas myślał tylko o jednym; nie wypuścić z ręki statuetki.

Czuł, że z pewnością powinien umrzeć. Nie mógł przeżyć tego obijania się, przyprawiającego o zawroty głowy wirowania. Niespodziewanie to wszystko się skończyło tak nagle, jak się zaczęło i Regis, ciągle trzymając statuetkę, siedział obok Guenhwyvar, oparty o astralne drzewo. Zamrugał oczyma i rozejrzał się, nie mogąc uwierzyć swemu szczęściu.

9 278 \*

9 279 «

R. A. SALVATORE

-Nie martw się - powiedział do pantery. - Twój pan i pozostali wrócą do swego świata. - Spojrzał na statuetkę, jego jedyne połączenie z Pierwszym Planem Materialnym. -Ale jak jato zrobię? Podczas gdy Regis pograżał się w rozpacz, Guenhwyvar za\*-' reagowała inaczej. Pantera zatoczyła całkowity krąg iryknętej potężnie w gwiezdnapustkę planu. Regis przyglądał się zdumio\*. ny reakcją, gdy Guenhwyvar podskoczyła i ryknęła znowu," a chwilę potem skoczyła w astralnąnicność. Regis, bardziej zbity? z tropu, niż kiedykolwiek, spojrział na statuetkę. W tej chwili jedna myśl, jedna nadzieja odsunęła wszystko inne.

Guenhwyvar wiedziała o czymś.

\* \* \*

Drizzt prowadził pospiesznie dwoje pozostałych przyjaciół,, ścinając wszystko, co tylko ośmieliło się pojawić na ich drodze. Bruenor i Wulfgar walczyli dziko, sądząc, że drów prowadzi ich' do Catti-brie. Most piął się skrętami i zakosami i gdy Bruenor v stwierdził, że się wznosi, stawał się coraz bardziej zatroskany;; Chciał już zaprotestować, przypomnieć drowowi, że Catti-brie spadła w dół, lecz gdy obejrzał się zobaczył, że poziom, z którego;i wyruszyli jest wyraźnie nad nimi. Bruenor był krasnoludem przyzwyczajonym do pozbawionych światła tuneli i



nieomylnie mógł wyczuć najmniej szej zmiany poziomu. Szli w górę, teraz bardziej stromo niż uprzednio, zaś poziom, który pozostawiali za sobą: nadal wznosił się nad nimi.

- Jak to jest, elfie? - krzyknął. - Idziemy ciągle w górę, lecz oczy mi mówią, że idziemy w dół! Drizzt obejrzał się i szybko zrozumiał o czym mówi Bruenor. ] Drów nie miał czasu na filozoficzne rozważania, po prostu szedł \ za emanacjami berła, które z pewnością prowadziły ich do bra- \ my. Jednak przystanął na chwilę, aby rozważyć jedyny możliwy skręt w tym bezkierunkowym, najwidoczniej okrągłym planie. Przed nimi wyrósł następny demodand, lecz Wulfgar zmiotł go z mostu, zanim ten nawet zdążył uderzyć. Teraz barbarzyńcę prowadziła ślepa wściekłość, trzeci wybuch adrenaliny, nie pozwalający mu zważać na jego rany i słabość. Przystawał co kilka kroków, żeby się rozejrzeć, szukając czegoś wstrętnego, aby móc w to uderzyć, a potem podbiegał znów do przodu, obok Drizzta,

### KLEJNOT HALFUNGA

aby móc pierwszy uderzyć we wszystko, co próbowałyby zablokować im drogę. Nagle snujący się dym rozdzielił się przed nimi i zobaczyli oświetlony obraz, zamazany lecz wyraźny - obraz ich własnego planu.

- Brama - powiedział Drizzt. - Berło trzymają otwartą. Bruenor przejdzie przez nią pierwszy.

Bruenor spojrział na Drizzta zdumiony.

- Wyjść stąd? - zapytał prawie bez tchu. - Jak możesz żądać, żebym stąd odszedł, elfie? Moja dziewczyna jest tutaj.

- Ona zginęła, mój przyjacielu - powiedział cicho Drizzt.

- Ba! - parsknął Bruenor, choć zabrzmiało to bardziej jak pociągnięcie nosem. - Nie bądź taki szybki w wygłaszaniu takich stwierdzeń.

Drizzt spojrział na niego ze szczerym współczuciem, lecz nie zmienił zdania.

-A jeśli ona zginęła, ja także tu zostanę - oznajmił Bruenor. -Po to, aby znaleźć jej ciało i wynieść je z tego wiekiustego piekła!

Drizzt chwycił krasnoluda za ramiona i odwrócił go twarządo siebie.

- Wracaj Bruenorze tam, gdzie jest miejsce nas wszystkich -powiedział. - Nie umniejszaj ofiary, jaką złożyła dla nas Catti-brie. Nie myśl o jej śmierci.

- Jak możesz żądać ode mnie tego, abym stąd odszedł? - powiedział Bruenor pociągając nosem. W kącikach jego szarych oczu pojawiły się łzy. - Jak możesz...

- Nie myśl o tym co minęło - powiedział ostro Drizzt. - Za bramąjest czarnoksiężnik, który nas tu wysłał, czarnoksiężnik, który wysłał tu Catti-brie!

To było wszystko, czego Bruenor Battlehammer potrzebował w takiej chwili. W jego oczach łzy zostały zastąpione przez ogień i z rykiem wściekłości, z toporem uniesionym przed sobą zanurkował przez bramę.

- Teraz... - zaczął Drizzt, lecz Wulfgar przerwał mu.

- Idź, Drizzcie - odparł barbarzyńca. - Pomścij Catti-brie i Regisa. Zakończ poszukiwanie, które razem rozpoczęliśmy. Jeśli o mnie chodzi, to nie spocznę. Moja pustka się nie skończy.

\* 280 «

\* 281 \*

R. A. SALVATORE

## KLEJNOT HALFUNGA

- Ona zginęła - powtórzył Drizzt.

Wulfgar pokiwał głową.

- Tak jak ja - powiedział cicho.

Drizzt szukał jakiegoś sposobu odparcia tego argumentu, lecz żal Wulfgara naprawdę wydawał się zbyt głęboki, aby kiedykolwiek mógł się z niego otrząsnąć. Nagle Wulfgar strzelił oczyma, jego usta otworzyły się w pełnym przerażenia - i podniecenia - niedowierzaniu. Drizzt odwrócił się, nie tak zaskoczony, lecz przygnieciony widokiem rozpościerającym się przed nim.

Catti-brie opadła bezwładnie z ciemnego nieba nad nimi.

To był okrągły plan.

Wulfgar i Drizzt oparli się o siebie. Nie mogli stwierdzić, czy Catti-brie żyje, czy nie. Była ciężko ranna, ale gdy tak się jej przyglądali, skrzydlaty demodand ześliznął się w dół i chwycił ją za nogę potężnymi szponami. Zanim w umyśle Wulfgara zdążyła powstać jakaś przytomna myśl, Drizzt napiął Taulmarila i wysłał srebrną strzałę. Uderzyła w skroń demodanda, pozbawiając go życia, w chwili, gdy stwór akurat chwycił młodą kobietę.

- Dalej! - wrzasnął Wulfgar do Drizzta, robiąc krok ku niemu.

- Teraz widzę swój cel! Wiem, co muszę zrobić!

Drizzt miał inny pomysł. Włożył stopę między nogi Wulfgara i przewrócił się, wbijając drugą stopę pod kolana barbarzyńcy, popychając go w stronę bramy. Wulfgar zrozumiał zamysł dro-wa natychmiast i gramolił się już, aby odzyskać równowagę. Drizzt był znowu szybszy. Koniuszek jego sejmityra wbił się pod kość policzkową Wulfgara, utrzymując jego kroki w pożądanym kierunku. Zbliżyli się do bramy i w chwili, gdy Drizzt zaczął podejrzewać barbarzyńcę o jakiś desperacki manewr oparł but na jego siedzeniu i pchnął go potężnie. Zdradzony Wulfgar wpadł do centralnej komnaty Pashy Pooka. Zignorował otoczenie, chwycił Pierścień Tarosa i potrząsnął nim z całej siły.

- Zdrajco! - wrzasnął. - Nigdy ci tego nie zapomnę, przeklęty drowie!

- Zajmij swoje miejsce! - odrzyknął Drizzt przez plany. - Tylko Wulfgar ma siłę utrzymać bramę otwartą i bezpieczną. Tylko Wulfgar! Trzymaj ją, synu Beornegara. Jeśli zależy ci na

\* 282 \*

Drizzcie Do'Urdenie i jeśli kiedykolwiek kochałeś Catti-brie, trzymaj bramę!

Drizzt mógł się tylko modlić, że apeluje do tej małej części rozważli, która jeszcze istniała w głowie rozwścieczonego barbarzyńcy. Drów odwrócił się od bramy, włożył berło za pas i przewiesił Taulmaril przez ramię. Catti-brie była teraz pod nim, nadal leżąc bez ruchu.

Drizzt wyciągnął swe oba sejmityry. Zastanowił się, ile czasu zajmie mu przeciągnięcie Catti-brie do mostu i znalezienie z powrotem drogi do bramy? Lub czy on także zostanie pochwycony przez nieskończoność, skazany, zginie? Jak długo Wulfgar utrzyma bramę otwartą?

Odsunął te pytania. Nie miał czasu na zastanawianie się nad odpowiedziami. Ognie błyszczały w lawendowych oczach. Błysk jaśniał w jednej ręce, czuł ponaglenie drugiego ostrza, proszącego, aby mogło się wbić w serce jakiegoś demodanda.

Zcałą odwagą, cechującą egzystencję Drizzta Do'Urdena, krążącą w jego żyłach i z potężną furią odczuwanej niesprawiedliwości, jaka spotkała tę piękną kobietę w beznadziejnej pustce,

zanurkował w ciemność.

\* 283 ♦

\* 23 \*

jeśli KfeoyKoUuteK KocbAteś

Bruenor wpadł do komnat Pashy Pooka, klnąc i wymachując toporem i w chwili, gdy wytracał swój pęd, znalazł się w pokoju po drugiej stronie od Pierścienia Tarosa i od dwóch eunuchów, ' olbrzymów ze wzgórz, stanowiących straż Pooka. Mistrz gildii , był najbliżej rozwścieczonego krasnoluda, patrząc na niego bardziej z zaciekawieniem, niż ze strachem. Bruenor nie zwracał jednak uwagi na Pooka. Patrzył na tłuszciocha, na odzianą w szaty postać siedzącą pod ścianą, na czarnoksiężnika, który wygonił [ Catti-brie do Tartaru. Zobaczywszy morderczą nienawiść w oczach rudobrodego krasnoluda, LaValle skoczył na równe nogi \ i wbiegł przez drzwi do swego pokoju. Jego mocno bijące serce uspokoiło się, gdy usłyszał za sobą zatrzaśnięcie się drzwi, gdyż były to magiczne drzwi z kilkoma zakłęciami zamykającymi i ostrzegającymi. Był bezpieczny - a przynajmniej tak sądził.

Czarnoksiężnicy często bywają zaślepieni swą własną znaczną mocą, nie pozwalającą zobaczyć im innych form potęgi - może mniej pokrętnych, lecz równie silnych. LaValle nie mógł wiedzieć o wrzącym kotle, jakim był teraz Bruenor Battlehammer nie mógł spodziewać się brutalności rozżłoszczonego krasnoluda. Zaskoczenie nie było zupełne, gdy mithrilowy topór jak piorun roztrzaskał jego

chronione magią drzwi i dziki krasnolud wpadł do pokoju.

\* ♦ \*

Wulfgar, niepomny na otoczenie i chcący wrócić tylko do Tartaru i Catti-brie, przeszedł przez Pierścień Tarosa w chwili, gdy Bruenor opuścił komnatę. Jednak wołania Drizzta przez plany,

\* 284 \*

## KLEJNOT HALFUNGA

blagającego go, aby trzymał bramę otwartą, nie mógł zignorować. Barbarzyńca czuł jednak w tej chwili - dla Catti-brie czy Drizzta - że nie mógł zaprzeczyć, że jego miejscem jest pilnowanie lustra. W jego sercu płonął obraz Catti-brie, spadającej w wiecznej ciemności tego przerażającego miejsca, i chciałby przeskoczyć z powrotem przez Pierścień Tarosa i pospieszyć jej z pomocą. Zanim barbarzyńca zdecydował, czy iść za głosem serca czy umysłu, potężna pięść uderzyła go w skroń i powaliła na podłogę. Upadł twarzą w dół między nogami wielkimi jak pnie drzew dwu olbrzymów Pooka. To nie był najlepszy sposób na włączenie się do walki, lecz wściekłość Wulfgara była teraz nieco większa od wściekłości Bruenora.

Jeden z olbrzymów próbował postawić ciężką stopę na Wulfga-rze, lecz ten był zbyt zręczny na tak niezgrabny manewr. Wyskoczył do góry między eunuchami i uderzył jednego z nich w twarz swą potężną pięścią. Olbrzym popatrzył osłupiały na Wulfgara, nie mogąc uwierzyć, że człowiek może zadać taki cios, a potem odskoczył do tyłu i bezsilnie osunął się na podłogę. Wulfgar zwrócił się ku drugiemu, roztrzaskując mu nos ręką Aegis-fanga. Olbrzym złapał się za twarz oburącz i zatoczył się; dla niego walka zakończyła się. Wulfgar jednak nie tracił czasu na upewnianie się. Kopnął olbrzyma w pierś, odrzucając go na środek pokoju.

- Teraz pozostałem tylko ja - rozległ się głos. Wulfgar spoj rzał przez pokój ku olbrzymiemu krzesłu, służącemu za tron mi strzowi gildii i ku samemu Pashy Pookowi, stojącemu za nim.

Pook sięgnął za krzesło i wyciągnął dobrze ukrytą, ciężką kuszę, załadowaną i gotową do użycia.

- Mogę być gruby, jak ci dwaj - roześmiał się Pook. - Lecz

nie jestem tak głupi - oparł kuszę o krzesło.

Wulfgar rozejrział się. Był w sytuacji bez wyjścia, nie mając szans uchylić się przed strzałem.

Lecz może nie musiał tego robić?

Zacisnął szczęki i wypiął pierś.

-A więc strzelaj - powiedział bez zmrużenia oka, pukając się palcem w serce. - Zastrzel mnie - obejrzał się przez ramię, gdzie obraz w Pierścieniu Tarosa pokazywał teraz cienie gromadzących się demodandów. - Otworzysz wejście na plan Tartaru.

9 285\*

R. A. SALVATORE

KLEJNOT HALFUNGA

Pook zdjął palec z cyngla. Jeśli stwierdzenie Wulfgara zrobiło wrażenie, urzeczywistniło się w chwilę później, gdy szponiasta ręka demodanda sięgnęła przez bramę i zacisnęła się na ramieniu Wulfgara.

\* \* \*

Drizzt poruszał się jakby płynął w swym spadaniu przez ciemność, ruchy rak prowadziły go do Catti-brie. Był jednak odsłonięty i wiedział o tym. Tak, jak wiedział o tym skrzydlaty demodand, przyglądający się jego spadaniu. Wstrętny stwór zeskoczył ze swej grzędy, gdy tylko Drizzt przeleciał obok niego, machając skrzydłami, aby zyskać szybkość w locie nurkowym. Wkrótce dogonił drowa i wyciągnął swe ostre jak brzytwa szpony, żeby rozedrzeć go na kawałki. Drizzt zauważył bestię w ostatniej chwili. Wykręcił się dziko, usiłując zejść z drogi nurkującemu stworowi i szamocząc się, aby przygotować swe sejmitary. Nie powinien mieć szansy. To było środowisko demodandów, a były to uskrzydłone stworzenia, lepiej czujące się w locie niż na ziemi. Lecz Drizzt Do 'Urden nigdy nie tracił nadziei.

Demodand przeleciał obok, jego szpony wydarły następnądziurę w dobrym płaszczu Drizzta. Błysk, gotów jak zawsze, odciął jedno ze skrzydeł demodanda. Stwór zatrzepotał bezsilnie i spadał nadal koziółkując. Nie miał już serca do walki z drowem, ani i skrzydła. Drizzt nie zważał na niego. Jego celem było dotarcie do Catti-brie.

Chwycił Catti-brie w ramiona, przyciskając ją mocno do piersi. Była zimna, jak zauważył ponuro, lecz wiedział też, że za-brnął zbyt daleko, aby nawet myśleć o tym. Nie był nawet pewien, czy brama między planami jest nadal otwarta i nie miał pojęcia, jak może zatrzymać to nieskończone spадanie. Rozwiązanie nadeszło w postaci następnego skrzydlatego demodanda, przecinającego tor lotu jego i Catti-brie. Stwór nie miał zamiaru go atakować, był to tylko przelot; chciał przelecieć pod nimi, aby lepiej przyjrzeć się przeciwnikom. Drizzt nie stracił szansy. Gdy stwór przelatował pod nimi, mroczny elf rzucił się w dół, wyciągając do granic możliwości rękę z ostrzem. Nie zabijając, sejmi-tar trafił w cel, wbijając się w grzbiet stwora. Demodand ryknął i runął w dół, chcąc uwolnić się od ostrza. Jego ruch pociągnął za

\* 286 \*

sobą Drizzta i Catti-brie, zmieniając kąt ich spadku na tyle, że znaleźli się na równym poziomie z jednym z zadymionych mostów. Drizzt skręcał się i zwijszał chcąc utrzymać ich na poziomie, wyciągając swój płaszcz, aby pochwycić jak w żagiel prąd powietrza. W ostatniej chwili przesunął się pod Catti-brie, żeby uchronić ją od uderzenia. Z ciężkim łomotem i wybuchem

dymu wylądowali. Drizzt wypełził spod Catti-brie i ukląkł, usiłując złapać oddech. Catti-brie leżała pod nim, blada i poobijana, widoczne były tuziny ran, najgorsza była odniesiona w potyczce ze szczu-rołakami. Większość jej szat nasiąkła krwią, krew zlepiała jej włosy, lecz serce w Drizzcie nie opadło na ten przerażający widok, gdyż zauważył pewną oznakę życia, gdy spadali. Catti-brie jęknęła.

\* \* \*

LaValle gramolił się za małym stolikiem.

- Trzymaj się z dala ode mnie, krasnoludzie - ostrzegł. - Jestem czarnoksiężnikiem o wielkiej mocy!

Po Bruenorze nie było znać przerażenia. Ciął swym toporem przez stół i pokój wypełniła eksplozja dymu i iskier. Gdy LaValle w chwilę później odzyskał wzrok, stwierdził, że stoi twarzą w twarz z Bruenorem; z rąk i brody krasnoluda unosiły się smużki szarego dymu. Mały stół leżał połamany na podłodze, a kryształowa kula czarnoksiężnika rozłupana była na pół.

- Tylko tyle potrafisz? - zapytał Bruenor.

LaValle nie mógł wykrztusić słowa. Bruenor chciał go zabić, wbić swój topór dokładnie między krzaczaste brwi tego człowieka, lecz to właśnie Catti-brie, jego piękna córka nienawidziła zabijania z całego serca, jeśli miało ono oznaczać zemstę. Bruenor nie chciał splamić jej pamięci.

- Cholera! - jęknął, waląc czołem w twarz LaValle'a. Czar noksiężnik uderzył w ścianę i stał tam, oszołomiony i w bez ruchu, aż Bruenor chwycił go ręką za pierś, wydzierając przy okazji sporą garść włosów i rzucił twarzą o podłogę. - Moi przyjaciele mogą potrzebować twojej pomocy, czarnoksiężniku - warknął krasnolud - więc pełzaj. I wiedz, że jeśli zrobisz choć jeden ruch, który nie będzie mi się podobał, mój topór odetnie ci głowę!

9 287 9

R. A. SALVATORE

Na wpół świadomy LaValle z trudem słyszał słowa, lecz do^ skonałe wiedział, co krasnolud ma na myśli, i zmusił się do peł-" zania na czworakach.

Wulfgar oparł stopę o żelazną podstawę Pierścienia Tarosa^ i zacisnął swój żelazny chwyt na łokciu demodanda, opierając': się potężnemu ciągnięciu stwora. W drugiej ręce barbarzyńca trzy-' mał w pogotowiu Aegis-fang, nie chcąc jednak nim machnąć przez planarną>ramę, lecz mając nadzieję, że na tym świecie pojawi, się coś bardziej podatnego na zranienie, niż łokieć.

Szpony demodanda wyrwały głębokie rany w jego ramieniu, : brudne rany, które będą się długo goiły, lecz Wulfgar nie zważał „, na ból. Drizzt powiedział mu, aby trzymał bramę otwartą, jeśli ". kiedykolwiek kochał Catti-brie. Będzie trzymał bramę otwartą.

Minęła następna sekunda i Wulfgar zobaczył, że jego ręka ześlizguje się niebezpiecznie blisko bramy. Mógł dorównać siłą demodandowi, lecz siła demodanda była magiczna, nie fizyczna, a Wulfgar osłabł już dawno. Jeszcze cał, a jego ręka przejdzie i przez bramę do Tartaru, gdzie bez wątpienia czekają inne głodne •( demodandy. W umyśle Wulfgara zabłysło wspomnienie, ostatni obraz Catti-brie, pobitej i leżącej bez życia.

- Nie! - warknął, ciągnąc potężnie swą ręką, aż razem z demodandem znaleźli się na pozycjach wyjściowych. Nagle opuścił ramię, szarpnąwszy demodanda w dół.

Zadziałało. Demodand stracił równowagę i przewrócił się, jego głowa wychyliła się przez Pierścień Tarosa na Pierwszy Plan Materialny tylko na sekundę, lecz na wystarczającą, aby Aegis- \_ fang szybkim uderzeniem roztrzaskał j ego czaszkę.

Wulfgar cofnął się o krok i chwycił swój młot bojowy w obie ręce. Następny demodand chciał przejść przez bramę, lecz Wulfgar odrzucił go z powrotem do Tartaru kolejnym potężnym uderzeniem.

Pook przyglądał się temu wszystkiemu zza swego tronu, jego kusza ciągle była wycelowana, aby zabić. Nawet mistrz gildii stwierdził, że jest zahipnotyzowany samą siłą olbrzymiego mężczyzny, a gdy jeden z eunuchów przyszedł do siebie i wstał, Pook i skinął ręką, aby odsunął się od Wulfgara nie chcąc zakłócać oglą-

\* 288 «

#### KLEJNOT HALFUNGA

danego spektaklu. Jednak jakieś szuranie z boku zmusiło go do oderwania wzroku. To LaValle wypęzł ze swego pokoju; wymachujący toporem krasnolud podązał tuż za nim.

Bruenor natychmiast zobaczył straszliwe niebezpieczeństwo, w obliczu którego stał Wulfgar i wiedział, że czarnoksiężnik może tylko skomplikować sprawę. Chwycił LaValle'a za włosy i pociągnął go tak w górę, że ten aż ukląkł. Obszedł go, żeby móc stanąć przed jego twarzą.

- Dobry dzień do spania - skomentował krasnolud, uderzając czołem w czoło czarnoksiężnika, pozbawiając LaValle'a przytomności. Usłyszał jeszcze szcęknięcie za sobą, gdy czarnoksiężnik osunął się na ziemię i odruchowo uniosł tarczę między sobą a źródłem dźwięku, w samą porę, aby zasłonić się przed strzałą z kuszy Pooka. Strzała wybiła dziurę w herbie przedstawiającym kufel pieniącego się piwa i minęła w niewielkiej odległości ramię Bruenora, przebijając się na drugą stronę. Bruenor wyjrzał ponad brzegiem swej cennej tarczy i spojrzał groźnie na Pooka.

- Nie powinienes był ranić mej tarczy! - warknął i ruszył do przodu.

Olbrzym ze wzgórz chciał się wtrącić.

Wulfgar zobaczył jego ruch kątem oka i także chciał dołączyć - szczególnie, że Pook zajęty był ponownym ładowaniem swej ciężkiej kuszy - lecz miał swe własne kłopoty. Przez bramę wpadł nagle skrzydlaty demodand i błysnął obok Wulfgara. Tylko doskonale wyrobione odruchy uratowały barbarzyńcę, gdyż wyrwał rękę i chwycił demodanda za nogę. Pęd stwora rzucił Wulfgara do tyłu, jednak barbarzyńcy udało się utrzymać chwyt. Rzucił demodanda obok siebie i zwałił go na podłogę jednym ciosem młota bojowego. Kilka ramion, rak i głów wysunęło się przez Pierścień Tarosa, a Wulfgar, wymachując z furią Aegis-fangiem, mógł je tylko utrzymać na odległość.

\* \* \*

Drizzt, z Catti-brie przewieszoną bezwładnie przez ramię, biegł zadymionym mostem. Nie napotykał dalszego oporu przez wiele minut i zrozumiał dlaczego, gdy dotarł w końcu do bramy planarnej. Wokół niej siedziało dziesiątki przykucniętych, blokujących przejście, demodandów. Drów z obrzydzeniem przykląkł na

\* 289 «

#### R. A. SALVATOBÉ

jedno kolano i położył delikatnie obok siebie Catti-brie. Rozwa-? żył użycie Taulmarila, lecz stwierdził, że jeżeli chybi, jeżeli strzała w jakiś sposób znajdzie drogę przez zgromadzoną horde, prze- \* dzie przez bramę to wpadnie do pokoju, w którym stał Wulfgar. Nie chciał korzystać z takiej szansy.

- Tak blisko - szepnął bezsilnie, spoglądając na Catti-brie. Trzymał ją mocno w ramionach i odgarnął mały kosmyk włosów z jej twarzy. Wydawała się taka zimna. Drizzt pochylił się nad

nianisko, mając zamiar wyczuć tylko rytm jej oddechu, lecz znalazł się zbyt blisko niej i zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi jego wargi znalazły się na jej wargach w czułym pocałunku. Catti-brie poruszyła się, lecz nie otworzyła oczu.

Jej ruch dodał Drizztowi odwagi.

- Za blisko, a ty nie zginiesz w tym śmierdzącym miejscu mruknął ponuro. Przerzucił Catti-brie przez ramię i owinał ściśli, swoim płaszczem, żeby ją zabezpieczyć. Chwycił potem mocno sejmity, przeciągnął swymi czułymi palcami po skomplikowanych rzeźbieniach na ich rękojeściach, stając się jednością ze swą bronią, czyniąc je zabójczym przedłużeniem czarnych ramion. Odetchnął głęboko. ,!<

Ruszył cicho, jak to tylko drowy potrafią na tył wstrętnej hordy\* \* \* \*

Regis wstał zaniepokojony, gdy czarne sylwetki polujące\* kotów przemykały się tu i tam, otaczając go. Nie wydawały się mu zagrażać - jeszcze nie - lecz gromadziły się. Wiedział bez żadnych wątpliwości, że to on jest ośrodkiem ich zainteresowania. Nagle wpadła i stanęła przed nim Guenhwyvar. Łeb wielkiego kota był na poziomie jego głowy.

- Wiesz coś - powiedział Regis, widząc podniecenie w ciemnych oczach pantery. Regis podniósł statuetkę i zbadał ją% zauważając, że koty stężyły na widok figurki.

- Możemy wrócić przy pomocy tego - powiedział halfling na\* gle domyślając się. - To jest klucz do naszej podróży, a z tym,; możemy iść dokąd zechcemy! - rozejrzał się i rozważył pewne-bardzo interesujące możliwości. - Wszyscy?

Jeśli kory mogą się uśmiechać, to Guenhwyvar właśnie to uczy-? niła.

\* 290 \*

LepKA TXC (YTfęozyplAPóui

- Zejdź mi z drogi, ty przeładowana beczko! - ryknął Bruenor.

Olbrzymi eunuch rozstawił szeroko nogi i sięgnął po krasnoluda swą olbrzymią łapą którą zresztą Bruenor natychmiast ugryzł.

- Nigdy nie słuchają - mruknął. Pochylił się nisko i zanurkował między nogami olbrzyma, a potem wyprostował się szybko. Samotny róg jego hełmu podniósł biednego eunucha z podłogi. Po raz drugi tego dnia przewrócił się, tym razem trzymając się rękoma za najnowszą ranę. Z żądzą mordy w szarych oczach Bruenor zwrócił się do Pooka. Mistrz gildii jednak nie wydawał się tym zatroskany, a prawdę mówiąc ledwie go zauważył. Skoncentrował się znów na kuszy, załadowanej i wycelowanej prosto w niego.

\* \* \*

Jedyną emocją Drizzta był gniew, gniew na ból, jaki zadały Catti-brie wstrętne stwory Tartaru. Także cel był jeden, mała plamka światła w ciemności, brama planarna prowadząca do jego świata. Sejmity prowadziły go i Drizzt uśmiechnął się na myśl o przedarciu się przez ciało demodanda, lecz musiał na chwilę zwolnić; jego gniew osłabł na widok celu. Mógł rzucić się na hordę demodandów w szaleńczym ataku i prawdopodobnie udałoby mu się prześliznąć przez bramę, lecz czy Catti-brie zniosłaby razy, które potężne stwory z pewnością zadałyby, zanim

Drizzt by ją przeniósł?

Drów odnalazł jeszcze inny sposób ucieczki. Gdy zbliżał się do tylnej linii demodandów, wyciągnął szeroko swe ostrza na obie strony i poklepał dwa demodandy po ich zewnętrznych ramio-

◆ 291 \*

R. A. SALVATORE

nach. Gdy stwory odruchowo odwróciły się, aby sprawdzić swe tyły, Drizzt desperacko rzucił się między nie. Ostrza drów zwały się w jeden wirujący dziób, odcinając ręce demodandów, które usiłowały pochwycić atakującego. Poczul szarpnięcie Catti-brie i natychmiast odwrócił się, jego wściekłość podwoiła się. Nie zobaczył celu, lecz wiedział, że połączył się z czymś, gdy wbił Błysk i naraz usłyszał wrzask demodanda.

Ciężkie ramię uderzyło go w skroń; normalnie uderzenie to powinno go powalić, lecz Drizzt odwrócił się znowu i zobaczył światło bramy tylko o kilka stóp w przodzie - i sylwetkę samotnego demodanda blokującego mu drogę. Ciemny tunel ciał demodandów zaczął zamykać się wokół niego. Inne wielkie ramię zatoczyło koło, lecz Drizzt zanurkował pod nim. Gdyby demodand był szybszy o jedną sekundę, zostałby pochwycony i zabity. Znowu instynkt, szybszy niż myśl, przeniósł Drizzta. Ciął w ramiona demodanda szeroko rozstawionymi sejmityrami i pochylił głowę, uderzając nią w pierś demodanda, pęd wyrzucił stwora przez bramę.

\* \* \*

Ciemna głowa i ramiona wynurzyły się z bramy w zasięgu wzroku Wulfgara. Uderzył Aegis-fangiem. Potężne uderzenie roztrzaskało kręgosłup demodanda i wstrząsnęło Drizztem, który pchał z drugiej strony. Demodand runął martwy, jedna połowa jego ciała była w Pierścieniu Tarosa, zaś druga połowa na zewnątrz; do pokoju Pooka wytoczył się bezwładnie ogłuszony drów - pod ciałem Catti-brie.

Wulfgar zbladł na ten widok i zawahał się, lecz Drizzt, uzmy-, słowiwszy sobie, że wkrótce przejdzie przez bramę więcej potworów, podniósł głowę z podłogi.

- Zamknij bramę - sapnął.

Wulfgar już wcześniej zauważył, że nie może roztrzaskać zwietf ciadła w pętli - uderzenie w nie wysłałoby tylko głowicę jego młota bojowego do Tartaru. Zaczął opuszczać Aegis-fang. Nagi zauważył ruch po drugiej stronie pokoju.

\* \* \*

- Jesteś wystarczająco szybki z tą tarczą? - zadrwił Pook kuszy. i

KLEJNOT HALFUNGA

Mając uwagę zwróconą na broń, Bruenor nawet nie zauważył wspaniałego weścia Drizzta i Catti-brie.

- Więc masz tylko jeden strzał, aby mnie zabić, psie - splunął, nie bojąc się śmierci- ~I tylko jeden - zrobił krok naprzód.

Pook wzrusz)\* ramionami. Był doświadczonym strzelcem wyborowym, a je/0 kusza była zaczarowana, jak każda broń w Krainach. Jed811 strza\* powinien wystarczyć. Lecz nigdy go nie oddał.

Wirujący mło\* bojowy eksplodował na tronie, przewracając olbrzymie krzesł0 na mistrza gildii i



rzucając nim ciężko o ścianę. Bruenor odwrócił się z ponurym uśmiechem, aby podziękować swemu barbarzyńskiemu przyjacielowi, lecz jego uśmiech zamarł, a słowa uwieźły inu w gardle, gdy zobaczył Drizzta - i Catti-brie! - leżących obok Pierścienia Tarosa. Krasnolud stał, jakby go kto zamienił w karnik mrużąc okiem, nie biorąc najlżejszego oddechu. Podniósł się. Podniósł się, opadł na kolana. Rzucił topór i tarczę i począł pełzać na czworakach do swej córki. Wulfgar chwycił żelazne brzozy Pierścienia Tarosa i próbował zewrzeć je. Cała górna połowa jego ciała zaczerwieniła się, żyły i potężne mięśnie wystąpiły jak żelazne sznury na jego potężnych ramionach. Lecz jeśli nawet coś się poruszyło w bramie, było to nieznaczne poruszenie. Ramię demodanda sięgnęło przez bramę, żeby przeszkodzić jej zamknięciu, lecz jego widok dodał Wulfgarowi nowożytności. Ryknął do Temposa i napał z całej siły, usiłując zewrzeć nacięcia, zginając brzozy pętli, aby się spotkały. Szklisty obraz zgiął się. Plany przesunęły i ramię demodanda upadło na podłogę, równo odcięte. Podobnie demodand, który leżał martwy u stóp Wiiu'sara, połową ciała nadal w bramie, przesunął się i odwrócił. Wulfgar odwrócił oczy od przerażającego widoku skrzydlatych demodandów' pochwyconych w skręcającym się tunelu planarnym, zginanych i łamanych, aż ich skóra poczęła pękać z przeraźliwym chrzęstem. Magia Pierścienia Tarosa była potężna i mimo całej siły Wulfgar nie miał nadziei zgiąć go na tyle, aby uznać dzień zakończony. Skrzywił i zablokował bramę, lecz na jak długo? Gdy się zmęczy, a Pętla Tarosa powróci do swego normalnego kształtu, brama zostanie otwarta ponownie. 298 «

9 292.\*

R. A. SALVATORE

nie. Ryknął z uporem i napał znowu, odwracając głowę w bok w oczekiwaniu strzaskania się szklistej powierzchni.

\* \* \*

Wydawała się taka blada, jej wargi były prawie sine, a skóra sucha i chłodna. Bruenor widział, że rany były ciężkie, lecz krasnolud czuł także, że zasadniczymi ranami nie były cięcia czy otarcia. Wydawało się raczej, że jego droga dziewczyna straciła swego ducha, jakby zrezygnowała z chęci do życia, gdy spadła w ciemność. Leżała teraz bezwładnie zimna i blada w jego ramionach. Na podłodze. Drizzt instynktownie rozpoznał niebezpieczeństwo. Przetoczył się na bok i rozciągnął szeroko płaszcz, zasłaniając swym własnym ciałem Catti-brie i Bruenora, który był zupełnie nieświadom otoczenia.

Po drugiej stronie pokoju poruszył się LaValle. Ukląkł i rozejrzał się po pokoju, natychmiast rozpoznając wysiłki Wulfgara, mające na celu zamknięcie bramy.

- Zabij ich - szepnął Pook do czarnoksiężnika, nie ośmielając się jednak wypełnić spod przewróconego krzesła.

LaValle nie usłuchał, on już wcześniej rozpoczął splatanie zaklęcia.

\* \* \*

Po raz pierwszy w życiu Wulfgar przekonał się, że jego siła jest niewystarczająca.

- Nie mogę! - stęknął spoglądając na Drizzta, tak jak zawsze spoglądał na Drizzta, w poszukiwaniu odpowiedzi.

Ranny drów z trudem orientował się w tym, co się naokoło niego dzieje. Wulfgar chciał zrezygnować. Jego ramiona płonęły od ugryzień hydry, z trudem utrzymywał się na nogach, jego przyjaciele leżeli bezsilnie na podłodze. A jego siła nie była wystarczająca! Rzucił oczyma tu i

tam w poszukiwaniu jakiegoś innego sposobu. Pętla, jakkolwiek potężna, osłabnie.. A przynajmniej -szukając jakiejś nadziei - Wulfgar w to wierzył.

Regis przeszedł przez to, znalazł sposób, aby okpić jej moc.

Regis.

Wulfgar znalazł odpowiedź na swoje pytanie.

Naparł po raz ostatni na Pierścień Tarosa, a potem puścił go szybko, wprawiając bramę w chwilowe drżenie. Nie tracił cza-

\* 294 \*

#### KLEJNOT HALFUNGA

su na oglądanie niesamowitego widowiska, zanurkował i wyrwał zakończone perłą berło zza pasa Drizzta, a potem wyprostował się i uderzył kruchym narzędziem w szczyt Pierścienia Tarosa, roztrzaskując czarnąperłę na tysiąc drobniotkich skorup. W tej samej chwili LaValle wypowiedział ostatnią sylabę swego zaklęcia, uwalniając potężny ładunek energii. Przeleciał obok Wulfgara, opalając włosy na jego ramieniu i uderzył w środek Pierścienia Tarosa. Szklisty obraz, popękany w kolisty wzór pajęczej sieci w wyniku chytrego uderzenia Wulfgara, rozleciał się na kawałki. Potężna eksplozja wstrząsnęła fundamentami domu gildii.

W pokoju zawirowały płaty ciemności; widzowie mogliby sądzić, że zawirowało całe to miejsce, w ich uszach zagwizdał nagły wiatr, jakby wszyscy zostali pochwyceni w zamieszanie, które wybuchło w szczelinie powstałej w samych planach istnienia. Otoczyły ich kłęby czarnego dymu. Zapanowała zupełna ciemność. Nagle, tak szybko jak się to wszystko zaczęło -minęło. Światło dnia powróciło do zrujnowanego pokoju. Drizzt i Bruenor byli pierwsi na nogach, badając uszkodzenia i tych, którzy przeżyli.

Pierścień Tarosa leżał pogięty i strzaskany, zgięta rama z bezwartościowego żelaza, z gęstą, podobną do pajęczyny sub-stancją, która z uporem przywarła do niego porozdzieranymi płatami. Skrzydlaty demodand leżał martwy na podłodze, odcięte ramię innego stwora leżało obok niego, a pół ciała jeszcze innego leżało obok nich, nadal skrecając się w śmiertelnych drgawkach; gęsty, czarny płyn wypływał na podłogę. Kilka stóp dalej, z twarząpoczerniałą od dymu i cały drżąc siedział Wulfgar, wsparty na jednym łokciu, wyglądający na lekko zmieszanego -jego jedno ramię było jasnoczerwone od działania energetycznego pocisku LaValle'a. Ciało barbarzyńcy pokrywały setki małych plamek krwi. Najwidoczniej szklisty obraz bramy planarnej był czymś więcej, niż tylko obrazem. Wulfgar spojrział nieobecny wzrokiem na swych przyjaciół, zamrugał kilka razy oczyma i padł na plecy.

LaValle jęknął, zauważywszy Drizzta i Bruenora. Chciał się podnieść na kolana, lecz stwierdził, że tylko wystawi się na wi-

9 295 «

#### R. A. SALVATORE

dok zwycięskich intruzów. Opadł ponownie na podłogę i le bez ruchu.

Drizzt i Bruenor popatrzyli po sobie, zastanawiając się co i bić dalej.

- Dobrze jest zobaczyć znowu światło - dobiegł ich cichy gł z tyłu. Spojrzeli w dół i napotkali wzrok Catti-brie, jej głęboki niebieskie oczy były znowu otwarte.

Bruenor ze łzami opadł na kolana i chwycił jąw objęcia. Drr chciał uczynić to samo, lecz poczuł, że powinna to być ich pry\* watna chwila. Poklepał uspokajająco Bruenora po ramieni; i odszedł na bok, aby upewnić się, że z Wulfgarem jest wszystka^ w porządku. Gdy kłękał obok swego

barbarzyńskiego przyjadę-vi la, nagły ruch przerwał mu tę czynność. Wielki tron, połamany, i i spalony, przewrócił się pod ścianą. Drizzt odepchnął go, z łatwością, lecz gdy to czynił, zauważył Pashę Pooka, który\* wybiegł z tronu i uciekał w kierunku głównych drzwi pokoju.

■'  
- Bruenor! - zawołał Drizzt, lecz wiedział, że ten jest zbyt < zajęty swoją córką, żeby troszczyć się o takie drobnostki. Drizzt odepchnął wielkie krzesło i ściągnął z pleców Taulmaril i naciągnawszy go rzucił się w pogoń. Pook wybiegł za drzwi i odwrócił się, aby zatrzasnąć je za sobą.

- Rassi... - chciał wrzasnąć, gdy odwrócił się ku schodom, lecz słowa uwięzły mu w gardle, gdy zobaczył Regisa: ze skrzyżowanymi ramionami, stojącego przed nim na szczycie schodów.

- Ty! - ryknął Pook, z wykrzywioną z wściekłości twarzą.

- Nie, ona - poprawił Regis wskazując palcem w górę, gdy lśniaca, czarna postać skoczyła na Pooka.

Dla osłupiałego Pooka Guenhwyvar była tylko lecącą kulą olbrzymich zębów i szponów. Gdy Drizzt wyszedł z drzwi, władanie Pooka jako mistrza gildii zakończyło się z trzaskiem.

- Guenhwyvar! - zawołał Drizzt, znajdując się blisko swego cennego przyjaciela po raz pierwszy od wielu tygodni. Olbrzymia pantera popędziła susami do Drizzta i poczęła obwąchiwać go gorąco, szczęśliwa każdą swą cząstką z ponownego połączenia. Jednak inne widoki i dźwięki skróciły to spotkanie. Po pierwsze był tu Regis, ułożony wygodnie na rzeźbionej poręczy, z rękoma założonymi za głowę i skrzyżowanymi swymi porośnię-

## KLEJNOT HALFUNGA

tymi futrem nogami. Drizzt był szczęśliwy, widząc znowu Regisa, lecz niepokoiły go dźwięki dochodzące z góry schodów: wrzaski przerażenia i gardłowe warknięcia.

Bruenor także je usłyszał i wyszedł z pokoju, aby zbadać, co to jest.

- Pasibrzuch! - pozdrowił Regisa, podążając za Drizztem do halflinga.

Spojrzeni w dół na wielkie schody i walkę toczącą się w dole. Od czasu do czasu przebiegał szcurołak ścigany przez panterę. Grupa mieszańców utworzyła obronny krąg, ich ostrza żałośnie błyskały dokoła, aby odeprzeć kocich przyjaciół Guenhwyvar, lecz fala czarnych futer i błyszczących kłów przykryła ich tam gdzie stali.

- Koty? - sapnął Bruenor do Regisa. - Przyprowadziłeś koty? Regis uśmiechnął się i przesunął głowę w kołysce z rąk.

- Znasz lepszy sposób na wypędzenie myszy?

Bruenor pokręcił głową i nie mógł ukryć uśmiechu. Spojrzał na ciało mężczyzny, który uciekł z pokoju.

- Też nie żyje - zauważył ponuro.

- To był Pook - powiedział im Regis, choć już wcześniej do myślali się personaliów mistrza gildii. - Teraz go już nie ma i, jak wierzę, stanie się tak z jego szcurołaczymi towarzyszami.

Regis spojrział na Drizzta wiedząc, że potrzebne będzie małe wyjaśnienie.

- Przyjaciele Guenhwyvar polują tylko na mieszańców - powiedział. - I na niego, oczywiście - wskazał na Pooka. - Prawdziwi złodzieje ukryli się w swych pokojach; jeśli oczywiście byli dostatecznie zwinni, lecz pantery nie zrobią im krzywdy.

Drizzt pokiwał głową stronę Regisa pochwalając sposób, jaki wybrali Regis i Guenhwyvar. Guenhwyvar nie była czujką.

- Wszyscy przeszliśmy dzięki statuetce - kontynuował Regis.

- Zabrałem ją, gdy wychodziłem z Tartaru wraz z Guenhwyvar.

Koty będą mogły dzięki niej wrócić na swój plan, gdy tylko zadanie zostanie wykonane - rzucił figurkę jej prawowitemu właścicielowi.

Na twarzy halflinga pojawiło się zaniepokojenie. Strzelił palcami i zeskoczył z balustrady, jakby jego ostatnie działanie podsu-

\* 296 \*

◆ 297 \*

R. A. SALVATORE

nęło mu pewien pomysł. Podbiegł do Pooka, odwrócił głowę Jęgo mistrza gildii na bok - próbując zignorować bardzo żną ranę na jego szyi - i zdjął rubinowy wisior będący przyczyną całej przygody. Zadowolony Regis zwrócił się do zaniepokojonych towarzyszy.

- Czas, aby zdobyć pewnych sprzymierzeńców - wyjaśnił fling i zbiegł po schodach.

Bruenor i Drizzt popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

- Chcę zawładnąć gildią- powiedział Bruenor do drowa.

Drizzt nie dyskutował.

\* \* \*

Z ulicy w Złodziejskim Kręgu Rassiter, znów w swej ludzkiej postaci, słyszał krzyki umierających szczurołaków. Szybko: zrozumiał, że gildia została opanowana przez bohaterów z północy, a gdy Pook wysłał go na dół, żeby kierował walką, uciek w schronienie bezpiecznych kanałów. Teraz mógł tylko słyszeć krzyków i zastanawiać się, ilu z jego likantropów przeżyje ten ciemny dzień.

- Zbuduję nową gildię - poprzysiął sobie, choć w pełni zdawał sobie sprawę z ogromu tego zadania, szczególnie teraz, gdy osiągnął taki rozgłos w Calimporcie. Może wywędruje do innego miasta, Memnonu lub Wrót Baldura, gdzieś dalej wzdłuż wybrzeża. Przestał się nagle zastanawiać, gdy płaz zakrzywionego / ostrza spoczął na jego ramieniu, ostrza jak brzytwa krawędź zarysowała krwawą linię na boku jego szyi.

Rassiter wyciągnął wysadzany klejnotami sztylet.

- To twój, jak sądzę - powiedział starając się, aby w jego głosie brzmiał spokój. Szabla odsunęła się i Rassiter odwrócił się do Artemisa Entreriego.

Entreri wyciągnął zabandażowane ramię, aby wziąć sztylet, chowając jednocześnie szablę do pochwy.

- Wiem, że zostałeś pokonany - powiedział bez ogródek Rassiter. - Obawiałem się, że nie żyjesz.

- Obawiałeś się? - uśmiechnął się Entreri. - Czy miałeś nadzieję?

- To prawda, że zaczęliśmy rywalizować ze sobą- zaczął Rassiter.

### KLEJNOT HALFUNGA

Entreri znów się uśmiechnął. Nigdy nie uważał szczurołaka za tak wartościowego, aby myśleć o nim jak o rywalu. Rassiter gładko przełknął obrazę.

- Lecz wtedy służyliśmy temu samemu panu - spojrzał na dom gildii, gdzie wrzaski zaczęły stopniowo cichnąć. - Sądzę, że Pook nie żyje, a przynajmniej został odarty z siły.

- Jeśli spotkał drowa, to nie żyje - powiedział Entreri, sama myśl o Drizzcie Do'Urdenie napelniła jego gardło żółcią:

- Więc ulice są otwarte - stwierdził Rassiter. Mrugnął chytrze okiem do Entreriego. - Do opanowania.

- Ty i ja? - zadumał się Entreri.

Rassiter wzruszył ramionami.

- Kilku w Calimporcie będzie ci się przeciwstawiać - powie dział szczurołak. -Ale mymi zaraźliwymi ukąszeniami, w ciągu kilku tygodni zbiorę tłum lojalnych współpracowników.

Z pewnością nikt nie odważy się oprzeć nam w nocy.

Entreri podszedł do niego i wraz z nim patrzył na dom gildii.

- Tak, mój żarłoczny przyjacielu - powiedział cicho - ale pozostają dwa problemy.

-Dwa?

- Dwa - powtórzył Entreri. - Po pierwsze, działam sam.

Ciało Rassitera wyprężyło się, gdy ostrze sztyletu wbiło się w jego kręgosłup.

- Po drugie, jesteś już martwy - kontynuował Entreri. Wy szarpnął skrwawiony sztylet i trzymał go pionowo, aby wytrzeć ostrze o płaszcz Rassitera, gdy szczurołak bez życia osunął się na ziemię.

Entreri przyjrzał się swemu dziełu i bandażom na zranionym łokciu.

- Już mocniejsze - mruknął do siebie i ruszył, aby znaleźć jakąś ciemną dziurę. Był już jasny ranek i morderca, ciągle potrzebując odpoczynku, nie był gotów spotkać się z wyzwaniem, jakie niesły ulice w dzień.

\* Z99 \*

\* 25 \*>

### DROQA. UI stolcu

Bruenor zapukał lekko do drzwi, nie spodziewając się od wiedzy. Jak zwykle odpowiedzi nie było. Tym razem jednak upj krasnolud nie odszedł. Nacisnął klamkę i wszedł do ciemnego pokoju. Na łóżku, tyłem do Bruenora siedział rozebrany do pass' i gładzący szczupłymi palcami gęstą grzywę białych włosówvj Drizzt. Nawet w ciemności Bruenor wyraźnie widział przykrytej, strupem linię przecinającąplecy drowa. Krasnolud wzdrygnął s%, nie wyobrażając sobie w tych dzikich godzinach walki, że Drizzt został tak poważnie zraniony przez Artemisa Entreriego.

- Pięć dni, elfie - powiedział cicho Bruenor. - Myślisz prze\* żyć całe swe życie tutaj? Drizzt odwrócił się powoli do swego przyjaciela. -A dokąd to niby miałbym pójść? - odparł. Bruenor przyglądał się lawendowym oczom, w których odbijało się światło korytarza za otwartymi drzwiami. Lewe było znowu otworzone, zauważył z nadzieją. Obawiał się, że cios demo-danda

na zawsze zamknął oko Drizzta. Najwyraźniej jednak zostało wyleczone, lecz nadal te cudowne oczy martwiły Bruenora.-Wydawało się, że straciły zbyt dużą część swego blasku.

- Co z Catti-brie? - zapytał Drizzt, naprawdę zatroskany o młodą kobietę, chcąc jednocześnie zmienić temat rozmowy. ■  
Bruenor uśmiechnął się.

- Jeszcze nie może chodzić - odparł. - Lecz ochota do walki • już powróciła i dziewczucha nie może uleżeć spokojnie na łóżku - roześmiał się, przypominając sobie scenę, jaka miała miejsce wcześniej tego dnia, gdy jeden ze służących chciał poprawić poduszkę jego córce. Samo spojrzenie Catti-brie spowodowało, że  
9 300 «

### KLEJNOT HALFLINGA

z twarzy mężczyzny odpłynęła cała krew. - Tnie służących ostrzem swego języka, gdy jej zbyt nio nadskakują.

Uśmiech Drizzta wydawał się wymuszony.

-AWulfgar?

- Chłopiec ma się lepiej - odparł Bruenor. - Cztery godziny zabrało mi zeskrobanie z niego tej pajęczyny, jest też ranny w rękę, co będzie wymagało co najmniej miesiąca rekonwalescencji, aby mógł odzyskać w niej siłę, lecz trzeba czegoś więcej, aby powalić tego chłopca! Krzepki jak góra i prawie tak wielki!

Patrzyli na siebie, aż uśmiechy zanikły, a cisza stała się niewygodna.

- Zaczyna się biesiada u halflinga - powiedział Bruenor. - Idziesz? Wydaje mi się, że z tak okrągłym brzuchem Pasibrzech przygotował doskonały stół.

Drizzt wzruszył wymijająco ramionami.

- Ba! - parsknął Bruenor. - Nie możesz przeżyć całego życia w tych ciemnych ścianach! Przerwał, gdy w jego głowie powstała nagła myśl. -A może wychodzisz w nocy? - zapytał chytrze.

- Wychodzę?

- Polować - wyjaśnił Bruenor. - Polujesz na Entreriego?

Teraz Drizzt się roześmiał, widząc, że Bruenor łączy jego prośbę o samotności z jakąś obsesją dotyczącą mordercy.

- Płoniesz z żądzy spotkania się z nim - stwierdził Bruenor. -A on z kolei płonie żądzą spotkania się z tobą jeśli jeszcze oddycha.

- Idziemy - powiedział Drizzt, naciągając luźną koszulę przez głowę. Przypiął magiczną maskę i począł słać łóżko, lecz zatrzymał się, aby się jej przyjrzeć. Zwinął ją w rękach i rzucił na stolik. - Nie możemy się spóźnić na święto.

Domysły Bruenora, co do Regisa, nie chybiły; stół czekający na obu przyjaciół był wspaniale udekorowany lśniącoymi srebrami i porcelaną a zapachy wspaniałości kulinarnych spowodowały, że idąc do wskazanych krzeseł nieświadomie oblizywali wargi. Regis siedział u szczytu długiego stołu. Tysiące klejnotów, jakie naszył na swą tunikę chwytalo światło świec w migotliwych wybuchach przy każdym jego poruszeniu na krześle. Obok niego stało dwóch olbrzymów ze wzgórz, eunuchów, którzy strzegli

## R. A. SALVATORE

Pooka do gorzkiego końca, ich twarze były poobcierane i zab" dażowane. Po prawej stronie halflinga siedział LaValle, ku ] nemu niesmakowi Bruenora, zaś po lewej halfling z oczyma j szparki oraz pucolowaty młodzieniec, naczelný dowódcą w no gildii. W pewnej odległości siedzieli Wulfgar i Catti-brie, o\* siebie, trzymając się za ręce, co było, jak domyślał się Drizzt, po błądności i zmęczonym wyrazie twarzy - bardziej wzajemny wsparciem, niż prawdziwym afektem. Jednak, mimo zmęczone ich twarze rozjaśniał uśmiech, tak jak rozjaśniła się twarz Regi gdy zobaczył Drizzta wchodzącego do pokoju - był to przecie pierwszy raz od prawie tygodnia, gdy ktokolwiek mógł ujrzeć drowa.

- Witajcie! Witajcie! - powiedział uszczęśliwiony Regis. - Tą \

byłoby płytkie święto, gdybyś do nas nie dołączył! »

Drizzt wśliznął się na krzesło obok LaYal^a, ściągając na\* siebie zatroskany wzrok nieśmiałego czarnoksiężnika. Dowódcą« także poruszył się niespokojnie na myśl o spożyciu obiadu\* z drowem. Drizzt uśmiechnął się z powodu powagi ich niepoko-t, ju, w końcu to był ich problem, a nie jego.

- Byłem zajęty - powiedział do Regisa.>

„Użalaniem się nad sobą" chciał powiedzieć Bruenor, siadając obok Drizzta, lecz taktownie ugryzł się w język.

Wulfgar i Catti-brie patrzyli na swego mrocznego przyjaciela ; przez stół.

- Przysięgłeś mnie zabić - chłodno powiedział drów do Wul-»  
fgara, powodując, że olbrzym cofnął się głębiej w krzesło.

Wulfgar zaczerwił się i ścisnął za rękę Catti-brie.

- Tylko siła Wulfgara mogła utrzymać bramę - wyjaśnił Drizzt.

Kąciki jego ust uniosły się w smutnym uśmiechu.

-Aleja... - zaczęła Wulfgar, Catti-brie jednak przerwała mu.

- Dość o tym - zażądała, waląc pięściami udo Wulfgara. -Nie rozmawiajmy o kłopotach, które na całe szczęście już minęły. Zbyt wiele jest jeszcze przed nami!

- Moja dziewczyna ma rację - wybuchł Bruenor. — Dni uciekają, gdy my tak tu siedzimy i leczymy się! Jeszcze tydzień i ominie nas wojna.

- Jestem gotów wyruszyć - oznajmił Wulfgar.

\* 302 «

## KLEJNOT HALFUNGA

-Nie jesteś -odparła Catti-brie. -Ani ja. Pustynia nas zatrzyma, zanim nawet rozpoczniemy swą długą drogę.

- Hm... - zaczął Regis zwracając ich uwagę. - Jeśli chodzi o wasze odejście... - przerwał, aby rozważyć ich spojrzenia, zaniepokojone tak otwartym postawieniem sprawy. - Ja... hmm... myślałem, że... miałem na myśli...

- Wypluj to wreszcie - zażądał Bruenor, domyślając się, co jego mały przyjaciel ma na myśli.

- Cóż, zbudowałem tutaj miejsce dla siebie - kontynuował Regis.

-I zostajesz tutaj - stwierdziła Catti-brie. -Nie mamy do ciebie pretensji, choć jesteśmy pewni, że popełniasz błąd!

- Tak - powiedział Regis - i nie. - Tu jest miejsce i bogactwo.

A z waszą czwórką u mego boku...

Bruenor powstrzymał go wyciągnięciem ręki. -Wspaniała propozycja, -powiedział. -Lecz mój

dom jest na północy.

- Armie czekają na nasz powrót - dodała Catti-brie.

Regis zrozumiał nieodwołalność odmowy Bruenora i wiedział, że Wulfgar z pewnością pójdzie za Catti-brie - nawet z powrotem do Tartaru, jeśli ta tak wybierze. Halfling zwrócił więc swe nadzieje ku Drizztowi, który w ciągu kilku ostatnich dni stał się dla nich wszystkich zagadką. Drizzt usiadł i rozważał propozycję, jego wahanie w odrzuceniu propozycji wywołało zatroskane spojrzenia Bruenora, Wulfgara, a szczególnie Catti-brie. Może życie w Calimporcie nie byłoby takie złe, a z pewnością drów miał narzędzia, żeby dobrze się miewać w ciemnym królestwie, zaplanowanym przez Regisa. Spojrzał Regisowi prosto w oczy.

- Nie - powiedział. Zwrócił się przez stół na słyszalne westchnienie ulgi Catti-brie i spojrzał jej w oczy. - Ja przeszedłem już przez zbyt wiele cieni - wyjaśnił. - Czeka mnie szlachetne poszukiwanie, a na prawego króla czeka szlachetny tron. Regis rozparł się w krzesło i wzruszył ramionami.

- Jeśli jesteście tak zdeterminowani, aby wracać z powrotem w poszukiwaniu walki, to byłbym kiepskim przyjacielem jeśli bym wam nie pomógł w tym poszukiwaniu.

\* 303 \*

## KLEJNOT HALFUNGA

### R. A. SALVATORE

Pozostali spojrzeli na niego z ciekawością; nigdy jeszcze byli zdumieni z powodu niespodzianek, jakie ten mały mógł wsze zrobić. i

- W tym celu - kontynuował Regis - jeden z mych agentów doniósł tego ranka o przybyciu do Calimporcu ważnej osoby, wynika to oczywiście z opowiadań Bruenora o waszej na południe. - Strzelił palcami i zza bocznej zasłony wyszedł dyś służący, prowadząc kapitana Deudermonta.

Kapitan uklonił się nisko Regisowi, a jeszcze niżej swym gim przyjaciołom, jakich zyskał w czasie niebezpiecznej z Waterdeep.

- Wiatr wiał nam w plecy - zaczął wyjaśniać - i Duszek ski płynął szybciej, niż kiedykolwiek. Możemy wypłynąć j o świcie; z pewnością ukołysanie się statku ukoł osłabione ko -A handel? - powiedział Drizzt. - Rynek jest tutaj, w Calimporcie. Jest sezon. Nie możesz planować odpłynięcia przed stanem wiosny.

- Mogę nie być w stanie zawieźć was do samego Waterdeep powiedział Deudermont. - Powiedzą o tym wiatry i lód. Lecz z pewnością będziecie bliżej celu, gdy znów znajdziecie się w ladzie - spojrzał na Regisa, a potem z powrotem na Drizzta. Moje straty w handlu zostaną mi wystarczająco wynagrodzone. Regis wsadził kciuki za swój wysadzany klejnotami pas.

- To przynajmniej mogę ci przyrzec!

- Ba! - parsknął Bruenor z błyskiem żądzy przygody w oku. Dziesięciokrotnie,



Pasibrzuchu, dziesięciokrotnie!

Drizzt przez jedyne okno w pokoju wyglądał na ciemne ulice Calimportu. Wydawały się spokojniejsze tej nocy, przycichłe w oczekiwaniu spodziewanej intrygi - oczekiwaniu na walkę potęg, które Bieuchronnie powinny doprowadzić do upadku tak potężnego misorza gildii, jak Pasha Pook. Wiedział, że tam na zewnątrz sąinne oczy, patrzące na niego, na dom gildii, czekające na słowo drowa -czekające na drugą szansę walki z Drizztem Do'Urdenem.

N"oc upływała leniwie, a Drizzt, nie ruszając się od okna, przyglądał się jak przechodzi w świt. Bruenor znów był pierwszy w jesgo pokoju.

\*304\*

- Jesteś gotów, elfie? - zapytał niecierpliwy krasnolud, zamykając drzwi za sobą.  
- Cierpliwości, dobry krasnoludzie - odparł Drizzt. -Nie możemy odpłynąć przed przyływem, a kapitan Deudermont zapewnił mnie, że będziemy czekać jeszcze przez cały ranek. Bruenor usiadł na łóżku.

- Tym lepiej - powiedział w końcu. - To da mi więcej czasu na porozmawianie z małym.

- Boisz się o Regisa - zauważył Drizzt.

- Tak - przyznał Bruenor. - Mały był względem mnie uczciwy - wskazał na onyksową statuetkę na stoliku. - Względem siebie też. Powiedział sobie: tu jest bogactwo do wzięcia. Pooka już nie ma i należy brać to, co jest do zabrania. Jeśli chodzi o Entreriego, to mi się to nie podoba. A pozostałe szcziurołaki bez wątpienia patrzyły, aby odplacić małemu za swe straty. A czarnoksiężnik! Regis powiedział, że zapanował nad nim przy pomocy klejnotu, wiesz co mam na myśli, lecz nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby czarnoksiężnik dał się pochwyć przez taki czar.

- Mnie też - zgodził się Drizzt.

- On mi się nie podoba i nie wierzę mu! - oznajmił Bruenor. -Pasibrzuch musi go trzymać blisko przy sobie.

- Może powinniśmy złożyć LaVallemu wizytę tego ranka - zaproponował Drizzt - abyśmy mogli ocenić, po czyjej jest stronie.

Technika pukania Bruenora zmieniła się subtelnie, gdy przybyli pod drzwi czarnoksiężnika, od delikatnego pukania do drzwi Drizzta, do ciężkich jak walenie taranem uderzeń. LaValle wyskoczył z łóżka i pobiegł zobaczyć, o co chodzi i kto tak wali w jego nowiusieńkie drzwi.

- Dzień dobry, czarnoksiężniku - warknął Bruenor, wpychając się do pokoju, gdy tylko drzwi się uchyliły.

- Tak jak myślałem - mruknął LaValle, patrząc na kominek i leżący obok niego stos drzazg, będących kiedyś jego drzwiami.

\* 305 \*

- Witaj, dobry krasnoludzie - powiedział z taką grzecznością, na jaką tylko mógł się w tej sytuacji zdobyć. - I mistrzu Do'Urdenie - dodał szybko, gdy zauważył Drizzta wślizgujące go się za nim. - Nie odjechaliście jeszcze?

R. A. SALVATORE

- Mamy czas - powiedział Drizzt.

-I nie odjedziemy stąd, dopóki nie przekonamy się, że P~-:

brzuch jest bezpieczny - wyjaśnił Bruenor.

- Pasibrzuch? - powtórzył LaValle.
- Halfling! - ryknął Bruenor. - Twój pan!
- Ach, tak, Pan Regis - powiedział zamyślony LaValle złżywszy ręce na piersi, jego oczy patrzyły gdzieś w dal.

Drizzt zamknął drzwi i patrzył na niego podejrzliwie. Trans LaValle'aminał, gdy zorientował się, że drownawetnie mrugnął okiem. Podrapał się w brodę, rozglądając się, gdzie by tu uciec:? Stwierdził, że nie może zrobić z drowa głupca. Może z krasnoluda, ' halflinga, ale nie z niego. Te lawendowe oczy przewiercały go na wylot. - Nie wierzysz, że twój mały przyjaciel rzucił na mnie swój czar - powiedział.

- Czarnoksiężnicy mogą unikać pułapek innych czarnoksiężników - odparł Drizzt.
- Wystarczająco - powiedział LaValle wślizgując się na krzesło.
- Ba! Więc też jesteś kłamcą! - warknął Bruenor i sięgnął po topór zatknięty za pasem.

Drizzt zatrzymał go.

- Jeśli wątpisz w oczarowanie - powiedział LaValle - to nie wątp w moją lojalność. Jestem praktycznym człowiekiem, który służył wielu panom w swym długim życiu. Pook był największym z nich, lecz Pooka już nie ma. LaValle żyje, aby służyć znowu.

- Bardziej prawdopodobne, że widzi szansę stanięcia na szczycie - zauważył Bruenor, spodziewając się wścieklej odpowiedzi ze strony LaValle'a.

Zamiast tego, czarnoksiężnik roześmiał się serdecznie.

- Mam swój zawód - powiedział. - To wszystko o co się tro szczę. Żyję wygodnie i mogę robić co chcę. Nie potrzebuję grozić mistrzowi gildii - spojrział na Drizzta, jako na bardziej rozumnego z nich dwóch. - Będę służył halflingowi, a jeśli Regis upadnie, będę służył temu, który zajmie jego miejsce.

Logika ta zadowoliła Drizzta i przekonała go, że czarnoksiężnik będzie lojalny, mimo wszelkich czarów, jakie mógł rzucić nań rubinowy wisiołek.

- Chodźmy stąd - powiedział do Bruenora i ruszył ku drzwiom.

\* 306 \*

## KLEJNOT HALFLINGA

Bruenor wierzył osądowi Drizzta, ale nie mógł się powstrzymać od ostatniej groźby.

- Wszedłeś mi w drogę, czarnoksiężniku - warknął od drzwi.
- Omal nie zabiłeś mojej dziewczyny. Jeśli mój przyjaciel źle skończy, zapłacisz za to głową.

LaValle pokiwał głową, lecz nie odezwał się.

- Pilnuj go - zakończył krasnolud mrugnawszy okiem i z hukiem zatrzęsnał drzwi.
- On naprawdę nienawidzi mych drzwi - zasmucił się czarnoksiężnik.

\* \* \*

Cała grupa zgromadziła się w głównym wejściu do domu gildii godzinę później. Drizzt, Bruenor, Wulfgar i Catti-brie byli ubrani znowu w swe zwykłe ubiory, magiczna maska Drizzta wisiała mu na szyi. Dołączył do nich Regis z całą swą asystą. Chciał pójść do Duszka Morskiego obok swych wspaniałych przyjaciół. Niech wrogowie zobaczajągo sprzymierzeńców w całym ich splendorze, pomyślał chytrze nowy mistrz gildii - szczególnie drowa!

- Ostatnia propozycja, zanim się rozstaniemy - oznajmił Regis.
- Nie zostaniemy - odparł Bruenor.
- Nie dla ciebie - powiedział Regis. Zwrócił się wprost do Drizzta. - Dla ciebie.

Drizzt czekał cierpliwie, gdy halfling zacierał ręce. -Pięćdziesiąt tysięcy sztuk złota-powiedział w końcu Regis. - Za twojego kota.

Oczy Drizzta rozszerzyły się ze zdumienia.

- Zatoszczę się o Guenhwyvar, zapewniam cię... Catti-brie palnęła go w potylicę.

- No wiesz, wstydz się - nachmurzyła się. -Nie oceniaj drowa tak nisko! Drizzt uspokoił ją uśmiechem.

- Skarb za skarb? - powiedział do Regisa. - Wiesz, że muszę odmówić. Guenhwyvar nie jest na sprzedaż, choć miałeś dobre intencje.

- Pięćdziesiąt tysięcy - parsknął z irytacją Bruenor. - Gdybyśmy tego chcieli, zabralibyśmy drugie tyle przed odejściem!

◆ 307 \*

R. A. SALVATORE

Regis nagle uzmysłowił sobie absurdalność oferty i zaczer- M  
wienił się zakłopotany. W

- Jesteś pewien, że przewędrowaliśmy świat, aby ci pomóc? -■  
zapytał go Wulfgar. Zbity z tropu Regis spojrzał na barbarzyńcę. M

- A może przyszedliśmy tu za kotem - kontynuował z powagą ■  
Wulfgar. I

Oszupiały wyraz twarzy Regisa był czymś więcej, niż każde i  
z nich mogło znieść i wybuch śmiechu, jakiego nie doświadczyło I  
żadne z nich już od miesiący, zaraził nawet Regisa. i

- Masz - zaproponował Drizzt, gdy już się uspokoił. - Weź to <\  
w zamian. - Ściągnął z szyi magicznąmaskę i wręczył j ąhalflin- I  
gowi.

- Czy nie powinienes jej nosić, zanim wsiądziemy na statek? - >'  
zapytał Bruenor.

Drizzt spojrzał na Catti-brie szukając odpowiedzi, lecz jej '   
uśmiech pochwały i podziwu odrzucił wszystkie wątpliwości, ja  
kie jeszcze mogły pozostać w jego umyśle. |

- Nie - powiedział. - Niech calishici myślą o mnie, co chcą- '  
otworzył drzwi, pozwalając porannemu słońcu zamigotać  
w swoich lawendowych oczach.

- Niech szeroki świat myśli o mnie, co tylko sobie chce - powiedział szczerze zadowolony,  
gdy po kolei patrzył w oczy każdego z czworga swych przyjaciół.

- Wiedzą kim j estem.

epfl-oq

Duszek Morski rozpoczął trudny kurs na północ wzdłuż Wybrzeża Mieczy w zimowych  
wichrach, lecz kapitan Deudermont i jego wdzięczna załoga zdecydowana była zobaczyć czworo  
przy-jaciół bezpiecznych z powrotem w Waterdeep. Wyraz zdziwienia na twarzach witał  
podskakuj acy na falach statek, kiedy wpływał do portu Waterdeep, mijając falochron i kry  
lodowe. Z całą zręcznością nabytą przez lata doświadczeń, Deudermont bezpiecznie zacumował  
Duszka Morskiego.

Czworo przyjaciół w znacznym stopniu odzyskało zdrowie i humor w ciągu tych dwóch miesięcy

na morzu, mimo trudnej podróży. Wszystko w końcu zakończyło się szczęśliwie - nawet rana Catti-brie wydawała się być zupełnie wyleczona. Lecz jeśli podróż morska na północ była trudna, to wędrówka przez zamrażający kraj była jeszcze gorsza. Zima mijała, lecz srożyła się jeszcze, a przyjaciele nie mogli sobie pozwolić na czekanie, aż stopnieją śniegi. Pożegnali się z Deudermontem i załogą Duszka Morskiego, włożyli ciężkie płaszcze i buty i wyruszyli przez bramę Waterdeep Droga Handlowana północny wschód, do Long-saddle. Próbowali ich zatrzymać zamiecie śnieżne i wilki. Ślad drogi i jej liczne drogowskazy tak były zasypane śniegiem, że można się było ich tylko domyślać. Drów odczytywał położenie z gwiazd i słońca. Jednak jakoś przeszli i dobrnęli do Longsaddle, gotowi do odebrania Mithrilowej Hali. Był tu już klan Brue-nora z Doliny Lodowego Wichru, gotowy do powitania ich, wraz z pięcioma setkami mężczyzn z klanu Wulfgara. Po niecałych dwóch tygodniach generał Dagnabit z cytadeli Adbar przyprował osiem tysięcy krasnoludów.

9 309 \*

\* 308 \*

#### R. A. SALVATORE

Opracowywano plany wojenne. Drizzt i Bruenor zebrali swe wspomnienia podziemnego miasta i kopalnianych jaskiń, żeby stworzyć modele miejsca i określić siłę armii duergarów, które musieli stawić czoła. Gdy wiosna pokonała ostatnie uderzenia zimy, na kilka dni przed wyruszeniem armii w góry, zupełnie nieoczekiwanie przybyły jeszcze dwie grupy sprzymierzeńców: kontyngenty łuczników z Silverymoon i Nesme. Bruenor w pierwszej chwili chciał odesłać wojowników z Nesme, przypominając sobie, jak potraktował jego samego i jego przyjaciół patrol z Nesme w czasie ich pierwszej wędrówki do Mithrilowej Hali i dlatego, że zastanawiał się, na ile ten pokaz wierności motywowany jest nadzieją przyjaźni, a na ile nadzieją zysku.

Lecz, jak zwykle, przyjaciele Bruenora przekonali go. Krasnoludy mogły mieć wiele do czynienia z Nesme, najbliższym Mithrilowej Hali miastem, gdy kopalnie zostaną otwarte ponownie, a kuty na cztery nogi przywódca powinien z miejsca pozbyć się wszelkich złych uczuć.

\* \* \*

Ich liczba była przytłaczająca, determinacja niezrównana, a przywódcy wspaniali. Bruenor i Dagnabit prowadzili główne siły zahartowanych w bojach krasnoludów i dzikich barbarzyńców, wypędzając z kolejnych pokoi duergarskie szumowiny. Catti-brie, ze swym łukiem, kilku Harpellami, którzy wyruszyli w tę podróż i łucznikami z obu miast, oczyszczała boczne korytarze w miarę, jak główne siły posuwały się naprzód. Drizzt, Wulfgar i Guenhwyvar tak, jak często to czynili w przeszłości, działali samotnie, przeszukując przestrzenie przed i pod armią zabijając więcej duergarów, niż na nich przypadało.

W ciągu trzech dni górne poziomy zostały oczyszczone. W ciągu dwóch tygodni zostało oczyszczone całe podziemne miasto. Gdy w północnych krainach wiosna nastąpiła w pełni, w ciągu niecałego miesiąca, odkąd armia wyruszyła z Longsaddle, młoty Klanu Battlehammer zaintonowały znowu swoją dzwiecz-napięć w prastarych kopalniach. Prawowity król objął swój tron.

\* \* \*

Drizzt patrzył z gór na odległe światła zaczarowanego miasta Silverymoon. Przedtem zawrócono go od tego miasta - było to

9 310 \*

## KLEJNOT HALFUNGA

bolesne odrzucenie - lecz nie tym razem. Mógł iść dokąd chciał, z głową podniesioną wysoko, z kapturem swego płaszcza odrzuconym do tyłu. Większość świata nie traktowała go inaczej; niewielu tylko znało imię Drizzta Do'Urdena. Lecz Drizzt wiedział teraz, że nie potrzebuje się usprawiedliwiać, czy przepraszać za swą czarną skórę, a tym, którzy niesprawiedliwie go oceniali, nie oferował niczego.

Ciężar pobieżnej oceny świata ciążył mu nadal, lecz Drizzt nauczył się, dzięki wnikliwości Catti-brie, przeciwstawiać się temu. Jakąbyła dla niego cudowną przyjaciółką. Drizzt przyglądał się jak wyrasta na bardzo szczególną młodą kobietę i był teraz zadowolony, że znalazła swój dom. Myśl o niej - z Wulfgarem u boku Bruenora, dotykała mrocznego elfa, który nigdy nie doświadczył bliskości rodziny.

- Jak bardzo wszyscy zmieniliśmy się - szepnął drów do górskiego wiatru.

W jego słowach nie słychać było jednak smutku.

\* \* \*

Jesień ujrzała pierwsze rzeźby wypływające z Mithrilowej Hali do Silverymoon, a gdy zima została zastąpiona wiosną, handel kwitł w całej pełni. Barbarzyńcy z Doliny Lodowego Wichru stali się agentami, rozprawdzającymi dobra krasnoludów.

Tej wiosny poczęto także rzeźbić w Hali Królewskiej - podobiznę Bruenora Battlehammera. Dla krasnoluda, który wy-wędrował tak daleko od swego domu, i który widział tyle cudownych - i przerażających - widoków, powtórne otwarcie kopalń, a nawet rzeźbienie jego popiersia wydawało się mieć mniejsze znaczenie w porównaniu z tym, co zaplanował na ten rok.

- Mówię wam, że wróci - powiedział Bruenor do Wulfgara i Catti-brie siedzących obok niego w sali przyjęć. - Elf nie może nie przybyć na wasze wesele!

Generał Dagnabit, który za przyzwoleniem króla Harbromme'a z cytadeli Adbar pozostał z dwoma tysiącami krasnoludów, ślubując wierność Bruenorowi, wszedł właśnie do sali, towarzysząc smukłej postaci, która stawała się w ciągu kilku ostatnich miesięcy coraz mniej zauważalna w Mithrilowej Hali.

\* 311 «

## R. A. SALVATORE

- Witajcie - powiedział Drizzt podchodząc do swych przyjaciół.

- A więc zrobił to - powiedziała nieobecnie Catti-brie, walcząc z brakiem zainteresowania.

- Nie braliśmy go pod uwagę - dodał Wulfgar od niechcienia. - Modłę się, aby znalazło się dodatkowe krzesło przy stole.

Drizzt tylko się uśmiechnął i skłonił się w usprawiedliwieniu. Był ostatnio nieobecny naprawdę często - potrafił przepadać nawet na całe tygodnie. Osobistemu zaproszeniu do odwiedzenia Pani Silverymoon i jej zaczarowanego królestwa nie można było łatwo odmówić.

- Ba! - parsknął Bruenor. - Mówiłem wam, że wróci! I tym razem zostanie!

Drizzt pokręcił głową.

Bruenor w odpowiedzi przechylił głowę, zastanawiając się co tym razem naszło jego przyjaciela.

- Polujesz na mordercę, elfie? - nie mógł powstrzymać się od pytania.

Drizzt wyszczerzył zęby i znów potrząsnął głową.

- Nie mam życzenia spotkać go znowu - odparł. Spojrzał na Catti-brie, ona go rozumiała, a potem znów na Bruenora. - Jest wiele widoków na szerokim świecie, drogi mój krasnoludzie, których nie można zobaczyć z cienia. Wiele dźwięków przyjemniejszych niż szcęk stali i wiele zapachów przyjemniejszych od smrodu śmierci.

- Przygotowuj następne święto - mruknął Bruenor. - Z pewnością elf widzi inine wesele! Drizzt pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Może w słowach Bruenora dźwięczała prawda, choć dotycząca jakiejś odległej chwili. Drizzt nie ograniczał już swych nadziei i pragnień. Powinien widzieć świat tak, jak chciał go widzieć i dokonywać wyboru według swych pragnień, a nie według ograniczeń, które sam na siebie nakładał. Teraz jednak Drizzt znalazł coś zbyt osobistego, aby się tym dzielić.

Po raz pierwszy w życiu drów znalazł spokój.

Do sali wszedł następny krasnolud i pospieszył do Dagnabita. Wyszli obaj, lecz Dagnabit wrócił po kilku chwilach.

### KLEJNOT HALFUNGA

- O co chodzi? - zapytał Bruenor, zupełnie wyprowadzony z równowagi całym tym zamieszaniem.

- Następny gość - wyjaśnił Dagnabit, lecz zanim go przedstawił, do sali wśliznęła się postać halflinga.

- Regis! - krzyknęła Catti-brie. Wraz z Wulfgarem ruszyła na spotkanie starego przyjaciela.

- Pasibrzuch! - wrzasnął Bruenor. - Co na Dziewięć Otchłani...

- Sądziłeś, że stracę taką okazję? - obraził się Regis. - Wesele dwojga moich najdroższych przyjaciół?

- Jak się dowiedziałeś? - zapytał Bruenor.

- Nie doceniasz swej sławy, królu Bruenorze - powiedział Regis, pochylając się w pełnym wdzięku ukłonie.

Drizzt patrzył z ciekawością na halflinga. Miał marynarkę na-szywaną klejnotami, prócz tego nosił inne klejnoty, włączając w to rubinowy wisiołek, w ilości jakiej drów nigdy nie widział w j ednym miej scu. Sakiewki wiszące u pasa Regisa z pewnością zawierały też złoto i drogie kamienie.

- Możesz zostać na dłużej? - zapytała Catti-brie.

Regis wzruszył ramionami.

- Jakoś wyjątkowo nie spieszę się - odparł. Drizzt podniósł brwi. Mistrz gildii złodziei nieczęsto opuszcza miejsce swojej siły, zbyt wielu czyhało tylko na okazję, aby mu je odebrać.

Catti-brie wydawała się uszczęśliwiona tą odpowiedzią, jak i powrotem halflinga na czas. Lud Wulfgara wkrótce odbuduje miasto Settlestone u podnóża gór. Ona i Wulfgar zamierzali jednak pozostać w Mithrilowej Hali, u boku Bruenora. Po ślubie zamierzali odbyć niewielką podróż, może do Doliny Lodowego Wichru, może później, wraz z kapitanem Deudermontem, gdy Duszek Morski pożegluje znów na południe. Catti-brie bała się powiedzieć Bruenorowi, że chcą go opuścić, choćby tylko na kilka miesięcy. Ponieważ Drizzt tak często się oddalał, obawiała się, że krasnolud będzie zmartwiony. Lecz jeśli Regis zamierzał pozostać tu przez jakiś czas...

- Czy mogę dostać pokój - zapytał Regis - aby złożyć swe rzeczy i odpocząć po długiej podróży?

- Zatroszczymy się i o to - powiedziała Catti-brie.

\* 312 \*

9 313 «

R. A. SALVATORE

-A co z twoją ekipą? - zapytał Bruenor.

- Och - zająknął się Regis, szukając odpowiedzi. - Ja... przybyłem sam. Południowcy nie znoszą zbyt dobrze chłódów wiosny na północy, wiesz o tym.

- No cóż, idź więc - powiedział Bruenor. - Z pewnością teraz nadeszła moja kolej, aby wyprawić święto dla zadowolenia twego brzucha.

Regis z niecierpliwością zatarł dłonie i odszedł wraz z Wulf-garem i Catti-brie, rozmawiając o swych ostatnich przygodach, zanim nawet opuścili salę.

- Z pewnością kilku ludzi w Calimporcie słyszało moje imię, elfie - powiedział Bruenor do Drizzta, gdy pozostali wyszli. -

A kto na południe od Longsaddle wiedział o weselu? - popatrzył chytrze na swego ciemnego przyjaciela. - Z pewnością mały przy niósł ze sobą trochę skarbów, co?

Drizzt doszedł do takiego samego wniosku w chwili, gdy Regis wszedł do komnaty.

\* 314 \*

- On ucieka.

- Znów znalazł się w kłopotach - parsknął Bruenor. - Albo jestem brodatym gnomem!

Opis z okładki

Halfling Regis, porwany przez asasyna Artemisa Entreri, przewieziony na południe do Calimportu i oddany w ręce Paszy Pooka. jeśli Pook zdoła ujarzmić magiczną panterę Guenhwyvar, Regis zginie w prawdziwej grze w kotka i myszkę.

Używając zaczarowanej maski, mroczny elf Drizzt Do'Urden ukrywa swoje dziedzictwo i wraz z barbarzyńcą Wulf-garem spieszy z pomocą swojemu przyjacielowi. W momencie gdy Entreri uruchamia pułapkę, zjawia się niespodziewany sprzymierzeniec. Czy jednak Regisowi uda się przetrwać i

Towarzysze z Doliny Lodowego Wichru zmagają się z piratami na słynnym Wybrzeżu Miec/y, stawiają czoła pustyni Calimshan oraz walczą z bestiami z innych planów, aby uratować swojego przyjaciela i... siebie.

Klejnot Halflinga to emocjonujące zakończenie

R. A. Salvatore'a do Trylogii Doliny Lodowego Wichru, ze świata Zapomnianych Krain.